

Margaret Leroy

KOLABORANTKA



ZAKAZANA
MIŁOŚĆ
PRYWATNA
WOJNA



Margaret Leroy

KOLABORANTKA

Przełożyły
Anna Wojtaszczyk i Olga Wojtaszczyk


gola

Tytuł oryginału: *The Soldier's Wife*

Opracowanie graficzne: Cassandra J. Pappus

Projekt okładki: Henry Steadman

Fotografie na okładce: Getty Images (Alfred Eisenstaedt, Charles Hewitt)

Mapa: Laura Hartman Maestro

Przekład: Anna Wojtaszczyk i Olga Wojtaszczyk

Redakcja: Katarzyna Kastran

Korekta: Elżbieta Steglińska

Copyright © 2011 Margaret Leroy

Translation rights arranged by Anderson Literary Management, LLC
and Graal Ltd.

© Copyright for the Polish edition and translation
by Oficyna Gola sp. z o.o., Głuchołazy 2013

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN 978-83-64252-23-5

Oficyna Gola sp. z o.o.

48-340 Głuchołazy • Konradów-Kolonia Kaszubska 5

kontakt@oficynagola.pl

www.oficynagola.pl

W najmroczniejszych godzinach w historii żaden wybór nie jest łatwy.

Wyspy Normandzkie, czerwiec 1940.

Naziści bombardują Cherbourg. W swoim zacisznym domu na wyspie Guernsey Vivienne de la Mare czeka, przestraszona. Zaczyna się okupacja. Nic już nie jest bezpieczne. Mąż Vivienne walczy na froncie, a ona opiekuje się dwiema córkami i teściową; w tym nowym życiu wróg mieszka po sąsiedzku.

W pełnej wielkiej namiętności i zaangażowania powieści *Kolaborantka* padają pytania: „Co bylibyś gotów zrobić dla swojej rodziny?”, „Co powinieś zrobić dla nieznajomego?” i „Co zrobiłbyś dla miłości?”.

Gdy wojna coraz bardziej zbliża się do Guernsey i domu Vivienne de la Mare, wie ona, że trzeba będzie się poświęcić. Nie tylko dla siebie, ale też dla swoich dwóch córek i teściowej, którymi się opiekuje, odkąd mąż jest na wojnie.

Nie wie natomiast ani nie spodziewa się tego, że zakocha się w jednym z niemieckich żołnierzy, którzy wprowadzają się do sąsiedniego domu. W miarę jak ich związek się pogłębia, zwiększa się też presja na Vivienne. Jest coraz mniej jedzenia i dostępnych środków, demencja dotyka teściową, a ograniczenia nakładane na mieszkańców wyspy z każdym tygodniem przybierają na sile. Choć Vivienne zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństw wynikających z jej romansu z Guntherem, wierzy, że potrafi ochronić ich związek – i swoją rodzinę. Ale kiedy jej córka zaprzyjaźnia się z więźniem z obozu pracy, Vivienne musi zdecydować, czy gotowa jest zaryzykować osobiste szczęście w obronie życia nieznajomego.

Kolaborantka, powieść pełna wielkiej namiętności i zaangażowania, sprawia, że czytelnicy zastanawiają się, co sami zrobiliby na miejscu bohaterki.

Podziękowania

Jestem niezmiernie wdzięczna Brendzie Copeland i Elisabeth Dyssegaard z Hyperiona; mojemu brytyjskiemu wydawcy, Maddie West; mojej agentce, Kathleen Anderson; oraz Laurze Longrigg z Londynu. Serdecznie wam wszystkim dziękuję za wasze zaangażowanie w *Kolaborantkę*. Podziękowania niech przyjmą też Mick i Izzie, którzy dzielili ze mną pobyt na Guernsey, oraz Becky i Steve.

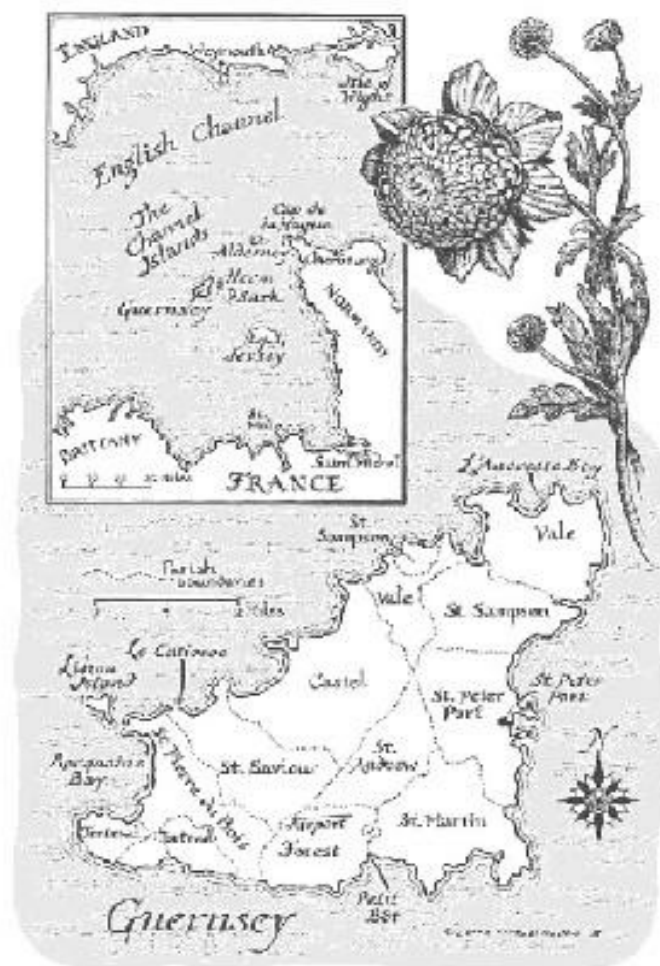
Wśród książek, które czytałam, zbierając materiały do tej opowieści, dwie szczególnie zasługują na wzmiankę – wspaniałe studium okupacji Wysp Normandzkich, *The Model Occupation*, pióra Madeline Bunting, oraz urocza książka *Folklore of Guernsey* Marie de Garis.




Qui veurt apprendre a priaïr, qu'il anuche en maïr.

Kto pragnie nauczyć się modlić, niech wypłynie w morze.

– PRZYSŁOWIE Z GUERNSEY



CZĘŚĆ I
czerwiec–lipiec 1940



CZĘŚĆ I

czerwiec-lipiec 1940

Rozdział 1

DAWNO, DAWNO TEMU było sobie dwanaście księżniczek...” – Czuję się zaskoczona własnym głosem. Jest idealnie opanowany, głos zwyczajnej matki w zwyczajny dzień – jakby wszystko było tak jak zawsze.

– „Co wieczór zamykano drzwi do ich pokoju na klucz, a jednak co rano ich pantofelki były całe poprzecierane, a one same wyglądały na blade i bardzo zmęczone, jakby nie spały całą noc...”

Millie przyłgnęła do mnie, ssąc kciuk. Czuję ciepło jej ciała. Trochę mnie to pociesza.

– Tańczyły, prawda, mamó?

– Tak, tańczyły – odpowiadam.

Blanche rozciągnęła się na kanapie, udając, że czyta stary egzemplarz „Vogue’a” i nawijając na palce swoje długie blond włosy, żeby się zakręciły. Widzę, że słucha. Odkąd jej ojciec pojechał z wojskiem do Anglii, lubi na dobranoc słuchać bajek swojej siostry. Może daje jej to poczucie bezpieczeństwa. Albo może ma w sobie coś, co pragnie znowu być dzieckiem.

Dziś wieczorem w domu jest tak spokojnie. Bursztynowe światło zachodzącego słońca pada na wszystkie przedmioty w pokoju, a każdy jest taki przyjazny i znajomy: moje pianino i stopy nut, psy z porcelany Staffordshire i srebrne kieliszki do jajek, dużo książek na półkach, serwis do herbaty w kwiatki w przeszklonej serwantce. Rozglądam się po pokoju i zastanawiam, czy jutro o tej porze tu będziemy – czy po jutrzejszym dniu kiedykolwiek zobaczymy jeszcze ten pokój. Kot Millie, Alphonse, śpi w plamie słońca na parapecie, a przez otwarte okno wychodzące na nasz ogród na tyłach domu dobiega jedynie śpiew kosa i cichutkie odgłosy strumieni: w tych dolinach zawsze słysząc wodę. Taka jestem wdzięczna za tę ciszę. Można by sobie prawie wyobrazić, że to zakończenie zwykłego przyjemnego letniego dnia. W zeszłym tygodniu, kiedy Niemcy bombardowali Cherbourg, słysząc to było nawet tu, w naszej ukrytej dolinie,

jak gromy z jasnego nieba, a na farmie Angie le Brock, w Les Ruettes na wzgórzu, kiedy dotknęło się szyby ręką, można było wyczuć lekkie wibracje, zaledwie drżenie, tak że nie było się do końca pewnym, czy to szyba się trzęsie, czy dłoń. Ale chwilowo jest spokój.

Wracam do opowieści. Czytam o tym, że był żołnierz, który wracał z wojny do domu, że miał magiczną pelerynę, która sprawiała, że był całkiem niewidzialny. Że chciał odkryć sekret księżniczek. Że zamknięto go razem z nimi w sypialni, a one dały mu kielich wina ze środkiem nasennym, ale on tylko udawał, że pije.

– Był naprawdę mądry, prawda? Sama tak bym zrobiła, gdybym była nim – mówi Millie.

Na jej słowa nagle staje mi przed oczami żywe wspomnienie siebie jako dziecka. Tak samo jak ona uwielbiałam bajki, urzekały mnie przemiany, nieprawdopodobne wyprawy, zachwycające przedmioty o wielkim znaczeniu – magiczna peleryna, atlasowe pantofelki do tańca. I tak jak Millie przejmowałam się bohaterami opowieści, ich porażkami, przeciwnościami losu oraz wszystkimi dylematami, przed jakimi stawali. Taka byłam pewna, że gdyby to o mnie była ta historia, wszystko byłoby dla mnie jasne, że byłabym mądra i odważna, i stanowcza, że wiedziałabym, co robić.

Czytam dalej.

– „Kiedy księżniczki myślały, że żołnierz smacznie śpi, zeszyły w dół przez kłapę w podłodze, a on okrył się swoją peleryną i poszedł za nimi. Schodziły po wielu krętych schodach i w końcu dotarły do zagajnika, gdzie drzewa miały liście z diamentów i złota.”

Uwielbiam zwłaszcza tę część, w której księżniczki idą ścieżką do innego świata, własnego tajemniczego świata, zaczarowanego miejsca. Uwielbiam to uczucie zagłębiania się, to, że ze wszystkich stron mnie coś osłania. Podobnie czuje się, idąc dróżkami na Guernsey tu, do naszego domu, w tej mokrej zalesionej dolince St. Pierre du Bois. Dolinka wydaje się taka bezpieczna i odizolowana, jakby się było w łonie. Jeżeli potem pójdzie się dalej, dróżka poprowadzi w górę, coraz wyżej i nagle wychodzi się na słońce, i widać pola kukurydzy, pustułki, blask morza. To jest jak narodziny.

Millie wtula się we mnie, chcąc zobaczyć obrazki – dziewczęta w szerokich barwnych migotliwych spódnicach, złote i diamentowe liście. Czuję jej znajomy, pocieszający zapach ciasteczek, mydła i słońca.

Sufit nad nami skrzypi, gdy Evelin przygotowuje się do spania. Napełniłam jej termofor gorącą wodą; zdarza się, że odczuwa chłód nawet

w ciepłe letnie wieczory. Będzie siedziała przez trochę w łóżku, czytając Biblię. Najbardziej podoba jej się Stary Testament: te surowe nakazy, te walki, te słowa: „Ja, Pan, Bóg twój, jestem Bogiem zazdrosnym”*. Kiedy wyjedziemy – jeśli wyjedziemy – zostanie z Angie le Brocq w Les Ruettes. Evelyn jest jak stara roślina, zbyt krucha, by ją przesadzać.

– Mamo – ni stąd, ni zowąd odzywa się Blanche nieco piskliwym głosem. – Celeste mówi, że w St. Peter Port nie ma już żadnych żołnierzy – angielskich żołnierzy. – Mówi szybko, słowa uchodzą z niej jak para. – Celeste mówi, że nie został nikt, żeby tu walczyć.

Oddycham głęboko. Boli mnie w piersiach. Nie mogę dłużej udawać.

– Tak – potwierdzam. – Słyszałam o tym. Pani le Brocq mi powiedziała.

Teraz, nagle, mój głos wydaje się dziwny – drżący, jakby spękany od strachu. Brzmi jak głos kogoś innego. Przygryzam wargę.

– Oni nadchodzą, prawda, mamo? – pyta Blanche.

– Tak, tak sędzę – odpowiadam.

– Co się z nami stanie, jeśli tu zostaniemy? – mówi moja córka. W jej głosie słycać nutkę paniki. Oczy ma niebieskie jak leśne hiacynty, spojrzenie natarczywie wbija w moją twarz. Obgryza strzępki skóry przy paznokciach. – Co się stanie?

– Kochanie, to poważna decyzja. Muszę ją przemyśleć...

– Chcę jechać – przerywa mi. – Chcę jechać do Londynu. Chcę wsiąść na statek.

– Zamknij się, Blanche – woła Millie. – Ja chcę posłuchać bajki.

– Blanche, Londyn nie jest bezpieczny.

– Jest tam bezpieczniej niż tu – odpowiada.

– Nie, kochanie. Ludzie wysyłają dzieci na wieś. Niemcy mogą zbombardować Londyn. Wszyscy mają maski przeciwgazowe...

– Ale mogłybyśmy zatrzymać się w domu ciotki Iris. Napisała w liście, że będziemy bardzo mile widziane. Mówiłaś nam. Napisała, że możemy. Naprawdę chcę wyjechać, mamo.

– To może być niełatwa podróż – stwierdzam. Nie wspominam o torpedach.

Dłonie Blanche zaciskają się w pięści. Światło słoneczne wyłącza wszystkie jasne włoski na jej rękach.

– Nie obchodzi mnie to. Chcę jechać.

– Blanche, nadal się zastanawiam...

– Przecież nie możemy czekać w nieskończoność.

Nie wiem, co jej powiedzieć. W zapadłej ciszy dochodzi do mnie tykanie zegara, jak bicie serca, odmierzającego czas do chwili, kiedy będę musiała podjąć decyzję. Nagle to tykanie wydaje mi się złowieszcze. Wracam do opowieści.

– „Księżniczki doszły do podziemnego jeziora, a tam przywiązanych było dwanaście małych łódek, a w każdej księżę, żeby nią wiosłować...” – Gdy czytam dalej, mój głos przestaje drżeć, serce zaczyna wolniej bić. – „Żołnierz wsiadł do łodzi z najmłodszą księżniczką. »Och, och, coś jest nie tak«, powiedziała. »Łódka płynie za wolno«. Żołnierz pomyślał, że go znajdują, i bardzo się bał”.

Blanche przygląda mi się, gryząc dłoń.

Ale Millie się uśmiecha szeroko.

– Nie musi się bać, prawda? – pyta triumfalnie. – Wszystko się dobrze skończy, no nie? Odkryje sekret i ożeni się z najmłodszą księżniczką.

– No wiesz, Millie – mówi Blanche, zapominając na chwilę o strachu, zaniepokojona naiwnością siostrzyczki. – On nie zdaje sobie z tego sprawy, prawda? Wszystko może się zdarzyć. Ludzie w bajce nie wiedzą, jak się ona skończy. Masz cztery lata, powinnaś to wiedzieć.

Rozdział 2

KIEDY MILLIE LEŻY już w łóżku, wychodzę do ogrodu. Tył domu skierowany jest na zachód, a łagodne światło wieczoru pada na długi trawnik poprzecinany cieniami i na grządkę z różami pod oknem. Każda róża, jaką zasadziłam, ma taką poetycką nazwę: Belle de Crécy, Celsiana, Alba Semiplena. Jest tak cicho, że można usłyszeć, jak z kwiatu spada płatek.

Pamiętam, jak ten ogród na zboczu zachwycił mnie, gdy pierwszy raz przyjechałam do tego miejsca, do Le Colombier.

– Vivienne, kochanie, chcę, byś pokochała moją wyspę – powiedział Eugene, kiedy mnie tu przywiózł tuż po ślubie. Byłam w ciąży z Blanche, życie pełne było możliwości i naprawdę wyspa mnie zachwyciła, gdy wpływaliśmy do portu, a przed sobą mieliśmy St. Peter Port, takie eleganckie na zielonym wzgórzu. I oczarowało mnie Le Colombier – jego wiek i chłodne zacienione pokoje, bielone ściany i szare płytki łupkowe na dachu, szerokie wysypane żwirem podwórko przed domem. Latem można tam siedzieć i pić kawę, w przesianym przez liście, cętkowanym świetle. Dom, zwrócony do drogi ścianą szczytową, otaczają zaciszne żywopłoty, widać nas tylko z jednego okna sąsiadującego z nami Les Vinaires, którego ściana kuchenna zamyka z jednej strony nasze podwórko.

Wszystko to było trochę zaniedbane, gdy pierwszy raz przyjechałam na Guernsey, żwir zarastały postrzępione żółte chwasty. Gdy Eugene był w Londynie, Evelyn nie do końca sobie z tym radziła. Teraz ja dbam, by żwir był zagrabiony, i hoduję zioła w doniczkach i pelargonie, i klematis, który pnie się po ścianie i nad drzwiami. Zachwycił mnie niewielki sad po drugiej stronie drogi, także należący do naszej posiadłości, w którym teraz małe zielone jabłka właśnie zaczynają pęcznieć; a za sadem las z mieszkającymi w nim słowiki. Ludzie nazywają go Blancs Bois – Biały Las – co zawsze wydaje mi się dziwne, ponieważ w lecie pod gęstymi koronami drzew jest tak ciemno, tak tajemniczo. Ale najbardziej ze wszystkiego kocham ten ogród opadający w dół do strumienia. Ten ogród to moje ukojenie.

Starannie wykonuję wszystkie moje zadania. Obcinam przekwitłe róże, podlewam morwę i figę, które rosną w donicach na moim tarasie. I robiąc to,

zastanawiam się, jakie to dziwne – tak pilnie zajmować się ogrodem, mimo że jutro może już nas tutaj nie być. Podczas pracy moje ręce są pewne, co wydaje mi się zaskakujące. Ale staję na jakiejś gałązce, gałązka się łamie, a wtedy dopada mnie strach. Ten strach jest czymś cielesnym, przejmuję mnie dreszczem. W gardle czuję palący posmak kwasu.

Odkładam sekator i przysiadam na brzegu tarasu. Opieram głowę na dłoniach, by wszystko jeszcze raz przemyśleć. Wiele osób już wyjechało, jak Connie i Norman z Les Vinaires, pozamykali domy, zostawili ogrody, by zarosły. Niektórzy, tak jak ja, nadal są niepewni. Kiedy ostatni raz widziałam się z Gwen, moją najbliższą przyjaciółką, mówiła, że nie mogą się zdecydować. A inni wysyłają dzieci same, z tabliczkami przypiętymi do płaszczy. Ale ja bym tak nie mogła, nigdy nie posłałabym swoich dzieci do Anglii beze mnie. Wiem, jak to jest być dzieckiem bez matki.

Cienie się wydłużają, kolory ogrodu zaczynają zanikać, aż wreszcie cienie wydają się bardziej solidne, bardziej realne niż to, co je rzuca. Słyszę, jak słowik śpiewa w Blancs Bois. Czasem wieczory na Guernsey mają w sobie coś smutnego, choć Eugene nigdy tego nie czuł. Kiedy po raz pierwszy tu przybyłam, wziął mnie na wycieczkę po wyspie. Zatrzymaliśmy się na jej północnym brzegu i patrzyliśmy, jak słońce zachodzi nad zatoką L'Ancrese – wszystkie kolory nagle zniknęły z nieba, skały stały się czarne, morze białe, pomarszczone i migoczące, łódki rybackie czarne i nieruchome na wodzie, takie malutkie na tle bezmiaru morza. Poczułam nagle przyływ melancholii, którego nie potrafiłam wyjaśnić. Starłam się o tym opowiedzieć Eugene'owi, ale dla niego brzmiało to bezsensownie – z pewnością ten stan było mu obcy. Miałam poczucie oddalenia, wkrótce stało się to czymś normalnym. To, że inaczej widzimy ten świat, on i ja. Ale teraz, gdy go nie ma, źle mi, kiedy o tym myślę, o tym, na jak wiele sposobów byliśmy razem nieszczęśliwi.

Na niebie nagle rozsypują się ptaki; wzdrygam się, serce podchodzi mi do gardła. Na drobiazgi reaguję jak na coś brutalnego. I w tym momencie podejmuję decyzję. Mam jasność, jestem pewna. Jutro wyjedziemy. Blanche ma rację. Nie możemy tak po prostu tu siedzieć i czekać. Przerazone trzaskiem gałązki czy zerwaniem się do lotu spłoszonych ptaków. Nie możemy.

Idę do szopy i wyciągam rower. Pedaluję pod górę na plebanię, by wpisać nasze imiona na listę.

Rozdział 3

ZANOSZĘ EVELYN DO ŁÓŻKA grzanek i herbatę, grzanka jest przekrojona na identyczne trójkąty, tak jak ona lubi. Evelyn siedzi i czeka, ma na sobie lizeskę z jedwabiu w kolorze herbacianej róży, którą od lat zakłada co rano, jej plecy są proste jak łodyga tulipana. Twarz ma głęboko poorly zmarszczkami i tak białą jak szydełkowe wykończenie poszewki na poduszkę. Otwarta Biblia leży na stoliku przy łóżku, obok kominiarki, którą na drutach robi dla wojska. Ciągłe coś robi na drutach. Towarzyszy jej przywiewający, nostalgiczny zapach wody kolońskiej.

Czekam, aż wypije kilka łyków herbaty.

– Evelyn, podjęłam decyzję. Zamierzam wyjechać z dziewczynkami.

Evelyn nic nie mówi, tylko mi się przygląda. Widzę niezrozumienie malujące się w jej złociście piwnych oczach. Jakby to było dla niej coś całkiem nowego – choć omawialiśmy to tak wiele razy.

– Zabieram cię do Les Ruettes. Zamieszkaś z Frankiem i Angie. Angie będzie się tobą opiekować, kiedy ja i dziewczynki wyjedziemy...

– Angie le Brocq wychodzi na dwór z wałkami we włosach – mówi Evelyn.

Głos ma stanowczy, jakby dezaprobata wobec zachowania Angie pozwalała jej znaleźć coś pewnego w tym zmieniającym się świecie, coś, czego może się uczyć.

– Tak, zdarza jej się – odpowiadam. – Ale Angie ma dobre serce. Sumiennie będzie się tobą zajmować. Zabiorę cię tam po śniadaniu, gdy tylko spakuję twoje rzeczy.

Czasami sama słyszę, że zwracam się do niej, jakby była dzieckiem. Tak starannie wszystko tłumaczę.

Evelyn wygląda na wstrząśniętą.

– Nie. Nie po śniadaniu, Vivienne. – Jakbym powiedziała coś z lekka nieprzyzwoitego.

– Tak, to musi być zaraz po śniadaniu – tłumaczę jej. – Jak tylko spakuję twoją torbę. Potem dziewczynki i ja udamy się do miasta żeby wsiąść na statek.

– Ależ Vivienne – to zdecydowanie za wcześnie. Jest jedna czy dwie sprawy, które naprawdę muszę załatwić. Przeniosę się w przyszłym tygodniu, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Przepełnia mnie szaleńcza energia; tak trudno okazywać cierpliwość. Teraz, kiedy podjęłam decyzję, zaczynam panikować, że za późno dotrzemy do portu.

– Evelyn, jeśli mamy wyjechać, musi to być dzisiaj. Przysyłają tu statek z Weymouth. Ale potem może już nie być żadnego statku. Jest zbyt niebezpiecznie.

– Niezbyt to pomocne z ich strony, prawda? Tak nas wszystkich poganiać? W ogóle się z nami nie liczą, Vivienne.

– Żołnierze odpłynęli – informuję ją. – Nie ma nikogo, kto by nas bronił... Nie kończę zdania: *a Niemcy mogą wkroczyć w każdej chwili.*

– Och – mówi Evelyn. – Och. – A potem jej twarz nagle się rozjaśnia, przybiera wyraz kogoś, kto znalazł rozwiązanie, i moja teściowa dodaje: – Eugene powinien tu być.

– Eugene wyjechał na wojnę, pamiętasz? – mówię to najłagodniej, jak potrafię. – Pojechał dołączyć do wojska. Jest bardzo dzielny.

Potrząsa głową.

– Żałuję, że go tu nie ma. Eugene wiedziałby, co robić.

W geście pocieszenia, który jest pusty i całkiem daremny – bo czymże ją mogę pocieszyć, kiedy uwielbiany przez nią syn wyjechał – kładę jej rękę na nadgarstku.

PRZYGOTOWUJĘ DZIEWCZYNKOM GRZANKI na śniadanie. Rozglądam się naokoło, świadoma wszystkich drobiazgów w swojej kuchni – ściereczek do naczyń suszących się przed piecem, słoików z rodzynkami i mąką. Na ścianie wisi rycina Margaret Tarrant, prezent na chrzest dla Blanche od Evelyn – dzieciątko Jezus w żłóbku z aniołami dokoła. Obrazek jest trochę sentymentalny, ale go lubię ze względu na spokojną rewerencję aniołów oraz cudownie delikatny kolor ich długich grawerowanych skrzydeł, które mają taki sam przydymiony odcień błękitu co kwiaty rozmarynu. Zastanawiam się, czy jeszcze kiedyś zobaczę te rzeczy – a jeśli tak, to jakie będzie nasze życie w tej nieodgadnionej przyszłości. Odmawiam szybką modlitwę do aniołów.

Dziewczynki schodzą do kuchni zaspane, pachną ciepłą pościelą, przecierają oczy. Alphonse przysuwa się do Millie i krąży wokół niej z bliska. Millie schyla się, by go pogłaskać, poranne słońce pada na jej ciemne jedwabiste włosy, ukazując, ile w nich rudości.

– Dobrze, dziewczynki. Wyjeżdżamy – mówię im. – Złapiemy dziś statek. Zabierze nas do Weymouth, a stamtąd pojedziemy pociągiem do Londynu.

Buzia Blanche wygląda tak, jakby ktoś od środka zapalił w niej światło.

– Tak. – W jej głosie słycać podniecenie. – Ale mogłaś się wcześniej zdecydować, mamó, to zdążyłabym umyć włosy.

– Będziecie musiały szybko się spakować – mówię. – Gdy tylko skończycie śniadanie. Będą wam potrzebne bielizna i szczoteczki do zębów, i wszystkie ubrania, jakie dacie radę tu zmieścić.

Wyciągnęłam torbę podróżną dla Milli, a dla Blanche małą skórzaną walizkę, która należała do Eugene’a. Blanche spogląda na walizkę przerażona.

– Mamó, żartujesz.

– Nie, nie żartuję.

– Ale jakim cudem mogłabym wszystko do tego zmieścić?

Dla Blanche Londyn to prestiż i splendor – wiem o tym. Kiedyś, jak miała sześć lat, cztery lata przed urodzeniem Millie, pojechaliśmy tam na wakacje i zatrzymaliśmy się u Iris. Od tamtych wakacji Londyn był dla niej ziemią obiecaną, marzeniem o tym, jakie powinno być życie. Kiedyś było to marzenie o Trafalgar Square z oszałamiającymi fontannami i gołębiami, o twierdzy Tower, o oglądaniu szympanсів podczas herbatki w londyńskim zoo. Ale teraz, kiedy jest już prawie kobietą, jest to marzenie o mężczyznach w mundurach – stanowczych, o kwadratowej szczęce, władczych – i o herbatce w herbaciarni Dorchester pod błyszczącym żyrandolem, marzenie o ciastkach i flircie, może przy akompaniamencie swingowego zespołu grającego *Anything Goes*. Chce zabrać wszystkie najlepsze rzeczy, nylony, koralową taftową sukienkę, swoją pierwszą parę butów na obcasach, które kupiłam jej na czternaste urodziny, tuż przed zakończeniem szkoły. Rozumiem, ale czuję lekkie zniecierpliwienie jej zachowaniem.

– Będziesz musiała, Blanche. Przykro mi. Na statku nie będzie dużo miejsca. Po prostu spakuj tyle ubrań, ile dasz radę. I będziecie musiały założyć zimowe płaszcze.

– Ale mamó, jest upał.

– Po prostu postaraj się – mówię. – I, Blanche, kiedy skończysz, możesz pomóc Millie.

– Nie, nie może. Sama sobie poradzę – stwierdza Millie.

Wypiła właśnie poranne mleko z kubka i ma białą obwódkę wokół ust. Leniwie wgryza się w swoją grzanekę z miodem.

– Oczywiście, że sobie poradzisz, kochanie. Jesteś już dużą dziewczynką – mówię jej. – Ale Blanche ci pomoże. Zróbcie to najszybciej, jak możecie, obydwie. Jeśli mamy wyjechać, musi to być dzisiaj...

Przez chwilę im się przyglądam, kipiącej entuzjazmem Blanche, troszkę otumanionej od snu Millie. Doszliśmy do chwili, której się obawiałam.

– Ale jest jedna bardzo smutna sprawa – zaczynam. – Będziemy musiały zabrać Alphonse’a do weterynarza.

Nagle Millie robi się czujna, cała senność się z niej ulatnia. Oczy jej nabierają surowego wyrazu. Rzuca mi nieufne, podejrzliwe spojrzenie.

– Ale jemu nic nie jest – mówi.

– Obawiam się, że trzeba go będzie uśpić.

– Jak to uśpić? – pyta Millie. W jej głosie wyczuwa się groźbę.

– Musimy go oddać do uśpienia – odpowiadam.

– Wcale nie musimy – odpiera. Jej twarz płonie gniewem.

– Alphonse nie może jechać z nami. I nie możemy go tak po prostu tu zostawić.

– Nie. Jesteś morderczynią, mamusiu. Nienawidzę cię.

– Nie możemy go zabrać, Millie. Nie możemy zabrać kota na statek. Wszyscy zawożą swoje koty i psy do weterynarza. Wszyscy. Pani Fitzpatrick z kościoła zabrała tam wczoraj swojego teriera. Powiedziała mi. Było to okropnie smutne, mówiła, ale trzeba to było zrobić.

– Więc oni wszyscy są mordercami – odpowiada Millie. Jej mała twarzyczka pociemniała jak chmura burzowa. Oczy jej błyszczą. Chwyta Alphonse’a w ramiona. Kot się wyrywa.

– Millie. On nie może z nami jechać.

– No to mógłby zamieszkać z kimś innym, mamusiu. To nie jego wina. On nie chce umierać. Nie pozwolę mu. Alphonse nie prosił się o to, by się teraz urodzić. Ta wojna jest głupia – stwierdza.

I nagle rzeczywiście nie da się tego zrobić. Wzdycham tak głęboko, że brakuje mi tchu. Nie mogę znieść tego, że tak ją dręcę.

– Słuchaj, porozmawiam z panią le Brocq – mówię znużona, pokonana. I czuję się tak, jakby pokój odetchnął na moje słowa. Ale wiem, co powiedziałaaby Evelyn – to samo, co tak często wcześniej powtarzała: Jesteś za łagodna dla tych dziewczyn, Vivienne. – Zobaczę, co da się zrobić – mówię do nich. – A wy tylko spakujcie się i bądźcie gotowe do drogi.

Rozdział 4

Idę z Evelyn do domu Angie jedną z tych wąskich drózek, które biegną przez całą długość i szerokość Guernsay; ich płatanina prawie nie zmieniła się od średniowiecza. Wysokie mokre wały żywopłotów napierają z obu stron na drogę; rosną tam czerwona waleriana i lnica polna, i smukłe eleganckie naparstnice z cieniutkimi płatkami w kolorze spranego fioletu, jakby za długo moczo no je w wodzie. W koszyku mam Alphonse'a i torbę z ubraniami Evelyn.

Podejście pod górę wyczerpuje Evelyn. Zatrzymujemy się na zakręcie, gdzie jest kamienne poidło dla bydła, sadzam ją na chwilę na jego brzegu, by złapała oddech. Słońce pada przez liście na powierzchnię wody, malując na niej wzory, które ukrywają wszystko, co znajduje się w głębi.

– Vivienne, czy jeszcze daleko? – pyta mnie tak, jak mogłoby zapytać dziecko.

– Nie. Już niedaleko.

Dochodzimy do kępy ciemnych drzew, skręcamy w drogę gruntową do Les Ruettes. To masywny pobielony wiejski dom, który stoi tu od setek lat. Przy drzwiach rośnie czarny bez – mieszkańcy wyspy sadzili kiedyś czarny bez jako ochronę przed złem, inaczej wiedźma mogła wlecieć do młeczarni i masło mogło się nie udać. Za domem znajdują się szklarnie, w których Frank le Brock hoduje swoje pomidory. Kurczaki grzebią w ziemi; entuzjastycznie gdaczą coś na nasz temat. Na widok i zapach kurcząt Alphonse'a ogarnia szaleństwo, zaczyna się wiercić i miauczeć w swoim koszyku. Stukam do drzwi.

Otwiera Angie. Ma chustkę na wałkach, papierosa w ręce. Widzi nas obie i w jej oczach pojawia się błysk zrozumienia. Od serdecznego i szerokiego uśmiechu łagodnieją rysy jej twarzy.

– To tak. Zdecydowałam się, Vivienne.

– Tak.

Jestem taka wdzięczna Angie, że znowu mi pomaga. Zawsze była dla mnie taka dobra – robi dla mnie dżem, ozdabia sukienki Millie, lukruje tort bożonarodzeniowy – i wiem, że serdecznie przyjmie Evelyn. Ma takie

wielkie serce.

Wyciąga rękę do Evelyn.

– W takim razie proszę wejść, pani de la Mare – mówi. – Obiecuję, że dobrze się panią zaopiekujemy.

Prowadzi Evelyn do ławy przy dużym, otwartym palenisku. Evelyn przysiada na skraju siedziska – niepewnie, jakby się bała, że nie utrzyma ono całego jej ciężaru, i precyzyjnie składa dłonie.

– Nie wiem, jak ci dziękować, Angie – mówię.

Angie lekko potrząsa głową.

– Przynajmniej tyle mogę zrobić. I nigdy nie wątp w to, że postępujesz słusznie, Vivienne. Masz przecież dwie młodziutkie córki, nie wiadomo, co mogłoby się zdarzyć. – Potem, zniżając głos, dodaje: – Kiedy oni przyjdą.

– To prawda. Cóż...

Angie nachyla się bliżej, by coś do mnie szepnąć. Skórę ma zgrubiałą od słońca i brązową jak dojrzewający orzech. Na policzku czuję jej ciepły, pachnący nikotyną oddech.

– Słyszałam takie straszne rzeczy – mówi. – Słyszałam, że oni torturują dziewczynki. Gwałcą je i torturują.

– Boże – mówię.

Przechodzi mnie dreszcz grozy. Ale mówię sobie, że to prawdopodobnie tylko takie gadanie. Angie we wszystko uwierzy. Lubi opowiadać o czarach, duchach, klątwach. Twierdzi, że włosy będą szybciej rosły, jeśli zetnie się je, kiedy przybywa księżyc, że mewy gromadzące się przy domu żeglarza mogą zwiastować śmierć. A zresztą, zadaję sobie pytanie – jak takie okrucieństwa mogłyby wydarzyć się tutaj, pośród przyjaźnie grzebiących w ziemi kurczaków, zapachu dojrzewających pomidorów, letniego wiatru pieszczącego liście? Nie da się sobie tego wyobrazić.

Niewykluczone, że Angie dostrzega powątpiewanie w moich oczach.

– Zaufaj mi, Vivienne. Masz rację, że chcesz zabrać stąd swoje córki. Ma rację, prawda, Frank?

Odwracam się. Frank, jej mąż, stoi w drzwiach do korytarza na wpół ubrany, rozpięta koszula zwisa luźno. Widzę rdzawą plamę włosów na jego piersi. Nigdy nie mam pewności, czy go lubię, czy nie. Jest dużym mężczyzną i lubi wypić. Czasem Angie ma podbite oczy i zastanawiam się, czy to przez jego pięści.

Przytakuje w odpowiedzi na jej pytanie.

– Zaledwie wczoraj wieczorem o tym mówiliśmy – stwierdza. –

Że powinnaś uważać na swoje dziewczyny, jeśli zdecydujesz się zostać. Miej oko na tę twoją Blanche. Wygląda już dość kobieco. Nie chcę myśleć, co mogłoby się stać, gdyby nadal tu była, jak oni nadejdą.

Patrzył na Blanche, zwrócił na nią uwagę, zauważył, jak zmienia się jej ciało. To mi się nie podoba.

– Miałabym zmartwienie – mówię wymijająco.

Frank wchodzi do kuchni, zapinając koszulę.

– Vivienne, słuchaj, tak się zastanawiałem. Jeśliby to pomogło, mógłbym was podrzucić na statek.

Natychmiast ogarnia mnie poczucie wdzięczności za jego dobroć. Wstyd mi za moje nieurzejme myśli.

– Bardzo dziękuję, bardzo by nam to pomogło – odpowiadam.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Frank wkłada koszulę w spodnie. Dochodzi od niego słaby kwaśny zapach potu.

– Jest jeszcze jedna rzecz... – zaczynam i przerywam. Wstyd mi, że proszę o coś więcej. Już i tak dużo dla mnie robią. – Zastanawiałam się, czy moglibyście się zająć Alphonse'em? Powinam go uśpić, ale Millie była zrozpaczona.

– Pocziwa malutka. Oczywiście, że byłaby zrozpaczona – mówi Angie. – Oczywiście, przygarniemy biednego Alphonse'a. Evelyn będzie miała towarzystwo, kiedy cała jej rodzina wyjedzie.

– Dziękci ci z całego serca. Jesteś aniołem, Angie. Cóż, lepiej już pójdę...

Podchodzę, by ucałować Evelyn.

– Uważaj na siebie – mówię.

– I ty też, Vivienne – odpowiada dość oficjalnie. Siedzi tam tak sztywno, jakby musiała się koncentrować, bo inaczej by się rozpadła. – Ucałuj ode mnie dziewczynki. – Jakby się z nimi nie pożegnała tuż przed wyjściem. Jakby już od kilku tygodni ich nie widziała.

Klepię ją po dłoni, ponownie dziękuję Angie i szybko schodzę w dół. Nie mogę przestać myśleć o tym, co powiedziała, o tym, co mogliby zrobić Niemcy. Powtarzam sobie, że się myli – że to jedynie sprośna opowieść. Podczas wielkiej wojny słyszeliśmy, że Niemcy odcinali niemowlętom dłonie, ale okazało się to jedynie koszmarną plotką.

Jednak te obrazy utkwily w mojej głowie i nie mogę się ich pozbyć.

Rozdział 5

NA ULICACH ST. PETER PORT jest cicho. Niektóre sklepy zostały zabite deskami, wszędzie leży sporo śmieci, które przemieszczają się lekko w małych powietrznych wirach. Niebo zaciągnęło się chmurami, więc ma zamazany, zasnuty wygląd, jak szyba wymagająca czyszczenia. Dzień jest szary, brudny, raczej przygnębiający.

Frank wysadza nas przy porcie, życząc nam szczęścia.

Od razu zauważamy, dlaczego ulice były puste – wszyscy są tutaj. Stoi już bardzo długa kolejka milczących, zdenerwowanych mieszkańców wyspy, wijąca się od mola wzdłuż całej esplanady. Podchodzimy do biurka ustawionego na chodniku. Jakaś siedząca za nim podenerwowana kobieta odhacza nasze imiona na liście. Ma różowe plamy na twarzy i rozczochrane włosy, które niezbyt przytomnie ciągle odgarnia sobie z oczu.

Dołączamy do kolejki. Ludzie pocą się w wełnianych płaszczach, zbyt nieporęcznych, by je pakować. Wyciągają chustki i ocierają wilgoć ze skóry. W ten parny letni dzień zimowe kolory płaszczy wyglądają ponuro, prawie pogrzebowo. Niektórzy nie mają walizek i popakowali swój dobytek w porządnie owinięte szarym papierem paczki. Przyjeżdża autobus i po schodkach na chodnik wylewają się dzieci. Większość ma tabliczki starannie przypięte do płaszczy. W ich oczach maluje się zagubienie i oszołomienie. Starsze dzieci, czując ciężką odpowiedzialność, nadgorliwie pilnują młodszego rodzeństwa, chwytając je za kołnierz płaszcza lub mankiet rękawa.

Millie gapi się na te dzieci. Marszczy brwi. Bardzo mocno trzyma mnie za rękę.

Blanche pod zimowym płaszczem ma na sobie koralową sukienkę z tafty. Rozpina płaszcz i przejeżdża ręką po spódnicy, starając się wygładzić zagniecenia na błyszczącym materiale.

– Och nie, mamó – mówi nagle.

Po jej głosie słysząc, że stał się dramat; serce mi wali tak, że boli mnie klatka piersiowa.

– O co chodzi? – pytam ostro.

– Wydaje mi się, że zapomniałam wazeliny. Cała skóra mi spierzchnie. Jestem na nią trochę zła, że tak mnie przestraszyła.

– To bez znaczenia – mówię. – Każdy z nas z pewnością czegoś zapomniał.

– To ma znaczenie, mamo. Ma.

Stoimy tam chyba bardzo długo. Kolejka jest zdyscyplinowana, przygaszona. Nikt za dużo nie mówi. Nad nami na pustym niebie krzyczą mewy, a na kotwicach stoi wiele łodzi; słysząc, jak woda nerwowo uderza i chlapie o ich kadłuby. Słońce na chwilę wychodzi zza chmury, rzuca na wszystko światło, potem szybko znów je zabiera; w tych miejscach, których nie oświetla słońce, morze wygląda na czarne i niewyobrażalnie zimne. Nie widzę statku, który zabierze nas do Weymouth – musi cumować poza zasięgiem wzroku. Jedyne stateczek przycumowany do tej części mola jest całkiem mały, niewiele większy od łodzi, jakich używają rybacy. Przywiązano go w miejscu, w którym kamienne schody prowadzą w dół z mola do wody. Zastanawiam się odruchowo, do kogo może należeć.

Schodzi się coraz więcej ludzi, z płaszczami, walizkami, paczkami napęczniałymi od cennych rzeczy; ze strachem, który niczym pot wydaje się przesączać przez pory ich skóry.

– Czy u cioci Iris będę miała własny pokój? – pyta mnie Blanche.

– Nie, kochanie. Będzie tłok. Prawdopodobnie będziesz musiała spać w sypialni na tyłach razem z chłopakami.

– Och – mówi Blanche, zastanawiając się nad implikacjami. Nie na to liczyła. – Cóż, nie szkodzi. Właściwie wspólny pokój może być całkiem zabawny.

– Jak wygląda Londyn? – pyta Millie.

– Będziesz zachwycona – odpowiada Blanche. Rozkoszuje się tym pytaniem, jest ekspertem od Londynu. – Kobiety noszą piękne ubrania, a pociągi jeżdżą pod ziemią i jest park z pelikanami...

Rozumiem tęsknotę Blanche za Londynem. Też czasem za nim tęsknię, nawet po tych wszystkich latach spędzonych gdzie indziej. Pamiętam to poczucie, ile ma się możliwości – świat jest bardziej wolny, bardziej rozległy, bardziej otwarty niż ta wyspa. Przez chwilę podzielałam jej entuzjazm, pozwalając sobie na isierkę nadziei – że mimo wojny może z tego wyniknąć coś dobrego. Jakiś nowy rodzaj wolności.

– Możemy pójść i zobaczyć pałac Buckingham? – pyta Millie.

Ma układankę z pałacem Buckingham, którą Evelyn dała jej na Boże

Narodzenie.

– Jestem pewna, że tak – odpowiadam.

Z ulgą zauważam, że kolejka zaczyna przesuwać się do przodu. Potem widzę, że ludzie stojący na przodzie ruszają po schodach w dół z mola i po trapie przechodzą na stateczek. Na ten mały stateczek. To niemożliwe. Chyba nie spodziewają się, że czymś takim przepłyniemy całą drogę do Anglii.

– Co się dzieje, mamó? – dopytuje się natarczywie Blanche. Usłyszała, jak szybko wciągnęłam powietrze.

– Nic takiego, kochanie.

Podąża za moim wzrokiem.

– To nie jest bardzo duży statek, mamó – mówi trochę niepewnie.

– Nie jest. Ale na pewno wszystko będzie dobrze. Na pewno wiedzą, co robią.

Blanche słyszy niepokój w moim głosie. Rzuca mi pytające spojrzenie.

Kolejka przesuwa się powoli do przodu, w milczeniu.

Przede mną stoi jakaś masywna kobieta w średnim wieku. Na szyi ma futro z lisa ze szklanym okiem, drapieźnym pyskiem, puszystym, rdzawym zwieszającym się w dół ogonem. Millie jest zaintrygowana, wpatruje się w tego lisa. Wokół kobiety unosi się zapach naftaliny. Obok niej stoi mąż, sprawiający wrażenie dosyć biernego i zastraszonego. Widać, że to ona podejmuje decyzje.

– Przepraszam, że panią niepokoję – odzywam się do niej.

Odwraca się i lekko, z aprobatą uśmiecha się na widok moich dzieci.

– Tak się tylko zastanawiałam – czy to jest ten statek?

– Cóż, na to wygląda – odpowiada.

Nie ma wątpliwości, że troszczy się o swój wygląd; wyskubała sobie brwi, a potem starannie narysowała je kredką, twarz ma bardzo upudrowaną. Kapelusz umocowała przypominającą bratek srebrną szpilką.

– W życiu nie uda nam się wszystkim tam zmieścić – mówię. – Powinni byli wysłać coś większego. Nie zdawali sobie sprawy z tego, ile nas będzie?

Kobieta wzrusza ramionami.

– Szczerze mówiąc – i proszę wybaczyć moje słownictwo – uważam, że w Anglii mają nas gdzieś – odpowiada.

– Ale... można by się spodziewać, że wyślą jakichś żołnierzy. Chodzi mi o to, że nie mamy żadnej ochrony. W czasie tej podróży wszystko się może przydarzyć.

– Spójrzmy prawdzie w oczy, nas można poświęcić – mówi kobieta. – Spisali nas na straty. Cóż, sądzę, że pan Churchill ma niezmiernie dużo spraw na głowie.

Jest sardoniczna, zrezygnowana. Żałuję, że ja tak nie potrafię – może to dobry sposób: nie oczekiwać zbyt wiele, nie walczyć z tym, co się dzieje. Ale ona nie ma z sobą dzieci.

Kobieta wyciąga szpilkę i wachluje się kapeluszem. Pot wyłobił cienkie rowki w pudrze na jej twarzy. Z powrotem odwraca się do męża.

Ogarnia mnie panika. Wszystko wydaje się tak niemożliwie kruche, tak podatne na katastrofę – ciała moich dzieci, ten lichy stateczek. Muszę chronić moje dzieci, muszę sprawić, by były bezpieczne. Ale nie wiem, jak to zrobić. Myślę o stateczku wypełnionym po brzegi tymi wszystkimi ludźmi, sunącym po szerokim morzu, o całym tym bezmiarze lśniącej wody między nami a Weymouth; o mrocznym, tajemniczym zagrożeniu czającym się w głębi morza.

Prawie nie zdaję sobie sprawy z momentu podjęcia decyzji, jakbym ją realizowała, zanim o niej pomyślę. Przyłapuję się na tym, że wyciągam Millie z kolejki i rzucam torby na ziemię koło niej.

– Stój tu – mówię jej.

Następnie chwytam Blanche za ramię.

– Mamo. Co ty wyprawiasz?

– Wracamy do domu.

– Mamo. – Głos jej się łamie z przerażenia. – Stracimy miejsce w kolejce.

– Wracamy do domu – powtarzam.

– Ale, mamo... mówiłaś, że musimy odjechać teraz albo nie będziemy mogły w ogóle odjechać. – Oczy ma szeroko rozwarte, przestraszone.

Millie próbuje podnieść swoją torbę podróżną, ale trzyma ją tylko za jedną rączkę. Torba się otwiera i ze środka wypadają wszystkie jej rzeczy: majtki i ciepłe koszulki, piżama w szerokie paski, ukochana szmaciana lalka – cały jej dobytek, intymny, w cukierkowych kolorach wylewa się na brudne kamienie mola. Millie zaczyna płakać, cała dygocze od głośnych szlochów. Jest przestraszona i zła, i wstydzi się, że tak rozsypała swoje rzeczy.

– Zamknij się, Millie. Ale z ciebie beksa – mówi Blanche.

Oburzona Millie szlocha jeszcze głośniej. Zaczyna padać lekka zimna mżawka.

Zbieram rzeczy i staram się otrzepać je z brudu. Wszyscy na nas patrzą.

– Mamo, nie możesz tego zrobić – syczy Blanche pełnym napięcia

szeptem. Czuje się rozdarta – rozpaczliwie chce zmusić mnie, żebym posłuchała, ale udział w takiej publicznej scenie przepełnia ją zażenowaniem. – Musimy dostać się do Anglii.

– Stateczek jest za mały. To niebezpieczne – mówię.

Pada coraz bardziej. Deszcz moczy mi włosy, spływa po przedziałku, spływa po twarzy jak łzy.

– Ale nic już nie jest bezpieczne – mówi Blanche.

Nie mam na to odpowiedzi.

– A ja chcę jechać. Chcę jechać do Londynu. – Jej głos robi się piskliwy. – Powiedziałaś, że pojedziemy. Powiedziałaś.

Staram się pozbierać rzeczy Millie.

– Blanche, na miłość boską, dorośnij. Nie chodzi tylko o ciebie. Może być choć raz pomyślała o innych?

Wypowiadam te słowa i natychmiast zaczynam tego żałować. Nie powinnam jej była tak zbesztać. Miała marzenie, które jej odebrałam: wiem, że jest zła, że się boi. Ale słowa zawisły między nami, ostre jak noże, i nie mogę ich cofnąć.

Prostuję się, kładę jej dłoń na ramieniu. Blanche strząsa moją dłoń i odsuwa się trochę na bok, jakby nie miała z nami nic wspólnego. Jej twarz przypomina maskę z papier-mâché – taką nieruchomą, białą, która chyba zaraz się rozplynie.

Przeprowadzam córki wzdłuż kolejki. Nie wiem, jak dostać się do domu, nie przemyślałam tego, nie wybiegałam myślami poza tę chwilę – po prostu chciałam odwrócić się plecami do tego stateczku, tej podróży, tego zdradliwego falowania i lśnienia morza.

Idziemy wzdłuż esplanady, oddalając się od mola. Nie wiem, czy jakieś autobusy jeżdżą do St. Pierre du Bois. Może wszystkie zajęte są zwożeniem dzieci tutaj, do portu. Wiatr niesie w kierunku lądu mgłę i deszcz, więc nad wodą niewiele widać, horyzont się przybliża, zacieśnia. Będą mieli mokrą podróż po wzburzonym morzu.

A potem nagle robi mi się lżej na sercu, bo widzę pojazd, który rozpoznaję: to brat Angie, Jack Bisson, w swoim rozklekotanym vanie. Jack pracuje jako złota rączka. Tak jak Angie jest zaradny, potrafi wszystko naprawić – pęknięte rury, obluźowane dachówki, pomoc krowie, która ma problemy z ociepleniem się. Macham, a on zatrzymuje się koło nas i opuszcza szybę.

– Zamierzałyśmy odpłynąć, a potem postanowiłyśmy tego nie robić –

mówię.

– Ona postanowiła, że nie – mamrocze za mną Blanche. – Nie my. Ona.

Jack ma bystre czarne oczy jak wróbel i szeroki, ciepły uśmiech Angie. Omiata nas swoim ptasim spojrzeniem. Kiwa głową, przyjmując do wiadomości to, co powiedziałam.

– Panie Bisson, wiem, że proszę o bardzo wiele, ale czy przypadkiem nie jedzie pan w naszą stronę? Mógłby nas pan podzucić?

– Pewnie, że mógłbym, pani de la Mare. Wskakujcie – mówi do nas.

Wysadza nas na dróżce tuż nad Le Colombier.

Rozdział 6

POTRAFIĘ MYŚLEĆ TYLKO o tym, jak bardzo chcę być już w domu.

Dochodzimy do szerokiej bramy z pięcioma prętami, która otwiera się na nasze podwórko. Nie jest zamknięta. Musiałam ją tak zostawić – w pośpiechu przed wyjazdem musiałam nie zauważyć, że jej nie zamknęłam. Ale zaskoczona jestem takim brakiem ostrożności ze swojej strony.

Podchodzę do drzwi – są uchylone. Czuję, jak serce zaczyna mi się trzepotać w piersi.

– Co się stało, mamusiu? – pyta Millie.

– Nie jestem pewna. Wy dwie możecie tu poczekać przez chwilę – mówię im.

– Dlaczego? – pyta Blanche. – To nasz dom. I gdybyś nie zauważyła, mamo, to pada.

– Po prostu róbcie, co wam każę – stwierdzam.

Blanche się wzdryga.

Ostrożnie wchodzę do korytarza, potem do kuchni. Przenika mnie strach. Ktoś włamał się do naszego domu. Moja kuchnia jest w ruinie, drzwi od szafek pootwierane, ceramiczne pojemniki porozbijane, mąka i rodzyнки, i ciasteczka rozrzucone po całej podłodze.

– Hej?

Mój piskliwy głos odbija się echem.

Stoję cicho przez chwilę i nadśluchuję, czy nie będzie odgłosu biegnących kroków, serce mi wali. Ale w domu panuje pusta, krucha cisza. Tego kogoś, kto to zrobił, już nie ma. Wchodzę ostrożnie do salonu. Ktoś porozrzucił wszystkie moje cenne nuty, kartki papieru przypominają białe płatki z jakiegoś ogromnego kwitnącego drzewa, którym potrząsnął wiatr. Serwantka jest otwarta, zabrali część porcelany, z gzymsu nad kominkiem zniknęły psy ze Staffordshire i kieliszki na jajka.

Dziewczynki wchodzą ostrożnie do domu, żeby mnie znaleźć.

– Nie. – Głos Blanche ciężki jest od łez. – Mówiłam ci, mamo. Źle zrobiłyśmy. Nie powinnyśmy były wracać – mówi.

– Niemcy to złodzieje – oznajmia Millie surowo. – Nienawidzę ich.

– To nie byli Niemcy – tłumaczę jej. – Niemców tu nie ma. – Ledwo udaje mi się nie dodać jeszcze. Połykam to słowo.

– To byli Niemcy – upiera się Millie. Dla niej to takie proste. – Są złodziejami. Zabrali nasze psy z porcelany. Nie powinni byli.

– Nie, kochanie. To musiał zrobić ktoś, kto mieszka w tej okolicy.

Coś chrupnęło, rozpadając się pod moimi stopami. Klękam i podnoszę odłamek porcelany. To z jednej z filiżanek w kwiaty, które przywiozłam aż z Londynu i zawsze trzymałam na najlepsze okazje, i podawałam tylko do niedzielnej herbatki, bo obawiałam się, że mogą się uszkodzić. Teraz widzę, że nie miałam racji. Powinnam była się nacieszyć filiżankami w kwiatki, kiedy mogłam to robić.

– Założę się, że to Bernie Dorey – oświadcza Blanche. – Czasem widywałam w okolicy jego i jego bandę. Był w szkole w tej samej klasie co ja, cała jego rodzina jest okropna. Często podprowadzał mi coś z tornistra i nigdy nie mył zębów.

– Nie wiemy, kto to był – mówię.

Ta myśl napawa mnie grozą – że ktoś czekał tylko, aż wyjedziemy, obserwował dom i knuł, i podjął ryzyko. Że szukał okazji, by wykorzystał dla siebie anarchię wojenną. I martwi mnie ta destruktywność, cała ta rozsypana mąka i zniszczenia, jakby była to dla nich tylko zabawa.

Blanche jest wściekła – wszystko potoczyło się inaczej, niż sobie wymarzyła.

– Widzisz, mamó? Miałam rację, powinnyśmy były wyjechać do Anglii. Mogłybyśmy już być na statku. Mogłyśmy już płynąć. – Oczy ma twarde jak niebieski krzemień. – Tu będzie paskudnie. Gorzej niż kiedykolwiek – mówi.

– Wszystko będzie z nami dobrze, kochanie – zapewniam. – To nie ma wielkiego znaczenia. Poradzimy sobie bez piešków z porcelany, a te srebrne kieliszki do jajek tak się ciężko czyściło. Przynajmniej nie zabrali naszych książek...

– To czemu masz taki smutny głos, mamusiu? – pyta Millie.

Nic nie odpowiadam.

Blanche zdiera z siebie zimowy płaszcz i rzuca go na krzesło. Spuszcza wzrok i wpatruje się w rąbek swojej taftowej sukienki, pomięty i pociemniały od wody deszczowej.

– Patrz. Wszystko zniszczone – mówi.

Jej oczy lśnią od łez.

– Blanche, z sukienką nic się nie stało. Powiesimy ją tak, by się nie mięła.

To tylko woda – pocieszam.

Ale wiem, że Blanche nie mówi tylko o sukience z tafty.

Idę na górę, żeby się rozejrzeć, zaglądam do sypialni córek i do pokoju Evelyn, i mojego. Nikt tu niczego nie ruszał; wygląda na to, że włamywacze nie dotarli tak daleko. Ale muszę mieć pewność. Le Colombier to duży, stary, pełen zakamarków dom, labirynt. Ci wszyscy ludzie, którzy tu mieszkali, przez lata coś do niego dobudowywali: są tam pokoje w amfiladzie, kręte korytarzyki, miejsca, w których można się schować. Przeszukuję każde z nich – otwieram wszystkie szafki, sprawdzam wszystkie tajemnice domu i ukryte przejścia. Wspinam się aż na poddasze, na to duże poddasze od frontu, które wykorzystujemy jako zapasową sypialnię, i na małe od tyłu, do którego prowadzą osobne schody. Wszystko jest tak jak być powinno. W końcu ponownie schodzę do dziewczynek i mówię, by poszły rozpakować torby.

Sprzątam bałagan, odłamki porcelany trzaskają mi pod nogami. Ogarnia mnie uczucie podobne do rozżalenia, i nie tylko z powodu zniszczonych czy utraconych rzeczy. Mam wrażenie, że teraz to nie jest nasz dom. Coś jest w nim nie tak, coś pachnie nie tak, w ten nieuchwytny sposób, charakterystyczny dla miejsca, w którym przebywał ktoś nieproszony. Wszystko się rozpada – pruje się cała skomplikowana osnowa i wątek spokojnego życia, jakie tu wiedliśmy. Jeszcze ich nie ma, ale już się zaczęło.

Rozdział 7

PRZYGOTOWUJĘ OBIAD Z JEDZENIA, którego włamywacze nie dotykali – bochenka chleba, który zapomniałam wyrzucić, i puszki peklowanej wołowiny.

Po jedzeniu idę do Les Ruettes, żeby przyprowadzić Evelyn z powrotem do domu. Millie idzie ze mną. Deszcz przestał padać i zaczyna się przecierać. Na niebie wciąż jeszcze są wielkie zwały chmur, które wyglądają równie realnie jak dalekie krajobrazy, ale teraz między nimi otwierają się to studnie, to pola błękitu. Żywopłoty są przemoczone, a powietrze ma intensywny piżmowo-pyłkowy zapach – dzikiego czosnku, mokrej ziemi, fiołków. Wdycham je z wdzięcznością.

Gdy zbliżamy się do drzwi Les Ruettes, zza szklarni skrada się Alphonse i zaczyna obchodzić Millie w kółko, wyginając się w łuk i dźwięcznie mrużąc.

Do drzwi podchodzi Frank le Brocq z papierosem w ustach. Ma na głowie swoją kraciastą, wełnianą czapkę z daszkiem; zdejmuje ją, gdy mnie widzi. W jego oczach przez moment miga rozbawienie.

– Strach panią obleciał? – pyta.

– Tak. Można by to tak ująć.

Jest w takim powrocie coś żenującego. Robi wrażenie tchórzostwa – nie racjonalnej decyzji, tylko bardziej braku odwagi.

Frank głęboko zaciąga się papierosem i, jak to ma w zwyczaju, mierzy mnie wzrokiem od góry do dołu, co wcale mi się za bardzo nie podoba.

– Ten wasz kot za nic nie chciał tu zostać – mówi mi. – Ciągle wracał do waszego domu. Koty już takie są, koty to stworzenia terytorialne. Trochę tak jak wy. – Uśmiecha się szeroko.

Millie podnosi Alphonse'a i obejmuje go ramionami.

– Tęskniłeś za mną? – pyta.

Kot, nie skąpiąc jej pieśczoł, ociera się o nią łebkiem.

– Patrz, mamusiu, patrz, on wie, co mówię. Naprawdę za mną tęsknił – mówi Millie.

Frank odsuwa się na bok i wchodzimy do kuchni. Angie zagniata ciasto na stole; wita nas uśmiechem. Evelyn siedzi na ławie, tam gdzie

ją zostawiłam, wyprostowana, na samym skraju siedziska.

– Vivienne. – Na twarzy Evelyn maluje się zakłopotanie, jakby jej życie zmieniło się w zasupłaną płataninę, której nie sposób rozwiązać. – Cóż, nie trwało to długo.

– Zmieniłyśmy zdanie – mówię. – Nie wsiadłyśmy na statek.

– Im mniej się o tym mówi, tym lepiej – stwierdza.

Czuję przyływ lekkiego niepokoju. Ostatnio Evelyn często wywołuje u mnie takie uczucie – to, co mówi, brzmi normalnie, ale jakoś nie do końca ma sens.

Zwracam się do Angie.

– Bardzo ci dziękuję.

– Nie martw się, Vivienne. Bardzo się cieszę, że mogłam pomóc... Miejmy nadzieję, że podjęłaś dobrą decyzję – dodaje z pewnym powątpiewaniem.

Należy jej się jakieś wyjaśnienie po tym wszystkim, co dla mnie zrobiła.

– Rzecz w tym, że to był taki mały stateczek. A droga jest taka długa...

Schodzimy powoli dróżką. Biorę Evelyn pod ramię, by jej pomóc. Jakiś ptak krzyczy tak, jakby ktoś szorował garnek, a wilgotne powietrze chłodzi nam skórę.

Millie próbuje nieść Alphonse'a, ale kot się wywija, zsuwa i czmycha przez pola, kierując się do Le Colombier. Millie wsuwa rączkę w moją dłoń.

– Cieszę się, że wróciłyśmy do domu – mówi, jej głos ocieka zadowoleniem. – Tak naprawdę to nie chciałam jechać. Tu jest przyjemnie, prawda, mamusiu?

– Tak, kochanie.

Ale kiedy to mówię, przechodzi mnie lekki dreszcz. Chmury nad nami się wycofują, przegrupowują, tworząc nowe kształty na niebie – nowe kraje, nowe wyspy.

Rozdział 8

W PIĄTEK JADĘ rowerem do miasta.

Ulice są puste, ponieważ tyle osób wyjechało, a niektóre sklepy zostały zabite deskami, ale poza tym St. Peter Port wydaje się takie samo jak zawsze – spokojne i uporządkowane w ciepłym czerwcowym słońcu. Jakby ewakuacyjna panika nigdy nie dotknęła tego miejsca. Kupuję kawałek jagnięciny na pieczeń i zaopatruję się w kawę, papierosy i herbatę. Takie luksusy może być trudniej kupić – kiedy oni przyjdą, kiedy to się stanie.

Dochodzę do sklepu z zegarkami i zegarami Martela, w którym przyjaciółka Blanche, Celeste, pracowała, odkąd odeszła ze szkoły. Zaglądam przez szybę, zastanawiając się, czy wyjechała, a ona mnie zauważyła i macha energicznie, jej lśniące ciemne loki podskakują. Cieszę się ze względu na Blanche, że jej przyjaciółka wciąż tu jest. Na Grand Pollet przechodzę obok sklepu muzycznego, który należał do Nathana Isaacs; to jeden z tych zamkniętych sklepów. Nathan wyjechał jakiś czas temu, zanim upadła Francja, twierdząc, że potrafi zorientować się w sytuacji. Mówił o tym tak lekko, ze smutnym uśmiechem na swojej mądrej, nieśmiałej twarzy. Tęsknię za nim. Zaprzyjaźniliśmy się przez ten sklep, do którego często chodzę kupować nuty. Nathan był dobrym muzykiem, skrzypkiem, i czasami grywałam z nim w duecie podczas niektórych wieczorków muzycznych w Acacia Villa, jego wysokim, eleganckim domu na wzgórzu.

Idę do biblioteki, wybieram nową książkę Elizabeth Goudge, a potem jadę do pasmanterii po więcej włóczki dla Evelyn. Nie zdołam już dostarczyć jej kominiarek i rękawiczek do wojska, ale przynajmniej robienie na drutach daje jej jakieś zajęcie. I wpadam do Bootsa na głównej ulicy, by kupić pierwszą szminkę dla Blanche – żeby dodać jej życiu odrobinę blasku, żeby ją jakoś pocieszyć, skoro odebrałam jej marzenie o Londynie.

Lubię drogerie. Powoli idę alejką, mijając eleganckie srebrne puderniczki, na które nigdy nie będzie mnie stać, przechodzę przez obłoki perfum – lawendowej wody i talku o zapachu fiołków, i całego bogatego przepychu Chanel nr 5.

Stoisko Yardleya znajduje się na samym końcu sklepu. Dalej teren opada stromo i przez wysokie, łukowate okna można patrzeć na rdzawe dachówki w dole i na port. Widać małe łódeczki podskakujące na wodzie i cały rozmigotany oślepiający błękit nieba i morza. Mewy zataczają kręgi i krzyczą w czystym powietrzu. Dzień dojrzewa już do wieczora, słoneczne światło staje się złote. Ciężarówki z pomidorami stoją zaparkowane szeregiem na molo – wciąż jeszcze są łódki, które mogą zabrać plony na stały ląd, choć nie sądzę, by taki stan rzeczy miał utrzymać się przez wiele dni. Bardzo wysoko nad portem na tle wspaniałego nieba dostrzegam dwie malutkie czarne plamki – dwa lecące samoloty, bardzo wysoko, bardzo daleko. Wyglądają na równie nieszkodliwe jak ptaki.

Przyglądam się szminkom Yardleya, nie wiedząc, który kolor wybrać – może różowawy, a może brzoskwiniowy. Nawet najprostszy wybór wydaje mi się teraz trudny po tym całym moim wahaniu, czy powinniśmy wyjechać, czy nie – jakbym z jakiegoś powodu utraciła wiarę w swoją zdolność do podejmowania decyzji. W końcu wybieram koralową, bo będzie pasowała do taftowej sukienki Blanche. Potem wracam znowu na główną ulicę; zostawiłam swój rower oparty o ścianę domu w dole.

– Vivienne. To naprawdę ty! – Czyjaś ciepła dłoń chwyta mnie za rękę. – Wołałam, ale się nie obejrzałaś. Wyglądałaś, jakbyś chodziła we śnie.

Odwracam się szybko. To Gwen.

Uśmiecha się, trochę triumfalnie, jakbym była jakimś jej osiągnięciem. Nie spuszcza spojrzenia z mojej twarzy – oczy ma orzechowe, żywe, błyszczące. Jest w sukience w groszki i jasnoczerwone malutkie kwiaty. Dobrze ją widzieć, mam ochotę ją objąć.

– Nie wiedziałam, czy wyjechałaś, czy nie – mówi. – To było takie nagłe, prawda? To, że trzeba było się zdecydować? – Upuszcza na chodnik ciężką torbę z zakupami, pociera obolałe ramię. – Więc zdecydowałaś się wytrzymać?

Przytakuję.

– Stchórzyłam w ostatnim momencie – mówię jej. – Trochę to tak naprawdę żalodne.

Znów kładzie mi dłoń na rękę.

– Jednak tak bardzo się cieszę, Vivienne – mówi mi. – Po prostu tak się cieszę, że wciąż tu jesteś.

Dobrze mi robi jej serdeczność.

– Słuchaj, spieszysz się? – pyta.

- Wcale.
- Napijemy się w takim razie herbaty?
- Z przyjemnością.

Mamy ulubioną herbaciarnię – pani du Berry na głównej ulicy. Wybieramy ten stolik, który zawsze zajmujemy – ten na końcu, z otwartym widokiem na port. Na stoliku leży świeżo wyprasowany, wykrochmalony obrus i stoją aksamitki w szklanym wazoniku; aksamitki lekko pachną pieprzem. Lokal jest prawie pusty, poza parą starszych ludzi, którzy rozmawiają powoli przyciszonym głosem, oraz jakąś kobietą o zmęczonych oczach i z dzieckiem w ramionach. Popijając herbatę, kobieta opiera policzek o główkę dziecka. Odczuwam nagły przypływ nostalgii, gdy przypominam sobie, jakie to uczucie, kiedy opiera się o ciebie dziecięca główka – jaka wydaje się delikatna w miejscu, w którym kości jeszcze się nie pozrastały, jaka jest ciepła i pachnąca, i słodka.

– Gwen, a jaką ty podjęłaś decyzję? – pytam.

– Ernie nie chciał jechać – odpowiada. Gwen i Ernie mieszkają na farmie Elm Tree w Torteval. Mają duży granitowy dom i sporo żyznej ziemi. – Nie po tych wszystkich latach pracy. Niech mnie diabli, jeśli pozwolę im to sobie odebrać – powiedział.

– Pogratulować.

Promienna twarz Gwen jakby się zachmurza. Odgarnia włosy. Daje się wyczuć jej niepokój.

– Jak można w ogóle mieć pewność, co jest słuszne? Skąd można to w ogóle wiedzieć? – pyta.

– Nie można. Też się zastanawiam. Może popełniłam straszny błąd...

– Johnnie oczywiście nie może znieść tego, że tu utknął i musi czekać bez końca. Biedny dzieciak. Po prostu nie może się pogodzić z tym, że jest za młody, by się zaciągnąć.

– Potrafię to sobie wyobrazić. Jak się z tym czuje.

Myślę o jej młodszym synu, Johnnie – jaki jest impulsywny, jak musi tęsknić za udziałem w walkach. Zawsze lubiłam Johnniego z tym jego entuzjazmem, burzą brązowych włosów, niespokojnymi, zręcznymi rękami. On i Blanche, gdy byli mali, często razem się bawili – robili babki z błota i zupę z kwiatów albo budowali norki w Blancs Bois – dopóki w wieku siedmiu lub ośmiu lat, jak to dzieci, nie poszli każde swoją drogą. Potem przez chwilę uczyłam go gry na fortepianie, choć często zapominał zabrać te nuty, co trzeba, i prawie wcale nie ćwiczył. Aż wreszcie odkrył u siebie

talent do ragtime'u, którego nigdy nie umiałam grać. Miał w sobie ten rytm i nie dało się go powstrzymać.

– Ale nie zamierzałam się zgodzić, by Johnnie pojechał do Anglii sam – ciągnie Gwen. – Nie po tym... no wiesz...

Nie kończy zdania. Jej oczy błyszczą od niewylanych łez; twarz na moment kurczy się w bólu. Brian, starszy syn Gwen, zginął pod Trondheim podczas kampanii norweskiej. Kiedy to się stało, czasami będąc z nią, wpadałam w panikę, bałam się przerw w naszej rozmowie, jakby to były skały, z których można spaść – bałam się wypowiedzieć jego imię. Kiedyś jej powiedziałam: *Tak bardzo boję się, że ci o tym przypomnę, nie chcę cię zasmucać...* A ona odrzekła: *Vivienne, przecież nie przypominasz mi o czymś, o czym zapomniałam. Przecież myślę o nim codziennie, w każdej chwili. Jedyne czas, kiedy o nim nie myślę, to wtedy, gdy twardo śpię – a potem co rano budzę się i muszę uczyć się tego od nowa. Więc dajmy temu spokój...*

– Chcę zatrzymać Johnniego blisko przy sobie – mówi teraz.

Kładę dłoń na jej nadgarstku.

– Oczywiście, że chcesz – mówię. – Oczywiście, że nie chciałybyś, by wyjechał.

Może mam szczęście, że jedno i drugie moje dziecko to dziewczyny. Kiedy byłam młodsza, wydawało mi się, że bardzo chciałabym też mieć syna; ale wojna wszystko zmienia. Nawet to, na co się ma nadzieję.

Pani du Barry przynosi nam herbatę. Pikowana osłonka na czajnik ma kształt domku ze strzechą, a dzbanuszek na mleko ma szydełkowe przykrycie, które trzyma się na miejscu dzięki koralikom. Na srebrnej paterze leżą ciastka – marcepanowy battenberg, kawałki ciasta śmietankowego, luksusowe czekoladowe eklerki. Biorę kawałek battenberga. Popijamy herbatę i jemy ciasto, i patrzymy, jak słońce opada coraz niżej i roztacza na morzu złotą poświatę.

Gwen wzdycha.

– Johnnie tak mnie martwi, że mógłby się w coś wplątać – mówi. – Od kiedy to się stało, jest trochę jak szalony. Nie, żeby naprawdę coś takiego zrobił, tylko że boję się, co mógłby zrobić...

– To się dopiero co stało – wtrącam.

– Uwielbiał swojego brata – stwierdza Gwen.

– Tak.

Pamiętam nabożeństwo żałobne – to, że Johnnie nie płakał, że stał

na baczność z twarzą białą jak wosk, cały sztywny, opanowany. Przypominał mi za mocno naciągniętą strunę wiolonczeli, która może nagle pęknąć. To mnie niepokoiło. Dobrze rozumiem, dlaczego Gwen się tak o niego martwi.

– Pragnie robić to samo co Brian – mówi Gwen. – Nosi jego wojskowy sweter. I ma pudło z jego rzeczami – lornetką, śrutówką, której używał przy polowaniu na króliki, i słynną kolekcję samochodzików Dinky, którą zachował z czasów, gdy był mały. To pudło to najcenniejszy skarb Johnniego. Trzyma je pod swoim łóżkiem.

Smutno mi z powodu Johnniego.

Przez chwilę milczymy. Robi się późno i pani du Barry wywiesza na drzwiach tabliczkę „Zamknięte”. Dłonie mam lepkie od marcepanu z ciasta battenberg i wycieram je chusteczką. Z wszystkich stron otacza nas pieprzowy zapach aksamitek.

A potem zadaję pytanie, które spędza mi sen z powiek – które jest jak jaskrawy neon, nie da się od niego uciec.

– Gwen. Co się stanie?

Gwen pochyla się lekko w moją stronę.

– Zlekceważą nas – mówi nazbyt pewnie. – Nie sądzisz? Jak w czasie Wielkiej Wojny.

– Naprawdę tak uważasz?

– Podczas Wielkiej Wojny nikt sobie nami nie zawracał głowy – dodaje Gwen.

– To prawda. Ale to było wtedy...

– No bo co my możemy zmienić? Jaki pożytek mógłby mieć Hitler z tych małych wysp? – W jej głosie słychać błagalną nutę; może stara się w takim samym stopniu przekonać siebie, co mnie. – Może o nas nie pomyśli. W każdym razie mam taką nadzieję. Trzeba mieć nadzieję, prawda?

Ale dłoń, w której trzyma filiżankę, drży lekko, więc herbata drga na całej swojej powierzchni.

Gwen odchrząkuje, jakby nagle zachrypła.

– A zresztą, Vivienne, opowiedz mi więcej o was – prosi. Przechodząc do bezpieczniejszych tematów.

– Blanche jest nieszczęśliwa – mówię jej. – Okropnie chciała jechać.

– Cóż, to oczywiste, że chciała – stwierdza Gwen. – Niewiele można tu znaleźć dla młodych ludzi, da się zrozumieć, że ciągnie ją do Londynu. A Millie?

- Jest taka dzielna, choć właściwie nic nie rozumie.
- Rozkoszny szkrab – uśmiecha się Gwen.
- A Evelyn – no cóż, obawiam się, że zaczyna tracić rozum. Przez połowę czasu chyba nie pamięta, że Eugene się zaciągnął... – Widzę cień, który na wspomnienie Eugene’a szybko przesuwa się po twarzy Gwen, a potem równie szybko znika. Żałuję, że jadłam to ciasto: od słodczy marcepanu lekko mnie mdli. – Czasem o niego pyta – ciągnę – jakby nadal był w domu.
- Biedna Vivienne. Twoja teściowa nigdy nie należała do najłatwiejszych ludzi – mówi Gwen ostrożnie. – Z pewnością masz ręce pełne roboty.

Rozdział 9

ZEGNAMY SIĘ. GWEN WYCHODZI, a ja idę do toalety. Zmywam marcepan z dłoni, przeciągam szczotką po włosach, wyciągam puderniczkę, by przypudrować twarz. Moje dłonie mają czysty, szczypiący zapach od karbolowego mydła pani du Barry. Potem wracam do stolika, aby zabrać kardigan, który tam zostawiłam.

Cała porcelana na stołach zaczyna gwałtownie grzechotać. Z zewnątrz słychać wycie. W pierwszej chwili nie mam pojęcia, co to, potem wydaje mi się, że to samolot – jednak ten dźwięk jest zbyt nagły, zbyt głośny, zbyt bliski na samolot. Dopada mnie strach: jeśli to samolot, to rozbije się w mieście. Wszyscy podbiegają do okien. Powietrze wydaje się zbyt rozrzedzone, trudno nim oddychać.

– Nie, nie, nie, nie – powtarza pani du Barry. Stoi blisko, chwytając mnie za ramię.

Widzimy trzy samoloty, które przelatują nad nami, pikują nad portem. Widzimy spadające bomby, które połyskują w słońcu, lecąc w dół. Wydają się spadać tak wolno. A potem huk uderzenia, wzbijający się kurz, płomień – wszystko się rozlatuje, wszystko się rozleciało, ogień strzela w górę, wybuch wyrzuca pojedyncze opony i beczki z ropą wysoko w powietrze. Słyszę brutalny szczęk karabinów. I myślę, głupio, że przynajmniej są tu jednak żołnierze, żołnierze nas nie opuścili. Potem uświadamiam sobie, że te karabiny, które słyszę, to niemieckie karabiny z samolotów. Ostrzeliwiają ludzi i ciężarówki z karabinów maszynowych. Rozlega się odgłos darcia, pojawia się rozbryzg ognia, gdy wybucha zbiornik paliwa. Ludzie na molo rozbiegają się, rozpraszają, padają jak przewrócone marionetki.

Ogarnia mnie strach. Cała się trzęsę, myślę o swoich dzieciach. Czy samoloty będą latać nad całą wyspą, czy zbombardują moje dzieci? A Gwen – gdzie jest Gwen? Ile miała czasu? Czy udało jej się uciec?

Stoję tam, dygocząc. Ktoś wciąga mnie pod stół. Wszyscy jesteśmy teraz pod stołami – ci starsi państwo, pani du Barry, matka ściskająca dziecko. Ktoś powtarza: O Boże, o Boże, o Boże. Słyszać trzask, gdy podmuch

włacza okno do wewnątrz, odłamki szkła spadają wszędzie wokół nas niebezpiecznym migoczącym gradem. Ktoś wrzeszczy – może to ja, nie wiem. Kulimy się tam, czekamy na koniec, na bombę, która z pewnością wyląduje na nas.

Nagle w ten cały zgiełk włączają się syreny przeciwlotnicze.

– Najwyższy czas – mruczy pani du Barry obok mnie. – Najwyższy cholerny czas. – Słyszę szloch w jej głosie. Wbija mi palce w rękę.

Starsza pani z trudem teraz oddycha, jakby nie mogła złapać powietrza, mąż tuli ją bezradnie jak ktoś czepiający się wody, jakby mogła wyślizgnąć się z jego uścisku. Młoda matka mocno przyciska dziecko do piersi. Odgłosy z portu atakują nas, huk i trzask spadających bomb, warkot i ryk silników samolotowych, okropny terkot karabinów. Rozpryskują się kolejne okna. To trwa i trwa, wydaje się, jakby trwało całe wieki, cała wieczność zgiełku, pękającego szkła i strachu.

A potem, w końcu, odgłos samolotów wydaje się słabnąć, oddalać. Przyłapuję się na tym, że odliczam, tak jak się robi podczas burzy, czekając na grzmot – spodziewam się, że zatoczą koło i wrócą, że spadnie więcej bomb. Ale nic się nie dzieje.

Wokół nas rozlewa się cisza. Nagle najśłabszy dźwięk staje się głośny. Słyszę plusk, z jakim rozlana herbata spływa ze stołu na podłogę: nic, tylko kap, kap herbaty i łomot krwi w uszach. W tej ciszy dziecko zaczyna płakać, jakby ta nagła cisza przerażała je bardziej niż tamten hałas.

Spuszczam wzrok i widzę, że kawałek szkła utkwił mi w dłoni. Wyciągam go. Krew zaczyna płynąć strumieniem. Nie czuję bólu.

Wyczołguję się spod stołu, zostawiając tam innych. Nic nie myślę, po prostu się przesuwam. Podnoszę się na nogi i wybiegam przez drzwi, potem pędzę w dół główną ulicą, pod łukiem, do krytych schodów, którymi idzie się na molo. Schody są ciemne i pachną rybami, stopy ślizgają mi się na mokrych kamieniach. Mam w głowie tylko jedną myśl – poszukać Gwen, sprawdzić, czy żyje.

U stóp schodów ponownie wychodzę na słońce, na esplanadę, która biegnie wzdłuż portu obok mola. Uderza mnie cała groza tego, co się stało. Wszystko przede mną się pali, nawet tutaj czuję ten żar, ale ogień wydaje się nierzeczywisty, jakby nie mógł mnie poparzyć. Wszędzie są ciała, leżą jakoś dziwnie, ramiona i nogi porozrzucane, jakby strącone z dużej wysokości. Wszystkie ciężarówki się palą. Po kamieniach spływają razem sok pomidorowy i krew, i wszędzie unosi się szary dym – dym z ognia i dym

z kurzu – i zapach spalenizny i krwi, i jakiś koszmarnie gęsty zapach czegoś zwęglonego, który wiem, że musi pochodzić od palących się ciał. Ciało jakiegoś mężczyzny wypadło z kabiny jego ciężarówki – okropne, połamane, poczerniałe. Słyszę krzyk i robi mi się zimno – jakby krzyczało zwierzę zaślepione cierpieniem, a nie człowiek. Przecieram oczy, które pieką, jakby widok ognia sprawiał im ból. Wszystko jest takie jaskrawe, zbyt jaskrawe – czerwień, płomień, krew, która płynie po kamieniach.

Rozglądam się w górę i w dół po esplanadzie, ale nie widzę Gwen, nie sądzę, aby Gwen mogła tu być. Modlę się, by wydostała się stąd na czas. Wchodzę na molo. Żar pali moją skórę, gdy przechodzę obok tłęcej się ciężarówki. Stopa ślizga mi się w kałuży krwi. Mam mgliste przekonanie, że może mogłabym pomóc – potrafię założyć szynę, porządny opatrunek, znam się trochę na pierwszej pomocy. Jednak kiedy tak myślę, wiem już, jakie to bezsensowne, jak bezużyteczne – wiem, że wszystko tu mnie kompletnie przerasta.

Dochodzę do mężczyzny, który leży na molo obok swojej ciężarówki. Twarz ma odwróconą, ale coś przyciąga mój wzrok – kraciasta wełniana czapka na ziemi obok niego. Ma to jakieś znaczenie, ale myśli mi się tak ciężko, tak wolno.

– O Boże – odzywam się głośno. – Frank. O Boże.

To Frank le Brocq.

Kłękam koło niego. Teraz widzę jego twarz. W pierwszej chwili wydaje mi się, że musi już nie żyć. Ale potem mruga powiekami. Tulę jego głowę w dłoniach.

– Frank. To ja, Vivienne. Frank, wszystko w porządku, jestem tu...

Ale wiem, że nie jest w porządku. Jedno tylko wiem na pewno, że nie może przeżyć z takimi ranami – ta krew, która sączy mu się z boku głowy, krew, która spływa z jego ust. Czuję ciężką, bierną bezradność, każdy gest, każde słowo wymaga maksymalnego wysiłku z mojej strony.

Frank stara się coś powiedzieć. Przykładam ucho do jego ust.

– Sukinsyny – szepcze. – Cholerne sukinsyny.

Kłęczę tam, tuląc go.

Staram się odmówić Modlitwę Pańską. Nic innego nie potrafię wymyślić. Usta mam zeszytywniałe i obawiam się, że nie będę pamiętała słów. Ale zanim dochodzę do potęgi i chwały, on już nie żyje. Mimo to nie przerywam. Na wieki wieków. Amen.

Wpatruje się we mnie pustymi oczami. Wyciągam rękę i zamykam

mu powieki. Potem po prostu klęczę koło niego. Nie wiem, co robić.

Pada na mnie jakiś cień; ktoś się nade mną pochyła. Spoglądam w górę – to strażak. Za nim widzę jedyny wóz strażacki, jaki przyjechał.

– Przepraszam – mówię. – Wiem, że jest pan okropnie zajęty, ale ten mężczyzna to mój przyjaciel, Frank le Brocq.

Twarz strażaka jest blada, ale opanowana. Spogląda w dół.

– Znam Franka – mówi.

– Chodzi o to, że on nie żyje, rozumie pan – ciągnę.

– Biedaczysko – mówi mężczyzna. – Znała go pani, czy tak? Znała pani Franka?

– Tak. – Mój głos jest dość pogodny i kruchy, i piskliwy. – Właściwie tak naprawdę znam lepiej jego żonę. Angie le Brocq. Zaledwie kilka dni temu byłam w Les Ruettes. Mieli wziąć do siebie moją teściową, gdybyśmy wsiadły na statek... Ale potem oczywiście nie wsiadłyśmy. – Słowa płyną strumieniem. Jakoś nie mogę przestać mówić.

Mężczyzna patrzy na mnie zaniepokojony. Kładzie mi rękę na ramieniu.

– Proszę pani, powinna pani iść do domu. Powinna pani iść i odpocząć. Niech pani idzie do domu i zrobi sobie filiżankę słodkiej herbaty.

– Ale nie mogę go tu tak zostawić...

– Nic nie może pani zrobić – mówi i ostrożnie klepie mnie po ramieniu, jakbym była jakimś płochliwym dzikim zwierzęciem, które stara się uspokoić. – Mówię serio, proszę pani. Powinna pani się stąd zabierać i iść do domu – zaleca mi.

DZWONIĘ NA FARMĘ Elm Tree z pierwszej publicznej budki telefonicznej, jaką mijam.

Odbiera Gwen.

– Och, Gwen. Dzięki Bogu.

– Nic mi nie jest, Viv – mówi. – Zdążyłam się stamtąd wydostać. Zamartwiałam się o ciebie... – A potem, kiedy ja się nie odzywam: – Viv, jesteś pewna, że wszystko w porządku?

Nie mogę odpowiedzieć na jej pytanie; usta mi chyba nie działają, jak trzeba.

– Gwen, nie mogę teraz rozmawiać. Muszę wracać do dziewczynek. Ale nie jestem ranna, nie martw się.

Odkładam słuchawkę.

Kiedy dochodzę do Le Colombier, widzę twarz Blanche w oknie. Zauważa mnie i biegnie do drzwi.

– Mamo. Co się stało?

Jej głos jest piskliwy, oczy ma szeroko otwarte i przestraszone.

– Zbombardowali port – odpowiadam jej.

– Słyszałyśmy samoloty – mówi cichym, przestraszonym głosem. – Mamo. Myślałyśmy, że nie żyjesz.

Millie kurczowo czepia się ręki Blanche. Widzę, że płakała – ślady łez błyszczą na jej policzkach.

– Nic mi nie jest. Nie jestem ranna – mówię.

Wyciągam ręce, żeby przytulić Millie. Ale ona się odsuwa, wpatruje się w moją sukienkę. Buzia zrobiła jej się zupełnie biała.

– Mamo. Jesteś cała we krwi – mówi Blanche, tym cichutkim cienkim głosem.

Spuszczam wzrok. Nie zdawałam sobie z tego sprawy. Przód sukienki, tam gdzie przytulałam Franka, gdy umierał, mam cały poplamiony krwią.

– To nie moja krew – tłumaczę im. – Nic mi nie jest. Naprawdę.

Dziewczynki nic nie mówią, tylko stoją i wpatrują się we mnie.

– Słuchajcie, będę musiała was jeszcze na trochę zostawić – dodaję. – Muszę pójść do Angie.

Widzę, że Blanche od razu zrozumiała. Jej twarz pochmurnieje.

Nie mogę iść do Angie w ubraniu zalanym krwią jej męża. Przebieram się i wkładam sukienkę do wanny, żeby się odmoczyła w zimnej wodzie, mieszam wodę, żeby plama puściła. Prostuję się i prawie tracę przytomność, łazienka wiruje naokoło mnie. Moje ciało wydaje się kruche jak skorupka jajka, jakbym od najlżejszego dotknięcia mogła się rozpaść. Nie mogę przekazać Angie wiadomości, kiedy tak się czuję.

Zmuszam się do wypicia kilku łyków słodkiej herbaty, jak zalecał strażak. Coś jest nie tak z moim gardłem i mam trudności z przełykaniem, ale potem czuję się trochę silniejsza. Córki siedzą ze mną przy stole i obserwują mnie z niepokojem.

– Poradzicie sobie we dwie? – pytam. – Obiecuję, że niedługo wrócę.

– Poradzimy sobie, mamo – odpowiada Blanche.

– Nie, nie poradzimy sobie. Nie pozwolę ci iść – mówi Millie.

Podchodzi bliżej, staje przy moim krześle, oplata mnie ramionkami. Muszę odrywać jej paluszki od moich rąk jak opatrunek.

PODCHODZĘ ŚCIEŻKĄ DO LES RUETTES. Idzie mi się ciężko, jakbym brodziła w głębokiej wodzie. Pukam do drzwi Angie, w ustach jest mi gorzko od przerażenia. Wolałabym być gdziekolwiek indziej, byle nie tu.

Angie otwiera drzwi.

– Angie. – Mam chrypę. – Coś się stało...

Wpatruje się w moją twarz. Od razu wie.

– On nie żyje, prawda?

– Tak. Przykro mi.

Angie się osuwa. Próbuje przytrzymać się ościeżnicy, ale jej dłonie się ześlizgują, ciało zapada się w sobie, jakby nie miała kości. Nie mogę jej utrzymać. Przynoszę krzesło i podciągam ją na nie. Klękam obok.

– Byłam dziś w mieście. Frank pojechał tam swoją ciężarówką. Zbombardowali molo i znalazłam go. Angie – byłam z nim, tuliłam go, kiedy umierał.

Angie splata dłonie, załamuje je. Usta jej drgają, ale nie może mówić. Oczy ma suche, ale jej twarz wygląda jakoś nie tak, jakby się rozpadła.

W końcu próbuje odchrząknąć.

– Czy on... coś mówił? – Głos ma szorstki i przytłumiony, jakby na ustach miała koc. – Czy chciał mi coś przekazać, Vivienne?

Nie wiem, co jej powiedzieć. Myślę o jego ostatnich słowach.

– Nie mógł mówić – odpowiadam.

Ujmuję jej dłoń w ręce. Skórę ma zimną jak lód. To zimno z niej przechodzi na mnie.

– Umarł bardzo szybko, nie cierpiał – mówię.

Angie leciutko porusza głową. Widzę, że mi nie wierzy.

– Chodź ze mną, dam ci coś do jedzenia – mówię do niej.

– Nie, Vivienne – odpowiada. – To bardzo miło z twojej strony, ale nie...

– Chyba powinnaś – nalegam. – Nie możesz tu zostać całkiem sama.

– Nic mi nie będzie – mówi. – Potrzebuję trochę побыć sama, żeby to do mnie dotarło.

– Nie chcę cię zostawiać.

– Naprawdę, Vivienne. Nie martw się. Za chwilę pójde do Mabel i Jacka.

Mabel i Jack Bisson mają czwórkę dzieci; w ich domu będzie pełno krzątaniny i hałasu. Ale Angie się upiera.

Zostawiam ją siedzącą przy palenisku. Jej dłonie wykonują takie ruchy, jakby wykręcała ścierkę.

PRZYGOTOWUJĘ KOLACJĘ DLA EVELYN i moich córek, choć sama nie mogę nic jeść. Potem Blanche pomaga mi znieść na dół materace z pokoi dziewczynek i przygotowuję posłania dla nich obu w niewielkiej przestrzeni pod schodami. To najmocniejsza część domu, jego kręgosłup.

– Zobacz – mówię do Millie, starając się, by mój głos brzmiał bez troski. – Dziś ty i Blanche będziecie biwakować pod schodami. Przygotowałam wam norkę, w której będziecie spać.

Millie marszczy brwi.

– Żeby nas nie zabili? Kiedy Niemcy przyjdą i nas zbombardują?

Nie wiem, co jej powiedzieć.

– Tak na wszelki wypadek – odpowiadam niejasno.

Pozostawiam Evelyn w jej pokoju – wiem, że nie zdołam jej przekonać, aby spała gdzie indziej. I myślę, że ja też zostanę na gorze. Chyba nie uda mi się w ogóle zasnąć, a nawet jeśli przysnę, jak coś się stanie, to się obudzę.

Siedzę przy kuchennym stole, zapalam papierosa. Przypominam sobie, że w szafce kuchennej jest trochę brandy do gotowania – zostało z Bożego Narodzenia, wtedy dodaję odrobinę do ciasta z bakaliami. Nie pijam alkoholu często, ale teraz nalewam sobie szklaneczkę. Brandy ma świąteczny zapach, co wydaje się niepokojąco niewłaściwe w taki dzień, ale gdy alkohol rozplywa się po moich żyłach, czuję się trochę spokojniejsza, cały mój smutek robi się taki zamglony.

Siedzę tam przez długi czas, paląc, pijąc, moje ciało się rozluźnia, staram się nie myśleć. W końcu wstaję, żeby pójść do łóżka. Biorę szklaneczkę, żeby zanieść ją do zlewu i umyć, a ona wyslizguje mi się z dłoni, spada na podłogę i się roztrzaskuje. Na groźny odgłos tłukącego się szkła coś we mnie pęka: nagle zaczynam płakać. Klęczę na podłodze, zmiotam błyszczące odłamki i szlocham, i szlocham. Czuję się tak, jakbym miała nigdy nie przestać płakać.

Sprawdzam, co u dziewczynek, a potem idę na górę do swojego pokoju. Przez długi czas leżę, nie śpiąc. Nic się nie dzieje. Nie ma żadnych samolotów; słyszę tylko, jak mój dom poskrzypuje przez sen, kokosząc się i osiadając, a na zewnątrz nakładają się na siebie kolejne warstwy ciszy letniej nocy na Guernsey, jak ta cisza staje się coraz głębsza. Ale gniew nie pozwala mi zasnąć. Czuję ślepą, szaloną wściekłość – wściekłość na tę przemoc, kiedy nie było tu żadnych żołnierzy, kiedy nie mogliśmy na ten atak odpowiedzieć. Myślę o tym, że zamordowali Franka jak zwierzę – Franka, którego niezbyt lubiłam, który może nie był bardzo dobrym człowiekiem, ale który nie powinien był umrzeć, który był za młody na to, by umierać i który umarł taką straszną śmiercią. Że mogliby przylecieć w nocy i pozabijać moje dzieci. Że wkroczą tu, podporządkują nas sobie i zabiorą nam naszą wyspę.

Zasypiam na trochę i ponownie podrywam się ze snu, jakby coś mnie zaniepokoiło. Wstaję i podchodzę do okna. Księżyc wisi nisko jak owoc, a jego światło wybiela wszystko. Jest tak jasno, że na moim żwirze widać wyraziste cienie liści, a malwy na grządkach w sąsiadującym z nami Les Vinaires są blade, prawie fosforyzujące – widmowe kwiaty.

Przyciskam twarz do szyby. Cały gniew ze mnie wyparował. Ze strachu oblewa mnie zimny pot. Myślę, co ja zrobiłam? Mogłyśmy być w Londynie, w domu Iris. Czy popełniłam największy błąd w swoim życiu? Dobry Boże – co ja zrobiłam?

Rozdział 10

NIEDZIELA WIECZÓR. PIELĘ OGRÓD, a Millie bawi się na trawniku.

Spokój zakłóca mi odległy warkot samolotu. Patrę w górę. Na niebie nad nami krąży sześć samolotów. Widzę oznakowanie i wiem, że to niemieckie maszyny.

Przypomina mi się molo – bombardowanie, strzelanina, krew. Serce mi zamiera.

– Millie. Natychmiast do środka.

Millie ani drgnie.

– Millie!

– Ale piłka właśnie mi wpadła za żywopłot. To moja najlepsza piłka, mamusiu...

– Rób, co ci każe – mówię jej. – Idź do norki, którą przygotowałyśmy pod schodami. Idź w tej chwili.

– To Niemcy? Czy oni nas zabijają?

– Po prostu rób, co mówię, Millie.

Z korytarza wołam do Blanche, ale ona mnie chyba nie słyszy. Pędzę na górę. Z jej sypialni wypływa muzyka: puściła na swoim gramofonie Irvinga Berlina *Cheek to cheek*. Bez pukania wpadam do środka. Blanche stoi na środku przestraszona, trochę zawstydzona. Przez chwilę zastanawiam się, czy tańczyła przed lustrem, ćwicząc kroki, jak ja to robiłam w jej wieku – wyczarowując sobie lśniącą, pachnącą przyszłość i podejrzenie przystojnego partnera, który by przytulał mnie w tańcu.

– Niemieckie samoloty nadlatują – mówię. – Idź do norki z Millie. Już.

– Ale... moja płyta...

– Blanche, po prostu idź – powtarzam.

Blanche słyszy napięcie w moim głosie i pędzi na dół. Idąc za nią, słyszę smętne odgłosy, gdy płyta zwalnia i przestaje grać.

Evelyn siedzi w swoim fotelu w salonie, robiąc na drutach.

– Powinnaś pójść się schować razem z dziewczynkami. Będiesz tam bardziej bezpieczna – mówię jej.

Evelyn nie wstaje. Rzuca przelotne spojrzenie na moją twarz.

– Nie ma powodu do obaw, Vivienne. Zawsze się zamartwiałaś. – Mówi bardzo powoli, starannie wymawiając każde słowo. Zaczynam się szalenie gorączkować. – Zawsze się denerwowałaś z byle powodu.

– To nie jest byle powód, Evelyn.

Moja teściowa twarz ma spokojną, niewzruszoną, jakby żadne z moich słów do niej nie trafiło. Mam wrażenie, że coś zaczyna krzyczeć w mojej głowie.

Evelyn odchrząkuje:

– Eugene zawsze mówił to samo: Martwisz się, martwisz, martwisz.

– Proszę, chodź i się schowaj.

– Nie będę się chować, Vivienne. Boli mnie, że pomyślałaś, że mogłabym to zrobić. Ktoś musi stawić opór.

– Proszę, Evelyn. Na wszelki wypadek, gdyby coś się stało...

– Nie zamierzam pozwalać, żeby jakiś Hun mną dyrygował – informuje mnie. – Gdzie byśmy byli, gdyby wszyscy tak postępowali?

Nic więcej nie mogę dodać, by ją przekonać. Zostawiam ją w fotelu.

Przez okno przyglądam się samolotom. Lecą nisko, w kierunku lotniska, i znikają za porośniętym lasem grzbietem wzgórza. Musiały wylądować. Przez dłuższy czas obserwuję niebo, aż wreszcie zachód barwi je czerwienią, która potem ciemnieje, przechodząc w mroczny odcień indygo; ale samoloty już się nie podrywają.

W końcu mówię córkom, aby wyszły spod schodów. Zastanawiam się, czy to się naprawdę stało, czy to nie koniec świata.

PONIEDZIAŁEK PO POŁUDNIU. Słyszę jakiś hałas na zewnątrz – Blanche zeskakuje z roweru, rzuca go na ziemię. Pojechała do miasta zobaczyć się z Celeste. Wpada przez drzwi, jej blond włosy migoczą, powiewając jak flaga.

– Mamo, mamo. Widziałyśmy ich. Są tutaj. – Brakuje jej tchu, słowa wylewają się z niej; jest zarumieniona i podekscytowana dramatyzmem sytuacji. – Widziałyśmy niemieckich żołnierzy, ja i Celeste.

– Nienawidzę Niemców – oznajmia Millie stanowczo.

– Tak, kochanie. Wszyscy ich nienawidzimy – mówię.

– Są tacy bardzo, bardzo wysocy, mamo – ciągnie Blanche. – Dużo wyżsi niż mężczyźni z wyspy. Jeden z nich kupił loda i próbował mi go dać. Oczywiście nie wzięłam. To był rożek truskawkowy.

Millie wpatruje się w Blanche, coraz bardziej ściągając brwi. Widzę, że jej opinia o Niemcach zaczyna się trochę zmieniać.

– Lubię truskawkowe rożki – mówi.

– Byli bardzo uprzejmi – dodaje Blanche. – Jeden kazał sobie zrobić zdjęcie z policjantem. Powiedział, że chce je wysłać do domu, do żony.

Wyciąga z torby „Guernsey Press”. Rozkładamy gazetę na stole i czytamy. Jest wiele nowych zarządzeń. Będzie godzina policyjna: żaden mieszkaniec wyspy nie powinien przebywać poza domem po dziewiątej wieczorem. Trzeba oddać całą broń. Ciarki mnie przechodzą, kiedy myślę o Johnniem, o śrutówce jego brata, którą trzyma w pudle pod łóżkiem. Zastanawiam się, co z nią zrobił. Zakazane jest używanie łodzi i samochodów, a wszystkie zegary trzeba przesunąć o godzinę do przodu.

Gdy to czytam, ogarnia mnie uczucie, którego się nie spodziewałam. To wstyd – brudne, skażone uczucie. Że to się nam przytrafia. Że pozwoliliśmy, by tak się stało. Staram się sama siebie przekonywać, wmawiać sobie, że z tymi przepisami da się żyć, a przynajmniej teraz dziewczynki będą mogły spać w swoich pokojach, bo kiedy Niemcy są tutaj, nie będzie więcej bombardowań. Ale nadal przepełnia mnie wstyd.

Idę porozmawiać z Evelyn. Kładę dłoń na jej ramieniu.

– Evelyn, obawiam się, że Niemcy wylądowali na Guernsey – mówię łagodnie.

Podnosi na mnie wzrok, sznuruje usta i mocno je zaciska. Odkłada robótkę na kolana.

– Nie lubię tchórzliwego gadania – beszta mnie. – Nie wolno nam się poddawać. Nigdy nie możemy się poddać.

– Przykro mi – mówię do niej. Jakby to była moja wina. – Ale to już się stało. Niemcy tu są. Teraz musimy z tym żyć.

Evelyn wpatruje się we mnie. Nagle na jej twarzy pojawia się cień zrozumienia. Zaczyna bezgłośnie płakać, z oczu powoli spływają jej łzy, których nie stara się ocierać. Ten widok chwyta mnie za serce.

– Evelyn, przykro mi – powtarzam.

Znajduję jej chustkę, a ona wyciera twarz.

– Czy to oznacza, że przegraliśmy wojnę?

– Nie. Wcale tego nie oznacza – mówię to z całym przekonaniem, na jakie mnie stać.

I nagle łzy przestają płynąć. Evelyn składa starannie chusteczkę i chowa ją do kieszeni. Jej twarz robi się nagle stanowcza.

– Powinniśmy natychmiast powiedzieć o tym Eugene’owi – mówi. – Eugene będzie wiedział, co robić.

Obejmuję ją ramieniem; jej ciało wydaje się równocześnie sztywne

i kruche.

– Evelyn, Eugene’a tu nie ma, pamiętasz? Eugene wyjechał do wojska.

– Więc go znajdź, Vivienne – poleca mi Evelyn. – Nie poradzimy sobie bez Eugene’a.

Ponownie podnosi robótkę; pamięć o smutku odpłynęła jak uniesione wiatrem nasiona dmuchawca.

Przestawiam nasze zegary. Potem razem z Blanche wciągamy materace z powrotem na górę.

KIEDY MILLIE LEŻY JUŻ W ŁÓŻKU, Blanche przychodzi do mnie w szlafroku i pizamie. Mówi, że chce, bym zaplotła jej włosy w warkocz, żeby rano się kręciły.

Siada na kanapie, plecami do mnie. Zaczynam zaplatać jej włosy, czuję pod palcami, jakie są jedwabiste i chłodne. W świetle lampy ukazują się ich różne odcienie – karmelowy blond z jasnymi jak masło pasemkami tam, gdzie rozjaśniło je letnie słońce. Uwielbiam to robić: w ten sposób wciąż mogę jej dotykać, a ona się przy tym czuje swobodnie. Ostatnio nieczęsto się dotykamy – ma czternaście lat i traktuje mnie z pewną rezerwą. Wdycham jej zapach – mydło i puder o zapachu pachnących pelargonii, i ten słodki, wyjątkowy, pizmowy zapach jej włosów.

– Czy wiesz, jak to będzie, mamó? – Głos mojej córki jest dosyć cichy i niepewny. – Będzie zupełnie inaczej, prawda?

Powinnam umieć na to odpowiedzieć. Tak matka powinna postąpić – przygotować swoje dzieci, ostrzec je. Ale ja nie wiem, nie potrafię sobie wyobrazić. Nigdy nie przeżyłam niczego, co by mogło mnie na to przygotować.

– Cóż, wiele rzeczy się zmieni.

– Czy tak będzie już zawsze?

Odwrócona jest plecami do mnie i nie widzę wyrazu jej twarzy. Nic nie mówię.

– Mamó. Chcę wiedzieć. Czy Niemcy już zawsze tu będą? Czy teraz tak to będzie wyglądać?

– Nie wiem, Blanche. Nikt nie wie, co się stanie.

– Modliłam się za to – mówi.

– O. Naprawdę, kochanie?

Blanche ma w sobie pewną skłonność do pobożności, która zawsze mnie zaskakuje. Chodzimy do kościoła co niedziela; jeśli chodzi o mnie, to głównie z przyzwyczajenia. Ale Blanche jest pobożna jak Evelyn: czyta

Biblię i się modli. Jedna jej częśćka jest frywolna, uwielbia taniec i modne ubrania, a druga częśćka, którą widuję tylko czasami, jest refleksyjna, raczej poważna.

– Ale to trudne, prawda, mamó? – pyta teraz. – Wiedzieć, o co się modlić, kiedy to wszystko się dzieje.

– Tak, to trudne.

– Modliłam się, żebyśmy wsiadły na ten statek, a potem nie wsiadłyśmy – ciągnie Blanche.

W jej głosie słychać oskarżycielską nutę. Wiem, że nadal jest na mnie zła.

– A czasem modlę się, żebyśmy wygrali. Ale Niemcy pewnie też to robią.

– Tak, tak sędzę.

– Celeste uważa, że wygramy tę wojnę – oznajmia moja córka. – Tak mi powiedziała. Twierdzi, że nie wolno nam tracić nadziei. Ale jak możemy jej nie tracić, mamó? Jak w ogóle możemy wygrać?

Widzę w myślach obrazy: zwycięski marsz Hitlera po Polach Elizejskich w Paryżu, który oglądałyśmy w kronice filmowej Gaumont w mieście. Zmasowane oddziały nazistowskich żołnierzy, które prą do przodu jak żywioł, jak burza lub powódź – nie do pokonania.

Obwiązuję koniec warkocza gumką.

– Powinnaś już się położyć – mówię.

Wstaje i obraca się twarzą do mnie. Z zaplecionymi w warkocz włosami wygląda na młodszą, policzki ma pełne i zarumienione jak u dziecka – jak wtedy, gdy miała tylko siedem lat i bawiła się jeszcze z Johnniem w Blancs Bois. Minę ma zatroskaną. Odwraca się i po schodach idzie na górę.

NASTĘPNEGO RANKA SPRZĄTAM w swojej sypialni. Nie minęło dużo czasu, kiedy ostatni raz tam sprzątałam – po prostu potrzebuję czymś się zająć. Nie pracuję zbyt energicznie, ale serce za szybko mi bije.

Moja sypialnia to przyjemny pokój. Tapeta ma wzór ze stulistnych róż, na dużym podwójnym łóżku leży puchowa kołdra z tafty, a na toalecie wszystkie zgromadzone przeze mnie skarby: buteleczka perfum z korkiem w kształcie ważki, moja srebrna szczotka do włosów i grzebień, pozytywka, którą mam od dziecka. Pozytywka należała do mojej matki. Jest na niej impresjonistyczny obrazek – dwie dziewczynki przy fortepianie w przymglonym, ładnym pokoju. Wszystkie kolory się zlewają, jakby się roztopiały i były mokre. Pozytywka gra *Dla Elizy*, dźwięk wydaje jednocześnie eteryczny i zgrzytliwy, bo słychać, jak w środku trą o siebie wszystkie te maleńkie części. Ta melodia zawsze budzi we mnie słodkie

uczucie tęsknoty – okno jest otwarte, muslinowa firanka się wydyma, wiatr nawiewa brązowe włosy na usta – wyczarowując lawendowy zapach przeszłości. Zaledwie ślad wspomnienia, pragnienie, którego nie mogę zaspokoić. Odtwarzanie tej melodii najbardziej przybliżyła mnie do matki, którą straciłam.

Moja sypialnia jest od frontu, przez okno widać podwórko oraz dach i frontowy ogród w sąsiednim Les Vinaires. Odkurzam parapet, wyglądając na zewnątrz. Connie uwielbiała rośliny, a jej ogród pełen jest najpiękniejszych kwiatów – kapryfolium, fuksji i maków wschodnich, ich kolory śpiewają chórem, jasnoczerwony i bursztynowy, i różowy, ale tak szybko więdną, kwitną zaledwie jeden dzień, a potem zostają tylko stopy jaskrawych płatków, które wiatr roznosi po trawniku. Ogród już wygląda na zapuszczony, trawa zarasta obramowania klombów, patykowate róże zwieszają się nad ścieżką, wszystkie schludnie wyznaczone granice zacierają się i gubią.

Przez otwarte okno dobiega jakiś odgłos, warkot zbliżającego się dróżką silnika. Tętno mi przyśpiesza. Ktoś musi wbrew zarządzeniom używać samochodu; ktokolwiek to jest, może narażać nas na niebezpieczeństwo. Czekam, żeby zobaczyć, kto przejedzie przed domem.

Ale na moich oczach do Les Vinaires podjeżdża niemiecki jeep. Wysiada dwóch mężczyzn w mundurach. Stoją przez chwilę, rozmawiając w głębokim mokrym cieniu na dróżce. Lekki wiatr porusza liśćmi i ich cienie tańczą na twarzach Niemców. Czuję się wstrząśnięta, serce mi wali na widok tych intruzów stojących wśród tajemniczych ogrodów i sadów naszych głębokich dolin. Tak jak mówiła Blanche, ci mężczyźni są wysocy, dużo wyżsi niż mieszkańcy wyspy. Słońce lśni na ich kłamrach i wojskowych butach z cholewami, i broni u pasa. Wyglądają zupełnie nie na miejscu w tym nakrapianym od liści świetle, pośród krowich placków i wybojów, między żywopłotami z tą gmatwaniną liści i wplątanymi w nie kwiatami i dzikimi różami.

Otwierają furtkę do Les Vinaires, podchodzą ścieżką do drzwi. Wydają się za duzi na ten ogród. Zauważam, że jeden z nich ma w ręce podkładkę do pisania. Słyszę łoskot i trzask, gdy drugi mężczyzna rozbija zamek w drzwiach.

Ogarnia mnie wściekłość i piekący wstyd, że nie mogę ich powstrzymać, nie mogę obronić przed nimi domu Connie. Że jestem tak zupełnie bezradna.

Po krótkiej chwili wychodzą znowu i wracają ścieżką. Ze strachu zapominam o wściekłości: jakby mała zimna dłoń przebierała palcami po moim karku. Utkwiły mi w głowie słowa Angie. Oni torturują dziewczynki. Gwałcą je i torturują... A jeśli ci żołnierze przyjdą tu i zabiorą też nasz dom? Jesteśmy ich własnością, mogą robić, co chcą, mogliby wszędzie wejść – nic ich nie zdoła powstrzymać, nic. Ale na razie odjeżdżają. PÓZNIJ ZNOWU SŁYSZĘ warkot silnika. Tym razem to inny jeep, z czterema mężczyznami – dwoma w szoferce i dwoma z tyłu. Patrzę, jak mężczyźni z szoferki wysiadają. Jeden jest szczupły i ciemnowłosy, z wychudłą, cyniczną twarzą; drugi zaś, dosyć szeroki w barach, ma siwiejące przerzedzone włosy. Ten drugi wyciąga paczkę papierosów, stuka w nią, aby jeden się wysunął, trzyma go w ustach, na oślep szukając zapalniczki. Zauważam, że ma nierówną różową szramę na policzku. Od razu mnie to zaciekawia. Zastanawiam się, skąd mu się wzięła ta blizna, co się mu przytrafiło. Może walczył podczas Wielkiej Wojny: twarz ma taką, jakby wiele przeżył, wokół oczu pajęczynkę zmarszczek – wydaje się wystarczająco stary. Zastanawiam się, przez co przeszedł, co widział. Jak bardzo ta rana go bolała.

Potem odpycham od siebie tę myśl. Ci mężczyźni to wrogowie – naprawdę, nie powinnam o nich w ogóle myśleć.

Pozostali dwaj mężczyźni są młodszy i obydwaj mają jasne włosy. Domyślam się, że stoją niżej w hierarchii. Zeskakują, wyciągają marynarskie worki. Mężczyzna ze szramą przechodzi na tył jeepa i trzymając papierosa w ustach, sięga po swój worek. Ten z wychudłą twarzą jednym pchnięciem otwiera bramę. Wszyscy czterej wydają się bardziej zrelaksowani niż tamci dwaj, którzy przyszli tu z podkładką do pisania. Rozglądają się po okolicy, jakby ją oceniali – niemalże z miną właścicieli – a ja, widząc to, czuję przypływ bezsilnej wściekłości. Żartują, śmieją się, ich gesty są wylewne, swobodne. Mają wygląd ludzi, którzy dotarli do kresu wędrówki.

Idą wzdłuż zasypanej płatkami ścieżki, między zarośniętymi klombami. Róże łapią kolcami za ich mundury, gdy przeciskają się przez kwiaty; malwy blade jak chude mleko ocierają im się po drodze o nogi. Widzę, że Alphonse śpi w plamie słońca na ścieżce; to jego ulubione miejsce do spania, ponieważ kamień tam się nagrzewa. Zwinął się w idealny kłębek, jakby czuł się całkiem bezpieczny. Gdy mężczyźni się zbliżają, budzi się i leniwie przeciąga. Jeden z tych młodszych kuca, aby go pogłaskać, cacka się z nim: ma taką różową, piegowatą skórę, która łuszczy się od słońca. Alphonse

ociera się o niego i z rozkoszą wygina grzbiet, tak że widzę, jak jego giętkie mięśnie falują pod futrem. Czuję przyływ irracjonalnej wściekłości na tego zwierza, ponieważ tak łatwo dał się przeciągnąć na ich stronę, w ogóle nie stawia oporu.

Mężczyźni wchodzą do środka i już nie wychodzą.

MIJA GODZINA ALBO DWIE. Jestem na podwórku przed domem i zbieram zioła do gulaszu, kiedy spostrzegam, że okno w Les Vinaires, wychodzące na nas, jest szeroko otwarte. Przez okno dobiegają niemieckie głosy. Nie potrafię powiedzieć, co mówią – słabo znam niemiecki, tylko słowa z niektórych kantat Bacha, z czasów gdy byłam w Londynie i śpiewałam w chórze. Nie potrafię nawet ocenić emocji po brzmieniu słów.

Jak obuchem uderza mnie myśl, że będziemy tak na widoku. Gdy wyjdziemy na podwórko albo otworzymy drzwi wejściowe, Niemcy usłyszą, co mówimy. Zastanawiam się, czy nas rozumieją, czy w ogóle mówią po angielsku. Ale nawet jeśli nie zdołają nas zrozumieć, będą widzieli, co robimy. Nie uda nam się przed nimi ukryć.

Dzień wydaje się niepewny, rozgorączkowany. To, co nas otacza z zewnątrz – szept wiatru w moich gruszach, długie pasma popołudniowego światła wpadające z ukosa do ogrodu – wszystko jest normalne, właśnie takie, jakie powinno być, a przecież zdaje mi się, że w powietrzu unosi się coś dziwnego, ledwie wyczuwalnego, ale niepokojącego, jak słaby zapaszek spalenizny lub lament owadów, niemal zbyt wysoki, żeby go usłyszeć.

Będę musiała poprzestawiać te doniczki, które stoją przy drzwiach. Przeniosę je na tył domu i ustawię na tarasie. Tam będę mogła zajmować się nimi i nikt mnie nie będzie widział.

Ale przez chwilę stoję niezdecydowana. Coś we mnie się opiera. W myślach słyszę zapewnienia Evelyn: *Nie będę się chować, Vivienne. Boli mnie, że pomyślałaś, że mogłabym to zrobić. Ktoś musi stawić opór. Nie pozwolę, żeby jakiś Hun mną dyrygował.* I w tej chwili podejmuję decyzję. Zostawię moje zioła i pelargonie tu, gdzie są – zostawię wszystko tak, jak jest. Tylko tak mogę zaprotestować, to jedyny sposób, w jaki mogę walczyć: żyć tak, jak zawsze żyłam, nie pozwolić, aby mnie choć trochę zmienili.

MILLIE PATRZY NA KOCIĄ MISKĘ Z nieruszonym jedzeniem.

– Gdzie jest Alphonse?

– Nie wiem, kochanie.

– Ale już prawie noc.

– Nie martw się, kochanie. Jestem pewna, że się pojawi. Koty zawsze

odnajdują drogę do domu.

Ale Millie jest nieszczęśliwa, na jej czole cienką kreską rysuje się zmarszczka. Z poczuciem winy domyślam się, że się martwi, bo o mało nie uśpiliśmy kota; to dla niej nowe uczucie, że Alphonse jest bezbronny.

Czytam jej bajkę, ale nie może usiedzieć spokojnie. Ciągłe się zrywa i idzie do kuchni, żeby go poszukać.

– To ci Niemcy, prawda? – pyta. – Niemcy zabrali Alphonse’a.

– Nie sądzę – odpowiadam.

– Chcę, żeby wrócił, mamusiu – mówi. – I chcę z powrotem moją piłkę. Wszystko jest okropne. – Krzywi się i z oczu zaczynają jej płynąć łzy.

Zapomniałam o piłce, która zgubiła się w ogrodzie Les Vinaires.

– Millie, piłka to nie problem. Z łatwością kupię ci nową.

Millie nie zwraca uwagi na moje słowa. Gniewnie ociera łzy z twarzy.

– Blanche mówi, że to Niemcy. Blanche mówi, że Niemcy zjadają ludziom koty – mówi mi. Jej głos robi się piskliwy z oburzenia.

– Millie, ona tylko droczyła się z tobą – przekonuję. – Naprawdę, nie sądzę, aby mieli tak robić.

Ale zastanawiam się, czy za nieobecność Alphonse’a rzeczywiście nie ponoszą winy Niemcy – przypomina mi się ten młody jasnowłosy mężczyzna i to, jak głaskał kota. Być może wystawił dla niego jedzenie. Koty nie są lojalne.

Wysłuchuję pacierza Millie i otulam ją do snu.

– Musisz go znaleźć – zapowiada mi surowo.

Niebo za oknem salonu ciemnieje, robi się kobaltowe, potem zapada noc. Widać na nim pojedyncze srebrne gwiazdy i rogal księżyca. Kot wciąż nie wraca. Już dobrze po dziewiątej. Myślę o godzinie policyjnej, ale w Les Vinaires zasłony zaciemniające zostały już zaciągnięte i wszędzie jest cicho.

Postanawiam, że pójdę poszukać kota. Wiem, że potrafię się zachowywać cicho, i jestem pewna, że mnie nie zobaczą.

Z okien Les Vinaires nie widać moich tylnych drzwi. Wychodzę tamtędy w paszczę ciemnej nocy. Czepiam się żywopłotu, skradam się w jego cieniu, idę brzegiem dróżki aż do drogi prowadzącej do Les Ruettes. Nie ośmielam się wołać, ale mam nadzieję, że Alphonse mnie usłyszy – lub może wyczuje moją obecność tym dziwnym szóstym zmysłem, jaki mają koty.

Nagle słyszę za sobą warkot silnika. To muszą być niemieccy żołnierze, skoro teraz mieszkańcom wyspy nie wolno używać samochodów. Gwałtownie zaczynam bardzo się bać, serce mi wali, ze strachu oblewam się

zimnym potem. Prześlizguję się przez dziurę w żywopłocie, przykucam na polu. Światła reflektorów omiatają wał żywopłotu i jada dalej. Modłę się, by mnie nie zauważyli. Potem słyszę, jak samochód zwalnia i się zatrzymuje. Musi należeć do tych Niemców, którzy wprowadzili się do Les Vinaires.

Przekradam się z powrotem do domu i zamykam drzwi; noc zostaje za nimi. Czuję gwałtowny przyływ ulgi, że przynajmniej ja dotarłam bezpiecznie do siebie. Alphonse siedzi na krześle w kuchni i pracowicie się wylizuje. Przeklinam go pod nosem.

Zanoszę kota do Millie. Buzia jej się rozpromienia.

Ale nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam. Myślę o czymś, co ciotki, które mnie wychowywały, zawsze powtarzały: *Vivienne, jesteś zbyt ufna. Nie powinnaś pozwolić, by ludzie wchodzili ci na głowę. Nie powinnaś być takim popychadłem...* Pewnego dnia twoje miękkie serce wpędzi cię w kłopoty. Myślę, że mogły mieć rację. Byłam taka głupia, taka nieodpowiedzialna, podejmując takie ryzyko dla kota, tylko dlatego że Millie była trochę smutna.

PRZYGOTOWUJĄC KAWĘ DO ŚNIADANIA, rozlewam mleko z dzbanka. To chyba przez ten niepokój robię się niezdarna. Klęczę na kuchennej podłodze, wycierając to, co rozlałam, gdy słyszę chrzęst butów na żwirze i szybkie pukanie do naszych drzwi.

To jeden z mężczyzn z Les Vinaires, ten szczupły, śniady, z wychudłą twarzą. Jego mundur, jego bliskość sprawia, że od razu zaczynam się bać. A ze strachem miesza się poczucie zażenowania, że jestem w fartuchu, że w ręce trzymam ścierkę, że może zajrzeć do mojej kuchni, w której jest bałagan, bo mokre pranie wisi na barierce przed piecem. Rodzi się we mnie jakieś niesprecyzowane poczucie, że zawiodłam.

– Dzień dobry – odzywa się. Jego angielszczyzna jest precyzyjna i wyważona. Widzę, że zauważył mój fartuch i kałużę mleka na podłodze. – Obawiam się, że przychodzę w nieodpowiednim momencie.

Już mam odpowiedzieć: *W porządku, nic nie szkodzi*, udzielić automatycznej odpowiedzi na jego ustępliwość. Ale nie jest w porządku – nic nie jest w porządku. Gryzę się w język, żeby powstrzymać się i nic nie mówić.

Mężczyzna wyciąga rękę. To mnie szokuje. Myślę o tym, jak zbombardowali port, kiedy wszyscy nasi żołnierze wyjechali; jak strzelali do ciężarówek, żeby zbiorniki z paliwem wybuchły, kiedy mężczyźni się pod nimi chowali; o poparzonym i krwawiącym ciele Franka. Potrząsam głową; wsuwam ręce do kieszeni. Nie mogę uwierzyć, że pomyślał, iż będę chciała

uścisnąć mu dłoń.

Opuszcza rękę, lekko wzrusza ramionami.

– Jestem kapitan Max Richter – przedstawia się.

Nagle dopada mnie strach. Przyszedł tu, ponieważ wyszłam po godzinie policyjnej. Widział mnie. Mam sucho w ustach; język przylepia mi się do podniebienia.

Kapitan wykonuje lekki nakazujący gest, chcąc poznać moje nazwisko.

– Jestem pani de la Mare – mówię mu.

Czeka na ciąg dalszy, spoglądając pytająco nad moim ramieniem w głąb domu.

– Mieszkamy tu we cztery – ja, moje córki i moja teściowa – mówię w odpowiedzi na jego niewypowiedziane pytanie.

Od drzwi frontowych można zajrzeć do salonu. Zauważam, że patrzy w tym kierunku; odwracam się. Evelyn siedzi w swoim fotelu, wszystkiemu się przyglądając. Kapitan pochyla głowę, reagując na jej obecność. Evelyn rzuca mu spojrzenie kolczaste jak haczyk na ryby, potem opuszcza oczy.

– A pani mąż? – pyta kapitan.

– Mojego męża nie ma, jest w wojsku – odpowiadam.

Kapitan kiwa głową.

– Będziemy teraz pani sąsiadami, pani de la Mare – mówi.

– Tak.

– Zna pani zarządzenia, jak sędzę.

Jego twarz przybiera surowy wyraz, gdy to mówi, usta robią się wąskie jak cięcie brzytwą. Przyłapuję się na myśli, że wołałabym, by to ten drugi oficer przyszedł, ten z blizną. Myślę, że może byłby mniej srogi niż ten, mniej poprawny i zachowywałby się z mniejszą rezerwą.

– Tak – mówię.

– Wie pani o godzinie policyjnej.

– Tak.

Serce mi wali. Już widzę, jak mnie zabierają stąd, zamykają w więzieniu. A moje dzieci – co się z nimi stanie? Ręce wciąż trzymam w kieszeniach. Wbijam paznokcie w dłonie, żebym się cała nie rozdygotała.

– Mamy nadzieję, że będziemy tu spokojnie żyli, wszyscy – ciągnie.

– My też. Oczywiście. – Mój głos jest zbyt wysoki, zbyt podekscytowany.

Brzmi naiwnie, jak u małej dziewczynki.

– Proszę nie stawiać nas w trudnej sytuacji – kontynuuje kapitan.

– Nie zrobimy tego – odpowiadam.

Nie spuszcza ze mnie chłodnego, raczej cynicznego spojrzenia. Coś w jego wzroku mówi mi, że widział mnie na dróżce.

– Cieszę się, że się rozumiemy.

Opuszcza rękę w dół, do paska. Gardło mi się ściska ze strachu: sędzę, że sięgnie po broń. Ale on wyciąga coś z kieszeni.

– Sędzę, że to jest pani – mówi. – Może należy do którejś z pani córek.

To piłka z kolorowymi paskami, którą Millie zgubiła za żywoptem. Odczuwam taką ulgę, że tracę opanowanie, cała trzęsę się i robi mi się słabo. Cichy, niewesoły, histeryczny śmiech wzbiera mi w gardle. Przełykam ślinę.

– O. Tak. Dziękuję.

Biorę piłkę. Nie wiem, co jeszcze powiedzieć.

– Ja też mam córki, pani de la Mare – mówi kapitan.

W jego głosie słychać nutę tęsknoty. To mnie zaskakuje.

– Musi pan za nimi tęsknić – reaguję od razu. Ponieważ tęskni – to widać. Zastanawiam się, czemu to powiedziałam, dlaczego okazałam współczucie. Jestem na siebie zła – nie muszę iść na żadne ustępstwa, nic nie muszę mu dawać. Czuję się zupełnie zagubiona: nie wiem, jak powinnam się zachować.

Jego wzrok wraca z powrotem do mojej twarzy. Wiem, że potrafi odczytać z niej moje zmieszanie. Wszędzie jest chaos, w głowie mi się wszystko miesza – strach, jaki odczuwam, surowość jego twarzy, kiedy mówi o godzinie policyjnej, a teraz ta uprzejmość, że odniósł nam piłkę.

– W takim razie do widzenia, pani de la Mare. Proszę pamiętać o godzinie policyjnej – przypomina i się odwraca.

Szybko zamykam drzwi. Czuję się niczym niechroniona w sposób, którego nie potrafię wyartykułować ani określić. Na dłoniach mam małe czerwone półksiężycy, tam gdzie wbijałam paznokcie w skórę.

– Vivienne – woła mnie Evelyn.

Idę do niej.

– Hun wszedł do domu – mówi. – Otworzyłaś drzwi Hunowi.

Jest wzburzona. Odkłada robótkę; jej suche, jak zrobione z krepy dłonie trzepoczą się niczym małe blade ptaszki.

– Evelyn – nie mogłam nie otworzyć. Ten mężczyzna mieszka teraz w Les Vinaires.

– Fraternizacja to takie brzydkie słowo. Brzydkie słowo określające brzydki uczynek – mówi mi z powagą.

– Evelyn, to nie była fraternizacja. Ale musimy być uprzejmi. Nie możemy

im się narażać. Mogą zrobić z nami wszystko.

Moja teściowa jest nieprzejednana.

– Jesteś żoną żołnierza, Vivienne. Musisz okazać trochę charakteru. Jeśli ponownie stanie u drzwi, nawet nie myśl o tym, żeby go wpuścić.

– Nie wpuszczę, obiecuję.

– Nigdy ich nie wpuszczaj – mówi. Żarliwie. – Nigdy ich nie wpuszczaj. – Jakby ta sentencja była czymś, czego można się trzymać w tym chaotycznym życiu.

Podnosi robótkę. Ale potem ponownie ją odkłada, spogląda z roztargnieniem w moją stronę. Na jej twarzy nagle zaczyna malować się zmieszanie, oczy ma zamglone, jak zasnute dymem.

– Powtórz mi jeszcze raz, kto to był – ten mężczyzna, który przyszedł do drzwi? Mówiłaś, że kto to był, Vivienne?

Nie jestem w stanie wszystkiego powtarzać.

– To jeden z naszych sąsiadów – mówię jej.

– Ach, ty i ci twoi sąsiedzi.

Ponownie zaczyna robić na drutach.

Rozdział 11

GDY ZAPADA MROK, wychodzę na podwórko, aby wynieść do kompostownika obierki z warzyw. Przystaję na chwilę, wdychając wieczorne powietrze, wszystkie te słodkie mieszające się zapachy, które wyciekają z kielichów kwiatów. Czuję lewkonie kwitnące na klombach za domem i tytoń ozdobny, który zawsze chyba najpiękniej pachnie wieczorem. Niebo ma głęboki kolor, cienie są długie, wszystko niebiescieje. Z Blancs Bois, do którego splecione drzewa przyciągają mrok, dobiega wołanie sowy – przejmujące jak wołanie zagubionej duszy nawiedzającej ten las, nie z tej ziemi.

W kuchni w Les Vinaires ktoś zapalił stołową lampę, a zasłony zaciemniające nie zostały jeszcze zaciągnięte. Światło lampy wylewa się na żwir na podwórku, wypłukując barwy z wszystkiego, na co pada, tak że płatki pelargonii w doniczkach koło moich drzwi robią się szaro-żółtawe, wyprane z koloru. Patrząc przez to okno, widzę mężczyznę, który siedzi tam, przy kuchennym stole Connie. Jest w samej koszuli, guzik pod szyją ma rozpięty. W pierwszej chwili wydaje mi się, że to kapitan Richter, ten, który przyszedł do naszych drzwi kuchennych, ale potem widzę, że to ten drugi, ten z blizną. Światło na niego pada, oświetla jedną stronę jego twarzy. Wyraźnie widzę szramę, jej nierówną linię, różową kruchą tkankę, która nie pasuje do cery. Gdy siedzi tak samotnie w świetle lampy, wydaje mi się inny niż wtedy, gdy przyjechał w jeepie – taki zamyślony, mniej surowy.

Przyglądam się, a on podciąga mankiety – mechanicznie, nie myśląc o tym, co robi. Myślam, że wędruje gdzieś daleko. Coś czyta – książkę, list; nie widzę, co to, blat stołu jest tuż pod poziomem parapetu. Myślę, że to musi być list. Tylko list mógłby go tak absorbować – cokolwiek to jest, pochłania całą jego uwagę. Jego twarz na chwilę się zmienia, jest z czegoś niezadowolony. Marszczy brwi, w zamyśleniu przebiega palcami po czole. Tak musi wyglądać, gdy się koncentruje, myślę. Niebieskawy dym z leżącego w popielniczce papierosa spowija go i miękko, spiralą unosi się przed jego twarzą. Jest sam i wiem, że czuje się sam. Jest zupełnie nieświadomy, że go obserwuję. Ma wygląd człowieka, który nie wie, że jest obserwowany.


Nagle budzi się we mnie zaciekawienie jego drugim życiem – tym, którym żyje, kiedy nie jest żołnierzem. Jego domem, ludźmi, którzy są dla niego ważni. Zastanawiam się, jak odbiera to, że tu jest – że ze wszystkich stron otacza go noc tej nieznannej wyspy. Nocą krajobrazy są najbardziej sobą, najbardziej są od nas oddalone. Nawet dla mnie, która od tak dawna mieszkam w tej ustronnej dolinie, noc na Guernsey potrafi wydawać się trochę obca – krzyk sowy jest taki samotny, mrok taki gęsty i głęboki. Zastanawiam się nad nim – skąd pochodzi, czego pragnie. Czy tęskni za domem, tak jak ja tęskniłam zaraz po przyjeździe na wyspę? Tak beztrąsko używamy tego wyrażenia, ale myślę o tym, czego się wtedy nauczyłam – tęsknota za domem jest jak choroba, jak żałoba po czymś, co zostało utracone lub odebrane. Wciąż jeszcze od czasu do czasu to odczuwam, muśnięcie tej tęsknoty: pojawia się na wspomnienie światła lampy, trotuarów w deszczu, przypalenizny w zapachu metra – wszystkich woni i dźwięków Londynu, jego tętniącej życiem, dusznej energii. Zastanawiam się, za czym on tęskni.

Stoję tam i mu się przyglądam. Chcę siłą woli nakłonić go, aby uniósł wzrok, spojrzął za okno, na mnie. To jak dziecięca zabawa, jakbym mogła zmusić go, żeby mnie zobaczył, jakby był moją kukielką. W tej chwili, w tym momencie, to ja mam moc – maleńki okruch mocy. Ponieważ ja patrzę na niego, a on o tym nie wie, nie widzi mnie.

Ale on się nie porusza, ani drgnie, wzrok wbija w swoją lekturę. Wracam cichutko do domu. Czuję się zaniepokojona, ale nie potrafię ująć w słowa dlaczego. Jakby sytuacja nie była do końca taka, jak sądziłam.

Idę do łóżka, ale długo nie mogę zasnąć.

CZĘŚĆ II
sierpień–październik 1940



CZĘŚĆ II

sierpień-październik 1940

Rozdział 12

MOJA MATKA ZMARŁA, gdy miałam trzy lata. Pamiętam, że zabrano nas do jej sypialni, żebyśmy się z nią pożegnały – mnie i Iris, moją starszą siostrę. W pokoju jakoś niewłaściwie pachniało. W jej sypialni zawsze unosił się zapach wody różanej, której używała, ale teraz czuć tam było ostry, drapiący w gardle zapach środka odkażającego. A moja matka wyglądała dziwnie, jakoś niewyraźnie, jakby jej twarz została zrobiona z wosku i zaczynała się topić. Trochę się jej bałam. Chciałam wyjść z pokoju, być wszędzie, byle nie tam. Ścisnęła mnie za rękę trochę za mocno i płakała, a mnie się to nie podobało.

Nie pamiętam zbyt wiele z kolejnych tygodni i miesięcy poza tym, że na pogrzeb kazali mi założyć sztywną czarną sukienkę, uszytą z jakiegoś materiału, od którego mnie wszystko swędziało, i że ludzie karcili mnie, gdy się drapałam. Po śmierci matki byłam przez jakiś czas niema, po prostu w ogóle nie chciałam się odzywać – a przynajmniej tak mi mówiono. Niewiele z tamtego okresu pamiętam. Poza pozytywką, którą dostałam na zawsze i którą puszczałam sobie godzinami, muzyka pachniała mi wspomnieniami o niej. I drobnymi scenkami z domu, w którym mieszkaliśmy, niedaleko Clapham Common, na Evington Road 11 – wysoki, wąski, rozłożysty dom, który nigdy do końca nie zasypiał, tylko osiadał i poskrzypywał przez całą noc; i ukryty, zamknięty ogród ze zwieszającymi się nad nim szepczącymi drzewami i liśćmi, które od wielu lat zbierały się w stosy pod nimi; i ciotki, które się nami opiekowały, ciocia Maud i ciocia Aggie, życzliwe, ale nie były moją mamą, więc gdy mnie czesały, to bolało. Na zawsze to zapamiętałam – że szarpały za mocno za splecione włosy, zamiast je delikatnie rozczesać, jak to robiła moja mama.

Byłam nerwowym, wystraszonym dzieckiem, bałam się tak wielu rzeczy: burzy z piorunami i skraju peronów kolejowych; pajaków, nawet tych najmniejszych, które biegały po całym tarasie na tyłach domu, a gdy się zgmiotło, zostawała po nich plamka jak z krwi; ale nade wszystko bałam

się ciemności. Zawsze bałam się ciemności. Kiedyś Iris i ja bawiłyśmy się w uczennicę i nauczycielkę. Miałam wtedy pięć lat, byłam tylko troszkę starsza niż Millie, a Iris była nauczycielką. Bardzo srogą i surową, bo uznała, że byłam niegrzeczna, i zamknęła mnie w komórce na węgiel. Komórka była z betonu, bez okien, drzwi miała szczelne, żeby węgiel nie zawilgł, ani promyczek światła nie dochodził spod drzwi. Pamiętam tę ciemność, nagłą i całkowitą, ten strach, który jak mdłości podchodził mi do gardła, to gwałtowne, paniczne trzepotanie serca. Było tak ciemno, że na początku myślałam, że mam zamknięte oczy – że jakoś się zacięły i nie da ich się otworzyć – i podniosłam rękę, i przekonałam się, że są otwarte; czułam, jak drgają sztywne włoski rzęs. W tamtym momencie nauczyłam się, że istnieją różne rodzaje ciemności. Że jest zwykła ciemność, taka jak podczas nocy na wsi, gdy nawet jeśli noc jest bezksiężycowa, wystarczy wpatrywać się w coś, aby zaczęło niewyraźnie majaczyć, nabierać kształtu; i jest inna ciemność, mrok tak głęboki, że nie da się go sobie wyobrazić, umysł nie potrafi go ogarnąć. Ciemność, która wymazuje z pamięci wszystkie wspomnienia i wszystko, na co masz nadzieję. Ciemność, która uczy, że wszystko, co cię pociesza, jest fałszywe.

Nie sądzę, żebym była tam długo. Ciotka Aggie zorientowała się, co się stało, zbesztła Iris i otworzyła drzwi. Ale tego wcale nie przypominam sobie wyraźnie – tej chwili, gdy wypuściła mnie znowu na radosne światło dnia. To ciemność pamiętam.

JAK BARDZO UTRATA MATKI ukształtowała przebieg mojego życia? Dziś widzę, że bardzo, choć musiały minąć całe lata, zanim się tego dowiedziałam. Teraz zastanawiam się, czy to z tego powodu poślubiłam pierwszego mężczyznę, z jakim chodziłam – czy moja decyzja miała coś wspólnego z tą stratą. Że chciałam czegoś solidnego, że pragnęłam bezpieczeństwa, że chciałam, aby nic się nie zmieniało – że tak bałam się zmiany i niepewności.

Miałam dziewiętnaście lat, gdy poznałam Eugene'a i nadal mieszkalam w domu przy Evington Road. Pracowałam jako sekretarka w firmie ubezpieczeniowej w Clapham. Poznałam Eugene'a na spotkaniu kościelnym; był urzędnikiem bankowym i mieszkał na stacji w Streatham, gdzie zawsze pachniało brokułami. Był podekscytowany przenosinami do Londynu, ale miał nadzieję, że dadzą mu one coś, czego mu nie dały. Już gdy go poznałam, marzył o powrocie na Guernsey. Otaczał go słaby naftalinowy zapaszek rozczarowania, choć na początku nie zdawałam sobie z tego sprawy. Był

przystojnym mężczyzną – żywe spojrzenie, symetryczne rysy, przygładzone włosy, wyrazista twarz, wszystko to sprawiało, że wyglądał na znacznie młodszego, niż był. Nasze córki też mają takie buzie i to otwarte, szczerze spojrzenie. I zawsze był bardzo schludny – służbowy garnitur wyprasowany, kanty ostre jak brzytwa, buty błyszczące jak lustro.

– Jest taki przystojny – powtarzali wszyscy. – Wygląda jak Jack Pickford. Ależ ci się poszczęściło, prawda? – Było coś krzepiącego w tym, jak swobodnie, z wprawą się do mnie zalecał – w tych żółtych różach, bombonierkach New Berry Fruits – w poczuciu, że mogę wszystko mu zostawić, że on przejmie kontrolę, że podejmie decyzje. Co on we mnie widział, zastanawiam się. Nie wiem, nie potrafię sobie teraz tego wyobrazić – choć zawsze pochlebnie wyrażał się o moim wyglądzie, moich strojach. On wie, jak schlebić kobiecie. Może przekonało go jakoś do mnie moje z francuska brzmiące imię, może podsunęło mu myśl, że będę pasowała do tej wyspy. Brzmi to nieco dziwacznie, ale przecież ludzie często pozwalają, aby coś takiego nimi kierowało, często podejmują ważne decyzje, bo jakaś drobna rączka na nich skinęła. Widywałam coś takiego. Niezależnie od tego, jaki był powód, nie mógł się doczekać, aż weźmie mnie i przywiezie na Guernsey.

Ale od naszej pierwszej wspólnej nocy było inaczej, niż sobie wyobrażałam. Wiedziałam, że nie czułam się tak, jak powinnam była się czuć. Sądziłam, że to moja wina, że jest coś ze mną nie tak, że czegoś mi brakuje. Lub, by ująć do dokładniej, że czegoś między nami brakuje. Ponieważ wiedziałam, że mogę to odczuwać – tylko nie w łóżku z Eugene’em. Zdarzało się, że patrzyłam na mężczyznę – na kogoś obcego – jak rozluźnia krawat, rozpina mankiety, podciąga rękawy koszuli, i żołądek mi się kurczył, czułam, jak przechodzi mnie pełen podniecenia dreszcz. Lub śniło mi się, że stojący za mną mężczyzna szcotokuje mi włosy, a ja opieram się o niego i czuję na plecach jego ciepło, i budziłam się ogarnięta niejasną tęsknotą.

Może on wyczuwał coś podobnego – może miał poczucie, że czegoś brakuje. Ponieważ tylko z rzadka się kochaliśmy, a od kiedy zaszłam w ciążę z Milli, to już wcale. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, no bo jak można w ogóle rozmawiać o takich sprawach? Powoli, podstępnie, z lekkim drżeniem serca zaczęłam uświadamiać sobie, że chodzą plotki. Eugene uwielbiał teatry amatorskie i dołączył do grupy, która ćwiczyła w St. Peter Port. Miał przyjemny, przekonujący głos, uwielbiał odgrywać role.

Była tam kobieta – Monica Charles – która czasem razem z nim grała. Rude włosy, mocno wydekoltowana, spiczaste polakierowane paznokcie i luksusowe aksamitne perfumy Shalimar, których używała. Dosyć wygadana, ten typ kobiety, który wydaje się zużywać całe powietrze w pokoju. Zawsze sprawiała, że czułam się mała i wyblakła. Gwen powiedziała kiedyś – ostrożnie, z zaniepokojeniem ściągając lekko brwi, nie patrząc na mnie wprost:

– Nie martwi cię to, że Eugene się tak zaprzyjaźnił z Monicą Charles?

Serce we mnie zamarło.

– Nie. A powinno?

– Tak tylko się zastanawiałam – odparła.

– Uwielbia teatr, teatr jest jego namiętnością – powiedziałam. Wypowiadałam słowa tak ostrożnie, jakbym układała między nami małe kamyki. – To dobrze, że może się zająć czymś, co go tak bardzo cieszy.

– Jesteś bardzo dzielna, podziwiam cię – powiedziała Gwen i zmieniła temat. Nie dopuściłam do siebie myśli o tym, o czym mówiła, starałam się już nigdy nie poruszać tego tematu, jakby słowa były czymś tak ostrym, że mogłabym się nimi poranić.

Był taki wieczór, kiedy zabrałam dziewczynki, aby odwiedziły go za kulisami. Grał w *Private Lives* z Monicą Charles. Millie miała dwa lata; była zmęczona po przedstawieniu, trzymałam ją w ramionach, ciężką i ciepłą. Zapukałam, nie odpowiedział, pchnęłam drzwi. Owionął mnie zapach Shalimar, mrocznie aksamitny, zdradliwy. Eugene był tam z Monicą Charles. Stała z jedną stopą na krześle, spódnicę miała podciągniętą wysoko na udach; Eugene zsuwał jej pończochę, bardzo powoli. W pieśczośliwym ruchu jego dłoni była zmysłowość całkowicie mi nieznana. Unieśli oboje wzrok, zobaczyli mnie, odsunęli się od siebie. W jego oczach zobaczyłam szok, a potem te wszystkie wyjaśnienia, które się tam pojawiły i zaczęły umacniać. Nie czekałam, żeby ich wysłuchać. Blanche stała za mną, Millie przysypiała. – Nie ma go tu – powiedziałam. – Musieliśmy się minąć. – Zabrałam dzieci; nie sądzę, żeby coś widziały.

Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, zachowywaliśmy się dalej tak samo jak wcześniej. Ale wtedy we mnie coś się zamknęło, równie nieodwołalnie jak odgłos, z jakim zatrzasnęłam za sobą drzwi garderoby. Coś dla mnie się skończyło.

Czasem nad tym się zastanawiam – nad tym czymś, czego tak brakowało w naszym małżeństwie, nad tą częstką mnie, która chyba nigdy nie zdołała

się w nim wyrazić, a którą tak nagle, tak losowo niemal mógł poruszyć jakiś sen albo przelotny widok nieznanego lub przelotne spojrzenie nieznanego na mnie.

Pamiętam taki moment z dalekiej przeszłości, z czasów kiedy poznałam Eugene'a, gdy wciąż jeszcze mieszkałam w Londynie. Był pewien mężczyzna, który spojrzał na mnie, gdy szłam bulwarem nad Tamizą – odwrócił się, aby na mnie spojrzeć. To było na krótko przed ślubem – szłam na spotkanie z Iris w Lyons Corner Mouse, na Tottenham Court Road. Miała być moją drużną na naszym ślubie i chciałam pokazać jej próbki materiałów na suknię. Miałam na sobie schludny granatowy kostium, zamszowe buty z paseczków na wysokich obcasach, najlepsze jedwabne pończochy, z idealnie równym szwem, szaro-różowy filcowy kapelusz z rypsovą wstążką dookoła. Byłam trochę spóźniona na nasze spotkanie – prawdopodobnie jak zwykle bujałam w obłokach, a może wers jakiegoś wiersza chodził mi po głowie – i musiałam mieć rumieńce od tego spaceru w chłodnym jesiennym powietrzu. Mężczyzna był ode mnie starszy i wysoki, miał dosyć znużoną, doświadczoną twarz. Wyglądał na poważnego, nie uśmiechał się – miał takie spojrzenie, jakby czegoś sobie ode mnie życzył, spojrzenie wykraczające poza aprobatę czy pochlebstwo. Jego spojrzenie wydało mi się tak realne jak dotknięcie dłoni. Poczułam, że przepływa przeze mnie fala ciepła, jaskrawa nić pożądania przenika przez moje ciało, a wszędzie naokoło brązowe liście trzepoczą się, spadają, a lśniąca rzeka faluje – wszystko jest płynne, wszystko tańczy.

Wciąż jeszcze myślę czasem o tamtej chwili. Gdyby wtedy poprosił, poszłabym z nim.

Rozdział 13

CZWARTEK. IDĘ NA WZGÓRZE zobaczyć się z Angie. Mam na sobie jedną z moich dwóch najlepszych sukienek; codzienna sukienka, którą zazwyczaj nosiłam, nie nadaje się do oglądania. To ta, którą miałam na sobie w dniu bombardowania i którą moczyłam i moczyłam, ale nadal nie mogę sprać tej plamy krwi.

Tego ranka w Les Vinaires nie widać Niemców; musieli już pojechać do pracy. Chociaż nie potrafię wyobrazić sobie, czym się zajmują. Utrzymywanie naszej wyspy pod kontrolą nie może być bardzo wyczerpujące. Pogoda podnosi mnie trochę na duchu. Jest jasny wietrzny dzień, letni wiatr pachnie solą i ziemią, i kwiatami. Żywopłoty pyszną się naparstnicami i fioletowymi czyściami, a strumień, który płynie obok dróżki, obrasta zielenią jęczmników, pieprzyc, lnic polnych. Płynąca przez paprocień woda wiję się w świetle jak żywa istota. Przez jedną chwilę mogę wyobrazić sobie, że wszystko jest tak, jak zawsze było, że okupacja się nie wydarzyła.

Przyniosłam Angie ciasto i trochę galaretki z jeżyn, jaka została z zeszłorocznej partii. Chociaż zastanawiam się, czy nie przynoszę tych prezentów tak samo dla siebie, jak dla niej – bo czuję się bezradna, bo chcę wierzyć, że coś dla niej robię. Ale Angie jest wdzięczna.

– Och, Vivienne, zawsze jesteś taka troskliwa... I jak uroczo dziś wyglądasz. To radość dla oczu patrzeć na ciebie w tej sukience – mówi.

– Och, dziękuję, Angie.

Wyglądam spódnice. Ma rację, sukienka jest ładna; to bawełna w kwiatowy wzór w wielu kolorach, żółty i kremowy, i niebieski jak niezapominajki, przypomina rozchwianą na wietrze łąkę pełną polnych kwiatów. Nie mówię jej, dlaczego mam ją na sobie.

Angie w swoim dużym brązowym ceramicznym czajniczku przygotowuje dla nas herbatę. Na zewnątrz kurczaki krzątają się i grzebią w ziemi.

– No i jak, często ich widzisz? – pyta mnie.

Wiem, że ma na myśli Niemców.

– Zarekwirowali dom Connie, ten po sąsiedzku z nami. Mieszka ich tam

teraz czterech – odpowiadam jej.

Angie parska.

– Zarekwirowali? Używają tych wszystkich wyszukanych słów, tylko po to by nam zamącić w głowach – mówi. – Ukradli, to naprawdę chcą powiedzieć... Ale trochę to blisko, prawda, Vivienne? Będziecie spędzać razem dużo czasu. Mnie by się to nie podobało.

– Cóż, przynajmniej nie zajęli naszego domu.

To jej dzień na pranie. W kuchni uczciwie pachnie mydłem i wilgotnym płótnem. Angie już je prawie skończyła; przepuszcza ubrania przez wyżymaczkę, zanim powiesi je na sznurze. Widzę, że pierze niektóre z koszul Franka.

– Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli to skończę? – pyta.

– Nie, oczywiście, że nie.

Widzi, że zauważyłam koszule.

– Pomyślałam, że zrobię porządek w jego rzeczach – mówi. – Można je jeszcze spokojnie ponosić. Oddam je mojemu bratu Jackowi. Zawsze jest wdzięczny za ubrania po kimś. Mają trochę trudną sytuację, on i Mabel, przy tylu dzieciakach do wyżywienia.

Popijam herbatkę i patrzę, jak porusza ciężką korbą. Woda ścieka i skapuje do płaskiego korytka, tryska małymi strużkami w rytmie zgodnym z jej ruchami.

– No i jak, Angie, czy ty... – Słowa więzną mi w gardle. – To znaczy, jak ci idzie?

Angie patrzy na mnie, ma smutne, spokojne oczy.

– Żeby tak uczciwie powiedzieć, to nie za dobrze – mówi bardzo rzeczowo. – Ale wiem, że nie powinnam narzekać. Tak wielu ludzi kogoś straciło.

– Ale przez to nie robi się łatwiej – odpowiadam.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu. Z zewnątrz dobiega pełne życia gdakanie kurczaków i radosne pogwizdywanie kosa na czarnym bie koło jej drzwi.

Martwi mnie wygląd Angie. Ma bardziej zniszczoną twarz, jakby od śmierci Franka upłynęły całe lata, jakby te lata niczym rzeka spływały po niej i po trochu zabierały ją z sobą.

– Musisz mi powiedzieć, gdybym coś mogła zrobić – mówię dość bezradnie. – Cokolwiek, naprawdę. Mogłabym ci czasem przynosić posiłki czy coś...

Angie unosi na mnie wzrok. Przeczesuje ręką włosy, które jak szorstkie futro sterczą wokół jej głowy. Dała sobie spokój z wałkami.

– Masz dobre serce. A skoro już się zaoferowałaś – to właściwie jest coś – mówi. Rumieni się, trochę zawstydzona, a ja zastanawiam się dlaczego. – Muszę wybrać kilka hymnów. Na jego jutrzejszy pogrzeb. Chodzi o to, że nie za bardzo jestem obyta z książkami.

Angie mówi mi, że nie umie czytać; czuję się zdziwiona, że wcześniej nigdy się nie domyślałam.

– Po prostu powiedz mi, co mam robić – mówię.

– W serwantce w saloniku jest śpiewnik kościelny – odpowiada Angie. – Może mogłabyś go tu przynieść, a ja będę kończyła pranie.

Idę do saloniku po drugiej stronie korytarza. Kiedy setki lat temu budowano ten dom, to pomieszczenie służyło za oborę – ludzie i zwierzęta sypiali razem pod jednym dachem. Salonik nie wydaje się taki przytulny jak kuchnia. Stoi tam ciężki trzyczęściowy komplet mebli w pokrowcach, a powietrze jest zatęchłe, gęste od słodkawego zapachu lawendowego środka do nabłyszczania, i wilgotne; można wyczuć, że nieczęsto się tu otwiera okna. Znajduję zbiór hymnów i zanoszę go Angie.

– Czy jest w tej książce spis hymnów? – chce się dowiedzieć Angie.

Otwieram na pierwszej stronie, na spisie treści.

– Mogłabyś czytać pierwsze linijki? – pyta. – Tak żeby mi przypomnieć, żebym mogła wybrać moje ulubione?

Czytam pierwsze linijki hymnów, robiąc przerwę po każdym, a ona się zastanawia, przez cały czas kręcąc korbą, więc woda z wyżymanych ubrań spływa do korytka. Angie słucha uważnie, ze skupionym wyrazem twarzy.

W końcu dochodzimy do hymnu, który lubi.

– Zaczekaj. Przerwij na chwilę, Vivienne. *W kołysce fal na głębinie*. – Obraca te kilka słów w ustach, jakby były soczyste niczym nagrany od słońca owoc. – Zawsze mi się ten podobał – stwierdza.

– Tak. Mnie też. Czy Frankowi by się spodobał? – pytam.

Zastanawia się.

– Szczerze mówiąc, to Frank nie za wiele myślał o religii – mówi. – I nie za wiele miał czasu dla religijnych ludzi. Utrapienie Boga, tak o nich mówił. Biblijni krzykacze. Zawsze powtarzał, że są tak samo źli jak reszta z nas... Ale mnie się odrobina religii podoba. Myślę, że pomagają radzić.

– Tak, może pomóc – zgadzam się z nią.

– Jesteś wierząca, Vivienne?

To bezpośrednie pytanie wytrąca mnie z równowagi. Myślę o tym, że przez całe życie zawsze lubiłam chodzić do kościoła: że zachwycały mnie witraże i śpiewy, że nadal znajduję pocieszenie w znajomych dźwięcznych słowach, że nadal czasem się modłę. Ale nie jestem pewna, jak bardzo teraz wierzę.

– Pewnie tak – odpowiadam.

W ciszy, która zapanowała w kuchni Angie, kapanie wody wydaje się zbyt głośne, donośniejsze niż jej głos, który jest ufny i ma nikotynową barwę.

– Kiedy byłam dzieckiem, matka nauczyła mnie pacierza – mówi. – Mówiła, że to modlitwa bretońskich rybaków. Powiedziała, że żadnej więcej modlitwy nie potrzeba. *Panie, pomóż mi, bo Twój ocean jest taki wielki, a moja łódka taka mała.* To dobra modlitwa, prawda? Podoba ci się ta modlitwa, Vivienne?

Myślę o tym, jak czekałam w porcie. O tym małym stateczku, któremu nie potrafiłam zaufać, którym nie chciałam płynąć. O groźnym, lśniącym, nieodgadnionym bezmiarze morza.

– Tak, podoba mi się – odpowiadam.

Angie kiwa głową.

– Zawsze uważałam, że to dobra modlitwa. – Uśmiecha się lekko, ze smutkiem. – Tyle że On tak naprawdę mi nie pomógł, prawda? Wcale mi nie pomógł. Nie tym razem.

Zostawiam ją wyżymającą ubrania zmarłego męża.

Rozdział 14

IDE DO DOMU W ten letni poranek, tak bardzo współczując Angie, myśląc o tym, jaka wydaje się zagubiona, jak bardzo się postarzała. Zastanawiając się, co mogę zrobić, żeby jej pomóc. Właściwie nie rozglądam się dookoła. Jestem w transie, nieobecna, jak wtedy gdy byłam dzieckiem i nie przychodziłam, kiedy mnie wołano, a ciotka Aggie kręciła głową: *Ale z ciebie marzycielka, Vivienne. Zawsze bujasz w obłokach. Za dużo myślisz, musisz zejść na ziemię.*

Gdybym nie była taka zaabsorbowana, może zauważyłabym samochód na drodze; może zdążyłabym skręcić i poszłabym ścieżką przez pola, i wróciła do domu od tyłu. Ale prawie doszłam do samochodu, zanim zdałam sobie sprawę, że tam jest. To nie jest samochód wojskowy, tylko duży czarny bentley, który zjechał na skraj drogi przed bramą Les Vinaires. Rozpoznaję to auto. Należało do Goubertów; zanim wsiedli na statek, mieszkali w Les Berhauts, okazałym pobielonym domu niedaleko kościoła. Niemcy musieli zarekwirować samochód – co, jak mówi Angie, oznacza kradzież.

Maska jest podniesiona. Jeden z mężczyzn z Les Vinaires, ten z bliźną, którego widziałam w oknie, zagląda pod maskę. Zauważam go zbyt późno. Zrobiłabym wszystko, by uniknąć spotkania, ale nie mogę teraz zawrócić. Wyglądałoby to jak tchórzostwo, a ja za nic nie chciałabym, żeby pomyślał, że się boję. Grzebie przy silniku, mamrocze coś pod nosem, potem otwiera drzwi i wsiada do środka, i stara się zapalić – nadal z podniesioną maską. Silnik obrócił się raz, zacharczał i zgasł. Niemiec wysiada, kopie w oponę i przeklina, wyrzuca z siebie szybki potok niemieckich przekleństw. Jedną częścią mojego umysłu myśli: *Dobrze mu tak.* Mógł ukraść samochód, ale przynajmniej nie potrafi go uruchomić. Ale jednocześnie się boję i przychodzi mi do głowy myśl modlitwa, którą zacytowała Angie. *Panie, pomóż mi...* Stoję tam, niepewna, pełna obaw. Muszę przejść obok niego, aby dojść do furtki na moje podwórko. Coraz bardziej żałuję, że nie pomyślałam o tym, by wracać przez pola.

Niemiec odwraca się i mnie zauważa. Wygląda na wstrząśniętego – wpatruje się we mnie, jakbym była duchem lub zjawą. Jakbym to ja była nie

na swoim miejscu, jakbym to ja nie powinna tutaj być. Owiewa nas wonny wiatr; wydyma mi spódnicę, potem ciasno mnie nią znowu owija i nawiewa niesforny kosmyk włosów do moich ust. Twarz mnie pali; wiem, że zrobiłam się czerwona i nienawidzę tego. Moje serce bije nierówno. Spodziewam się, że zacznie na mnie krzyczeć albo mi grozić.

– Przepraszam – mówi. Jego angielski akcent jest bardzo dobry, równie dobry jak kapitana Richtera. Na jego twarzy pojawia się rumieniec, prawie jakby się wstydział.

Nie wiem, co powiedzieć. Czuję się głupia, zaskoczona – niezdarna, jakbym zajmowała za dużo miejsca, jakby moje stopy i dłonie były za wielkie w stosunku do ciała.

– W porządku, nic się nie stało – odpowiadam; automatyczna reakcja. I czuję, jak dłoń sama podrywa mi się do ust, jakby chciała powstrzymać mnie przed mówieniem.

Niemiec pochyła głowę w lekkim ukłonie, odwraca się i idzie do domu.

W głowie słyszę cichy, karcący mnie głos: *Zawiodłaś, źle sobie ze wszystkim poradziłaś. Nie powinnaś była mówić, że nic się nie stało – w ogóle nie powinnaś była się odzywać. Dużo się stało, nic nie jest w porządku.* Dociera do mnie, że tak to będzie wyglądać, to nasze nowe życie pod okupacją: zawsze te kłopotliwe, przerażające spotkania, po których człowiekowi pozostaje wrażenie, że popełnił wykroczenie i że coś ujawnił.

Później z okna sypialni patrzę, jak mężczyzna z blizną wychodzi z jednym z młodych ludzi, z tym, którego skóra łuszczy się od słońca. Młody mężczyzna ma skrzynkę z narzędziami. Naprawia samochód – zręcznie, bez zbędnego zamieszania. Mężczyzna ze szramą wsiada, przekręca kluczyk: silnik zaczyna działać. Przez okno w samochodzie widzę, że ironicznie się uśmiecha. Nachodzi mnie myśl, że trochę o nim wiem. Wiem, że nie cierpi maszyn, że ma wrażenie, że mu się sprzeciwiają, że nigdy nie będą mu posłuszne; że ta bezradność go denerwuje. Że potrafi się zatracić, czytając książkę lub list – marszcząc brwi, z roztargnieniem przejeżdżając dłońią po czole. Wiem, jaki ma wyraz twarzy, kiedy myśli, że nikt go nie widzi, że potrafi zapalić papierosa i go odłożyć, i podwinąć rękawy, a wszystko to bezmyślnie, bez świadomości tego, co robi. Ta wiedza mnie niepokoi. Jakbym poznała jakiś sekret, chociaż nigdy o to nie prosiłam.

Mężczyzna przed odjazdem rzuca przelotne spojrzenie w górę na okno mojej sypialni. Prawie jakby wiedział, że patrzę, jakby oczekiwał, że będę patrzeć. Serce mi wali. Wycofuję się w głąb mojego pokoju.

Rozdział 15

SIERPIEŃ. WYSPA WYGLĄDA PRZEŚLICZNIE, wszystkie ogrody szczerze obsypane kwiatami, niebo wysokie i jasne, świeży słony zapach wiatru od morza. Róże Belle de Crécy kwitną w moim ogródku za domem, senne od trzmieli, kwiaty otwierają się bezbrinnie szeroko i roztaczają wokół siebie swoją woń.

Przed wojną w taki piękny dzień zabrałabym dziewczynki na plażę – być może na piknik do Petit Bot, Millie przycupnęłaby w moim koszyku rowerowym. Blanche i ja pedałowaliśmybyśmy dróżką prowadzącą na brzeg, tą dróżką, którą ocieniają i ukrywają splatające się nad głową gałęzie, która jest melodyjna od śpiewu strumieni spływającym tamtędy do morza; a potem nagle wyjechałybyśmy na słońce na końcu dróżki, na plażę wtuloną między wysokie klify jak klejnot trzymany w złożonych dłoniach, na gładki mokry piasek i nad błyszczące jasnozielone przejrzyste morze.

Ale teraz plaże są dla nas zakazane. Zostały zaminowane przez Niemców na wypadek, gdyby nasze wojska chciały wrócić i odbić wyspę – a nikt z nas nie sądzi, by coś takiego miało się zdarzyć. Nasza wyspa to więzienie.

Co wieczór włączam wiadomości BBC w radiu, słucham z sercem ciężkim jak ołów – wszystkie wiadomości są straszne. Luftwaffe bombarduje angielskie lotniska. Churchill nazywa to bitwą o Anglię: mówi, że bitwa o Francję się skończyła, a bitwa o Anglię się zaczęła. Evelyn słucha ze mną, choć nie wiem, czy coś rozumie. Czasem, kiedy słucha, twarz jej wiotczeje i zaczynają po niej spływać łzy. Tak łatwo poddaje się emocjom, jakby z upływem lat jakiś mechanizm obronny, który miała w sobie, jakaś zewnętrzna chroniąca ją skorupa wytarły się i zużyły.

– To straszne, Vivienne – tak mówi.

– Tak, obawiam się, że tak – odpowiadam jej. – Ale nie możemy tracić nadziei. – Nie wiem, czemu to mówię, skoro sama ją straciłam. Czasem wieczorami słyszymy, jak nazistowskie bombowce nadlatują znad Francji, a potem ich myśliwce startują z lotniska na Guernsey, aby eskortować bombowce do Anglii. Kiedy je słyszymy, pewnie wszyscy odmawiamy szybką, żarliwą modlitwę za załogi naszych samolotów, które im wylecą naprzeciw – nawet ci z nas zwykle się niemodlący. Czy uda im się odeprzeć

Luftwaffe? Jak długo zdołają opierać się atakom na Anglię? Ile czasu zostało, zanim Hitler przeprawi się przez kanał? Wiemy, że prędzej czy później musi do tego dojść. To tylko kwestia czasu.

Często myślę o Eugenie, zastanawiam się, gdzie stacjonuje jego dywizja, modłę się o jego bezpieczeństwo. Ale gdy o nim myślę, wydaje mi się, że to ktoś prawie obcy. Powtarzam sobie, że to dlatego, że teraz jest tak daleko i że nie dostajemy żadnych listów ani wiadomości o naszych mężczyznach. Większość kobiet, których mężowie są na wojnie, musi się tak czuć – mieć to poczucie oddalenia, separacji. Nie do końca przyznaję, nawet w skrytości swoich myśli, że podobnie było, kiedy tu mieszkał. Kiedy siadywał przy stole podczas śniadania odgradzony ode mnie gazetą, jakbym była dla niego nikim, jakbym nie istniała. Kiedy mówił: *Dzisiaj mamy próbę, nie czekaj na mnie, mogę późno wrócić...* Takim swobodnym i beztroskim tonem, a przecież wyczuwałam, że pod powierzchnią jego słów krążą złowrogo rekiny. Kiedy kładł się ze mną do łóżka i odwracał plecami, nigdy mnie nie dotykając. Nie chcę przyznać, że byliśmy sobie obcy na długo, zanim wyjechał.

MAM WRAŻENIE, ŻE Millie właściwie nie przejmuje się okupacją, choć czasem słyszę, jak beszta swoją szmacianą lalkę: *Jeśli będziesz niegrzeczna, powiem nazistom. A jak im powiem, to przyjdą i zbombardują cię na kawałeczki.* Ale Blanche nadal jest nieszczęśliwa, że nie wsiadłyśmy na statek. Spędza zbyt dużo czasu w swoim pokoju. Najczęściej słucha płyt Irvinga Berlina, ale kiedy któregoś dnia tam wchodzę, po prostu siedzi, skubiąc wystrzępioną nitkę w mankiecie – nie robiąc nic, tylko wpatrując się tępo przed siebie. Czuję ukłucie smutku, żal mi tego wszystkiego, co omija ją przez okupację – że nie stroi się, nie jest zapraszana na kolacje, że nie dostaje kwiatów, nie uczestniczy w tej całej zachwycającej grze, jaką są zaloty. Martwię się o nią. Czasami prawie chciałabym, żeby znowu była mała, jak Millie. Kiedy dzieci są małe, wszystko jest takie proste: wystarczy kupić im słodką bułeczkę lub trochę anyżkowych kulek i będą zadowolone.

Któregoś dnia pod koniec sierpnia Blanche robi dla mnie zakupy w sklepie spożywczym pani Sebire na głównej ulicy w pobliżu lotniska. Wraca do domu z błyskiem w oczach, z rozwianymi włosami, z szerokim uśmiechem na twarzy: wszystko w niej się uśmiecha.

– Mamo. Nigdy nie zgadniesz, co się stało. Pani Sebire zapytała, czy nie chciałabym pracować w jej sklepie!

– I co odpowiedziałaś?

– Tak. Oczywiście powiedziałam tak. Zgadzasz się, prawda? Była naprawdę zadowolona. Mówiła, że od kiedy jej córka odpłynęła statkiem, trudno jej sobie poradzić i że jest pewna, że się do tej pracy świetnie nadaje.

– To wspaniale – mówię jej.

Nie o tym dla niej kiedyś marzyłam. Kiedy Blanche była młodsza, zanim zaczęła się wojna, miałam nadzieję, że pojedzie się kształcić na kontynent – może zostanie nauczycielką. Ale na razie, dopóki wszędzie panuje chaos, ta propozycja pracy to błogosławieństwo.

Twarz Blanche promienieje; jej błękitne jak hiacynty oczy lśnią.

– Będę teraz jak Celeste, prawda, mamó? – dopytuje się.

Dla Blanche praca Celeste w sklepie z zegarkami pani Martel wydawała się zawsze szczytem atrakcyjności.

Będzie mi jej brakowało w domu w ciągu dnia. Evelyn wydaje się teraz taka krucha, taka zagubiona, że niekiedy boję się zostawiać ją samą z Millie. Ale wspaniale jest widzieć Blanche znowu szczęśliwą, a jej pieniądze z pewnością się przydadzą. Na razie jakoś sobie radzimy, chociaż ledwie, ledwie – mam trochę oszczędności, a Evelyn płaci część rachunków. Ale każdy pens się liczy.

Zaczyna pracę w poniedziałek. Wczesnie wstaje, zakłada wyprasowaną bawełnianą niedzielną sukienkę w drobną kratkę, przeciąga leciutko po wargach szminką, którą jej kupiłam. Wraca do domu zmęczona, ale zadowolona z siebie, przynosi torbę przejrzałych brzoskwiń, które pani Sebirie uznała za zbyt poobijane, by nadawały się do sprzedaży. Zjadamy brzoskwinie: są przepyszne.

– Cieszę się, że masz tę pracę – mówi Millie, słodki sok ścieka jej po brodzie.

Wszystkie się cieszymy.

WYSPA ZAPEŁNIA SIĘ żołnierzami. Kiedy pedałuję do St. Peter Port, aby wymienić książkę w bibliotece, zauważam wszędzie swastyki, a w Gaumont wyświetlają niemieckie kroniki filmowe, relacjonujące zwycięstwa nazistów. W sklepach jest dużo mniej jedzenia. Muszę stać w kolejce po chleb i nie ma słodczy dla dziewczynek, i nigdzie nie mogę znaleźć kawy. Kiedy wracam do swojego roweru, główną ulicą rusza niemiecka orkiestra dęta, maszeruje obok znajomych sklepów, mija panią du Barry i Bootsa. Bardzo mi się to nie podoba. Ale mimo wszystko te dźwięki poruszają mnie, jak zawsze muzyka wojskowa, niezależnie od tego, kto ją gra: mają w sobie jakiś

splendor, jakąś natarczywość, zawsze sprawiają, że serce zaczyna mi walić. Przyłapuję się na tym, że idę w takt, że moje ciało reaguje na ten rytm, a to mnie martwi, jakbym dawała na coś przyzwolenie.

W drodze powrotnej z miasta wstępuję do Gwen na farmę Elm Tree.

Siadamy przy jej szerokim wyszorowanym stole. W kuchni pachnie pieczeniem, takim ciepłym i przyjaznym jak ramiona, którymi ktoś cię obejmuje. Na stole w białym porcelanowym dzbanuszkowi stoi groszek pachnący; kwiaty przekwitają i dzbanuszek stoi w kałuży jedwabistych opadłych płatków.

Pijemy herbatę i jemy domowe ciasto gâche Gwen, nadziewane sułtankami i kandyzowaną skórką i z cienką połyskującą cukrową skorupką wierzchu. Każda pani domu na Guernsey je robi i ja też się tego nauczyłam, kiedy tu przyjechałam, ale moje gâche nigdy nie smakowało ani w połowie tak dobrze jak ciasto Gwen.

Zlizuję z dłoni ostatni okruszek pachnącego cukru.

– Mmm. Jakie to dobre.

– Naciesz się nim, Viv – mówi Gwen. – Coś mi się zdaje, że już niezbyt długo będziemy je piec. Musiałam stać w kolejce po cukier. Wszyscy będziemy musieli zacisnąć pasa.

– Pewnie tak.

Tak naprawdę nie przemyślałam sobie tego, skąd będziemy brać jedzenie. Przecież z Anglii nie przyplływają żadne statki, a na naszej wyspie jest teraz dwa razy więcej ludzi.

– Pewnie będą musieli ściągać dostawy z okupowanej Francji – mówi Gwen. – Ale Niemcy wezmą to, co najlepsze, możesz być tego pewna. Ci, którzy mają trochę ziemi, to szczęściarze – natomiast ludzie w mieście będą cierpieć. Niczego ci nie zabraknie, Viv, skoro masz taki ładny duży ogród.

– Tak. Chyba powinnam do niego się zabrać.

Zastanawiam się nad wykopaniem róż i posadzeniem tam pasternaku. Robi mi się troszkę smutno.

Rozmawiamy o dzieciach. Opowiadam jej o pracy Blanche w sklepie pani Sebire i o brzoskwiniach.

– W czasach, które nas czekają, to będzie naprawdę dobre miejsce pracy – mówi Gwen.

– A co z Johnniem? Wiem, że się o niego martwiłaś – pytam.

– No cóż. Wiesz... – Uśmiecha się, ale nie oczami.

– Gwen, powiedz mi.

Gwen parska cichym, bezradnym śmiechem.

– Ty zawsze wiesz, co myślę, Viv.

Jej głos oplata nitką niepokoju. Czuję ukłucie strachu. Czekam, aż coś powie.

– Chodzi o to, że... że spędza strasznie dużo czasu z tym Piersem Fallą – mówi.

Czuję gwałtowny przypływ ulgi, że to nic gorszego. Piers Falla jest dziwnym, niezdarnym chłopakiem; pamiętam go z kościoła, kiedy był młodszy i chodził z rodzicami na nabożeństwa poranne. Myślę o jego twarzy drapieżnej jak u pustułki, o jego spojrzeniu, którym przewierca człowieka na wylot i jego zniekształconym ciele, o tym, jak powłóczy prawą nogą. Kiedy był mały, wpadł pod kosę; powiadają, że miał szczęście, że przeżył. Nie rozumiem, dlaczego jego przyjaźń z Johnniem miałaby tak martwić Gwen.

– Dziwny chłopak z tego Piersa. Mówiąc szczerze, nie za bardzo go lubię – stwierdza.

– Właściwie to nie za dobrze go znam – odpowiadam.

– Zbyt głęboko wszystko przeżywa – ciągnie Gwen. – Wydaje się za stary na swoje lata.

– Pewnie nie miał zbyt łatwego życia – wtrącam.

– Tak, trzeba mu współczuć, oczywiście. I wiem, że jest naprawdę wściekły, że nie mógł się zaciągnąć. To znaczy próbował, ale w ogóle nie rozważali jego kandydatury. Jest w odpowiednim wieku – odrobinę starszy niż Johnnie. Ale wystarczyło im raz na niego rzucić okiem. Johnnie mówił mi, że Piers był zrozpaczony.

– Tak. Biedny chłopak. Na pewno był...

Przez chwilę siedzimy w milczeniu. Mucha stuka o szybę z takim złowieszczym odgłosem, jaki wydaje wygotowujący się do sucha garnek.

Gwen się ocknęła z zamyślenia.

– Wiesz, co myślę, Viv – mówi. – Ta okupacja jest naprawdę trudna dla mężczyzn. Szczególnie dla młodych – jak dla mojego Johnniego i dla Piersa, którzy chcieliby pojechać i walczyć. Chodzi mi o to, że my, kobiety, po prostu robimy nadal to co zawsze, prawda? Pierzemy, gotujemy i tak dalej, wciąż wiemy, co powinnyśmy robić. Ale taka inwazja to dla mężczyzn coś okropnego. Już samo to, że musieli pozwolić, by tak się stało. Że nie mogli w żaden sposób temu zaradzić.

– Tak, musi im być ciężko.

Ale ja mieszkam w domu kobiet; nie widzę tego.

– Dlatego tak bardzo się martwię o Johnniego – ciągnie Gwen. – Te młode chłopaki, które tak pragną walczyć, a wszyscy utknęli tutaj i muszą czekać w nieskończoność. To gotowa recepta na kłopoty.

Słuchając jej, czuję się nieco zaniepokojona.

– Ale na pewno nic nie zrobią – mówię. – Jak by mogli? To taka mała wyspa, nie ma gdzie się ukryć. – Myślę o niemieckiej orkiestrze dętej maszerującej przez St. Peter Port, o swastykach, wszechobecnych Niemcach. – Chodzi mi o to, że tylu ich jest – wszędzie, gdzie się obrócić...

– Oczywiście, masz rację – odpowiada. – Pewnie jestem po prostu niemądra. Zrozumieją to, prawda, Viv?

– Bez wątpienia – zapewniam.

Ale kiedy jadę do domu, jestem niespokojna – mam takie niejasne przeczucie, jakby gdzieś w głębi mojego umysłu trzepotało się coś mrocznego.

Rozdział 16

BLANCHE NAKRYŁA STÓŁ do kolacji. Wszystko jest nieskazitelne. Wyciągnęła najlepsze płócienne serwetki i srebrne kółka do serwetek, które ona i Millie dostały jako prezenty z okazji chrztu. W kryształowym wazonie stoją róże z ogrodu.

– Co to za okazja? – pytam ją. – To znaczy, to uroczyste, co zrobiłaś, ale nie zdarza się zbyt często...

– Nie podoba ci się, mammo?

– Bardzo mi się podoba, wygląda ślicznie – stwierdzam. – Dziękuję.

Uśmiech Blanche jest pełen entuzjazmu i nadziei.

– Właściwie to jest pewna okazja – mówi mi. Głos ma jakiś taki przytulny – gładki jak wazelina. – Chciałam zapytać, czy może mogłabym wyjść dzisiaj wieczorem.

– Wyjść? Oczywiście, że nie. Nie po godzinie policyjnej. Oczywiście, że nie, Blanche. Co ty sobie wyobrażasz? – mówię.

– Chodzi o to, że... – Chwila wahania. – Będzie prywatka w Les Brehauts – podejmuje. Słyszę, że w jej głosie pobrzmiewa niepewność. – Celeste i ja zostałyśmy zaproszone.

Myślę o Les Brehauts, tym pobielonym domu Goubertów koło kościoła. Ma okna po obu stronach wejścia, jest dosyć okazała, wokół rozciągają się eleganckie trawniki obrzeżone pięknymi klombami i rosną szumiące topole. Kiedy ostatnio przejeżdżałam tamtędy na rowerze, widziałam tam niemieckich oficerów.

– Kto właściwie urządza to przyjęcie? – pytam. – Wydawało mi się, że pan i pani Goubert odpłynęli statkiem. Sądziłam, że Les Brehauts zostało zarekwirowane.

Blanche wciąga powietrze, jak ktoś, kto ma wskoczyć na głęboką wodę.

– No właśnie, mammo, zostało... Ktoś nas zaprosił. Powiedział, że to będzie miły wieczór. Będą tańce. Wiesz, jak kocham tańczyć. Co niby może się nam stać? – przekonuje mnie.

– Kim jest ten ktoś, Blanche?

Widzę, jak jej gardło porusza się, kiedy przełyka ślinę. Na policzkach

Blanche pojawiają się różowe plamy.

– Nazywa się Tomas Kreutzer – odpowiada.

– Kreutzer?

– Podoba mu się Celeste – pospiesznie ciągnie Blanche. – Przyszedł do jej sklepu i chciał oddać zegarek do naprawy.

Wpatruję się w nią, własnym uszom nie mogąc uwierzyć.

– Więc to Niemcy urządzają tę potańcówkę?

– Celeste mówi, że Tomas jest taki uprzejmy. Naprawdę, mamó. Nie zgadza się z tą wojną. Uważa, że Wielka Brytania i Niemcy powinny być sprzymierzeńcami, bo jesteśmy tacy podobni. Mówi, że nie jesteśmy jak inne rasy.

Nic nie odpowiadam.

– Zamierzał zostać nauczycielem angielskiego – podejmuje Blanche. – Przecież w tym nie ma chyba nic złego, prawda? To dobrze, prawda? Chcieć zostać nauczycielem? To nie jego wina, że do tego doszło, mamó.

Jestem zdumiona, że prowadzimy tę rozmowę.

– Blanche. Byłybyście poza domem po godzinie policyjnej. Mogliby was zastrzelić – mówię.

– Oczywiście, że nie. – Przepelnia ją to beztroskie poczucie pewności, które ma się w młodości i które każe wierzyć, że nic złego ci się nie może stać. – Tomas nas podrzuci – wyjaśnia. – Tomas twierdzi, że wszystko będzie dobrze. – Podchodzi blisko do mnie i chwytam mnie natarczywie palcami za nadgarstek. – Mamó. To tylko chłopcy i dziewczyny, którzy chcą się zabawić. To tylko prywatka. Co może być złego w prywatce?

– Nie, Blanche. Nie możesz iść.

– Chodzi o to, że Celeste beze mnie nie pójdzie. – Odchrząkuje. – Obiecałam jej, mamó. – Nagle zauważa, że może wypróbować pewien nowy argument, że może odwołać się do moralności nakazującej dotrzymywać obietnic. – Powinnam dotrzymać słowa, prawda? Zawsze mówiłaś, że to ważne...

– A jak na to wszystko zapatruje się matka Celeste? – pytam.

– Zgadza się. Na pewno – mówi Blanche. – Wiem, że się zgodzi. Przecież nie mamy teraz za dużo rozrywek w życiu, prawda?

– Blanche. To oczywiste, że nie możesz iść. Jestem zdumiona, że o to prosisz. Naraziłabyś się na niebezpieczeństwo. Koniec dyskusji.

Blanche widzi teraz, że nie zmienię zdania. A ja widzę, jak jej oczy płoną wściekłością.

– Nigdy mi na nic nie pozwalasz. – Głos ma ostry i nieprzyjemny. – Traktujesz mnie jak niemowlę.

– Sytuacja jest trudna, Blanche. Wiesz o tym. Nie możemy po prostu robić tego, co chcemy.

– Mam teraz pracę, mam. Nie możesz traktować mnie, jakbym nadal miała trzy lata.

– Blanche. Na miłość boską, mamy wojnę.

– To jest twoja wojna – oświadcza – To nie jest nasza wojna. Ta głupia, głupia wojna...

– Cóż, musimy z tym żyć – mówię.

Kątem oka spostrzegam Millie – stoi w drzwiach z otwartą buzią, zafascynowana, przerażona.

Oczy Blanche miotają iskry.

– Nie musiałyśmy z tym żyć – wyrzuca z siebie. – Nie musiało tak być – mogłyśmy wsiąść na statek. Byłoby zupełnie inaczej, gdybyśmy tylko popłynęły tym statkiem. Miałabym wtedy jakieś życie.

Jej słowa boją, ponieważ jest w nich prawda. Pewnie powinnyśmy były popłynąć. Wszyscy bezpiecznie dotarli do Weymouth. Może byłam tchórzem. Może powinnam była wykazać się większą odwagą. Wszystko jakoś wydarzyło się tak szybko – droga się nagle rozwidła i wybierasz tę, a nie tamtą ścieżkę, a potem już nie ma odwrotu.

– Blanche, zdecydowałam najlepiej, jak potrafiłam. – Chcę, by zrozumiała, chcę się przed nią usprawiedliwić.

– Ale to nie była słuszna decyzja, mam. Co to za życie, to zamknięcie tu, na Guernsey?

– Staram się, żebyśmy wszystkie były bezpieczne – odpowiadam.

– Nic więcej cię nie obchodzi, prawda? Tylko bezpieczeństwo. – Jej oczy przypominają niebieski płomień, jakim pali się gaz. – Nie obchodzi cię, żeby żyć... Nie możesz trzymać mnie tu w zamknięciu na zawsze. To jest moje życie i ja będę nim kierować.

– Blanche...

– Nienawidzę tej głupiej, głupiej wojny. – Po policzkach strumieniem spływają jej łzy. – To tylko prywatka – mówi.

Wbiega po schodach na górę.

KOLACJA STOI NA nieskazitelnie przygotowanym stole, ale Blanche nie wychodzi ze swojego pokoju. Pukam do jej drzwi, ale ona odpowiada Idź sobie. Jej głos brzmi tak, jakby nadal płakała; jest zduszony od łez. Postanawiam

zostawić ją na trochę i pozwolić, by zeszła na dół, kiedy będzie gotowa.

– Nie ma Blanche – mówi Evelyn.

– Nie najlepiej się czuje – odpowiadam.

Cieszę się, że Evelyn nie słyszała tej kłótni. Wiem, że gdyby ją usłyszała, udzieliłaby mi wielu rad: że tej dziewczynie przyda się porządna reprimenda, że nie powinnam pozwolić jej się odszczekiwać, że dzieci potrzebują surowej dyscypliny, muszą wiedzieć, jakie jest twoje stanowisko.

Millie rzuca mi konspiracyjne spojrzenie spod rzęs. Dzisiaj przy stole zachowuje się idealnie; z nabożeństwem odgrywa rolę aniołka. Rozkoszuje się tą niezbyt jej znaną rolą grzeczniejszej córki.

Po kolacji czytam jej na dobranoc bajkę o dziewczynie, która wyszła za stwora tak brzydkiego jak jeź, a on wieczorem zrzucił płaszcz z kolców i stał się przystojnym mężczyzną. Zawsze uwielbiałam tę bajkę, ale czytam mechanicznie, nie bardzo świadoma znaczenia słów. To, co powiedziała Blanche, nie daje mi spokoju: *Nic więcej cię nie obchodzi, prawda? Tylko bezpieczeństwo. Nie obchodzi cię, żeby żyć...* Zastanawiam się, czy nie ma racji – czy to jakaś moja wada – przypominam sobie, jak zaraz po przyjeździe na Guernsey skwapliwie podporządkowywałam się tutejszym ograniczeniom, prostocie tutejszego życia, zadowalając się spokojnym życiem w tych ustronnych dolinach, z moimi różami i moim pianinem, i moimi tomikami wierszy. Zawsze było we mnie coś, co pociąga odosobnienie, życie w niewielkim zamkniętym pokoju. Jestem taka nieśmiała, taka nieufna wobec obcych – jakbym musiała się chronić przed innymi ludźmi, bronić się przed nimi. Ale gdzieś w głębi duszy wiem, że choćbym jak najchętniej do tego odizolowanego pokoju weszła, szybko stałby się on więzieniem.

Blanche nie schodzi na dół, żeby tak, jak zwykle to robi, jednym uchem słuchać bajki i przerzucać stare wydania „Vogue’a”.

Wysłuchuję pacierza Millie, utulam ją do snu i podchodzę pod drzwi Blanche. Tym razem wejść do środka i z nią porozmawiam, niezależnie od tego, co powie. Nienawidzę nieporozumień między nami. Marzę o tym, żebyśmy się pogodziły teraz, kiedy miała już czas ochłonąć.

Pukam do drzwi, ale nikt nie odpowiada.

– Blanche?

Uchylam drzwi, ponownie wypowiadając jej imię. Na mój głos odpowiada milczenie.

Wchodzę do pokoju.

O Boże. Nie.

Pokój jest pusty, serce zaczyna mi gwałtownie walić na widok otwartego na oścież okna. Da się tamtędy wygramolić, zejść na dach szopy, a stamtąd na dół do ogrodu i opuścić dom tak, by nikt nie zauważył.

Nie mogę uwierzyć, że tak zignorowała mój zakaz. Jestem na nią taka zła, tak się o nią boję.

Rozdział 17

PULS MI PRZYŚPIESZA; przepęlnia mnie rozpaczliwa energia. Potrafię myśleć tylko o tym, że muszę ją znaleźć i przyprowadzić z powrotem, i zatrzymać ją tu, gdzie jest bezpieczna. Evelyn i Millie obydwie już leżą w łóżkach; mogę je zostawić. Zaczyna się ściemniać, cienie w kolorze sepii zbierają się w kątach wokół domu i przypomina mi się, co powiedział kapitan Richter: *Wie pani o godzinie policyjnej? Proszę nie stawiać nas w trudnej sytuacji...* Widzę jego surowe usta, wąskie jak cięcie brzytwy. Ale odpycham od siebie tę myśl. Mogę przejść polami do Les Brehauts i nikt mnie nie zobaczy. Znajdę ją i przyprowadzę z powrotem do domu.

Przechodzę przez dróżkę i idę przez sad, potem wzdłuż lasu. Po drugiej stronie pola należą do Petera Mahy. Idę wąską ścieżką prowadzącą przez jego ziemie. Niebo ma kolor soczystej ultramaryny, a nieocienione kawałki pola wydają się w półmroku wyblakłe i wyprane z koloru. Króliki, które śmigają i pomykają tu i tam, są zupełnie czarne, jakby wycięte z mroku, a cień opływa rozwalającą się stodołę Petera jak wody głębokiej sadzawki.

Kiedy dochodzę na pole poniżej Les Brehauts, słyszę muzykę rozlewającą się po cichej ziemi jak rozwijająca się bela jasnego jedwabiu. *I've got you under my skin.* Zaskakuje mnie, że oni, ci ludzie, z którymi jesteśmy w stanie wojny, słuchają tej samej muzyki co my. Jakoś się tego nie spodziewałam.

Poniżej Les Brehauts jest kuta żelazna furtka w żywopłocie, która prowadzi do ich ogrodu. Patrzą na długie zbocze trawnika podchodzącego na tyłu domu, do tarasu i eleganckich oszklonych drzwi. Wślizguję się przez furtkę, przechodzę cicho przez ogród pomiędzy rabatami z bylinami; dalej zwieszają swoje ciężkie głowy, wyblakły w mroku do koloru mleka. Spowijają mnie wonie ogrodu.

Przystaję u stóp tarasu. Z tego miejsca mogę zajrzeć do środka: zasłony zaciemniające zostały dosyć niestarannie zaciągnięte. Wpatruję się w jasno oświetlony pokój. To ten duży salonik na tyłach domu. Pani Goubert zwykle zapraszała tu całe zgromadzenie po nabożeństwie z kolędami w Boże Narodzenie na jabłkowe gâche i grzane wino, i rozmowy o sprawach wyspy. Pokój wygląda zupełnie inaczej – zwinięto dywan, a wszystkie meble

odsunięto pod ściany, aby powstał parkiet do tańca. Na kredensie stoją butelki bordo i wystawnie błyszczące delikatne kryształowe kieliszki. Kilka par tańczy. Wszyscy mężczyźni to Niemcy w mundurach, dziewczyny wszystkie są z wyspy. Jeden z mężczyzn nakręca gramofon. Widzę Celeste, tańczy charlestona z jakimś wysokim Niemcem: domyślam się, że to musi być Tomas, jej chłopak. Celeste ma na sobie sukienkę w soczystym ekstrawaganckim kolorze chabrów, uszytą z jakiegoś lśniącego materiału, który kołysze się w rytm jej ruchów i pobłyskuje w świetle. Czoło dziewczyny lekko połyskuje od potu; wszystko w niej promienieje. Przez chwilę nie mogę znaleźć Blanche, potem zauważam ją przy pianinie, które zostało odsunięte na bok. Rozmawia z jakimś silnie zbudowanym młodym mężczyzną, który wpatruje się w nią uważnie. Ma na sobie swoją taftową sukienkę, jedną z dwóch par porządnych pończoch i ulubiony koralowy naszyjnik, a jej usta są bardzo czerwone: posłużyła się szminką, którą jej kupiłam. Trzyma kieliszek wina, chociaż nie jest przyzwyczajona do alkoholu. Od czasu do czasu popija wino małymi szybkimi łyčzkami, przesuwając palcem w górę i w dół po nóżce kieliszka. Ma wypieki na twarzy i przestraszona i szczęśliwą minę. Przypomina mi sarenkę, która może się spłoszyć i odbiec.

Staram się wyobrazić sobie, że wchodzę i mówię jej, że musi wracać do domu. Widzę, że się myliłam, sądząc, że mogę to zrobić – że powinnam tak zrobić. Uświadamiam sobie, że ulotniła się ze mnie cała złość i strach. Czuję się trochę głupio, że w ogóle tak myślałam. Przyglądam jej się jeszcze przez chwilę z takim uczuciem, jakby spadła na mnie sieć rybacka i mnie oplątała – z uczuciem dezorientacji, słodko-gorzkim, trochę jak żal, ale nie całkiem. Oczy nabiegają mi łzami. W głowie słyszę jej słowa: *Nie możesz trzymać mnie tu w zamknięciu na zawsze. To jest moje życie i ja będę nim kierować.* Wiem, co to za chwila – chwila, przed którą staje każda matka. To moment, w którym moja córka mnie opuszcza, kiedy wkracza w nurt, wchodzi we własne życie. A sytuacja pod tak wieloma względami jest naganna: to otoczenie – okupacja, wojna. Ale mimo wszystko to musi się stać. Od teraz ona musi podejmować własne decyzje. Wiem, że muszę jej pozwolić odejść, że nie mogę jej zatrzymywać, nie powinnam.

W pokoju mężczyzna klęka obok gramofonu, by zmienić płytę. Znowu Cole Porter: *Night and day*. Na parkiet wychodzą następne pary, chociaż Blanche nadal rozmawia z tym młodym mężczyzną przy pianinie. Jeszcze przez chwilę przyglądam się tańczącym. Jeśli przymknę oczy, pokój zmienia

się w szaloną olśniewającą plamę, kalejdoskop kolorów. Już nie widzę mundurów wroga ani tego wszystkiego, co stanowi dysonans – już tylko tańczą ze sobą młodzi mężczyźni i kobiety.

Cicho wracam przez ciemniejące łąki, muzyka gra mi w głowie. Nade mną wschodzi księżyc, a nocny wiatr w liściach drzew jest jak jedno przeciągłe westchnienie.

Rozdział 18

WCHODZĘ DO MOJEGO SADU między ciche stare drzewa, których gałęzie już uginają się pod ciężarem pęczniejących owoców. Nareszcie jestem bezpieczna: nikt mnie tu nie znajdzie. Muszę jedynie przejść przez dróżkę i będę w domu.

– Pani de la Mare.

Nieoczekiwany głos w ciemnościach za mną. Żadnych kroków.

Jestem przerażona. Cały ten strach, którego staram się do siebie nie dopuścić, jednym susem dopada mnie z mroku.

Gwałtownie się odwracam.

– Pani de la Mare – powtarza męski głos.

To jeden z mężczyzn z Les Vinaires. Nie kapitan Richter, który ostrzegął mnie przed godziną policyjną. To ten drugi, ten, którego widziałam na dróżce, ten ze szramą. Pada na niego cień i nie widzę wyrazu jego twarzy. Teraz stoi, ale musiał siedzieć na pniu drzewa, kiedy go mijałam; dlatego go nie widziałam. Mrok zamazuje wszystkie szczegóły jego munduru.

– Och – mówię.

Przygryzam wargę, żeby przestała drzeć. Mam nadzieję, że nie widział, jak się wystraszyłam. Rozpaczliwie nie chcę, żeby o tym wiedział.

– Nie powinna przebywać pani na zewnątrz, pani de la Mare. Jest dziesiąta. Jest po godzinie policyjnej – stwierdza.

– Wiem. Bardzo przepraszam. Ale było coś, co musiałam zrobić – mówię.

Cała się trzęsę. Zastanawiam się, dlaczego on jest tu, w moim sadzie? Czy na mnie czekał? Te pytania mnie przerażają. Zmuszam się, by zaczerpnąć powietrza i wciągam do płuc całą chłodną słodycz nocy.

– Obojętne, co to było, mogło poczekać – mówi mężczyzna. – Są kary. Nie powinna pani o tym zapominać.

Wbijam paznokcie w dłonie, by powstrzymać drzenie. Myślę, że może jeśli mu wyjaśnię, to może wtedy nie będzie zły.

– Poszłam do Les Brehauts – zaczynam. – Na przyjęcie. Moja córka tam jest.

Nic nie mówi. Czeka. Dobiega do mnie odległy szmer wody w strumyku

w Blancs Bois i w strumyku, który płynie obok dróżki. I słyszę oddech tego mężczyzny i cichy odgłos, kiedy odchrząkuje.

– Szłam przez pola – ciągnę – i sądziłam, że nikt nie zauważy. – Nie będę wyjaśniać, może nie potrafiłabym wyjaśnić, co się stało. – Chciałam zobaczyć, gdzie jest. Chciałam sprawdzić, czy jest bezpieczna. – Słowa płyną ciurkiem; głos mi drży, zrobił się piskliwy.

– Pani córka Blanche? – pyta on.

– Tak.

Czuję się zakłopotana, że zna jej imię, jakby było czymś, co nam ukradł. Ale to oczywiste, że musiał nas zauważyć, musiał słyszeć, jak się do niej zwracam, kiedy wyglądał na nasze podwórko z okna w Les Vinaires. Na myśl o tym, że się nam przyglądał, ogarnia mnie niepokój. Zastanawiam się, czego jeszcze się o nas dowiedział.

Sad wokół nas zalewa białe surowe światło księżyca; pod drzewami panuje głęboki mrok, powycinany na brzegach w ostre cienie liści. Nie widzę wyrazu jego twarzy i nie sądzę, aby on widział mój. Gdy odwraca się do mnie, jego cała twarz kryje się w cieniu.

– Nie musi pani o nią się martwić. Któryś z chłopaków podrzuci ją pod koniec wieczoru – uspokaja mnie.

Czuję na sobie jego wzrok.

– Chodzi o to, że ona ma dopiero czternaście lat – mówię. – Nie byłam zadowolona z tego, że tam idzie. Nie powinna była. – Potem zastanawiam się, czemu to powiedziałam. Czemu ujawniam przed nim swoją słabość, to, że córka mnie nie posłuchała. – Chciałam tylko sprawdzić, czy z nią wszystko w porządku... – Mój głos cichnie, zamiera.

– I co pani zobaczyła w Les Brehauts? – pyta mężczyzna.

Zastanawiam się, co właściwie zobaczyłam? Myślę o Celeste w jej chabrowej sukience, promieniejącej tym całym blaskiem; o Blanche opierającej się na pianinie, zarumienionej, lekko przestraszonej; o wszystkich tych młodych mężczyznach w mundurach. O tym, ile w tym uroku, ile niestosowności. Wszystkie te myśli kłębią mi się po głowie, dezorientując. Milczę.

– Mam nadzieję, że nie zobaczyła pani nic nadmiernie niepokojącego. – W jego głosie słychać rozbawienie.

– Tańczą – mówię głupio.

– Stefan ma dużo płyt gramofonowych – dodaje on. – Lubi Cole'a Portera. Zauważam, że mówiąc przy mnie o tym mężczyźnie, używa jego imienia.

Nie nazwiska, i nie jego rangi. To nie przypadek: wiem, że z jego strony to swego rodzaju ustępstwo.

– Może papierosa? – pyta.

Wyciąga paczkę gauloises'ów i mnie częstuje. Ten gest mnie zaskakuje. Potem przychodzi mi na myśl, czy gdybym miała kłopoty, to by mnie częstował? Może nie zrobi nic zbyt okropnego.

Waham się. Wiem, że nie powinnam niczego od niego przyjmować. Ale tu, w tym mrocznym sadzie, wydaje się to bez znaczenia. To tylko papieros. Ręce nadal mi drżą, gdy go biorę, i wiem, że on to widzi.

Wyciąga zapalniczkę i nachyla się w moim kierunku; jego twarz jest blisko mojej. Czuję słaby zapach całego dnia – wyprawionej skóry, potu, zadymionych pokoi, w których przebywał. Mężczyzna stula dłonie, osłaniając płomyk przed wiatrem. W blasku ognia jego skóra na chwilę robi się zaskakująco czerwona. Widzę poskręcane żyły, jasne włoski na grzbietach dłoni.

Zazwyczaj palę craven A. Zaciągam się i zaczynam kaszleć jak dziewczynka. Jestem zażenowana.

– Za mocne dla pani? – pyta.

– Nie. W porządku – odpowiadam.

Jestem wdzięczna za smak tytoniu na wargach, na języku. Między nami unosi się dym jak oddech w mroźny poranek.

– Pani mąż bierze udział w walkach, pani de la Mare? – pyta.

– Tak.

– Ja też jestem żonaty i mam jednego syna – opowiada. – Hermanna. – Jego głos mięknie, łagodnieje. Słyszę w nim czułość. Jestem zdziwiona, że tak wiele mi mówi. – Też bierze udział w walkach. Jest w Luftwaffe. Ma siedemnaście lat, zaledwie trzy lata więcej niż Blanche.

– W takim młodym wieku już walczy? Zawsze mi się wydawało, że siedemnaście lat to bardzo młody wiek – mówię.

– Tak, bardzo – zgadza się.

– Musi być pan z niego bardzo dumny – kontynuuję bez zastanowienia. Zawsze tak reaguję, kiedy ktoś mówi o synu w wojsku. I nagle uderza mnie bezdenne głupota mojej wypowiedzi. Ten jego syn – ten, którego tak bardzo kocha, że głos mu łagodnieje, kiedy wymawia jego imię – ten syn bombarduje nasze lotniska. Czuję, że w jakimś sensie zawiodłam. On patrzy na mnie, jakby starał się wyczytać z mojej twarzy, o czym myślę.

– Tak, jestem z niego dumny – powtarza. – Wszyscy jesteśmy dumni

z naszych dzieci, prawda, pani de la Mare?

– Prawda.

Mężczyzna nieco się przesuwa. Słyszę skrzypienie jego butów, kiedy się rusza, i trzask suchych liści jabłoni pod podeszwami. Wokół nas przemyka nietoperz, zbyt mały, aby dało się go wyraźnie zobaczyć, nieuchwytny jak na wpół uformowana myśl.

– Kiedy ostatni raz widziała pani męża? – pada pytanie.

– Zaciągnął się we wrześniu – odpowiadam. – Był w domu na przepustce kilka miesięcy temu. Ale nie sądzę, abym miała go teraz znowu zobaczyć – dopóki nie skończy się wojna.

– Musi pani za nim tęsknić.

– Tak.

Nabieram powietrza, jakbym chciała coś jeszcze powiedzieć, ale nic nie mówię.

Czuję, że on przypisuje mojemu wahaniu jakieś znaczenie. Cisza zalega między nami, zaczynam jej się bać. Chcę, muszę ją przerwać; ale nie wiem, co powiedzieć. Nic nie wydaje mi się bezpieczne.

– To skomplikowane czasy – stwierdza mężczyzna. – Dla nas wszystkich.

– Tak – potwierdzam. – Tak, są skomplikowane. – Z wdzięcznością.

Na chwilę oświetla go księżyc i widzę bliznę na jego twarzy. Ukradkiem nachodzi mnie myśl – takie zaskakujące zaciekawienie, jaka ta blizna może być w dotyku? Kiedy o tym myślę, jest tak, jakbym mogła wyczuć ją pod opuszkami palców, tę odmienną fakturę w miejscu, w którym skóra jest delikatna i błyszcząca, i napięta. Przeszywa mnie pożądanie – tak bardzo nie na miejscu, tak bardzo naganne, że dech mi w piersiach zapiera. Wokół nas strumienie krzyczą setkami małych głosów.

– Nazywam się Gunther Lehmann. Powinna pani zwracać się do mnie Gunther – przedstawia się mężczyzna.

Jakbyśmy kiedyś jeszcze mieli z sobą rozmawiać. Ale tak nie będzie, mówię sobie. Więcej to się nie powtórzy.

Wiem, że oczekuje, że podam mu swoje imię. Ale już i tak za dużo mu zdradziłam.

– Muszę iść – mówię.

– Tak. Oczywiście – odpowiada.

Zostawiam go tam z papierosem pod moimi jabłonkami. Czuję na sobie jego spojrzenie, gdy idę dróżką, która w świetle księżyca lśni jak rzeka. Własne ciało wydaje mi się niezdarne, obce, jakby ktoś je źle poskładał.

Przechodzę przez furtkę i z wdzięcznością zanurzam się w znajomym mroku mojego domu.

SIEDZĘ W KUCHNI i czekam na Blanche. Nie zapalam światła, po prostu tam siedzę. Blask księżycy wślizguje się do pokoju i w jego chłodnej bieli zwykle rzeczy wyglądają na zmienione, nierzeczywiste.

Po chwili słyszę powolne kroki mężczyzny przechodzącego przez drogę i skręcającego za róg do furtki w Les Vinaires. Zastanawiam się, o czym on myślał przez ten cały czas, kiedy stał tam, paląc, w moim oświetlonym księżycem sadzie.

W końcu słyszę samochód zatrzymujący się na drodze. Słyszę wesołe *Dobranoc* Blanche i trzaśnięcie drzwiczek samochodu. Blanche wchodzi do środka po cichu, zdejmuje buty przy drzwiach, bezszelestnie je odstawia. Nie widzi mnie.

– Blanche.

Odwraca się, wzdryga. Jakby bała się, że ją uderzę, choć nigdy tego nie robiłam.

Zapalam światło. Blanche mruga, oślepiona nagłą jasnością.

– Nie powinnaś była iść, kiedy ci tego zabroniłam – mówię. – Źle postąpiłaś.

Przytakuje. Nic nie mówi. Ma zakłopotany wyraz twarzy. Sprawy nie układają się dokładnie tak, jak się spodziewała.

– Czy potańcówka się udała? – pytam ją.

– Było całkiem miło – odpowiada ostrożnie. Wyczuwam wino w jej oddechu i unoszącą się wokół niej mgiełkę zapachu francuskich papierosów. Jej ruchy są swobodne i płynne, oczy błyszczące, usta i zęby zabarwione od wina na ciemny kolor morwy. – Trochę śmiesznie było rozmawiać z niemieckimi chłopcami – mówi.

– Tak – mówię. – Rozumiem, że mogło być.

– Chociaż myślę, że do tego można się przyzwyczaić – ciągnie. – Po jakimś czasie przestaje się to wydawać dziwne.

Nic nie mówię.

– Poznałam kolegę Tomasa, ma na imię Karl – opowiada Blanche. – Pochodzi z Berlina. To smutne, opowiedział mi, jak zginęła jego mała siostrzyczka. To było podczas nalotu bombowego. Pokazał mi jej zdjęcie i nie mogłam uwierzyć, że ona nie żyje. Miała takie małe warkoczyki... – Blanche przesuwając ręką po twarzy, ostrożnie, jakby własne rysy mogły ją zaskoczyć. – Starał się nie płakać, gdy mi to mówił – kontynuuje.

– Blanche, masz nigdy więcej nie wychodzić, jeżeli mnie nie uprzedzisz – stwierdzam.

– Dobrze – zgadza się. – Tak, wiem. Przepraszam.

– Muszę wiedzieć, gdzie jesteś. Jeśli ponownie będziesz chciała iść na jedno z takich przyjęć, porozmawiamy o tym.

– Dobrze – odpowiada. – Tak, oczywiście.

Odwraca się, zależy jej, by dotrzeć do swojego bezpiecznego pokoju, dopóki ja wciąż jestem w pojednawczym nastroju.

ZANOSZĘ EVELYN PORANNĄ HERBATĘ i grzanekę. Siedzi w łóżku, czeka, w swojej lizescie w kolorze herbacianej róży. Plecy ma proste jak struna, a minę triumfalną; nie może się doczekać, żeby mi coś powiedzieć.

– Ktoś wrócił wczoraj późnym wieczorem. Mały ptaszek mi powiedział – zaczyna.

Od razu wyobrażam sobie, że widziała mnie i kapitana Lehmana w sadzie. Zalewa mnie poczucie winy.

– Ktoś bardzo późno przyjechał. Słyszałam samochód na dróżce... Nie dziwię się, że masz zmartwioną minę, Vivienne.

Nagle uczucie ulgi. Pokój Evelyn wychodzi na drogę; być może samochód ją obudził.

– Blanche wychodziła – mówię jej. – Zaprosili ją na potańcówkę. Jest młoda, potrzebuje się wyrwać z domu.

– Mam nadzieję, że nie robiła tego, czego nie powinna – stwierdza moja teściowa.

Uśmiecham się na ten staroświecki zwrot.

– Jestem pewna, że nie – odpowiadam. – Poszła z Celeste, swoją najlepszą przyjaciółką. Wiesz, jak Blanche uwielbia tańczyć.

Evelyn przez chwilę milczy. Potem oczy robią jej się jakieś szkliste. Umknął jej wątek rozmowy.

– Ktoś późno wczoraj wrócił – mówi, wracając do początku.

– Tak. Ale wszystko w porządku – zapewniam.

– Tak się wszystko miesza. Takie jest zagmatwane, Vivienne. Nie podoba mi się, że jest takie zagmatwane.

– Postaraj się nie martwić – proszę ją.

Podnosi filiżankę. Ma niepewną rękę: herbata w filiżance się trzęsie.

– Do czego to dojdzie, Vivienne? Gdzie to się skończy?

Na to nie mam odpowiedzi.

Rozdział 19

WYCHODZĘ PÓŹNIEJ NA PODWÓRKO i rzucając okiem na sad. Coś leży na pniu i błyszczy oślepiająco w porannym świetle. Przechodzę na drugą stronę, żeby sprawdzić, co to jest. To zapalniczka kapitana Lehmana, leży tam i skrzy się w słońcu.

Natychmiast zaczynam się martwić, że ktoś ją zauważy – jedna z moich córek, Evelyn lub ktoś, kto będzie tędy przechodził. Że ją znajda i zorientują się, że należy do niego, i że wszystkiego się domyślą, rozmowy i w ogóle. Nie mogę jej tak po prostu tam zostawić i czekać, aż po nią przyjdzie.

Biorę ją do ręki. Metal rozgrzał się na słońcu – prawie parzy. Kiedy patrzę, jak błyszczy w mojej dłoni, nagle przypomina mi się jego obecność, żywa i bezpośrednia. Widzę, jak prawą ręką trzyma zapalniczkę, a lewą osłania mego papierosa, chroniąc go przed wieczornym powietrzem, które mogłoby zgasić płomień. W wyobraźni niemalże wyczuwam lekki zapach jego bliskości. Widzę wdzięk w jego geście, żyły rysujące się pod skórą.

Wkładam zapalniczkę do kieszeni fartucha. Mówię sobie, że zaniosę ją do Les Vinaires i oddam ją tam któremuś z nich, żeby mógł mu ją przekazać. Że jakoś niedługo to zrobię.

Ale nie robię.

Rozdział 20

NA PODWÓRKU SŁYCHAĆ radosny dźwięk dzwonka rowerowego. To Johnnie.

– Dzień dobry, ciociu Viv.

Zawsze mówi do mnie ciociu, bo nasze rodziny są zżyte.

Jest chudy jak chart, ma niesforne włosy i wyraziste oczy swojej matki, brązowe jak kasztany. Za każdym razem, kiedy go widzę, wydaje się coraz bardziej męski – cień zarostu na brodzie, ramiona trochę bardziej kwadratowe – jednak jego twarz nadal jest ufną, zaciekawioną twarzą dziecka.

Ma dla nas torbę ziemniaków. Rzuca je na stół w kuchni i odgarnia sobie włosy z oczu. Jest pełen promiennej werwy.

– Prezent od mamy – oznajmia.

– Twoja mama jest aniołem – odpowiadam.

Proponuję mu kawę, chociaż w puszcze zostały już tylko resztki.

– Woda wystarczy – mówi.

Przynoszę mu szklanekę. Wychyla ją z wdzięcznością.

– No i jak tam na farmie? – pytam.

– Hodujemy króliki – to ostatnia nowina. Powinna ciocia spróbować. Chociaż moja mama nie jest zachwycona, jak trzeba je sprzątnąć – odpowiada Johnnie.

– Tylko żebyś nic o tym nie mówił Millie – proszę. – Nie pochwała zjadania niczego, co ma futerko. Byłaby przerażona tym, co wy wszyscy robicie.

Johnnie szczyrzy zęby, nos mu się marszczy. Uwielbiam patrzeć, jak wygląda, kiedy się uśmiecha.

– Mama mówiła mi, że Blanche ma pracę – mówi.

– Tak, u pani Sebire.

– Ona jest jak kot, ta Blanche – stwierdza Johnnie. – Zawsze spada na cztery łapy.

W jego głosie słyszeć podziw.

– Obyś miał rację.

Siedzimy w plamie wrześnieowego słońca. Rozkwita we mnie szczęście,

że moja kuchnia jest pełna słońca i ciepła i że Johnnie siedzi przy moim stole – że jest taki pełen werwy, że ma taki szeroki biały uśmiech i włosy, które spadają mu na twarz.

– No i jak, czy szwaby sprawiały wam jakieś kłopoty, ciociu Viv? – pyta.

Niewiele brakowało, a powiedziałabym mu o Niemcach mieszkających po sąsiedzku, ale coś mnie powstrzymało.

– Nie, tu wszystko w porządku – mówię ogólnie. – Mieszkamy w takim ustronnym miejscu. Niewiele tu do nas dociera.

Palce Johnniego tańczą po blacie stołu w niecierpliwym jazzowym rytmie, jakby siedział przy klawiszach; nigdy nie potrafi usiedzieć spokojnie.

– Jedno akurat mogę ci, ciociu, powiedzieć. Nie będziemy się potulnie na to godzić, ja i moi kumple. Nie pozwolimy, by nami pomiatali. Tego możesz być pewna, obiecuję – mówi.

Przypomina mi się to, co mówiła Gwen – ci młodzi mężczyźni pozostawieni bez możliwości stania się mężczyznami. Przechodzi mnie zimny dreszcz.

– Ale co możecie zrobić? – pytam. – Jest ich tylu. Co w ogóle można zrobić?

– Zawsze coś się znajdzie – odpowiada Johnnie. – Może nawet jakiś drobiazg. Trzeba robić, co się da. Tak uważamy my z Piersem.

Pamiętam, co Gwen mówiła o Piersie. *To dziwny chłopak. Jest zbyt poważny. Wydaje się za stary na swoje lata.*

– Nie znam go zbyt dobrze – mówię mu.

Johnnie zniża głos: przemawia teraz z konspiracyjnym przejęciem.

– Piers jest mądry... Piers na wiele pomysłów. Ma taki plan, żeby malować znaki V, jak to robią na Jersey. V jak zwycięstwo^{**}. Wymykamy się po godzinie policyjnej i wszędzie umieszczamy te znaki V.

– Ale co to da dobrego?

– Tu chodzi o morale, ciociu.

– Bądźcie tylko ostrożni – mówię mu. – Wiesz, jak twoja matka się o ciebie martwi.

Johnnie wzrusza ramionami. W jego oczach pojawia się niechęć. Czuję, że w jakiś sposób go zawiodłam, że jest mną rozczarowany, ponieważ nie podzielałam jego entuzjazmu. Jestem już tylko kolejnym pełnym dezaprobaty dorosłym – przestałam być jego przyjacielem.

– Jeszcze jedno, Johnnie. Mam nadzieję, dobrze schowałeś tę śrutówkę Briana – mówię.

Na wspomnienie Briana jego twarz robi się półprzezroczysta.

– Nie ma mowy, żebym się z nią rozstał. Ale nie pozwolę, by ją znaleźli – mówi. W jego głosie słyhać nutkę oporu – nie do końca odpowiada na moje pytanie.

Powiedziałam coś, czego nie powinnam była mówić.

– Johnnie, mówię serio – o tym żebyś był ostrożny – dodaje.

Robi drobny gest, jakby coś strzepywał.

– Zrobimy, co do nas należy. Przysporzymy im kłopotów. Człowiek robi, co musi, ciociu Viv – wyjaśnia.

– Ale mógłbyś wylądować w więzieniu. Lub gorzej.

Ignoruje moje słowa. Widzę, że nie jest to dla niego nic realnego. Pochyliła się ku mnie nad stołem, wyraziste, pełne zapału spojrzenie wbija w moją twarz.

– Powiem ci coś, ciociu. Jestem dość rozczarowany częścią mieszkańców wyspy – mówi.

Przyłapuję się na tym, że odwracam wzrok, nie patrzę mu prosto w oczy.

– Kręgosłupa nie mają niektórzy z tych, co tu mieszkają – kontynuuje. – Zbyt serdecznie witają szwabów, jeśli o mnie chodzi. Do stóp się ścielą.

Czuję palące wyrzuty sumienia. Przez kieszeń fartucha ciąży mi na udzie zapalniczka kapitana Lehmana, której jakoś nie udało mi się odnieść do Les Vinaires.

– Ale jest wśród nas sporo takich, którzy mają odpowiednie pomysły – stwierdza Johnnie. – Trzeba im trochę dokuczyć. Dopóki nie wygramy wojny.

Te słowa wiszą między nami w powietrzu, migotliwe i tęcze: ale nieważkie, efemeryczne, jak bańki mydlane rozwiewane przez wiatr. *Dopóki nie wygramy wojny.* Myślę o wszystkich kronikach filmowych, jakie widzieliśmy, o armii Hitlera prącej przez Paryż jak jakiś niepowstrzymany potop. Wyobrażam sobie, jak wmaszerowują do Londynu, idą ulicą Mall do pałacu Buckingham, dalej do Hyde Park Corner i Marble Arch. Tak wyraźnie to widzę. Przybyli tu na nasze wyspy, zrobili pierwszy krok na tej drodze, i to bez żadnego wysiłku. Taka jest przyszłość Brytanii – przyszłość pod okupacją. Wszyscy będziemy musieli nauczyć się to akceptować.

– Johnnie. – Słyszę, jak łamie mi się głos. – Naprawdę myślisz, że możemy wygrać? Tak w głębi serca? Mimo tego, co się stało?

Serdeczne ciemne oczy Johnniego utkwione są we mnie – takie ufne, oczy dziecka.

– Oczywiście, że tak myślę, ciociu. Ty lepiej też w to uwierz. Brytyjczyków nigdy się nie pokona. A dopóki nie wygramy – cóż, ja i Piers będziemy robić co w naszej mocy.

Patrzę na niego, gdy tak siedzi przy moim stole w gęstym jak syrop świetle słońca. Wciąż jest tylko chłopcem, niecierpliwym, lekkomyślnym. Pamiętam, jak miał sześć czy siedem lat i bawił się z Blanche w lesie: jak wspinał się na najwyższe drzewa, żeby się popisać, tak strasznie chciał jej zaimponować. I głównie tak rozumiem to jego gadanie o walce – że to jedynie chłopięca brawura – a szczególnie od śmierci brata. Stara się przeżyć życie za Briana, być tak odważnym jak jego brat. To w taki sposób chce unieść brzemień tego, że jest tym bratem, który przeżył.

Ale sporadycznie zastanawiam się, czy Johnnie nie ma czegoś, czego mnie brak. Czasami gdy jest ze mną, prawie mogę uwierzyć w to, że uda nam się wygrać.

– No cóż, na mnie już czas, ciociu.

– Wspaniale było cię zobaczyć, Johnnie.

Wychodzę za nim na podwórko, pełne wiatru i słonecznego światła, kilka żółtych liści z mojej gruszy kołuje nad ziemią. Lato przesypuje się w jesień. Jeszcze trochę, a wszystko zacznie się rozpadać w ostatniej zuchwałej zamieci koloru.

– Wiesz, co mnie denerwuje, ciociu? – pyta Johnnie, wsiadając na rower. – Kiedy się słyszy, jak ludzie gadają, że cieszą się, że nie jest gorzej – że szwaby są dla nas uprzejme – że nie jest tak źle, jak się obawiali. Niektórzy ludzie są prawie że wdzięczni... Ale wiesz, co myślę, ciociu Viv? Oni nawet jeszcze nie zaczęli. Ludzie myślą, że to już, że tak będzie. Ale ja myślę, że to dopiero początek.

Rozdział 21

NASTĘPNEGO DNIA PRZYGOTOWUJĘ ostatnią filiżankę kawy, wygrzebując resztecзки proszku z dna puszki. Kawa jest bardzo rozwodniona: tak naprawdę to jedynie gorąca woda o lekkim brązowym zabarwieniu. Zabieram ją do stołu przed domem. Będę udawać, że to prawdziwa kawa.

Jest kolejny uroczy wrześnieowy poranek. Mgiełka chmur łagodnie zasnuwa niebo, a wszędzie wokół mnie powoli tańczy jesień – przeplatają się w locie leniwe owady, liście zataczają kręgi, opadając z drzew. Przez otwarte drzwi słyszę, jak Millie się bawi. Wystawiłam dla niej na stół kuchenny domek dla lalek; to taka śliczna stara zabawka, która należała do Iris i do mnie, z błyszczącymi żyrandolami i skrawkami mory na ścianach. Millie nuci trochę ochryple jakąś niemelodyjną piosenkę i przestawia laleczki w pokojach. Pozwalam, aby spokój tej chwili otulił mnie jak koc. Przez chwilę jest tak, jakby okupacja w ogóle się nie wydarzyła.

Na dróżce słychać kroki. Z gruszy zrywa się gołąb z takim odgłosem, jakby ktoś coś rozerwał. Podnoszę wzrok. Kapitan Lehmann stoi przed furtką prowadzącą na podwórko; opiera na niej dłoń, by ją otworzyć.

– Czy można? – pyta.

Serce mi wali. Wiem, że muszę powiedzieć: nie. Powiem mu, że nie chcę mieć z nim nic do czynienia, że nasza rozmowa w mroku mojego sadu była jedynie odstępstwem od normy. Nie byłam sobą. Bałam się o Blanche. Wcale nie powinna była mieć miejsca...

– Tak, proszę – odpowiadam.

Kapitan wchodzi, cicho zamyka za sobą furtkę. Stoi przede mną i patrzy na mnie z namysłem. Są jeszcze trzy krzesła, ale nie proponuję mu, żeby usiadł – choć przez to czuję się niezręcznie, wydaje się to takie nieuprzejme. Kiedy siedzę, dociera do mnie to, jaki jest duży – raczej ciężko zbudowany i o tyle wyższy ode mnie. Ale w świetle dziennym wygląda inaczej, robi wrażenie mniejszego niż w oświetlonym księżycem sadzie. Włosy ma krótko przycięte, więc widać silny zarys jego czaszki; w słońcu te włosy wydają się jasnoszare. Zastanawiam się, ile może mieć lat.

Zaczynam się denerwować, nie wiem, po co przyszedł. Pamiętam nasze

wczorajsze poranne spotkanie z Johnniem, jak otwarcie rozmawialiśmy. Czy drzwi podczas naszej rozmowy były zamknięte? Zachowałam się nieostrożnie, nie pomyślałam, by sprawdzić, czy są porządnie zamknięte. Serce zaczyna mi łomotać w piersiach.

Kapitan Lehmann odchrząkuje.

– Przyszedłem pani powiedzieć, że mamy kawę – mówi.

– O.

Uśmiecha się na moją spłoszoną minę, lekkim krzywym uśmiechem.

– Max przywiózł trochę z Francji – za dużo. To bardzo dobra kawa – ziarnista. Może chciałaby pani trochę dla rodziny?

Myślę o tej kawie, wyobrażam sobie, jaka musi być pyszna. Z palonych ziaren, na sposób francuski. Czasem parzyłam taką, jeszcze przed wojną. Uwielbiam dobrą kawę. Wyobrażam sobie ten intensywny zapach i to, jak otaczający mnie świat staje się wyrazistszy, ostrzej zarysowany.

Potrząsam głową.

– To miłe z pana strony, ale nie, nie mogę tej propozycji przyjąć – odpowiadam.

Mam nadzieję, że udało mi się odpowiednio wyważyć moją odpowiedź – że byłam uprzejma, ale stanowcza. Od tej pory wszystko będę robić tak, jak należy. Johnnie przypomniał mi, jak się powinno zachowywać.

Kapitan Lehmann nic nie mówi. Milczenie między nami przeciąga się i mnie przeraża. Muszę coś powiedzieć, cokolwiek.

– Mówię poważnie. Nie mogę jej przyjąć. To byłoby nie w porządku – powtarzam. Ale może za bardzo protestuję.

Patrzy na mnie z zagadkowym grymasem na twarzy. Słońce dociekliwie na niego świeci, bada wszystkie szczegóły jego twarzy – zmarszczki na czole, poszarpaną bliznę na policzku. Jego oczy mają kolor gęstego szarego dymu drzewnego, dosyć melancholijny.

– Ale wydaje mi się, że lubi pani kawę – przerywa milczenie kapitan.

Mimo wszystko czuję się zaintrygowana.

– Czemu miałby pan tak sądzić? – pytam. I zaraz wiem, że nie powinnam była pytać – nie powinnam mu nic dawać, nie powinnam przedłużać tej rozmowy.

– Widziałem, jak wynosi ją pani tu, do stołu, na słońce – mówi. – Jak tuli pani filiżankę w dłoniach. To dla pani wyjątkowa chwila. Spokojna chwila.

Staram się zbyć jego słowa wzruszeniem ramion. Chociaż mówi prawdę.

– A to, jak sądzę, nie jest dobra kawa – dodaje, wskazując na moją

filizankę. Ma taki wyraz twarzy, że się uśmiecham, nie mogę nic na to poradzić. Takie pełne dezaprobaty spojrzenie, jakby moja kawa stanowiła dla niego osobistą obrazę. – To jedynie zabarwiona woda.

– Jestem do tego przyzwyczajona – mówię mu.

Potrząsa głową, prawie smutno.

– Ale mogłaby mieć pani coś o wiele lepszego. Czemu nie?

– Nie. Naprawdę. Nie chcę. Ale dziękuję...

Staram się siłą woli skłonić go do odejścia, ale on po prostu stoi i patrzy na mnie. Nie powinnam była się uśmiechać.

– Panie kapitanie. Mówię serio. Chyba nie powinniśmy tak ze sobą rozmawiać. Naprawdę uważam, że to nie w porządku.

Ale nie mogę dokończyć mojej starannie przygotowanej wypowiedzi. Kapitan błyskawicznie do mnie podchodzi i słowa zastygają mi na ustach. Przez jedną pełną przerażenia chwilę obawiam się, że mnie uderzy. Potem widzę, że strzepuje osę z mojego rękawa.

Na wpół zrywam się, żeby uciec przed osą i potracam stolik. Fartuch zaczepia o gwóźdź i wszystko, co mam w kieszeni wypada: kilka kłamek do bielizny, jedna z lalczek z domku Millie; jego srebrna zapalniczka. Patrzymy, jak zapalniczka spada i ląduje z cichym wyrazistym chrzęstem na żwirze. W zapadłej nagle ciszy ten odgłos wydaje się szokująco głośny.

Twarz mi płonie.

– No cóż, pani de la Mare – mówi kapitan z kpiącą powagą. – Coś mi się wydaje, że to należy do mnie.

– Zostawił ją pan w sadzie. – Mój głos brzmi piskliwie i naiwnie. – Zamierzałam ją zwrócić. Zamierzałam ją zanieść do Les Vinaires... – Jedno słowo goni drugie.

Podnoszę zapalniczkę i kładę ją na stoliku. Jakoś nie mogę mu jej podać. W ciszy, jaka nas otacza, słyszę najdrobniejsze dźwięki – sapliwą piosenkę Millie z kuchni, lekkiego jak liść wróbla, który wylądował na gałęzi drzewa. Wciąż czuję, w którym miejscu dotknął mojego rękawa, płomień muskający skórę.

Kapitan już ma coś powiedzieć, ale się rozmyśla. Wyciąga rękę i bierze zapalniczkę. Nie uśmiecha się, ale robi wrażenie zadowolonego.

– W takim razie do widzenia, pani de la Mare – mówi i odchodzi.

Dociera do mnie, że kawa, którą sobie zrobiłam, jest okropna. Zabieram ją do kuchni i wylewam do zlewu.

Rozdział 22

WIECZORAMI JEST TERAZ CIEMNIEJ. Wcześniej zaciągam zasłony, zapalam lampę. Z narożników pokoju cienie wyciągają ku nam swoje palce.

Czytam Millie nową bajkę. Siedzimy razem na kanapie, a Blanche rozłożyła się na podłodze ze swoimi pismami, lampa rzuca na nas światło jasne jak płatki, które opadają z kwiatu.

Ta bajka jest o żołnierzu, który wraca z wojny do domu. Myślę o bajce o tańczących księżniczkach, którą czytałam Millie w tamten wieczór, zanim prawie że wsiadłyśmy na statek: w tamtej historii też był żołnierz wracający do domu z wojny. W bajkach zawsze są wojny i mężczyźni, którzy wyjeżdżają na pole bitwy, a potem niektórym z nich – tym szczęśliwcom – udaje się wrócić do domu. W bajkach wojna to pewnik, to część życia równie normalna jak starzenie się czy marnienie ciała, jak burzowa pogoda. Wojna to coś, co robią mężczyźni – a powodów nigdy nie podają. Do tego powrót z wojny to przedłużająca się, trudna podróż. Wracając z pola bitwy, żołnierze doznają objawień i spotykają się z magią, jakby to, co przeżyli, otwierało ich na świat niewidzialny.

Millie wtula się we mnie. Słyszę cichutkie wilgotne mlaskanie, gdy ssie kciuk. Patrzy na rysunek; przedstawia on żołnierza idącego zwykłą bajkową drogą, która wije się z idealną symetrią w kierunku odległych błękitnych wzgórz. Nie widać twarzy żołnierza, ale widać, jaki jest znużony, tak dogłębnie znużony wojną. Całym sobą pokazuje, jak tęskni za spokojnym życiem. Można to wyczytać z jego przygarbionego, wyczerpanego ciała, z tego, jak powłóczy nogami.

Millie patrzy jak zahipnotyzowana, zawsze ma taką minę, kiedy jej czytam, prawie nie mruga.

– Ten żołnierz jest jak tatuś, prawda? Tatuś jest żołnierzem – odzywa się.

– Tak – odpowiadam.

– Gdzie on jest? – chce wiedzieć.

Zastanawiam się, jak bardzo ojciec jest dla niej rzeczywisty. Miała zaledwie trzy lata, gdy wyjechał.

– Nie wiem dokładnie, gdzie jest, kochanie. Nie dochodzą już do nas żadne

wiadomości, z powodu okupacji. Ale jestem pewna, że niezależnie od tego, gdzie jest, to o nas myśli.

– Cały czas mamusi? Czy myśli o nas cały czas?

To pytanie boli, taki tępy znajomy ból, jakby się naciskało siniaka. Jestem pewna, że Eugene myśli czule o swoich dzieciach; ale jeśli myśli o jakiejś kobiecie na Guernsey, to na pewno nie o mnie. W takich momentach zawsze jestem bardzo ostrożna – tak uważam, aby niczym nie zasugerować, że między nami nie układało się najlepiej. Tak staram się, żeby po moim głosie nie można było się zorientować, jacy byliśmy nieszczęśliwi.

– Jestem pewna, że cały czas o nas myśli – odpowiadam.

Czytam o tym, jak żołnierz dzieli się ostatnim kawałkiem chleba z żebrakiem, a żebrak daje mu w podziękę magiczny worek; jak żołnierz odważnie łapie w ten worek Śmierć. W pierwszej chwili żołnierz triumfuje i wszyscy go wychwalają. Ale później zaczyna żałować tego, co zrobił, bo teraz, gdy Śmierć została pokonana, nie ma ucieczki z tego świata i otaczają go oskarżycielskie hordy zmęczonych starców, pragnących umrzeć.

Millie wyciąga kciuk z buzi. Marszczy lekko brwi w zamyśleniu. Jej mokry kciuk błyszczy w świetle lampy.

– Ale nikt nie chce umierać – mówi.

– Może kiedy jest się bardzo starym.

– Jak babcia? Czy babcia chce umrzeć?

– Nie, jestem pewna, że nie. Chodziło mi o kogoś... dużo, dużo starszego... Myślę, że może bardzo starzy ludzie mogą czuć się dosyć zmęczeni.

Ale mój głos nie brzmi zbyt pewnie. Może bajka się myli. Może jest tak, jak mówi Millie, i nikt nie chce umierać.

Doczytuję bajkę do końca, myśląc o żołnierzu. Bardzo wyraźnie go widzę, ale nie wygląda tak, jak przedstawiono go w książce. No, może pod pewnymi względami – ma ubranie w strzępach, powłóczy nogami, gdy idzie długą krętą drogą, która zaprowadzi go z powrotem do domu. Ale w moich myślach żołnierz ma twarz kapitana Lehmana.

Rozdział 23

PAŹDZIERNIK. LUFTWAFFE BOMBARDUJE Londyn. Latają tam co wieczór: miasto jest straszliwie zdewastowane. Londyńczycy nocami szukają schronienia w metrze i razem śpiewają, by dodać sobie otuchy. Morale jest wysokie, tak nam mówią, mimo wszystkich zniszczeń. Tak się boję o Iris i jej rodzinę.

Na początku października nie widzimy zbyt często niemieckich żołnierzy z sąsiedztwa. Kapitan Lehmann zniknął. Czasem, gdy jestem na podwórku, wydaje mi się, że słyszę za sobą kroki i odwracam się, oczekując, że go tam zobaczę z dłonią opartą na mojej furtce, spoglądającego na mnie jak to on – spojrzeniem uprzejmym i może trochę rozbawionym. Ale nikogo nie ma. Albo może sprzątam w sypialni i słyszę samochód na drodze, i ostrożnie wyglądam przez okno, ale to tylko któryś z pozostałych mieszkających tam mężczyzn.

W pewnym sensie odczuwam ulgę. Nie wiem, jak by to było, gdybyśmy ponownie się spotkali. Wystarczy, że wyobrażę sobie takie spotkanie, a zalewa mnie fala palącego zażenowania. Mówię sobie, że być może wyjechał na przepustkę. Może nawet gdzieś go przenieśli. Jednak gdy nadchodzi mnie te myśli, czuję nagły przypływ złości. Jak mógł wyjechać, nic mi nie mówiąc? Dlaczego się nie pożegnał? A potem zastanawiam się, dlaczego miałabym tego oczekiwać? Skąd się bierze ten gniew? Nie mam prawa tak się czuć. Nic mi nie jest winien.

Pewnego dnia pozostawiam Millie z Evelyn i na rowerze jadę do St. Peter Port. Półki w sklepach mają teraz opustoszały wygląd, ale udaje mi się znaleźć kawałek wieprzowiny na pieczeń i trochę chleba. U kupca żelaznego kupuję nasiona bobu i tackę z sadzonkami kapusty zimowej. Wiem, że już czas wykopać kwiaty i obsadzić ogród jedzeniem.

Umówiłam się z Gwen na herbatę. Kiedy pojawia się u pani du Barry, Gwen już tam jest przy naszym ulubionym stoliku w kącie sklepu, gdzie siedziałyśmy w dniu bombardowania. Wydaje się to wieki temu. Pytam, co u niej, a ona odpowiada, że w porządku, ale zastanawiam się, czy to prawda: ma na sobie zmechacony stary kardigan i nie pomalowała ust, i wydaje się zbyt chuda, zbyt wyraźnie rysują się kości na jej twarzy. Wiem,

że muszę wyglądać podobnie – wszyscy jesteśmy niezadbani, zmęczeni i zrezygnowani.

Pani du Barry przynosi herbatę i herbatniki. Herbatniki są z mąki ziemniaczanej, ale wciąż ma porządną herbatę. Pijemy ją z wdzięcznością, siedząc w niekrępującym milczeniu, popatrując na port, na dachy z czerwonej dachówki, na wodę, na ptaki morskie wzbijające się w światło, na wszystkie te lśnienia i migotania, i białe skrzydła nad morzem; i na zakotwiczone okręty wojenne wroga, i na żołnierzy na drodze do portu. Wiem, że myślimy o tym samym: jak mogło do tego dojść tutaj?

– Czasem w nocy słyszymy, jak maszerują – mówi mi Gwen. – Po głównej drodze. Maszerują i śpiewają na całe gardło. Człowiekowi się robi zimno. Tak jakby mówili: *Pokażemy wam, kto tu rządzi*. Potem trudno zasnąć. Ale do ciebie, tam w Le Colombier, to chyba mniej dociera.

– Pewnie tak. Tam nadal jest bardzo spokojnie... Choć w domu Connie obok nas są Niemcy.

Gwen już otwiera usta, by ugryźć herbatnik. Ale nagle zamiera z ciastkiem w dłoni. Oczy jej się rozszerzają.

– Co, w Les Vinaires?

– Tak.

– Och. Nie wiedziałam. Nigdy wcześniej o tym nie wspominałaś. – Marszczy czoło.

Czuję wypieki na twarzy.

– Nie udzielają się – mówię.

– Nie mogę uwierzyć, że mi nie powiedziałaś – stwierdza.

– Zachowują się bardzo spokojnie. Szczerze mówiąc, nawet nie za bardzo zdajemy sobie sprawę z tego, że tam są – tłumaczę.

Nie patrzę wprost na Gwen; spoglądam za nią, za okno, gdzie w przejrzystym powietrzu inne wyspy wydają się tak bliskie, że dałoby się ich dotknąć. Zastanawiam się, dlaczego powiedziałam szczerze mówiąc? Wyczytałam gdzieś, że tego zwrotu używają ludzie, którzy nie do końca mówią prawdę.

– Jednak musi to być uciążliwe – zauważa Gwen. – Musisz mieć uczucie, że ciągle mają cię na oku. Przecież w domu Connie jest to okno, które wychodzi na twoje podwórko...

Czuję, że ją okłamuję. Nienawidzę tego.

– Pewnie do wszystkiego można się przyzwyczaić – przerywam jej.

Powtarzam sobie, że ta cała dziwna sprawa z kapitanem Lehmannem,

te niezręczne, urywane rozmowy – to już przeszłość. Już go nigdy więcej nie zobaczę. Więc to poczucie, jakbym zrobiła coś złego, jest głupie.

– A jak dziewczynki? Jak Blanche? – pyta. – Podoba jej się u pani Sebire?

– Tak. Choć sądzę, że nadal wolałaby, żebyśmy wsiadły na statek. Wybrała się na przyjęcie do Les Brehauts. Byli tam niemieccy żołnierze i dziewczyny z wyspy.

– O – mówi Gwen, przetrawiając tę informację.

Między jej oczami pojawiły się niewielkie ostre zmarszczki. Czuję, że coś się między nami zmieniło, jakby spomiędzy kamieni wyrósł chwast.

Potem Gwen wzrusza ramionami i to mija.

– Cóż, młodzi ludzie potrzebują życia towarzyskiego. – Wiem, że tego nie pochwała, ale jest wyrozumiała, bo chodzi o Blanche. – Jest im ciężko; połowa mężczyzn z wyspy wyjechała, wszędzie jakieś braki, nie ma nowych sukienek w sklepach... Popatrz, coś ci przyniosłam. – Wyciąga z torby kartkę, przepisała dla mnie przepis na zapiekankę makaronową. – Nie żeby jakoś wspaniale smakowała, ale jest sycąca – informuje.

Dziękuję jej zbyt wylewnie. Chyba obie czujemy ulgę, że rozmowa przeszła na inny temat.

Dzwonek w sklepie brzęczy; odwracamy się i widzimy, jak wchodzi dwoje ludzi – niemiecki żołnierz z dziewczyną z Guernsey. Znam tę dziewczynę z widzenia – była w szkole w tej samej klasie co Blanche. Ma twarz w kształcie serca, jęczmiennozłote włosy i w przeciwieństwie do większości z nas zrobiła sobie makijaż – matowa brzoskwiniowa szminka i jasny puder. Cała lekko promienieje. Kiedy siadają, on sięga przez stół i bierze jej dłoń w swoje ręce.

Gwen potrząsa głową.

– Jak ona może? – mówi niemal niedosłyszalnie. – Jak ona może?

Nic nie mówię.

– Chcę powiedzieć, że uprzejmość to jedno. Oni też są ludźmi. I prawie mogę zrozumieć, że Blanche chciała iść na tę potańcówkę. Chodzi mi o to, że, no, spójrzmy prawdzie w oczy, młodzi ludzie potrzebują się wyrwać z domu... – Stara się znaleźć to miejsce, w którym przebiega granica, chce pokazać, jakie jest jej stanowisko, stwierdzić, to jest w porządku, ale tamto jest nie do przyjęcia. – Ale tego... po prostu nie rozumiem... Posuwa się za daleko. Przecież mimo wszystko jesteśmy z nimi w stanie wojny. Bombardowali nas. Nie wiem, jak ona może na siebie patrzeć.

Nic nie mówię.

Zastanawiam się, co pomyślałaby Gwen, gdyby wiedziała o mnie i kapitanie Lehmannie? Ale przecież nie ma nic, co można byłoby wiedzieć o mnie i kapitanie Lehmannie.

– Viv, z tobą na pewno wszystko w porządku? – Patrzy mi badawczo w twarz. – Jakaś jesteś nieswoja – dodaje.

– Nic mi nie jest, Gwen. Naprawdę.

Rozdział 24

OPIERAM ROWER O ŚCIANĘ domu. Palce mam sztywne i zdrętwiałe od trzymania kierownicy; w powietrzu dzisiaj wyczuwa się chłód, oznakę nadchodzącej zimy. Zacieram ręce i czuję mrowienie, gdy krew gwałtownie z powrotem do nich napływa.

Oddycham z ulgą, że nic złego się nie wydarzyło podczas mojej nieobecności. Millie bawi się na górze, a Evelyn smacznie śpi w fotelu. Opróżniam koszyk i wykładam wszystko na stół kuchenny – chleb, wieprzowinę, tackę z sadzonkami; mam przy tym przelotne poczucie triumfu, że wciąż potrafię nakarmić swoją rodzinę. Za moim plecami frontowe, wychodzące na podwórko drzwi są otwarte.

Na podłogę pada cień.

– Dzień dobry, pani de la Mare.

Na moim progu stoi kapitan Lehmann.

Z nagłym zaskoczeniem przypominam sobie jego twarz, jakbym podczas jego nieobecności prawie zapomniała, jak wygląda.

– Nie widziałam pana ostatnio – mówię. A potem myślę, że moje słowa sugerują, że go szukałam. Czuję, jak krew napływa mi do twarzy.

– Byłem na przepustce. Pojechałem do Berlina – wyjaśnia.

– A.

Myślę o Berlinie z kronik filmowych – Berlinie parad wojskowych, przemówień Hitlera – zarówno nedorzecznych, jak i przerażających. A jednocześnie zastanawiam się nad ludźmi, którzy na niego w Berlinie czekają – jego żona, jego syn – odczuwam intensywną, zakazaną ciekawość. Te myśli kłócą się z sobą w mojej głowie.

– Mam czekoladę – mówi. – Kupiłem ją w drodze powrotnej w sklepie w Cherbourgu.

Podaje mi ją. To mleczna czekolada Sucharda w chabrowym papierku ze złotymi literami. Sam jej wygląd jest taki olśniewający. Wyobrażam sobie, jakby to było odpakować ją i zjeść – cudowny szelest sreberka, nagła słodycz w ustach.

– Proszę ją wziąć, jest dla pani – mówi.

Potrząsam głową. Wydaje mi się, że przez opakowanie czuję lekki zapach czekolady. A może to tylko intensywna praca wyobraźni, która pojawia się, kiedy jest się czegoś pozbawionym – kiedy na podwieczorek miało się ciasteczka bez smaku zrobione z surogatu mąki. Do ust niepokojąco napływa mi ślina; muszę przełknąć. Kapitan patrzy na moje gardło, wiem, że to widzi.

Rumienię się. Robi mi się jakoś wstyd.

– Sądzę, że lubi pani czekoladę, pani de la Mare – mówi kapitan.

– Każdy lubi czekoladę – odpowiadam ogólnikowo.

– Więc dlaczego nie chce jej pani przyjąć? – pyta.

– Dziękuję, ale nie mogę – odpowiadam. Mówię bardzo cicho, by nie obudzić Evelyn. Przez to nasza rozmowa wydaje się bardziej intymna, niż powinna. – Tłumaczyłam już panu wcześniej, kiedy nie chciałam wziąć kawy...

– Ale to przecież taki drobiazg – odmawiać odrobiny czekolady.

– Drobiazgi to wszystko, co mogę zrobić – zauważam. Przypominam sobie, co mówił Johnnie. *Zawsze się coś znajdzie. Może nawet jakiś drobiazg. Trzeba robić, co się da.*

– Pani de la Mare, nikt nie umrze tylko dlatego, że wzięła pani ode mnie bardzo mały prezent – mówi kapitan. – Niczego przy tym nie narażamy.

Stoi trochę za blisko mnie. Przypominam sobie, jak strzepnął osę z mojego rękawa, a kiedy o tym myślę, znów to czuję, ten wewnętrzny jaskrawy płomień emocji.

– I przyjęła pani ode mnie papierosa – dodaje. – Dlaczego teraz jest inaczej?

– Nie powinnam była go brać – odpowiadam.

Nie spuszcza ze mnie swoich szarych zamyślonych oczu.

– Jeśli nie chce jej pani dla siebie, może ją pani dać dzieciom. Czy to sprawi, że poczuje się pani nieco mniej winna?

Wyciągam dłoń i biorę czekoladę.

Kapitan lekko wzdycha, jakby był zadowolony, jakby mu ulżyło. Staram się o tym nie myśleć: dlaczego moje ustępstwo ma jakieś znaczenie, dlaczego to dla niego takie ważne, bym przyjęła od niego podarunek?

Rozdział 25

ZANOSZĘ CZEKOLADĘ DO KUCHNI. Rozpakowuję ją, wdycham przez chwilę jej zapach. Odłamuję od tabliczki dwa kawałeczki, które zostawię dla siebie, i odkładam je na talerzyk. Postanawiam dać Millie i Blanche ich porcje po kolacji, żeby nie były zbyt głodne i nie pochłonęły ich, by jak najdłużej się nimi cieszyły.

Wieczorem, kiedy talerze są już puste, idę do szafki i przynoszę czekoladę.

– Mam coś dla was – mówię im. – Coś dobrego.

– To czekolada. Czuję, jak pachnie – odpowiada Millie.

Przyglądają się uważnie, jak zdejmuję zewnętrzne niebieskie opakowanie, jak odwijam sreberko. Słysząc kuszący szelest.

– Skąd ją masz, mamó? – pyta Blanche.

– Dostałam w mieście – wyjaśniam.

– Ale sądziłam, że nigdzie nie ma czekolady – stwierdza. – Tak mówiła pani Sebire.

– Miałam szczęście. Udało mi się jedną znaleźć – odpowiadam.

Rozłamuję ją na trzy kawałki. Jeden podaję Evelyn, ale ona kręci głową.

– Nie chcę, dziękuję, Vivienne. Czekolada źle mi robi na trawienie.

– To okropne. Biedna babcia – mówi Millie.

Daję dziewczynkom ich porcje.

– Nacieszcie się nią. Jedzcie powoli – zalecam.

Choć oczywiście tego nie robią.

Kiedy skończyły, rozdzielam między nie część Evelyn. Dziewczynki uprzejmie jej dziękują i zjadają dokładkę.

Millie ma usta ciemne od czekolady. Oblizuje starannie wargi i cichutko wzdycha. Unosi twarz, wieczorne słońce rozjaśnia jej twarz i oczy.

– Lubię czekoladę, mamusiu. Chcę jeść czekoladę cały czas.

– Millie, jesteś taka łakoma. Jakbyś tak robiła, to byłabyś gruba – mówi Blanche.

– Chcę być gruba – oznajmia Millie – Chcę być gruba jak świnia. – Wypina pierś i zwija dłonie w duże pięści. – Chcę być gruba jak mors.

– Nawet nie wiesz, co to mors – stwierdza Blanche.

– Wiem. Naprawdę wiem. Wygląda o tak – mówi Millie.

Nadyma policzki, żeby jej buzia zrobiła się wielka i rozdęta. Blanche wyciąga rękę i dwoma palcami szczypie Millie w policzek, a Millie parska powietrzem. Obie stwierdzają, że to bardzo zabawne, i przez chwilę pokój dźwięczy radosnym śmiechem, jakby nasze życie znowu było normalne, jakby nie było wojny.

W mojej głowie rozkwita poczucie wdzięczności dla kapitana Lehmana, za to że sprawił, iż oczy moich dzieci błyszczą, że dzięki niemu nasz dom wypełnił się śmiechem. Staram się odepchnąć od siebie tę myśl.

Blanche przestaje chichotać i pociera dłonią oczy.

– Pamiętasz, jak to było, kiedy miałyśmy czekoladę zawsze, jak tylko chciałyśmy? – mówi tęsknie. – Kiedy w sklepie były półki z dużymi szklanymi słojami pełnymi słodyczy? Kiedy była oranżada w proszku, i krówki, i lukrecja?

W jej głosie słyhać niedowierzanie, jakby trudno jej było teraz w to uwierzyć, przypomnieć sobie.

– Kochanie, znowu tak będzie – mówię jej. – Wiem, że będzie. Któregoś dnia będziemy znowu mieć te wszystkie dobre rzeczy. To nie będzie trwać wiecznie.

Blanche potrząsa głową, jakby nie do końca mi wierzyła.

– Czy mogę dostać sreberko do rozprostowania? – pyta.

Daję jej sreberko. Przeciąga po nim palcami, wygładzając zagniecenia. Lubi zbierać sreberka: zaprasuje je między kartkami jednej ze swoich książek Chalet School***.

Evelyn patrzy na mnie niechętnie. Ma napięte, wytężone spojrzenie – spojrzenie kogoś, kto usilnie stara się osiągnąć czegoś, co znajduje się tuż poza jego zasięgiem.

– Skąd masz tę czekoladę, Vivienne? – pyta mnie.

– Już mówiłam, z miasta – odpowiadam. Ale na nią nie patrzę. Evelyn zaciska usta, jakby moja odpowiedź była niezadowolająca.

– Czekolada mi nie służy – stwierdza ponownie. – Zupełnie mi nie służy.

Kiedy wszyscy już leżą w łóżkach, otwieram szafkę i wyciągam te dwa kawałki czekolady, które sobie zostawiłam, przelotnie zastanawiając się, dlaczego to zrobiłam, dlaczego postanowiłam zjeść je po kryjomu. Wkładam pierwszy kawałek do ust, czuję słodycz w całym ciele. Czekolada jest aksamitnie gładka, rozpływa mi się na języku; a ten smak, po całych miesiącach mdłego jedzenia, wydaje się egzotyczny, nasuwa myśl

o tropikach, o bujnych plantacjach i ciepłych rozgwieżdżonych nocach. Jem ją powoli, zatrzymując w ustach przez bardzo długi czas.

Rozdział 26

W NIEDZIELĘ JEST PIĘKNIE i po południu Blanche siedzi w ogrodzie, wykorzystując ostatnie promienie jesiennego słońca, chcąc wyrównać opaleniznę. Millie bawi się w wyścigi i skoki konne ze szczotką ogrodową w roli wierzchowca; przeplotła wstążki przez włosie i galopuje naokoło stosu trawy, która została po ostatnim koszeniu trawnika.

Gram dla Evelyn na pianinie nokturn Chopina, który lubi. Jest spokojny, melancholijny. Ja osobiście najbardziej lubię jego mazurki – takie dosyć szorstkie i smutne, z nutką dzikości – ale dla Evelyn są zbyt obce. Chwilowo jestem zagubiona w muzyce, cały świat wokół mnie układa się, przestawia, wszystko jest płynne, udoskonalone.

– To było bardzo ładne, Vivienne – mówi Evelyn uprzejmie, gdy skończyłam.

Nagle z zewnątrz dobiega wrzask.

– Nie, Millie! Ty potworze!

Podchodzę do okna. Blanche się zerwała. Z włosów sterczą jej ścinki trawy; kiedy się przyglądam, wypluwa żdźbła. Millie przygląda się siostrze jednocześnie przerażona i zachwycona. Musiała ukradkiem podejść od tyłu i nasypać jej trawy na głowę.

– Ty głupia mała idiotko! – Blanche jest wściekła. – I dopiero co myłam włosy... Mam dość. Zatłukę cię – krzyczy.

Millie odbiega, piszcząc. Otwieram oszklone drzwi, wychodzę i już mam interweniować, ale są dla mnie za szybkie. Blanche znika za winklem domu w pogoni za Millie. Słyszę chrzęst ich butów na żwirze, potem głuchy łomot, ciszę i krzyk.

Evelyn potrząsa głową.

– Będą kłopoty, Vivienne.

Blanche pędem wpada po mnie do pokoju. Wygląda na zaniepokojoną.

– Mamo, lepiej chodź.

Millie przewróciła się na żwirze. Na dłoniach ma drobne otarcia, ale rozcięcie na kolanie jest brzydkie, nierówne, brudne i obficie krwawi.

Zanoszę ją do wanny i próbuję oczyścić rozcięcie. Normalnie wrzuciłabym

do wanny soli, żeby zdezynfekować ranę, ale sól jest teraz bardzo cenna. Rana wygląda na brudną; w rozerwaną skórę powbijały się drobinki żwiru, których nie mogę wymyć. Wiem, że na ranę trzeba dać antyseptyk. Biorę butelkę z środkiem odkażającym, ale tu Millie zalewa się łzami.

– Nie! To będzie bolało! Mamusiu, nie! – Ramiona jej się trzęsą od płaczu.

Nie zniosę przytrzymywania jej siłą. Wmawiam w siebie, że rana pewnie i tak się sama dobrze zagoi.

PUKANIE DO DRZWI sypialni wyrywa mnie ze snu. Włączam lampkę i idę otworzyć drzwi, ciało mam niemrawe i ociężałe.

To Millie. Jej mokra buzia błyszczy w świetle lampy; rzęsy posklejane są łzami.

– Mamusiu. Noga mnie boli.

Niepewnie wyciągam palec i dotykam jej kolana. Skóra jest gorąca, zaczerwieniona. Millie krzyczy, gdy jej dotykam. Jestem na siebie zła. Powinnam była okazać większą stanowczość i zdezynfekować rozcięcie.

– Zaniosę cię z powrotem do łóżka – mówię – i rano pomyślimy, co z tym zrobić.

Jestem niespokojna, nie mogę zasnąć. Po chwili wstaję i nasłuchuję pod jej drzwiami. Wciąż płacze, ale postanawiam ją zostawić. Łkania brzmią tak, jakby robiła się senna; wiem, że wkrótce zapadnie w sen i lepiej jej nie przeszkadzać.

W nocy pogoda się załamuje i w moim śnie pojawia się deszcz. Śni mi się, że w dachu Le Colombier są szerokie dziury, że deszcz przedostał się do środka i mój cały dom jest zalany. Brodzę powoli przez oświetlony czystym, chłodnym akwamarynowym światłem salon, po kolana w wodzie. Po jej lśniącej powierzchni przepływają koło mnie przedmioty z mojego życia: moje tomiki wierszy, lalki z domku Millie, pozytywka mojej matki. Wszystkie przesiąknięte są wodą, zniszczone, ale we śnie patrzę na to ze spokojem; powódź ograbia mnie, ale mnie to nie dotyczy – to, jak plami, rozkłada, dewastuje. Po prostu pozwalam, aby je unosiła woda. Rozkoszuję się tym, że już nie walczę, że się poddałam temu, co musi się wydarzyć.

RANO NADAL PADA, niebo jest grafitowe.

Blanche, wychodząc do pracy, odwraca się do mnie w drzwiach, odgarnia do tyłu włosy i zawiązuje szyfonową chustkę na głowie. Skórę ma złocistą od wczorajszego słońca i pachnie pudrem pelargoniovym.

– Mamo, czy z Millie wszystko w porządku? Słyszałam, że płakała –

mówi.

– Nie jestem pewna – odpowiadam. – Trochę się martwię tym skaleczonym kolanem. Chyba powinnam spróbować wezwać lekarza.

Ale nie mam na to ochoty. Nie za bardzo chcę zostawiać Millie. A skontaktowanie się z nim zajęłoby mi wieki. Musiałabym pojechać na rowerze do jego domu i mieć nadzieję, że zastanę jego albo jego żonę; albo mogłabym spróbować zadzwonić z najbliższej budki telefonicznej, a to prawie tak samo daleko.

Blanche marszczy brwi, wbija niebieskie zdenerwowane spojrzenie w moją twarz.

– Ale zrobisz to, jeśli się martwisz, mamo, prawda? Obiecuj mi, że go wezwiesz.

– Tak. Oczywiście.

Kątem oka zauważam coś, co każe mi się gwałtownie odwrócić. Okno w Les Vainaires jest otwarte. W ciemnym pokoju za oknem dostrzegam coś, coś bladego, czego nie mogę rozpoznać – twarz, a może rękaw koszuli. Ogarnia mnie nagła, bezsilna wściekłość. Nienawidzę tego, że mężczyźni, którzy tam mieszkają, znają najbardziej osobiste szczegóły naszego dnia. Jakby okupacja dawała im prawo zaglądać w nasze życie.

Oczy Blanche błyszczą od łez.

– To moja wina, prawda?

– Nie, oczywiście, że nie, kochanie. Po prostu się wygłupiałyście. To pech, że upadła na żwir.

– Nie powinnam była tak się zezłościć – mówi. – Ale wiesz, jaka ona jest, mamo, prawda? Sprawia wrażenie niewiniątka. Ale potrafi być takim utrapieniem.

Odchodzi, szczelnie okrywając się długim płaszczem, ale pada gęsta deszcz i nie przypuszczam, by płaszcz długo miał ją chronić przed wilgocią.

Rozdział 27

SŁYCHAĆ KROKI NA ŻWIRZE i pukanie do drzwi. Serce skacze mi w piersiach.

Ale to nie jest ten, o którym pomyślałam: to kapitan Richter, czarne włosy ulizane ma gładko na głowie od deszczu.

– Przepraszam, pani de la Mare, ale jeden z nas przypadkiem usłyszał rozmowę pań.

Ściska mnie w gardle ze strachu. Czy zrobiłam coś nie tak, a może złamałam jakąś zasadę, o której istnieniu nawet nie wiedziałam?

Jego bystre ciemne oczy spoglądają na mnie.

– Jeden z nas usłyszał, jak mówiła pani, że córka się skaleczyła.

Głos ma kojący jak lanolina; zobaczył strach w moich oczach.

– Byłem lekarzem, pani de la Mare, w tamtym życiu. Zanim... – Rozkłada ręce, wykonuje drobny, raczej bezradny gest, który wydaje się obejmować wszystko – wojnę, okupację, całość spraw. Gest, którym stwierdza, że nie ma na to słów.

– Ach – mówię.

Staram się wyobrazić go sobie jako lekarza – bez munduru, bez broni. Przychodzi mi to z trudem.

– Czy chciałaby pani, żebym zbadał pani córkę? – pyta.

Patrzę na niego niepewnie.

– Pracowałem jako chirurg w szpitalu Rudolfa Virchowa w Berlinie. – Lekko się uśmiecha. – Choć pewien jestem, że operacja nie będzie konieczna.

Kiedy przyszedł tu poprzednim razem, ostrzegął mnie przed godziną policyjną. Pamiętam jego surowe spojrzenie, cienką jak cięcie brzytwą linię ust. Teraz proponuje, że zbada Millie. Jestem wytrącona z równowagi, zaskoczona. Nie wiem, jak mam się zachowywać wobec tych mężczyzn.

Waham się. Ale potem przypominam sobie, jak Millie płakała w nocy.

– To jej noga – mówię mu. – Upadła na żwir. Martwię się, że mogło wdać się zakażenie. Może pan wejdzie?

W chwili gdy zapraszam go do mojego domu, ogarnia mnie niejasne złe przeczucie. Natarczywy głos w mojej głowie karci mnie, oburzony, zbulwersowany. Co ty sobie wyobrażasz? Ten mężczyzna to twój wróg.

Powierzasz mu własną córkę, ale on nie stoi po twojej stronie... Jednak teraz nie mogę się już wycofać.

Millie leży na kanapie w salonie, obolałe kolano podparte ma poduszką. Kiedy wchodzimy do pokoju, podnosi wzrok; mimo bólu buzia rozjaśnia jej się z ciekawości.

– Millie, nazywam się Max. Jestem lekarzem – mówi kapitan.

Millie ekstrawaganckim gestem pokazuje na swoje kolano, podoba jej się bycie pacjentem, podoba jej się dramatyzm sytuacji.

– Boli – oznajmia.

Kapitan bada ją, dotykając skóry naokoło rozcięcia, zginając kolano. Millie wzdryga się na jego dotyk. Cień zwątpienia pojawia się w jej oczach, kiedy lekarz zadaje jej ból, a ja odczuwam gwałtowną potrzebę, aby rzucić się i odciągnąć ją od niego.

– Jak to się stało, że się skaleczyłaś, Millie? – pyta kapitan.

– To Blanche. Goniła mnie – odpowiada.

– Moja córka też lubi się ścigać i biegać. No i dokuczać starszemu bratu...

Musiał widzieć wszystko, co się stało, z okna Les Viniarés. Moje nastawienie do niego staje się odrobinę bardziej wrogie.

Ale Millie od razu się zaciekawia.

– Ile ma lat? Czy się przewraca? – pyta.

– Ma sześć lat. I tak, przewraca się. – Głos mu łagodnieje, gdy mówi o córce. – Zawsze dokądś biegnie albo pędzi. Nie może usiedzieć spokojnie.

Wstaje, odwraca się do mnie.

– Rana jest zainfekowana, tak jak pani podejrzewała – informuje mnie. – Millie potrzebne jest lekarstwo. – Wyciąga z kieszeni brązową buteleczkę. – Te pastylki to sulfonamidy. Pomogą jej zwalczyć infekcję. Czy chce pani, żebym ją leczył?

Potakuję.

– Millie, potrafisz połknąć pastylkę? – pyta ją.

– Oczywiście, że potrafię. Mam cztery i pół roku – oznajmia moja córka.

Kapitan podaje mi buteleczkę, wyjaśnia, jak powinna przyjmować lekarstwo. Żegna się z Millie. Słyszę, jak na piętrze skrzypi podłoga, gdy Evelyn chodzi po pokoju; modlę się, by jeszcze nie schodziła na dół.

Myślę o tym, że on jest chirurgiem, i jakoś wydaje mi się to sensowne. Chirurg powinien być raczej chłodny i beznamiętny – jestem świadoma pewnej rezerwy w tym ponurym, cynicznym mężczyźnie. To obserwator, ktoś, kto przygląda się z oddalenia – osobny, wycofany, ale dostrzegający

wszystko.

– Tęskni pan za pracą w Berlinie? – pytam go. Czuję, że powinnam wywiązać się z obowiązku towarzyskiego, okazać mu uprzejmość teraz, gdy mam wobec niego dług wdzięczności.

– Bardzo za tym tęsknię. – Spochmurniał, twarz mu się jakby zapadła. – Ale w tych trudnych czasach wielu ludzi za czymś tęskni, jak wiemy. Ci, którzy podejmują decyzje, mają dla nas inne plany. Jak zawsze.

Zaskoczył mnie. Czy powinien mi to mówić? Czy krytykuje Hitlera? Co ci mężczyźni, ci żołnierze, naprawdę sądzą o wojnie?

– Tak to się dzieje z nami wszystkimi – kontynuuje. – Nikt z nas nie może być tam, gdzie by chciał. – Potem lekko wzrusza ramionami, wycofuje się z tej chwilowej otwartości, jakby był lekko zażenowany, że się z czymś zdradził. – Ale w tych okolicznościach uważamy się za szczęśliwców, że jesteśmy właśnie tu, na waszej pięknej wyspie – mówi mi. – Jesteśmy wdzięczni, wszyscy z nas... Choć wyobrażam sobie, że wy zupełnie inaczej postrzegacie naszą obecność. – Ma mądry i autoironiczny uśmiech.

– Bardzo dziękuję panu za pomoc – mówię.

Otwieram drzwi i wyglądam nerwowo na ścieżkę, żeby upewnić się, że nikt nie zobaczy, jak ten Niemiec wychodzi z mojego domu. Kapitan odwraca się i oddala, pedantycznie omijając kałuże. Deszcz przestał padać; ciemne opadłe liście błyszczą od wody jak wyprawiona skóra.

Zastanawiam się, kto mu powiedział, że Millie się skaleczyła, kto usłyszał, jak rozmawiamy. Czy to kapitan Lehmann obserwował nasz dom? Czy to kapitan Lehmann go przysłał?

Rozdział 28

ZBIERAM WSZYSTKIE OWOCE z moich drzew. Jabłka przechowuję na tekturowych tacach w szopie, a śliwki ze śliwy w ogrodzie wekuję, ale gruszki z podwórka zjadamy od razu – nie utrzymają się. Millie nie chce jeść ze skórką, więc obieram i kroję dla niej owoc; z ziarnistego mięszu cieknie gęsty, lepki sok.

Wiatr wieje z północy, a z wiatrem nadlatują ptaki, kierując się ku cieplejszym krajom, gdzie spędzą zimę. Nasza wyspa leży na jednej z głównych tras migracyjnych Europy, która wiedzie na południe wzdłuż zachodniego brzegu lądu. W nocy w ciemnościach można usłyszeć podobne do fletu głosy ptaków brodzących, a czasem krzyki gęsi, jak krzyki zagubionych dusz, przenikliwe i posępne.

Przychodzi taki dzień, kiedy znad morza zrywa się nagle burza.

Pedałuję do domu z farmy Elm Tree, gdy nad moją głową zaczynają gromadzić się i kłębić chmury. Słysząc taki dźwięk, jakby wielu ludzi biegło ścieżką, i szelesty w żywopłotach, i potem zaczyna lać deszcz. Od razu jestem przemoczona – zostawiłam płaszcz w domu. Przeklinam nieprzewidywalną pogodę tych wysp, czuję tę złość, jaką znają wszystkie gospodynie domowe, które pozostawiły pranie na sznurze, a są daleko od domu i cała ich praca pójdzie na marne.

Rower zwalnia i zgrzyta o ziemię. Wiem, że w przednim kole złapałam gumę. Zsiadam, klnąc pod nosem. Millie i Evelyn zostały same, a ja nie lubię zostawiać ich na długo. Popycham rower i ruszam w długą drogę do domu. Mija mnie niemiecka ciężarówka, wjeżdża prosto w kałużę, więc woda wypryskuje w górę i ochlapuje mnie, całą twarz i sukienkę z przodu. Mam wrażenie, że zrobili to złośliwie, celowo. Sukienkę i kardigan mam przemoczone, woda sączy mi się do butów. Czuję się nagle taka zmęczona – wykończona, przybita tą sytuacją: Evelyn, kłótliwą, tracącą rozum; Blanche, nadal na mnie złą, że nie wsiadłyśmy na statek; okupacją, niedostatkiem i całym nasiąkniętym deszczem praniem na sznurze – wszystkie te problemy kłębią się w mojej głowie, całkowicie mnie przekraczają.

Zbliża się kolejny pojazd. Cholerny świat. Kiedy mnie mija, odwracam twarz, nie chcę, by mnie ponownie ochlapano.

Słyszę, że samochód się zatrzymuje, potem się cofa. Podnoszę wzrok. Znajomy czarny bentley sunie w moim kierunku. Prowadzi kapitan Lehmann. Zatrzymuje samochód obok mnie, wychyla się na stronę pasażera i opuszcza szybę. Serce tłucze mi się w piersi jak piłeczka tenisowa.

– Pani de la Mare, mogę panią podwieźć?

Nie potrafię sobie wyobrazić, jak niechlujnie wyglądam. Strąki włosów lepią mi się do głowy i twarzy. Woda spływa po przedziałku i kapie mi na nos. Odgarniam mokre włosy. Staram się pokręcić głową, ale nie do końca mi się to udaje.

– Złapała pani gumę, jak sądzę – mówi. – Więc może pozwoli pani, bym jej pomógł?

– Nie mogę. – Ale mój głos nie brzmi zbyt pewnie.

– Dlaczego pani nie może? – pyta.

Nie chcę się zastanawiać, dlaczego tak nalega, skoro bardzo dobrze zna moją odpowiedź.

– Naprawdę sądzę, że nie powinnam – odpowiadam.

Waham się, a on mi się przygląda. Czuję, że będzie czekał w nieskończoność.

– Zresztą jest jeszcze mój rower...

– Może go pani tu zostawić – mówi mi. – Mogę wysłać po niego jednego z chłopaków.

– Ale musi pan być zajęty, na pewno ma pan coś do zrobienia... – Choć jak zawsze daremnie próbuję sobie wyobrazić, co by to mogło być.

Na moje słowa w jego oczach pojawia się lekki uśmiech, jakby wiedział, że się poddaję.

– Nic, co nie mogłoby zaczekać – zapewnia.

– I nie jechał pan w tę stronę...

– Bez problemu mogę panią odwieźć do domu – stwierdza.

– Naprawdę nie powinnam...

Kapitan pochyla się nad siedzeniem pasażera i otwiera drzwi.

Wsiadam do bentleya, który kiedyś należał do Les Brehauts. Powinnam być wściekła, że samochód pana Gouberta został zarekwirowany, powinnam się nie zgodzić na podwiezienie; ale czuję się taka zmęczona, zziębnięta i mokra, a do domu jest tak daleko.

Kapitan Lehmann patrzy na mnie – na moje ociekające wodą włosy, na gęsią skórę na ramionach, na moje mokre ubrania, które lepią się na mnie.

– Pani de la Mare. Pani drży. Powinna pani pożyczyć ode mnie płaszcz.
– Nie mogę – odpowiadam.
– Myślę, że pani powinna. Nie chce pani nabawić się zapalenia płuc. Zwłaszcza gdy ma pani innych pod opieką – mówi.

To przynajmniej jest prawda.

Kiedy nic nie mówię, nie protestuję, sięga do siedzenia za sobą. Wyciąga swój płaszcz i owija mi nim ramiona, upychając go między oparcie a moje ciało. Szokuje mnie bliskość tego mężczyzny. Wsuwa mi dłoń pod włosy na karku i wyciąga pasemka, które utknęły pod kołnierzem płaszcza. Robi to skrupulatnie – nie omijając ani jednego, ale prawie nie dotykając mojego karku, zaledwie muskając go palcami. Jego skóra jest ciepła w dotyku. Żadne z nas nie mówi ani słowa.

Ponownie zapala samochód. Płaszcz jest długi, podwija się w okolicy krzyża. Ale jest ciepły i przylega do ramion.

– To bardzo uprzejmie z pana strony – mówię możliwie oficjalnym, grzecznym tonem. Ale w moim głosie słychać lekką zadyszkę.

Kapitan kręci głową, jakby chciał zaprzeczyć, że to w ogóle uprzejmość.

– Jak się miewa Millie?

– Już dobrze. Dziękuję, że pan pyta.

– Max przyszedł ją obejrzeć?

– Tak.

– Wydawało mi się, że Max będzie potrafił jej pomóc.

– I pomógł. Dziękuję panu.

Nachodzi mnie myśl, że on chce, bym to wiedziała: chce mi dać do zrozumienia, że to on wysłał do mnie Maxa. Wie, że nic nie obudzi we mnie takiej sympatii do niego jak troska o moje dzieci. Ta myśl przepelnia mnie poczuciem szczęścia, chociaż wolę się nie przyglądać, dlaczego tak się dzieje.

Odwracam się od niego, wyglądam przez okno. Dużo czasu minęło, od kiedy patrzyłam na Guernsey z wnętrza samochodu. Burza mija, świat napełnia się kolorami: przemoczona trawa zaskakuje gorączkową zielenią pod białym niebem, mokre jagody jarzębiny błyszczą jak pociągnięte szminką kobiece usta. Szyby zaparowują od naszych oddechów, więc krajobraz się zamazuje, kolory zlewają się, jakby ta ziemia była niematerialna, jakby miała zaraz się rozpuścić. Kapitan trochę opuszcza szybę, żeby chłodne powietrze oczyściło szkło.

Przez chwilę milczy. Ciszę między nami wypełnia skrobanie wycieraczek

na przedniej szybie. Przez tę wilgoć wszystkie zapachy są mocniejsze – zapach mokrej wełny kardiganu, piżmowa woń moich mokrych włosów. Odwracam się bardziej do niego, patrzę na jego ciężkie, masywne ciało, na to, jak jego dłonie poruszają się na kierownicy. Pamiętam dotyk jego palców na moim karku – ciepły, przerażający. Kapitan jedzie bardzo powoli.

– A wracając do czekolady – odzywa się, jakby kontynuował jakąś naszą wcześniejszą rozmowę. – Czy skosztowała pani trochę, czy dała pani całą dzieciom?

– Trochę zjadłam – przyznaję się.

– I smakowała pani? – pyta.

Pamiętam rozpływającą się w ustach słodycz – tego kawałka, który zachowałam dla siebie.

– Tak. Była pyszna.

– Chociaż z takimi oporami ją pani wzięła? – pyta.

Nie patrzę na niego, ale słyszę uśmiech w jego głosie.

– Nie dlatego mówiłam „nie”, że sądziłam, że nie będzie mi smakować – stwierdzam.

Te słowa zawisają w przestrzeni między nami.

Wiatr rozdziera chmury. Słońce zalewa okolicę, więc wszystko jest rozświetlone, aż się skrzy. Kapitan wyciera rękawem parę po wewnętrznej stronie szyby. Kolory na zewnątrz są olśniewające – miedź i brąz więdnących liści, pole złotawobrazowych mleczy, długonogich jak dziewczęta. Mijamy bajeczne wino przelewające się przez mur, jego liście mają wszystkie odcienie płomieni, ale łagodnych.

– Ten krajobraz jest jak akwarela – mówi. – Chciałbym go namalować.

Od razu mnie to zaciekawia.

– Jest pan malarzem?

– Nie ośmieliłbym się tak o sobie powiedzieć – zaprzecza. – Ale lubię malować, kiedy mogę. Tylko dla własnej przyjemności. – Waha się, jakby szukał odpowiedniego słowa na wyrażenie tego, co czuje. – Dobrze jest czasem na chwilę odłożyć na bok codzienne życie.

Ten impuls jest mi dobrze znany – kiedy marzysz o jakimś bezpiecznym miejscu, o azylu. Jak ja i moje pianino, i książki z poezją. Ale nie jest to coś, co spodziewałabym się usłyszeć od żołnierza.

– Nie jestem zawodowym artystą – mówi. A potem, gdy nie pytam, dodaje: – Przed wojną byłem architektem.

Czuję się zaskoczona, tak jak wtedy gdy kapitan Richter powiedział mi,

że jest lekarzem. Nigdy nie myślę o tym, że ci mężczyźni mogą mieć jakiś inny zawód.

Teraz niebo szybko się przejaśnia. Przed nami na tle przepysznego błękitu widać potężną ciemną chmurę, która robi wrażenie litej – jakby to była jakaś odległa kraina, jak te zaokrąglone wzgórza w bajkach, które czytam Millie. On już nic więcej nie mówi, ale to bez znaczenia. Czuję się taka szczęśliwa, tutaj, w samochodzie, w jego płaszczu – czuję nierozważne, impulsywne szczęście, które mnie ogarnia, zalewa. Nie mogę go opanować ani mu zaprzeczyć, ani go od siebie odepchnąć.

Na zakręcie ścieżki przy poidle dla bydła rysuje się pod żywoplotem czarna sylwetka – to kobieta w chustce na głowie, wyprowadzająca psa. Rozpoznaję Clemmie Renouf, którą kojarzę z kościoła. Patrzy prosto na samochód; mam wrażenie, że jej bystre spojrzenie mnie zlokalizowało. Przejmuje mnie strach. Powtarzam sobie, że niemożliwe, aby dojrzała mnie przez wilgotne zamglone szyby. Ale żałuję, że na nią trafiliśmy.

Jesteśmy już prawie w Le Colombier.

– Mógłbym podrzucić panią pod same drzwi. Ale jeśli pani woli, mogę ją wysadzić za rogiem – odzywa się kapitan.

– Dobrze. Tak naprawdę będzie lepiej – odpowiadam.

Zatrzymuje samochód kawałek od mojej furtki.

– Jeśli da mi pani kluczyk do kłódki, wyślę Hansa Schmidta po pani rower – proponuje.

Wyciągam kluczyk z kieszeni i upuszczam go na jego dłoń, uważając, by jej nie dotknąć.

– Dziękuję za podwiezienie – mówię.

– Cała przyjemność po mojej stronie, pani de la Mare.

Zdejmuję płaszcz, składam go i odkładam na siedzenie. Czuję się bez niego taka samotna i zziębnięta. Otwieram drzwi do samochodu; jestem zwrócona do niego plecami.

– Mam na imię Vivienne – mówię mu.

– Vivienne. – Powtarza moje imię poważnie, ostrożnie, jakby mógł je uszkodzić, gdyby wypowiedział je zbyt gwałtownie. – Dziękuję. – Jakbym mu coś podarowała.

TEJ NOCY ŚNIĘ o nim. W tym śnie obejmuje mnie mocno – po prostu obejmuje, żadnego całowania, żadnego seksualnego dotyku, tylko jego ciało przyciśnięte na całej długości do mojego, tuli mnie tak, jak można

by po długiej rozłące tulić kogoś, kogo się kocha. W moim śnie wydaje się to jak najbardziej naturalne – tak powinno być. Ale kiedy się budzę, ten sen mnie przeraża.

Rozdział 29

PORZĄDKOWAŁAM RZECZY FRANKA – mówi Angie. Na stole kuchennym leży stosik książek: *Mr Middleton Talks About Gardening*, *Trzech panów w łódce* i książka z opowieściami z Guernsey.

– Wszystkie były Franka – mówi mi Angie. – Mnie się teraz na nic nie przydadzą, Vivienne. Nie jestem taka jak ty czy on. Nie miałam zacięcia do książek, jak ci mówiłam. Więc pomyślałam sobie, żeby je oddać ludziom, co ich będą używać.

Daje mi książkę z opowieściami ludowymi z Guernsey.

– Wiem, że twoja Millie uwielbia bajki – ciągnie. – I pomyślałam, że mogłaby jej się spodobać ta książka.

Otwieram książkę, z wnętrza unosi się zapach kurzu i pleśni. Kartkuję ją. Krój pisma jest staroświecki, ozdobny, wokół pierwszej litery każdej bajki wiją się liście. Za zakładkę służy zasuszony kwiat; choć jest wyblakły jak papier i wysuszony, po kształcie poznaję, że to wilżyca ciernista, płożąca się roślina o różowych płatkach, która rośnie wszędzie na wyspie, na każdym poboczu, wzgórzu lub kawałku niekoszonej ziemi. Zawsze podobała mi się jej nazwa.

– Dziękuję. Millie będzie zachwycona tymi opowieściami. Obie będziemy – mówię jej.

Przygotowała coś w rodzaju kawy, zaparzając prażony pasternak. Napój jest dość gorzki, ale do wypicia – jeśli uda się człowiekowi zapomnieć o prawdziwej kawie. Siedzimy i popijamy go w milczeniu przy jej kuchennym stole.

Angie nadal wygląda na bladą i roztrzęsioną. Kiedy pytam, jak sobie radzi, uśmiecha się blado i smutnie.

– Nie najgorzej, Vivienne. Nie wolno narzekać – odpowiada.

– Jeśli jest coś, co mogłabym zrobić... – zaczynam.

Angie zawsze jest praktyczna.

– No, mogłabyś mi pomóc wyłuskać trochę groszku, Vivienne, jak już tu jesteś – stwierdza.

Przynosi strąki groszku ze swojego stojaka na warzywa i rzuca je na stół. Przez chwilę słycać tylko trzask strączków i czysty perkusyjny odgłos, z jakim groszki spadają do misek, a zza otwartych drzwi drapanie i krzątanie kur, i ciche szelesty i pomruki ze wsi. Smutek osiada na wszystkim mroczną powłoką.

Po chwili Angie odchrząkuje, ale nie patrzy w moją stronę.

– Wiesz, Vivienne, czasami nienawidziłam Franka – odzywa się. Bardzo rzeczowo, prawie jakby odpowiadała na zadane przeze mnie pytanie. – Chodzi o to, że jak sobie popił, nie potrafił trzymać rąk przy sobie. Wiedziałaś o tym?

Jestem trochę zaszokowana, że mówi o tym tak otwarcie.

– Czasem się zastanawiałam – odpowiadam ostrożnie.

– Cóż, jesteś bardzo wrażliwa, zauważasz różne rzeczy – ciągnie Angie. – Zauważasz, co ludzie czują... Więc kiedy był pod wpływem, musiałam się pilnować. Musiałam siedzieć jak grzeczna dziewczynka, bo jak nie, to mnie bił... Ale teraz, jak go już nie ma, do szaleństwa mi go brakuje. Miłość to dziwna bestia – mówi mi, łuskając groszek.

– To prawda – potwierdzam.

– Jakby był dwiema osobami. Dwoma różnymi ludźmi. To dziwne, prawda, Vivienne? I jedna z tych osób była dla mnie jak ktoś obcy. Czasem się zastanawiam, czy ja w ogóle naprawdę go znałam?

Myślę o tym okropnym momencie, kiedy zajrzałam do przebieralni Eugene'a – o tym momencie, kiedy zobaczyłam go z Moniką Charles. Myślę o mdłościach, o tym że czułam się tak, jakby zrozumienie sytuacji obłąziło mnie niczym owady: to zrozumienie, że moje małżeństwo jest czymś całkiem innym, niż sądziłam. Po kawie z pasternaku pozostał mi w ustach gorzki, przypalony smak.

– Rozumiem, co masz na myśli, że mogłaś się tak poczuć – mówię. – Że można się zastanawiać, jak dobrze się kogoś zna.

Na zewnątrz liście czarnego bzu szeleszczą. Wysychają na jesieni; wydają szorstki, syczący dźwięk.

– A mimo to był dobrym człowiekiem – mówi Angie. Wymawia słowa powoli, dokładnie, starannie je dobierając. – Był bardzo pracowity, a trzeba, by mężczyzna taki był. I brakuje mi tu mężczyzny. Taka jest naturalna kolej rzeczy, czyż nie? Żeby w domu był mężczyzna. Czasami go nienawidziłam, a teraz okrutnie mi go brakuje... Nauczyłam się jednego, Vivienne – zawsze powinno się być wdzięcznym za każdy dar od losu. – Otwiera strączek

z cichym chrupnięciem. – Ciesz się tym, co masz – dodaje, gdy groszek ze stukotem wpada do miski.

WRACAM NA PIECHOTĘ do Le Colombier, trochę mi smutno, że Angie się tak zmieniła. Jest teraz taka cicha, zamyślona. Kiedy Frank żył, bez przerwy gadała i gadała. Zawsze miała do przekazania jakieś wiadomości czy ploteczki: znała tyle starych opowieści i uwielbiała opisywać przesady, w jakie jeszcze wierzą starzy ludzie. Jeśli usłyszysz się w głębi łądu zgrzyt prądów przydennych na kamienistej plaży, będzie deszcz. Łatwiej urodzić, kiedy jest przyływ, a umrzeć, kiedy jest odpływ, bo życie przychodzi, kiedy woda przybiera, a odchodzi, kiedy opada.

Szczególnie lubiła opowiadać o wiedźmach z Guernsey, które dawno temu spotykały się na Le Catorac, przylądku na zachodzie. Czarownice tańczyły tam nago, jak to czarownice, mówiła, i przeklinały mnichów, którzy mieszkali po drugiej stronie wody na wyspie Lihou – świętej wyspie Guernsey, w pobliżu zachodniego brzegu. To był dosyć niepokojący obraz – zawzięte nagie kobiety przeklinające i pomstujące pod wiatr, ponieważ na przylądku Le Catorac zawsze wieje dziki, gwizdzący wicher. Czasami wybieraliśmy się tam latem; podczas odpływu można dojść na Lihou po kamiennej grobli. Teraz nie ma żadnych mnichów, nikt tam nie mieszka. To opustoszałe miejsce – czarne skały, szara woda, czarne wodorosty na jasnym piasku. Dziewczynki zawsze odbiegały, myszkowały w kałużach pomiędzy kamieniami, a w drodze powrotnej nieodmiennie powtarzałam im, żeby się pośpieszyły – z przyływem woda przybiera tak szybko, że z łatwością można zostać odciętym. W tych wyprawach zawsze towarzyszyło nam poczucie zaniepokojenia, zawsze gdzieś z tyłu głowy był ten strach, że woda może nas wyprzedzić.

Rozdział 30

EVELYN WOŁA MNIE z salonu.

– Vivienne? Czy to ty, Vivienne?

Siedzi w swoim fotelu z robótką. Idę do niej.

Mierzy mnie surowym spojrzeniem.

– Wpadła do mnie Clemmie Renouf, kiedy cię nie było – informuje. – Przyniosła gazetę parafialną.

– Tak?

– Clemmie Renouf powiedziała mi coś, czego nie chciałam usłyszeć.

Serce mi wali.

– Widziała cię w samochodzie z Hunem. Mówi, że to z pewnością byłeś ty.

Przez moment zastanawiam się, czy powinnam zaprzeczyć.

– To był jeden z niemieckich oficerów z Les Vinaires – mówię jej. – Zauważył, że złapałam gumę. Podrzucił mnie.

– Clemmie Renouf mówiła, że się uśmiechałaś.

– Evelyn. To nie zbrodnia – stwierdzam. – Ten człowiek mnie podwiózł. Padało. Dopiero co wyszłam od Gwen. Musiałam wrócić do domu, do ciebie i Millie.

– Szeroko się uśmiechałaś – podkreśla Evelyn.

– Chciał pomóc. To jedynie kwestia ludzkiej przyzwoitości – mówię.

– Właśnie o to chodzi – zgadza się. – To kwestia przyzwoitości. – Mówi powoli, znacząco ważąc słowa. – I Clemmie powiedziała coś jeszcze. Powiedziała, że miałaś na sobie jego płaszcz. Jego wojskowy płaszcz. Powiedz mi, że to nieprawda, Vivienne.

O Boże.

– Clemmie nie mogła dobrze widzieć – stwierdzam. – Jak mówiłam, lał deszcz. Szyby były całe zaparowane.

Ale czuje się okropnie, że ją okłamuję.

Evelyn prostuje się, jakby kij połknęła. Ściąga swoje cienkie, narysowane ołówkiem brwi.

– Zawodzisz nas, Vivienne. Eugene nigdy by na to nie przystał.

– To taka mała wyspa – mówię jej. – Musimy znaleźć sposób, żeby jakoś żyć w zgodzie.

Moja teściowa potrząsa głową.

– On by na to nie pozwolił. Eugene zawsze wie, co jest słuszne... – jej głos zamiera. Przebiega wzrokiem po pokoju. Teraz w jej głosie słychać zwątpienie. – Vivienne, gdzie jest Eugene?

– Pojechał na wojnę, pamiętasz? – mówię łagodnie.

Twarz Evelyn mętnieje jak zamglona szyba. Delikatne zmarszczki między oczami sugerują, że chce o coś zapytać.

– Naprawdę, Vivienne?

– Tak. Spójrz...

Na kominku stoi zdjęcie Eugene'a w ramce. Zrobiłam je tuż przed jego wyjazdem swoim aparatem Kodak. Jest w mundurze i patrzy prosto w obiektyw, i jest w nim jakaś powaga – świadomość, że to uroczysta chwila. Chociaż nie wiem, czy naprawdę coś takiego odczuwał. Może nawet w tamtym momencie grał, odgrywał rolę nieugiętego żołnierza idącego na wojnę.

– To on tuż przed tym, jak odszedł razem z wojskiem – mówię.

– Ach, Vivienne. Wygląda bardzo elegancko.

– Prawda?

– Kiedy to się stało?

– Zeszłej jesieni – przypominam jej. – Tuż przed wybuchem wojny.

– Och. Och. Naprawdę? Wiesz, czasem nie za dobrze pamiętam różne rzeczy... Więc mówisz, że Eugene wyjechał na wojnę?

– Tak. Wszyscy jesteśmy z niego bardzo dumni...

– Wyjechał, Vivienne?

Słyszę wybuch paniki w jej głosie. Raptownie zaczyna płakać. Łzy napływają tak nagle – przed minutą była zła, a teraz płacze. Jest tak, jakby jej emocje były tuż pod powierzchnią, zbyt blisko, niczym niechronione, jak zdarta skóra, tak że najlżejszy dotyk może sprawić ból. Łzy zostawiają lśniące ślimacze ślady na upudrowanej twarzy. To jest dla niej takie straszne – że zapomina, że go nie ma, a potem na nowo musi uczyć się tego bólu.

Wycieram jej twarz tak, jakbym wycierała buzię dziecku. Evelyn osuwa się nisko w fotelu, wygląda na małą i zagubioną. Obejmuję ją.

– Już wszystko dobrze. Nie płacz.

Cały gniew z niej wyparował – jest teraz wyczerpana, półżywa. Czuję się

taka winna, że ją zdenerwowałam i doprowadziłam do łez. W ogóle czuję się winna.

Rozdział 31

PRACUJĘ NA TYŁACH OGRODU, na tej części naszej ziemi, która ciągnie się za Les Vinaires. W tym miejscu między naszymi ogrodami rośnie niski żywopłot, a w nim jest mała furka. Przekopuję część trawnika, aby zrobić grządkę warzywną. To ciężka praca. Na początku była ze mną Millie – kopała łyżką, zbierała do słoika dżdżownice – ale teraz pobiegła do domu się bawić. Zostawiła słoik przewrócony na bok i robaki znalazły wyjście i ukradkiem odpełzają. Słońce ogrzewa moją skórę; w tym osłoniętym zakątku lato wydaje się ociągać z odejściem. Wciąż kwitnie kilka kwiatów: jesienny klematis w żywopłocie, szaroróżowe dale zwieszają miękkie ciężkie główki, kilka moich róż Belle de Crécy rozchyła jedwabiste płatki i pachnie słodko aż do bólu. Pszczoły niezdarnie zanurzają się w kielichach kwiatów i z powrotem się wynurzają.

Przerwałam na chwilę, zasapana, i opieram się całym ciężarem na łopacie, gdy pada na mnie cień. Podskakuję.

– Vivienne.

Odwracam się.

W ogrodzie jest kapitan Lehmann. Wszedł przez furkę w żywopłocie. Zauważyłam, że moje imię inaczej brzmi w jego ustach – tak zagranicznie, prawie wytwornie.

– Przestraszył mnie pan – mówię mu.

– Tak. Zauważyłem. Przepraszam – odpowiada.

Zawsze mnie przepasza.

Dzisiaj wygląda na zdeterminowanego – jak ktoś, kto zaraz ma pójść i zrobić coś ważnego. Nie pasuje do mojego ogrodu: jego obecność sprawia, że cały dzień zaczyna przypominać sen, staje się nierealny.

– Ma pani piękny ogród – stwierdza.

– Dziękuję panu.

Włożyłam dziś workowaty stary pulower Eugene’a, który jest trochę za ciepły jak na ten dzień. Wiem, że się spociłam – pod pachami i na twarzy. Zakładam niesforny wilgotny kosmyk włosów za ucho. Czuję się brudna i zaniedbana – on jest nieskazitelny, opanowany, odległy.

– Ten kwiat jest piękny – mówi. Pokazuje na klematis, który wplątał się w mój żywopłot. Kwiaty mają intensywny kremowy kolor, pręciki są czerwone jak granaty. Wyciąga rękę i dotyka płatka; patrzę, jak przesuwa palcem po otwartym barwnym kwiecie. Na moment dech mi zapiera. Zastanawiam się, czy on to słyszy.

– Lubi pan ogrody? – pytam. – Ma pan w domu ogród?
Potrzęsa głową.

– Nie mamy ogrodu w Berlinie. Mamy tylko balkon. Moja żona ma tam trochę kwiatów doniczkowych i ptaka w klatce.

Jego słowa wyczarowują cały malutki obraz. Myślę sobie, że to właśnie widział w wyobraźni, gdy wtedy, wieczorem, dostrzegłam go przez okno, czytającego list – swoją żonę, balkon, ptaszka w klatce.

– To bardzo miło – mówię. Uprzejmie. Bezradnie.

Lekko wzrusza ramionami. Nie spuszcza ze mnie wzroku, jego oczy szare jak dym drzewny czegoś żądają.

– Wolałbym mieć ogród – stwierdza.

Czuję, że mam wypieki. Zapach róż liże nas jak czulące się zwierzę.

Tej części ogrodu nie widać ani z sypialni Evelyn, ani z salonu. Ale odczuwam głęboki niepokój na myśl, jaka byłaby zbulwersowana, gdyby zobaczyła, że tutaj stoimy, skoro już i tak odnosi się do mnie bardzo podejrzliwie. Odwracam się plecami do domu, jakbym dzięki temu była bardziej bezpieczna, jak małe dziecko, które chowa buzię w dłoniach i wierzy, że go nie widać.

– Zawsze to pani lubiła – uprawianie roślin? – pyta.

– Tak. Nawet gdy byłam dzieckiem. – Chwytam się deski ratunku, jaką jest ten chyba bezpieczniejszy temat rozmowy. – Tylko te ozdobne – nie warzywa. Kiedyś wydawałam kieszonkowe na paczuszki nasion kwiatowych.

– Gdy była pani dzieckiem... – zadumał się. Uśmiecha się, jakby ta myśl sprawiała mu przyjemność.

– Uwielbiałam rysunki na opakowaniach – ciągnę. – Pamiętam, jak kupiłam zagubioną miłość, bo spodobała mi się nazwa i obrazek.

Ledwie te słowa wychodzą z moich ust, czerwienię się z zażenowania, ze względu na nazwę kwiatka. Ale on ma zdezorientowany wyraz twarzy, nie zrozumiał, co powiedziałam.

– Jest taka roślina, czarnuszka damasceńska, moje ciotki nazywały ją zagubioną miłością – wyjaśniam.

Mówiąc o niej, nagle tak bardzo wyraźnie sobie wszystko przypominam.

Stoję przed półkami z nasionami w sklepie żelaznym w pobliżu Clapham Common, wybieram paczuszkę z chmurą powabnych kwiatów o niebieskich płatkach.

– Ale nigdy nie wyrosły tak, jak obiecywali – mówię. – Miałam takie wielkie nadzieje, potem wyrosło mi tylko kilka wątłych roślinek, które nawet nie chciały zakwitnąć. Oczywiście od tamtego czasu nauczyłam się hodować kwiaty. – Jedno słowo goni drugie, nie mogę zamilknąć. Czuję się pijana, oszołomiona, po plecach nieprzyjemnie ścieka mi strużka zimnego potu. – Ale tu trzeba będzie dużo zmienić, to oczywiste – będę musiała wykopać połowę z nich i zasadzić coś, co da się zjeść. Prawdopodobnie powinnam była zacząć wcześniej. Jednak to trudne, naprawdę kocham moje kwiaty.

– Tak, to widać – mówi kapitan.

– Rzecz w tym, że nie jestem bardzo praktyczna. Teraz, gdy wszystkiego brakuje, i w ogóle, przydałoby się, żebym była bardziej praktyczna, żebym była osobą innego typu. Wydaje mi się, że nie zostałam stworzona do takich czasów.

Kapitan lekko się uśmiecha, ale widzę coś jakby smutek w jego oczach.

– Bardzo niewielu z nas zostało stworzonych do takich czasów.

Milczy przez chwilę. A ja desperacko zastanawiam się, co by tu powiedzieć, ale po moim wybuchu w głowie mam pustkę. Czuję się, jakbym była pod wodą – to przez tę wilgoć na mojej skórze, przez wodnisty szum wiatru w drzewach żywopłotu, przez to, że nie mogę oddychać.

Słyszę, jak cicho chrząka.

– Jest coś, o co chciałem panią poprosić, Vivienne. O przysługę.

Jego głos brzmi inaczej, jest pełen wahania, niepewny. Kiedy to słyszę, zasycha mi w ustach.

– Może pamięta pani, jak mówiłem, że lubię rysować – mówi. – Chciałem zapytać, czy zechciałaby mi pani pozować.

To dlatego wyglądał na tak zdeterminowanego, gdy wchodził przez furtkę do ogrodu. To o mnie mu chodziło.

– Przepraszam, nie powinienem był pytać – mówi.

Szybko się wycofuje. Widać, że jest dumnym mężczyzną.

– Nie, to nie o to chodzi – powstrzymuję go.

– To było niewłaściwe z mojej strony.

– Nie mam panu za złe, że pan spytał. Naprawdę.

Odsuwa się ode mnie o krok, całkiem zamyka się w sobie.

– A więc do widzenia, Vivienne – żegna się.

Znowu jest taki daleki i oficjalny. Odwraca się, żeby wyjść przez furtkę.
Przełykam z trudem.

– To musiałyby być... – chrypię. Mój głos jest bardzo cichy.

Kapitan szybko odwraca się z powrotem w moją stronę.

Nie patrzę na niego. Przyglądam się swoim dłoniom, poplamionym liniom
po wewnętrznej stronie, czarnym półksiężycom ziemi pod paznokciami.

Próbuję jeszcze raz.

– Musiałyby to być, jak Millie i Blanche będą spały. Może o dziesiątej?

Czuję na sobie jego wzrok, czuję ciepło tego spojrzenia.

– Dziękuję – mówi.

Nie śmiem podnieść oczu, kiedy mnie opuszcza.

Rozdział 32

SŁYSZĘ CICHUTEŃKIE PUKANIE do drzwi. Wpuszczam go do środka.

– Vivienne.

Wymawia moje imię dosyć powoli, jakby nie chciał kończyć go wymawiać. Wokół nas panuje łagodna cisza drzemiącego domu, w którym wszyscy inni śpią.

Prowadzę go do salonu. Rozgląda się i nagle ja zauważam ten znajomy pokój jego oczami. Od jakiegoś czasu mieszkają tu już tylko kobiety i widzę, jaki się zrobił kobiecy – cały ten perkal w konwalie, wiązadła z chwastami do zasłon, dalej w białym dzbanku. Wszystko udrapowane i ukwiecone. Kapitan wydaje się zbyt potężny, zbyt męski, żeby tu pasował.

Ma z sobą blok rysunkowy i ołówki w skórzanym etui oraz butelkę brandy, którą mi podaje. Na butelce jest francuska etykieta. Brandy wygląda na drogą.

– To żeby pani podziękować – mówi.

Wydaje się, jakby minęły wieki, od kiedy próbowałam odmówić przyjęcia czekolady w prezencie od niego.

Wyciągam z serwantki dwie koniakówki – jedyne dwie, które nie zostały roztrzaskane w ten dzień, gdy omal nie wsiadłyśmy na statek. Stawiam je na pianinie. Kapitan nalewa brandy. Podając mi alkohol, trąca mój kieliszek swoim; jasne stanowcze brzęknięcie szkła wydaje się głośne w zapadłej między nami ciszy. Pospiesznie przełykam brandy i czuję, jak mnie rozgrzewa, czuję jak łagodnieje we mnie napięcie.

Kapitan patrzy na moje półki z książkami.

– Ma pani dużo książek – zauważa.

– Tak.

– A do kogo należą te książki? Są pani czy pani męża? – pyta.

– Głównie moje. Eugene nie za bardzo lubił czytać. – Użyłam czasu przeszłego – nie jestem pewna czemu. – Przywiozłam większość z nich z Londynu.

– Mogłaby pani może pożyczyć mi jakąś książkę? – pyta. – Żebym mógł ćwiczyć swój angielski?

To kolejny z takich momentów – zastanawiam się, gdzie powinnam ustalić granicę. Ale jak mogę mu tego odmówić, skoro zaprosiłam go do środka – żeby mnie narysował, żeby wypił brandy.

– A którą by pan chciał? – pytam.

– Która książka jest tu najlepsza? – odpowiada pytaniem.

Uśmiecham się.

– Nie da się odpowiedzieć tak po prostu – mówię.

Czeka.

Zdejmuję z półki jedną z moich ulubionych książek, tom wierszy Gerarda Manleya Hopkinsa. Ale to nie najrozsądniejszy wybór dla kogoś, kogo ojczystym językiem nie jest angielski – język, jakiego używa ten poeta jest dość ekscentryczny i dziwny.

Książka otwiera się sama w miejscu, w którym jest zakładka z wstążki, w miejscu, w którym tak często ją otwierałam.

– Mogę? – pyta kapitan.

Podaję mu książkę.

– Może mnie pani poprawiać – mówi – jeśli będę źle czytał.

Zacyna cicho, uważnie, zacinając się trochę na słowach:

Pragnieniem moim udać się

Gdzie wiosny nie zawodzą,

Na pola, gdzie nie pada ostry i kosy grad

I lilie kłonią się...

Przerywa, podnosi na mnie wzrok.

– Kosy? Czy to prawdziwe słowo? – pyta.

Ma ten jakby urażony wyraz twarzy, który zawsze wywołuje u mnie uśmiech.

– Właściwie tak. Tylko rzadko już go w ten sposób się używa – wyjaśniam. Czuję się głupio, że wybrałam taki nieodpowiedni wiersz. – Może to nie był najlepszy wybór. To dosyć trudny poeta.

– Nie, Vivienne, to był bardzo dobry wybór – mówi.

Wraca do czytania.

I proszę, bym zagościł tam,

Gdzie sztormy nie przychodzą,

Gdzie zieleń przypiływu w przystaniach bezgłośnie

I rozkołysane nie sięga morze****.

Kiedy kończy czytać, cisza wydaje się utrzymywać w słowach tak, jak można by utrzymać wodę w złożonych dłoniach – tylko przez moment, przez

jedną cenną chwilą, zanim przesączy się między palcami.

– Czy przeczytałem go jak trzeba? – pyta.

– Tak. Tak jak trzeba.

Ale kiedy go czytał, do pokoju napłynął jakiś tęskny smutek, jakieś przygnębienie. Nie wiem, skąd się wzięły.

– Podoba mi się ten wiersz. Jest piękny – stwierdza.

– Zawsze był moim ulubionym – mówię mu, starając się odepchnąć od siebie smutek, głos mam nijaki, zwyczajny. – Omawialiśmy go w szkole.

– Ile miała pani lat, kiedy czytaliście ten wiersz w szkole? Czternaście, piętnaście?

– Tak. Coś koło tego.

Uśmiecha się, jak by ta myśl mu się podobała.

– Jaka pani była w wieku czternastu lat? – pyta.

Nie wiem, jak odpowiedzieć.

– Chyba taka jak wszyscy inni... – Mam uczucie, że on zasługuje na coś więcej – coś bardziej konkretnego. Ponieważ pamiętam dokładnie, jaka byłam – nienawidziłam mieć czternaście lat. – Chociaż nie. To nieprawda. Nie taka jak wszyscy. Zawsze mnie karcono za to, że wyglądałam przez okno i marzę. Że się nie koncentruję. I byłam okropnie nieśmiała, trochę niezgrabna, same kolana i łokcie...

Jego spojrzenie spoczywa na mnie pełne ciepła, zainteresowania.

– Zawsze zazdrościłam innym dziewczynom. Tym promiennym. Tym, które wydawały się takie pewne siebie i idealne – mówię. – Zawsze są takie dziewczyny – wie pan, te, którym szwy pończoch nigdy się nie przekrzywiają, które mają włosy zawsze idealnie ułożone.

– Tak. Zawsze są takie dziewczyny – potwierdza, wzruszając lekko ramionami. Jakby wiedział dokładnie, o co mi chodzi z tymi promiennymi dziewczynami. Jakby go tak naprawdę wcale nie interesowały. Cieszy mnie to, chociaż wiem, że nie powinno.

– Może pan pożyczyć tę książkę, jeśli pan chce. Żeby mógł pan ćwiczyć swój angielski.

– Dziękuję. Bardzo pani dziękuję.

Przekartkowie książkę, potem wraca do strony tytułowej. Widzę, że patrzy tam, gdzie się podpisałam: *Vivienne Mary Collier*, potem *Collier* przekreśliłam i napisałam *de la Mare*. Przesuwa palcem po tych słowach, jakby oczekiwał, że będą miały inną fakturę niż reszta strony. Jakby sądził, że może się dowiedzieć czegoś, dotykając mojego

imienia.

Wkłada książkę do kieszeni marynarki.

– Dziękuję pani, Vivienne – powtarza.

Czuję, jak intensywnie się we mnie wpatruje. Odwracam się od niego.

– Gdzie pan chce, żebym usiadła? – pytam, starając się mówić lekko, niedbale.

Pokazuje na sofę. Siadam, nagle skrępowana, obciążam spódnicę i niezgrabnie ustawiam nogi na różne sposoby. On siada naprzeciw mnie na krześle. Wyciąga ołówek i kładzie blok na kolanach.

– Gdzie powinnam patrzeć?

– Jakby pani obróciła się odrobinę na swoje lewo... – mówi.

Obracam się.

– O tak?

– Tak. Idealnie. Tak, by światło lampy padało na pani twarz.

Na początek głównie na mnie patrzy, tylko od czasu do czasu zaznacza coś na papierze. Unosi ołówek, mruży oczy, rozpracowuje proporcje mojej twarzy. To denerwujące, kiedy ktoś cię z takim skupieniem obserwuje. Cieszę się, że nie całkiem jestem zwrócona twarzą do niego, że nie muszę patrzeć mu w oczy.

– Jak bardzo muszę siedzieć bez ruchu? Czy wolno mi mówić? – pytam.

Uśmiecha się lekko.

– Tak. Na razie tak – odpowiada.

Ale potem nie potrafię już wymyślić, co powiedzieć, nie potrafię wymyślić nic inteligentnego.

– Czy zawsze lubił pan rysować?

To pytanie jest zbyt oczywiste; wydaje się takie sztuczne, naiwne. Ale on odpowiada na nie bardzo poważnie.

– Nie zawsze. Jako dziecko cały czas rysowałem, ale potem wtrąciło się życie, jak to ma w zwyczaju. Ponownie zacząłem kilka lat temu, gdy dobiłem do czterdziestki. Tęskniłem za tym, by mieć trochę czasu, który należałby tylko do mnie. Pomyślałem, że jeśli teraz tego nie zrobię, to już nigdy.

Musi mieć czterdzieści kilka lat. Czuję, jacy jesteśmy oboje starzy, jak wiele widzieliśmy.

– Starzenie się to dziwna sprawa – mówię. – Wcale nie jest takie, jak człowiek myśli, że będzie.

On patrzy na mnie zagadkowo.

Nie wiem, czemu właściwie to powiedziałam. Staram się wytłumaczyć.

– Niedługo sama będę miała czterdzieści lat. A przecież czuję się czasem tak, jakbym wciąż czekała, żeby moje życie się zaczęło. – Mówię powoli, rozpracowując, co dokładnie mam na myśli. – Spędzam tyle czasu na czekaniu. Czekam, aż Millie pójdzie do szkoły i będę miała odrobinę więcej wolnego czasu. Czekam, aż Eugene wróci do domu... – waham się, niepewna, czy wspomniałam o Eugenie dlatego, że uważałam, iż powinnam to zrobić. – Czekam, aż wojna się skończy... Ale życie nie czeka – przecieka przez palce, ucieka. Czy to nie brzmi głupio? Na pewno brzmi głupio.

– Nie, wcale nie – stwierdza.

– Czy pan też czasem tak się czuje? Nie, oczywiście, że nie. Życie mężczyzn nie jest takie, prawda?

– Może nie jest – odpowiada.

– Czasem tego zazdrościłam – że w życiu mężczyzn bardziej chodzi o robienie czegoś niż o czekanie. Mam czasem wrażenie, że to, co prawdziwe, przepływa obok mnie. Jakbym została zepchnięta na margines życia. Czasem nawet zazdrościłam Eugene’owi, że pojechał walczyć.

– Może wojna nie całkiem jest taka, jak pani sobie wyobraża. Duża część wojny to czekanie. Często ma się uczucie, że życie przecieka między palcami. – Uśmiecha się lekko, krzywo. – Chociaż ma też swoje lepsze strony...

Przestał rysować, ołówek zawisł nad kartką.

– Vivienne. Teraz rysuję pani usta, więc będzie pani musiała milczeć – mówi. Spogląda na kartkę, coś na niej zaznacza. – Szkicuję teraz pani górną wargę.

Nagle bardzo jestem świadoma tego, że mam usta. Twarz mnie pali. Z boku przy ustach coś mi zaczęło pulsować, nigdy nie wiedziałam, że tam coś takiego mam. Zastanawiam się, czy on to widzi.

Wpatruje się w moje usta i rysuje w milczeniu. Dochodzą do mnie z pokoju najcichsze dźwięki, słyszę, jak ćma uderza w abażur, jak polano iskrzy w kominku. Te dźwięki wydają mi się krystalicznie czyste i groźne.

W końcu odkłada ołówek.

– Może już pani na to spojrzeć – proponuje.

Podnoszę się i podchodzę bliżej. On również wstaje, odkłada rysunek na pianino, żebym go mogła obejrzieć. Wyczuwam w nim lekkie zdenerwowanie – obchodzi go, co pomyślę.

– To tylko zgrubny rysunek, szkic – stwierdza.

Ale widzę, że zbyt nisko się ocenia. Rysunek nie jest zgrubny; wszystko

tam jest, bardzo precyzyjnie oddane. Dobrze mi się przyjrzał – jest pieprzyk na mojej brodzie, zmarszczki pojawiające się na czole, kapryśne włosy, które wysmykują się ze spinek i kręcą wokół mojej twarzy. Jakby widział mnie taką, jaką jestem. Na rysunku usta mam duże i wiem, że to prawda, choć mi się to nie podoba: zazdroścę kobietom ze zgrabnymi, małymi usteczkami, które przypominają pączki kwiatów. Myślę, że może co do niego się pomyliłam – może wcale mnie nie podziwia. Z radością powitałabym odrobinę pochlebstwa.

– Jest bardzo dokładny – mówię.

– Może miejscami – odpowiada. – Ale tej części nie na rysowałem całkiem poprawnie. – Dotyka kartki jednym palcem i przeciąga wzdłuż linii mojego policzka po kartce. – Staralem się, ale nie potrafiłem jej uchwycić. Ta część pani twarzy jest taka urocza. To zaokrąglenie.

Podnosi palce znad kartki. Wyciąga rękę do mojej twarzy i bardzo powoli przesuwając palcem wzdłuż mojego policzka. Jego dotyk odbiera mi mowę. Przez chwilę tak stoimy, on nie odrywa palca od mojego policzka. Jego ciepło rozchodzi się po całym moim ciele.

Opuszcza rękę, cofa się o krok ode mnie. Nie mogę znieść, że się tak odsuwa, nie mogę znieść tej dzielącej nas odległości.

– Czy mogę zatrzymać rysunek? – pytam go. Chcę, żeby mi coś zostało z tego wieczoru, coś z niego. Mój głos brzmi, jakby dochodził z daleka.

On jest zdziwiony. Zadowolony.

– Tak, oczywiście. Proszę.

Podaje mi go.

– Powinienem już iść – mówi. – Dziękuję.

– Pana brandy? – unoszę butelkę.

– Proszę ją zatrzymać. Jest dla pani – mówi. – Ale czy mogę przyjść i ponownie się z panią napić?

– Tak... Pojutrze – mógłby pan wtedy przyjść.

On cicho wzdycha, gdy to mówię, jakby coś zostało ustalone. Ale te słowa nic nie znaczą – wszystko zostało ustalone, gdy mnie dotknął.

Wychodzi, a ja chowam brandy z tyłu, w kredensie, gdzie nikt jej nie zobaczy, i wkładam rysunek do jednej z moich książek z wierszami. Wciąż jeszcze czuję, w którym miejscu przesuwał palcem po mojej twarzy, jakby pod jego dotknięciem moja skóra ożyła.

Rozdział 33

WYCIĄGAM KSIĄŻKĘ, którą dała mi Angie.

– To prezent od pani le Brocq – mówię Millie.

Wtula się we mnie na kanapie. Trzeba umyć jej włosy; wdycham ich słodki złożony zapach.

– No to poczytaj mi, mammo – prosi.

Otwieram książkę.

Millie ściąga brwi.

– Nie ma obrazków – stwierdza.

– Nie. Będziemy musiały je sobie wyobrazić...

Gałązka wilżycy nadal tkwi między kartkami. Millie wyciąga ją i trzyma delikatnie między palcem a kciukiem.

Zaczynam czytać pierwszą baśń.

– „Był sobie raz na Guernsey mężczyzna, który popłynął łodzią na Sark...”

Buzia Millie natychmiast się rozchmurza. Kąciki ust unoszą się w uśmiechu.

– Byłyśmy tam, prawda, mamusiu? Byłyśmy na Sark – mówi.

Pamiętam, jak wybrałyśmy się tam łódką pewnego letniego dnia, zanim Eugene wyjechał, zanim zaczęła się wojna. Wzięłyśmy z sobą kanapki z sałatą i pastą warzywną i domową lemoniadę. Sark to mała spokojna wysepka, na której nie ma silników, nie ma samochodów – za to są ciemne senne ścieżki między zwieszającymi się nad nimi żywopłotami, pieczołowicie zadbane ogrody obsypane kwiatami; a do tego ogromne kolonie morskich ptaków na rafach i przybrzeżnych wysepkach, na L’Etac i Les Autelets. Ptaki wzbijają się w powietrze jak biały dym, a ich krzyki dolatują daleko nad morze.

Millie uważnie słucha – dumna jest, że historia opowiada o miejscu, które zna.

Czytam dalej.

– „Ten mężczyzna był wspaniałym strzelcem i zamierzał trochę postrzelać, aby mieć co na obiad postawić na stole. Usiadł na klifach nad Havre Gosselin

i zobaczył stado dzikich kaczek, które zataczały w locie idealne kółka i wydawały się wcale nie przejmować odgłosem wystrzałów”.

Millie ma zamyślony wyraz twarzy.

– Myślisz, mam, że to nie były prawdziwe kaczki? Myślisz, że to naprawdę były czary, mamusiu?

– Tak, tak sędzę.

Millie wzdycha z zadowoleniem, cieszy się, że to będzie czarodziejska opowieść. Z roztargnieniem gładzi się po buzi zasuszonym kwiatkiem.

– „Kiedy mężczyzna wrócił na Guernsey, udał się do białej czarownicy – do *sorchier* – po radę”.

Właśnie mam to słowo wyjaśnić, ale Millie kiwa głową, że je zna.

– „*Sorchier* powiedziała mu, by strzelił do kaczki specjalnym nabojem – kulą ze srebra, na której będzie znak krzyża. Tak więc mężczyzna popłynął ponownie łódką na Sark i usiadł na klifach nad Havre Gosselin. W jasnym spokojnym powietrzu nad wodą kaczki zataczały swój idealny krąg. Mężczyzna wystrzelił srebrną kulę, a ta trafiła jedną z kaczek w skrzydło, nie zabijając jej.

Płynąc łódką z powrotem do domu, mężczyzna zauważył wśród innych wyspiarzy jakąś dziewczynę – dziewczynę, która była blada i wstrząśnięta, i miała okropną ranę na ręce”.

Oczy Millie błyszczą. Wie, co zdarza się w takich opowieściach – te olśniewające przemiany, to, że nie można nikogo sądzić po wyglądzie.

– To była ona, prawda, mamusiu? Ta dziewczyna była tą kaczką, do której strzelał. Dziewczyna potrafiła rzucać zaklęcia i mogła zmieniać się w kaczkę...

– Tak mi się wydaje – odpowiadam.

Ale słucham jej tylko jednym uchem. Ta historia porusza mnie w sposób, którego nie potrafię wyjaśnić ani wyrazić. Tak wyraźnie widzę tę scenę – małą łódkę, szare morze, szare niebo, dziewczynę o czarnych, kruczoczarnych włosach, jej białą udreconą twarz i to, jak dygocze z bólu, a jasna krew kapie z jej ręki.

Odwracam stronę.

– „Mężczyzna wiedział, że to ona jest kaczką, którą postrzelił, ale spojrzał na nią i nic nie powiedział. I potem przez wiele lat milczał, opowiedział o tym, co się stało, dopiero w dzień swojej śmierci...”.

Millie się zamyśliła.

– Było mu przykro, prawda? Nie powinien był do niej strzelać. To dlatego

nic nikomu nie powiedział.

Myślę o tej chwili, gdy tych dwoje na siebie spojrzło – dziewczyna z jej zakazaną magią i mężczyzna, który zranił ją w rękę. Czy rozumiała wtedy, kiedy na nią spojrzął, że nic nie powie, że nie zdradzi jej tajemnicy?

To właśnie poruszyło mnie w tej historii – ich współdziałanie, ich wspólna wina.

CZĘŚĆ III

październik 1940 – wrzesień 1941

CZĘŚĆ III

*październik 1940 - wrzesień
1941*

Rozdział 34

BIOREŃ DESZCZÓWKĘ Z BECZKI, podobno jest dobra na włosy. Myję włosy i je zakręcam. Kiedy już są suche, roztrzepuję loki; moje włosy pachną świeżo, pachną wsią. Kończę sprzątać po kolacji, wkładam najlepszą granatową sukienkę. Jest z jedwabnego szantungu, ciemny materiał połyskuje tęczowo jak benzyna na wodzie. Patrę na swoją twarz w lustrze toaletki. To trójdzielne lustro, odbija samo siebie i moje wielokrotne odbicia oddalają się ode mnie, każdemu oczy się błyszczą, każde jest zarumienione i przestraszone, jakby był we mnie cały tłum podekscytowanych, niespokojnych kobiet.

Blanche wchodzi powiedzieć dobranoc.

– Ładnie wyglądasz, mamó – chwali mnie. – Od lat nie nosiłaś tej sukienki.

W jej głosie słychać pytającą nutkę.

– Po prostu miałam ochotę założyć coś ładniejszego – stwierdzam.

– Ta sukienka jest taka ładna – mówi. – Mogłabyś w niej iść na tańce. Już nie wyglądasz jak czyjaś mama.

Patrzy na mnie tęsknie – może z lekką zazdrością. Potem odwraca się, przebiera palcami po pozytywce, po tym niewyraźnym impresjonistycznym obrazku przedstawiającym dwie dziewczynki przy fortepianie.

– Mogę? – pyta.

– Oczywiście.

Obraca korbkę. Muzyka brzmi jak bicie malutkich dzwoneczków, chłodna i srebrzysta jak lód albo szkło. Blanche kołysze się lekko w takt. Prawie każda muzyka sprawia, że zaczyna tańczyć – nawet *Dla Elizy* z pozytywki.

Serce mi się ściska, tak mi żal córki. To Blanche powinna się stroić, nie ja.

– Blanche. Już nigdy więcej nie poszłaś na taką potańcówkę z Celeste.

– Jak tamta w *Les Brehauts*, o nią ci chodzi?

– Tak. Czy już ich nie organizują?

– O tak. Sądzę, że nadal je urządzają – odpowiada.

– Nie mam nic przeciwko, gdybyś chciała się wybrać. Naprawdę. Dopóki będziesz bezpieczna. Byle cię odwieźli do domu.

– Nie trzeba, mam.

– Ale wydawało mi się, że dobrze się bawiłaś, kiedy tam poszłaś...

– Cóż, wtedy było fajnie – mówi. – Lubię tańczyć. Ale potem się modliłam i doszłam do wniosku, że nie należało tego robić.

– Ach. Czy tak, kochanie?

Wciąż mnie to zaskakuje – kiedy okazuje się taka religijna.

– Chodzi o to, że oni chcą się umawiać, ci niemieccy chłopcy – ciągnie. – Ale to by nie było w porządku, prawda, mam? Mieć za chłopaka Niemca?

Czuję się zdziwiona. Nie wiedziałam, że tak myśli.

– Cóż, to zależy – odpowiadam ogólnikowo.

– Nie chciałabym tego robić – stwierdza. – I tobie by się to też nie podobało, gdybym tak postępowała. – Nie spuszcza ze mnie spojrzenia, oczy ma niebieskie jak letnie niebo. Jest w niej taka jasność.

– Oczywiście znajdą się ludzie, którzy tego nie pochwalają. Ale gdyby to był dobry człowiek... – mój głos zamiera.

– Ale tego nie da się powiedzieć, prawda? – pyta. – To znaczy, nie można mieć pewności.

– A co z Celeste? – chcę się dowiedzieć. – Nadal spotyka się z Tomaszem?

Blanche przytakuje.

– Bardzo go lubi – stwierdza. – Ale naprawdę jestem zdania, że nie powinna.

– Czy wie, co o tym myślisz? Że uważasz, że tak się nie powinno?

– Oczywiście, że wie, mam. Rozmawiamy o wszystkim, ja i Celeste. Nie mamy tajemnic – mówi Blanche. – Ale ona twierdzi, że nie mam racji, mówi, że on nie jest taki jak inni.

– Cóż, może ma rację – może nie jest taki jak inni.

Płynąca z pozytywki melodia pod koniec zwalnia i daje się słyszeć postukiwanie i zgrzyty małych części w środku. Blanche zamyka pudełeczko.

– Mimo wszystko bym tak nie postępowała – stwierdza. – Myślę, że... czy można kogoś tak naprawdę do końca poznać? Jak można być kiedykolwiek pewnym, jacy ludzie są?

– Ale czy nie uważasz, że da się powiedzieć, czy ktoś jest dobry? Nawet jeżeli stoi po przeciwnej stronie podczas wojny?

Blanche spogląda na mnie z powątpiewaniem, jakbym po prostu nie

rozumiała.

GDY DZIEWCZYNNKI I EVELYN już się położyły, siedzę w kuchni i czekam na niego. Cienie układają się w aksamitne fałdy pod ścianami pokoju, a mnie nachodzą wątpliwości. Teraz widzę to wszystko tak wyraźnie, że to był dziki, irracjonalny pomysł – nierozważny, impulsywny, bez reszty naganny. I siedząc w mroku, podejmuję decyzję. Powiem mu, że nie może wejść – że zmieniłam zdanie. Ponieważ nasze kontakty są czymś niewłaściwym z tak wielu powodów. Zrozumie. A przynajmniej nie będzie zdziwiony. Może powinnam zdjąć moją szantungową sukienkę i włożyć coś bardziej codziennego. Może powinnam pogasić świece, które zapaliłam na górze w swoim pokoju.

Słyszę jego pukanie. Serce mi wali. Idę otworzyć drzwi.

Na twarzy ma tylko półuśmiech. Od razu widzę, że on też jest zdenerwowany i to mnie wzrusza – wiem, że nie mogę mu powiedzieć, żeby sobie poszedł. Już wybrałam drogę, którą pójdę.

– Vivienne...

Uwielbiam, jak wypowiada moje imię – powoli, pieśczośliwie.

Wchodzi, staje przede mną w korytarzu. Na jego bliskość zatrzepotało we mnie pożądanie – ale bardziej mgliste, bardziej efemeryczne niż to, jakie czułam, kiedy przesuwiał palcem po mojej twarzy. Tylko niteczka. Cień.

Odwracam się i prowadzę go na górę po schodach, dogłębnie świadoma obecności wszystkich osób, które śpią w tym domu. Pokazuję mu wszystkie miejsca, które skrzypią, szepczą, gdzie ma nie stawać na schodach. Serce bije mi szybko, jak u złodzieja. Jestem złodziejem we własnym domu.

Otwieram drzwi do swojego pokoju i wprowadzam go do środka. Zamykam drzwi za sobą i przekręcam klucz w zamku. W ciszy odgłos ten jest taki wymowny.

On stoi w świetle świec i patrzy, patrzy na mnie tak, jakby nigdy nie miał już patrzeć gdzie indziej. Sądziłam, że będę się czuła skrępowana, nawet zażenowana w tym momencie, a zaskakuje mnie czysta radość, że jesteśmy tu razem. Mam poczucie nieskończonej wolności w tym małym pokoju – moglibyśmy tu wszystko robić, w tym miejscu, do którego wojna nie dociera. Kiedy bierze mnie w ramiona, czuję gwałtowny przypływ radości i przekonania, że on jest czymś nieskończenie cennym. Przesuwam palcami po jego twarzy, wyczuwam kości pod krótko przyciętymi włosami na głowie; a on przesuwając dłońmi po całym moim ciele, biorąc mnie swoim dotykiem w posiadanie.

Wcześniej, z Eugene'em – lata temu, kiedy jeszcze czasem się kochaliśmy – zawsze byłam przy tym jakoś na zewnątrz, wycofana, obserwowalam siebie. Przyglądałam się sobie spod sufitu, obojętna, niewzruszona, daleka – rozszczępiona na dwoje, jedna część działa, jedna się przygląda. Ale tu, teraz, całą sobą jestem obecna przy każdym dotknięciu, każdej pieszczocie. Jestem intensywnie świadoma twardości jego ciała, otaczającego mnie zapachu jego skóry, ust penetrujących moje usta; i jego dłoni, które poruszają się po moim ciele, a ja dygoczę i drzę, jakbym się rozpadała na kawałki. On kładzie mi dłoń na ustach. – Cśś – mówi. – Cśś. – A potem jest we mnie, otulam go całą sobą, ukrywam się w nim, ukrywam jego we mnie.

Później leżymy razem w milczeniu. Otwieram oczy i widzę, że mój pokój jest taki sam jak wcześniej i to mnie zdumiewa. Czuję się tak, jakbym przebyła jakąś ogromną odległość lub wjechała do innego kraju.

Jego mundur leży na krześle. To zgrzyt, przypomina mi o wszystkim, co zdecydowałam się wymazać z pamięci. Odwracam wzrok. Mówię sobie – tanto jest częścią innego życia, jego życia, kiedy nie jesteśmy razem. Nie mówi nic o tym, kim on naprawdę jest, tutaj, ze mną, w tym pokoju.

Całuje mnie, ledwo muskając ustami moje wargi.

– Dziękuję ci – mówi.

Nagle czuję się radośnie szczęśliwa. To takie dziwne, że mi dziękuję, kiedy dał mi tak dużo.

Leżę z głową na jego piersi, słucham cichego bicia jego serca. Palce wplątał w moje włosy. Nic nie mówimy i ta cisza jest najśłodsza ze wszystkiego. Nie wiedziałam, że seks może przenieść człowieka gdzieś, gdzie panuje taki spokój.

I wtedy słyszę odgłos, którego się obawiam – kroki, ktoś naciska kłamkę, a potem puka do drzwi.

– Schowaj się pod kołdrą – mówię mu.

Owijam się szlafrokiem i otwieram drzwi.

Bardzo się boję, że to będzie Blanche – że zajrzy głębiej do pokoju i od razu wszystko zrozumie: dlaczego miałam na sobie najlepszą szantungową sukienkę, dlaczego nasza rozmowa była taka, a nie inna. Ale to Millie w piżamie w cukierkowe paski, stopy ma duże i niezgrabne w robionych na drutach skarpetach do spania. Jej oczy są szeroko otwarte i w coś się wpatruje, ale nie wiem, co widzi: buzię ma zaspaną, półprzytomną.

– Mamusiu, tam są pszczoły. Są pszczoły w domu. – Jej głos jest cienki, piskliwy, łamie się.

Wciąż jeszcze nie obudziła się z koszmaru. Moje świece odbijają się w jej oczach, maleńkie nieskalane obrazy.

– Nie, kochanie. To tylko sen.

– Są w moim łóżku, mamusiu!

Kucam, przytulam ją. Serduszko Millie tłucze w moją pierś, jakby jej serce było moim sercem. Pod oczami ma niebieskie rozmazane cienie.

– Nie ma żadnych pszczół – przekonuję ją.

– Mamusiu, mam pszczoły we włosach. Słyszę je... Biegłam i biegłam, ale nie mogłam uciec. – Jej głos jest jak cienka, jaskrawa, wibrująca nić.

Głaszczę ją po włosach.

– To tylko sen – mówię. – Nie ma się czego bać.

– Nie słyszysz, jak bzyczą? – pyta.

Odprowadzam ją z powrotem do jej pokoju. Zalewa mnie poczucie winy. Zastanawiam się, czy to moja wina, że tak ją coś nęka. Czy coś widziała, usłyszała? Uważnie nasłuchuję, z teatralną przesadą przeszukuję wszystkie kąty, by udowodnić, że żadnych pszczół tu nie ma. Potem usypiam ją piosenką. Nie sędzę, by widziała Gunthera. Ale poczucie spokoju mnie opuszcza, jego gładka nieruchoma powierzchnia robi się spękana, rozpryskuje się na tysiąc błyszczących odłamków.

Kiedy wracam do swojej sypialni, Gunther jest już ubrany.

– Wszystko z nią w porządku? – pyta.

– Tak. Teraz śpi. Chyba nic nie widziała.

Bierze mnie w ramiona.

– Vivienne. Czy zrobimy to jeszcze kiedyś? Chciałbym cię znowu zobaczyć, najdroższa. Chciałabyś tego?

Jego pytanie przepęnia mnie szczęściem.

– Tak...

Ale koszmar Millie wytrącił mnie z równowagi. Wyczuwam potworność tego, co zrobiliśmy, tego, co planujemy robić.

– Gunther. Czy naprawdę uda nam się robić to tak, aby nikt się nie dowiedział? Czy naprawdę uda nam się utrzymać nasze spotkania w tajemnicy? Nie wolno nam się z tym zdradzić – przed Evelyn, przed dziewczynkami. Przed nikim...

– Będziemy bardzo uważać – odpowiada.

Odprowadzam go na dół do drzwi. Patrzę, jak wychodzi, jak idzie

po żwirze – jak wraca do swojego drugiego życia. Księżyc zalewa moje podwórko srebrzystym światłem, tak jasnym, że Gunther rzuca cień. Wracam do pokoju. Moje ciało, moje wilgotne łóżko pachną nim.

Już za nim tęsknię.

Rozdział 35

O PRACOWUJEMY ZASADY. ZOSTAWIAM mu znak – pustą doniczkę na progu – żeby wiedział, że jest bezpiecznie, że tutaj wszyscy śpią. Jeśli przychodzi do mojego domu, to zawsze punkt o dziesiątej; jeśli nie pojawi się do piętnaście po, idę na górę do łóżka sama.

Tak długo mieszkałam w domu kobiet. Jestem zdumiona, że znowu mam mężczyznę w swoim łóżku, taka wdzięczna za ciepły ciężar jego solidnego ciała, za delikatny zapach jego skóry, za jego odmienność. Dziwi mnie też to, jaka przy nim jestem. Zawsze uważam siebie za kogoś bardzo nieśmiałego, powściągliwego, a przy tym mężczyźnie zrobiłabym wszystko – otwieram się, jestem bezwstydna. Jakbym miała inne ciało, kiedy z nim jestem, jakby jego bliskość mnie zmieniała.

Kiedy kończymy się kochać, zawsze przez chwilę rozmawiamy, a ja kładę głowę na jego ramieniu. W łagodnym świetle świec pokój wydaje się pomieszczeniem tajemnym, odseparowanym – jak jaskinia w lesie, jak łódka na zmiennym morzu. Słyszę, jak stary dom, układając się do snu, przeciąga się i poskrzypuje, tak jak poskrzypuje zakotwiczona łódź.

Wyciąga dwa papierosy i zapala jeden dla siebie, a drugi dla mnie. Najczęściej rozmawiamy o przeszłości – która jest bezpieczniejsza niż teraźniejszość.

– Jaka byłeś jako dziecko? – pyta mnie. – Opowiedz mi o swoim dzieciństwie.

Wydmuchuje dym. Spokój tej chwili otula wszystko wokół nas. Tak mi dobrze, kiedy widzę go tu, w moim łóżku, Kocham to, czego nauczyłam się o jego ciele: układ włosów na jego piersi, zarys kręgosłupa pod białą skórą, więzadła nadgarstka, coś jakby wdzięk w jego gestach – i ten zaskakujący uśmiech, który nagle rozjaśnia mu twarz. Już wydaje mi się znajomy, jakby był częścią mnie, jakbym zawsze na niego czekała.

Opowiadam mu o Iris, o dorastaniu w wysokim wąskim domu w Clapham, o ciotkach, które mnie wychowywały.

– Moja matka zmarła nagle, gdy miałam trzy lata – mówię mu. – Miała zapalenie płuc.

Obejmuje mnie ramieniem, przyciąga blisko do siebie. Czeka.

Wspominam. Nagle to wspomnienie robi się takie żywe. Czuję chłodny, antyseptyczny zapach pokoju chorej. Ból rośnie jak ciasto w mojej piersi.

– Zaprowadzono nas tam, byśmy się pożegnały – mnie i moją siostrę – podejmuję.

I nagle zaczynam płakać. Jakby jego obecność zmiękczyła tę twardą skorupę, która mnie chroni. Od lat nie rozmawiałam o tym bólu.

Ociera mi łzy z twarzy jednym ciepłym palcem.

– Byłaś taka młoda – mówi cicho. – I musiałaś poradzić sobie z takim wydarzeniem.

Z nagłą, niepokojącą dokładnością staje mi to wszystko przed oczami.

– Wyglądała dziwnie. Nie wyglądała już jak moja matka... Nauczyłam się od tamtej pory, że gdy idzie się zobaczyć kogoś chorego, to czasem się wie, czasem można powiedzieć... Wie się, że ta osoba niedługo umrze. To widać, oni wyglądają inaczej.

– Tak, widywałem to – zgadza się ze mną.

– Chyba musiałam zobaczyć to w mojej matce – mówię. – Chociaż nie potrafiłam tego zrozumieć.

Gładzi mnie po włosach. Ten dotyk, ten rytm uspokaja mnie.

– To było dla ciebie bardzo trudne – mówi. – Że twoja matka umarła, kiedy byłaś jeszcze taka mała... Od samego początku wyczuwałem, że coś w tobie zostało zranione. Coś, co się wycofało, jakąś powściągliwość. Coś, co czekało na ujawnienie. Już wtedy, kiedy pierwszy raz zobaczyłem cię na ścieżce.

– Naprawdę? Naprawdę już wtedy tak pomyślałeś? – Chcę wiedzieć. – Opowiedz mi...

Później jestem zadowolona, że mu powiedziałam o mojej matce. Nie rozumiem, dlaczego to miałoby mnie tak pocieszyć, ale pocieszyło. Jakby to, że mu powiedziałam, mnie uwolniło.

W NOCY NASZA BLISKOŚĆ wydaje mi się czymś zupełnie naturalnym, jakby to wszystko było nam pisane, jakby tak miało rozwijać się moje życie. Ale czasem widzę go w ciągu dnia – w zarekwizowanym bentleyu lub z innymi żołnierzami, może śmiejącego się z Hansem Schmidtem czy Maxem Richterm tak głośno, dosyć rehotliwie, jak mężczyźni śmieją się w towarzystwie innych mężczyzn – i jak obuchem uderza mnie zrozumienie tego, co robię.

Zastanawiam się, jaki on jest, gdy przebywa z tamtymi ludźmi, tamtymi

nieprzyjacielskimi żołnierzami, zajmując się tym czymś, co robią, żeby nasza wyspa nie wymknęła się im spod kontroli? Czy naprawdę go znam? Co to znaczy: znać kogoś? I gdy się nad tym zastanawiam, zawsze słyszę w głowie głos Blanche: *Czy można kogoś tak naprawdę do końca poznać? Jak można być kiedykolwiek pewnym, jacy oni są?*

Któregoś dnia pytam go o jego życie.

– Naprawdę tak mało o tobie wiem – mówię.

– Co chcesz wiedzieć? – pyta.

W głowie splątały mi się pytania, nie mogę wydłubać tego właściwego. Wycofuję się do bezpieczniejszego tematu.

– Opowiedz mi o Niemczech. Nigdy tam nie byłam – proszę.

Leżę zwrócona twarzą do niego, patrzę na niego. Za jego plecami płomyki świec podświetlają ważkę na flakoniku perfum na toaletce, więc wygląda, jakby się paliła. Widzę jego twarz z profilu, bez wyrazu, ciemną na tle ognistych skrzydeł.

– Niektóre części Niemiec są piękne – mówi.

– Opowiedz mi o tych pięknych miejscach.

– Bawaria jest piękna – podejmuje. – Wuj mojej żony mieszka w Bawarii. Jeździliśmy tam w lecie – przed wojną, zanim to wszystko się zaczęło. Nigdzie nie ma powietrza takiego jak w tamtych lasach. Sosny, zapach jałowca. Nigdzie nie ma takiej ciszy jak tam.

Staram się to sobie wyobrazić – te ogromne lasy, zapach jałowca i sosny. Jestem taka niedouczona, jak dziecko. Tak mało wiem o świecie.

– Berlin człowieka przytłacza – ciągnie Gunther. – Te wszystkie wysokie budynki i ludzie mieszkający jedni nad drugimi. Nie lubię spędzać tam za dużo czasu. Lubię wyjeżdżać daleko. Nie musieć myśleć o różnych rzeczach...

Pamiętam ten wiersz, jaki dla niego wybrałam. *Pragnieniem moim udać się/ Gdzie sztormy nie przychodzą.* Może nie był to aż tak nieodpowiedni wybór, jak mi się wydawało.

– Lubię rysować i malować tam, w Bawarii – mówi. – Ustawiać sztalugi na zboczu. Móc spędzić cały spokojny dzień z węglem lub moimi farbami... Są takie chwile, kiedy nie trzeba się starać, nie trzeba się borykać. Jest się w tym miejscu, w którym powinno się być, i wszystko płynie jak woda, a otoczenie kształtuje się człowiekowi pod dłonią.

Myślę o tym, że każdy ma marzenie, które dodaje mu sił, myśl zaczynająca się od słów: *Kiedy skończy się wojna...* A jego marzenie jest tam, w tamtych

lasach i w tamtej ciszy. To tam zostawił cząstkę siebie – na jakimś zboczu w Bawarii, ze sztalugami i pędzlami, i małymi tubkami farb; otoczoną zapachem jałowca i ciszą.

Mówię mu to.

– To tam byś teraz był – gdybyś mógł wybierać.

Przez chwilę milczy, a potem mówi:

– Nie, Vivienne. – Odwraca się, aby spojrzeć mi w twarz. Jest bardzo poważny. – Widzisz, może rzeczywiście mało o mnie wiesz. Gdybym miał nieograniczony wybór, chciałbym być tu, w tym łóżku.

Rozdział 36

NA MOJEJ WYCIERACZCE LEŻY koperta, na której nie ma ani nazwiska, ani adresu. Zastanawiam się, kto ją mógł tu podrzucić i dlaczego nie został, by powiedzieć, co ma do powiedzenia.

Otwieram kopertę. W środku jest pojedyncza kartka papieru złożona na pół. Rozkładam ją. Pokój zaczyna się kołysać.

Wiadomość składa się z liter wyciętych z gazety „Guernsey Press” i przyklejonych na papier. Litery ponalepiane są krzywo, pod różnymi kątami, jakby na chybił trafił, w pośpiechu. Ale wiadomość straszliwie jednoznaczna: *Viv de la Mare to szwabska wywłoka!!!*

Szybko odkładam list na stół w korytarzu, jakbym dotykając go, mogła się zranić, jakby mógł poparzyć mnie jak kwas. Ale wiem, że nie mogę go tam zostawić. Zabieram go do salonu, zgniatam w kulkę i wrzucam do ognia. Papier, spadając, rozchyła się, zapala, wokół niego biegnie czerwona obwódka z płomieni. Patrzę, jak się pali, czernieje i rozpada się w proch. Nie mogę myśleć – nie chcę myśleć – kto mógł go przesłać.

Podłoga za mną skrzypi, gdy Evelyn wchodzi do pokoju. Siada ostrożnie w swoim fotelu i wyciąga robótkę z koszyka.

– Coś się pali – mówi. – Co się tam pali? Czuje zapach spalenizny. Coś się pali w kominku.

– Nic takiego, Evelyn – mówię. – Nie martw się.

– Kto pali list? – pyta.

Widzi zwęglony papier w palenisku. Grzebię w kominku, spopielone fragmenty rozsypują się. Chociaż list już kompletnie się spalił, widzę go oczami wyobraźni. Poprzekrzywiane litery z gazety, paskudne słowa.

– To nie list – wyjaśniam. – To nic. Tylko stary rysunek Millie.

Nagle zastanawiam się, skąd Evelyn wie, że to był list? Czy widziała go na wycieraczce? Czy z okna swojego pokoju wychodzącego na drózkę widziała tego, kto go przyniósł? Ale nie mogę zapytać, czy kogoś widziała, nie mogę dowiedzieć się, kto go tu zostawił, bo już jej powiedziałam, że to wcale nie był list.

Evelyn zaczyna robić na drutach. Jej palce poruszają się energicznie, druty

wydają szybkie surowe dźwięki, brzmiące jak reprimenda.

Przez chwilę milczy. Zastanawiam się, co ze mną będzie? Ile osób wie i komu o tym powiedzą? Wyobrażam sobie, jak potępialiby mnie ludzie, gdyby się dowiedzieli o moim romansie. Myślę o spojrzeniach, o chłodzie – o tym, że Evelyn i Gwen, a nawet moje dzieci odwróciłyby się ode mnie. Z trudem oddycham. Obawiam się, że Evelyn wyczyta z mojej twarzy całą moją winę i cały mój strach.

Nagle teściowa przestaje robić na drutach, trzyma je skierowane w dół przed sobą. Dłonie ma rozluźnione; oczka zaczynają się zsuwać. Podchodzę do niej, obawiając się, że robótka się spruje i że ją to zdenerwuje.

– Gdzie jest Eugene? – pyta. – Gdzie pojechał?

– Eugene’a tu nie ma, Evelyn. Wiesz o tym.

– Ach.

Zaciskam jej dłonie na drutach. Skórę ma chłodną, suchą i cienką jak pergamin – nie przypomina w dotyku ciała. Ponownie zaczyna robić na drutach.

– Gdzie jest Eugene? – pyta po chwili znowu. – Chcę go ucałować na dobranoc. Ktoś to musi zrobić. – RzUCA mi dosyć twarde spojrzenie.

– Evelyn. Eugene wyjechał na wojnę. Jest bardzo dzielny – mówię.

– Czy ten list był od niego? Czy spaliłaś list od niego? – dopytuje się.

– Nie. Oczywiście, że nie. Dlaczego, u licha, miałabym to robić?

– Nie pisze do nas – mówi Evelyn.

– Nie, nie może pisać. Wiesz o tym. Jestem pewna, że chce, ale nie może. Listy nie dochodzą. Nie teraz, gdy są tu Niemcy. Mamy wojnę. Pamiętasz, Evelyn.

– Wojna. Mówią, że jest wojna. Zawsze mówią, że jest wojna – stwierdza. – Ale nie widzę, żeby tutaj ktoś walczył. Właściwie to nawet na odwrót.

Zapach palonego papieru jest słaby, ledwie wyczuwalny – ale wydaje się utrzymywać w powietrzu bardzo długo.

Rozdział 37

PEWNEJ NOCY, KIEDY LEŻYMY W łóżku, dotykam blizny na jego twarzy. Pod palcami jest w dotyku bardzo miękka, jak skóra małego dziecka.

– Jak to się stało? – pytam.

Przez chwilę nic nie mówi. Jakby w jego głowie było pełno słów i nie umiał wybrać tych właściwych. Oczy ma ciemnoszare jak gęste dymy z jesiennych ogrodów.

– To mój ojczym – mówi.

Jestem zaskoczona. Tego się nie spodziewałam. Sądziłam, że to musi być blizna po jakiejś ranie odniesionej na wojnie.

– Twój ojczym?

– Uderzył mnie, a ja upadłem na piec – wyjaśnia.

– Nic nie mówiłeś o swoim ojczymie.

Ujawnialiśmy się przed sobą niesymetrycznie: on wie dużo więcej o moim dzieciństwie niż ja o jego.

– Mój ojciec zmarł, kiedy miałem sześć lat, a moja matka ponownie wyszła za mąż. Ojczym miał trudny charakter. Był pastorem. Wszyscy go podziwiali, ale w domu zachowywał się okrutnie.

Staram się sobie wyobrazić jego ojczyma – chłodnego i surowego, i sprawiedliwego.

– To musiało być dla ciebie okropne. – Mój głos brzmi błaho i słabiutko, jakby te słowa przyszły mi zbyt łatwo, jakby nie niosły wystarczającej wagi.

– Uczy się człowiek milczeć – uzupełnia Gunther. – Uczy się schodzić z drogi, robić, co mu każą...

– Na pewno tak jest – mówię łagodnie. Nie chcę mu przerywać toku myślenia, chcę, by mówił dalej.

– Dużo o tym myślałem – ciągnie. – Kiedy jest się małym, to myśli się: przecież mój ojczym musi mieć rację, prawda? Może jestem złym dzieckiem. Jeśli tak mówi, taka musi być prawda. Kiedy ten mężczyzna jest taki potężny, a ty jesteś od niego zależny. Musisz wierzyć, że ma rację.

Głęboko w płuca wciąga dym z papierosa. Leżę z głową na jego piersi. Słyszę, jak jego serce przyspiesza, gdy mówi, jak u kogoś, kto ucieka, choć

słowa wypowiada powoli i z namysłem.

– Ale kiedy zrobiłem się starszy, zrozumiałem, że tak nie jest. Zrozumiałem, że mój ojczym to okrutny człowiek.

– Brzmi tak, jakby był bardzo okrutny – mówię.

Gunther zmienia odrobinę pozycję, odsuwa się ode mnie o parę cali – jakby moja bliskość przeszkadzała mu w tym, co musi powiedzieć. Leżę na boku i mu się przyglądam.

– Był taki wieczór, kiedy zaczął bić mojego brata. Przed tamtym wieczorem to mnie zawsze bił. To było za jakiś naprawdę drobiazg, trochę wody rozlanej na podłodze. Obwinił mojego brata i go zbił. Powinienem był bronić brata, powalić ojczyma. Byłem już wtedy wystarczająco duży, miałem jedenaście lat, byłem wyrośnięty jak na swój wiek, mogłem mu stawić opór. Ale tego nie zrobiłem.

Słyszę, jak głos mu się łamie. Czuję, jakie to dla niego bolesne – jaki ten wstyd jest dla niego wciąż żywy, wciąż obecny.

– Zaczął bić mojego brata, a ja nic nie zrobiłem. Pamiętam tylko, jak chowałem się pod schodami. Słyszając odgłosy razów. Zakrywałem uszy dłońmi, ale nadal słyszałem te odgłosy. Cios zadany w cichym domu jest bardzo głośny.

Głos ma spokojny, miarowy, ale wyczuwam ukryte pod słowami cierpienie.

– Widzisz, wcale nie jestem takim dobrym człowiekiem, Vivienne – stwierdza.

Potrząsam głową.

– To było tak dawno temu – mówię. – A ty byłeś tylko dzieckiem. Jedenaście lat to nadal bardzo mało. Jakim cudem mógłbyś go powstrzymać?

– Wiem, co wtedy myślałem. – Jego głos jest bardzo cichy. Kiedy odwraca się do mnie, czuję jego słowa na skórze, ale ledwo go słyszę. – Nadal to pamiętam. *Jeżeli bije jego, to nie będzie bił mnie...* Tak właśnie myślałem – mówi.

– Byłeś tylko chłopcem – powtarzam. – Jaki miałeś wybór?

Rozdział 38

GRUDZIEŃ. ROZPALIŁAM PORZĄDNY OGIEŃ na kominku w salonie, siedzimy na dywaniku przed kominkiem i przy świetle płomieni czytamy bajkę. Alphonse śpi koło nas, jego zwinięte w precelek ciało porusza się w rytm oddechu, w pokoju przyjaźnie pachnie ciepłą wełną od ubrań, które suszą się na osłonie kominka. Na zewnątrz deszcz smaga okno; od morza nadchodzi burza.

Czytam z książki, którą dała nam Angie, o widmowym pogrzebie sunącym ścieżkami, o starej drodze prowadzącej od St. Saviour do St. Pierre du Bois, gdzie samotni podróżni spotykali nadprzyrodzone istoty.

Millie wzdycha z zadowoleniem.

– Lubię opowieści o duchach, mamusiu. Ale Blanche naprawdę się ich boi – uśmiecha się z wyższością.

Blanche na chwilę zaciska usta.

– Millie, głupoty gadasz – stwierdza.

Blanche odpruwa zakład przy jednej ze swoich spódnic. Tak szybko teraz rośnie, wyrasta z ubrań, ręce i nogi ma patykowate, długie jak u gazeli, wygląda zarazem niezdarnie i wdzięcznie. Podnosi do góry igłę, żeby ją nawlec: igła przez chwilę migocze groźnie w świetle ognia.

– Przeczytaj mi jeszcze jedną – prosi Millie.

Czytam jej o plaży Portelet. Można tam o zmierzchu spotkać małą przygarbioną kobietę, okutaną w szal, która, jak wieść głosi, bez końca szuka swojego zaginionego syna.

– Czy to naprawdę, naprawdę prawda? – dopytuje się Millie.

– Nie, kochanie. To tylko bajka...

W pokoju nie słychać niczego poza ogniem z kominka i deszczem bijącym o szyby. Polano zapada się, wzbijając fontannę iskier.

Millie marszczy brwi.

– Dlaczego ludzie opowiadają historię o duchach? Jeśli duchy nie są naprawdę prawdziwe?

Zastanawiam się, co powiedzieć. Mogę podać jej oczywistą odpowiedź: ponieważ ludzie, którzy jako pierwsi opowiadali te historie, wierzyli,

że duchy są prawdziwe. Ale wtedy Millie powiedziałyby: A może oni mieli rację, mamusiu – a ja nie chcę jej wprowadzać w błąd ani straszyć.

– Sądzę, że robią to, ponieważ boją się ciemności – mówię jej.

– Ja się nie boję ciemności – zapewniam.

– Nie. Ale wielu ludzi się jej boi. Ja sama, kiedy byłam małą, bardzo się bałam ciemności.

Pamiętam, jak Iris zamknęła mnie w komórcie na węgiel. Jak miałam szeroko otwarte oczy, ale była tylko ciemność. Jeszcze dziś przechodzi mnie dreszcz, gdy o tym myślę.

– A ja się nie boję, mamusiu – mówi Millie. – Mam prawie pięć lat i nie boję się ciemności.

Przekładam ubrania na osłonie kominka, aby ciepło doszło do bardziej wilgotnych miejsc. Kot zmienia pozycję i ziewa, i zapada w jeszcze głębszy sen.

Wracam do książki, odwracam stronę.

Ta historia opowiada o tym, że w żyłach części mieszkańców wyspy płynie krew wrózek – krew czarodziejskich najeźdźców. W łodziach zmyślnie zrobionych przybyli ze swojej odległej ojczyzny zza morza, z zaklęciami wplecionymi w żagle. Im bardziej do lądu zbliżały się łodzie wrózek, tym te łodzie stawały się mniejsze, aż kiedy w końcu wciągnęły je na brzeg, były tak małe jak kamyczki lub delikatne kości ptaka. Wróżki były piękne – zarówno mężczyźni, jak i kobiety – przypominali ludzi, ale dużo śliczniejszych; czasem tracili głowę dla wyspiarzy i pobierali się, i zakładali z nimi rodziny. Ale choćby byli najszczęśliwsi z ukochanymi na Guernsey, musieli w końcu wracać do swojej ojczyzny, bo zobowiązywała ich do tego umowa podpisana krwią, której nie można było nie wypełnić. Wcześniej czy później musieli zostawić swoich ukochanych i odpłynąć.

– Czy to koniec historii? – pyta Millie.

– Tak. To wszystko, co mówi nam książka.

Millie ściąga brwi. Ogień miękko faluje; małe płomyki czerwone jak maki tańczą w jej oczach.

– Nie podoba mi się to zakończenie. Jest smutne. To nie jest dobre zakończenie – stwierdza.

A ja przez chwilę myślę, że tak, to było smutne, i jak można żyć, nie wiedząc, kiedy ukochany cię opuści. A potem przychodzi mi na myśl, że tak jest zawsze.

Rozdział 39

KTÓREGOŚ DNIA PYTAM o jego żonę. Czuję intensywną, gorączkową ciekawość.

– Jaka ona jest? – pytam zuchwale.

– Ilse? – waha się. – Jak podsumować kogoś? Dba o dom. Nie pozwala, żeby się wszystko rozpadło.

Ilse musi być silną kobietą. Wyczuwam to.

– Przez jakiś czas dawała mi poczucie bezpieczeństwa – ciągnie dalej.

– Tak – mówię, rozumiejąc, jakie musiało to być dla niego ważne – mieć jakieś bezpieczne miejsce, w którym można się schronić. Oboje odczuwamy taką potrzebę.

– I jest dobrą matką dla Hermanna. Ale to był trudny poród, z wieloma komplikacjami. Postanowiła, że nie będzie miała więcej dzieci. Ta część naszego życia jest dla nas zamknięta. Jest zamknięta już od długiego czasu.

Na jego słowa ogarnia mnie mocna zakazana radość, ponieważ zdejmuje nimi ze mnie część winy. Potem znowu czuję się winna, że tak się poczułam.

– Pokaż mi – proszę. – Musisz mieć zdjęcie. Pokaż.

Podchodzi do swojej mundurowej marynarki, wyciąga z kieszeni zdjęcie, przynosi. Na zdjęciu są wszyscy troje.

Wytrąca mnie z równowagi wizerunek jego drugiego życia, tego, o którym nic nie wiem. Jego prawdziwego życia. Życia rodziną, krajem, obowiązkiem, powinnością. Patrząc na historię, która nie ma ze mną nic wspólnego. Pierwsze, co zauważam, to że o wiele młodziej wygląda na zdjęciu – jak mocno zapisały się na nim lata, które minęły od zrobienia zdjęcia, jak go naznaczyły.

– Wyglądasz tak młodo na tym zdjęciu – zauważam.

Uśmiecha się smutno.

– Chcesz powiedzieć, że teraz wyglądam dużo starzej.

– Pewnie tak... – Wyciągam dłoń i przesuwam nią po jego twarzy, wyczuwam mocne kości pod skórą. – Ale uwielbiam to, jak teraz wyglądasz.

Potem odwracam się od niego i wpatruję się w pozostałe osoby na zdjęciu.

Ilse jest drobna, ma wysokie kości policzkowe i nieobecny wyraz oczu. Jej

włosy są jasne – może blond albo siwe – splecione w warkocz i upięte w koronę. Wygląda na nieśmiałą i poważną. Wyobrażam ją sobie, jak leży w bezsenną noc, martwiąc się, splatając różne wątki życia rodzinnego razem – usilnie starając się, żeby wszystko działało, żeby miało sens. Na zdjęciu ich syn ma może ze dwanaście lat, bardzo jasne włosy i piegi. Ma wyraz twarzy taki jak jego matka, pragnie aprobaty. Ubrany jest w jakiś mundur.

Gunther przygląda mi się, gdy analizuję zdjęcie, stara się wyczytać, co myślę.

– Bardzo byśmy chcieli mieć jeszcze jedno dziecko – mówi mi. Do jego głosu wkrada się nutka tęsknoty, kiedy to mówi, a ja rozumiem, że było to dla nich obojga źródłem smutku. – Ale życie nie zawsze daje ci to, czego chcesz – dodaje. Patrzy na mnie. – No, powiedzmy, przeważnie ci nie daje.

Wracam do zdjęcia, czuję, jak gorące jest jego spojrzenie.

– Wydaje się za młody na mundur – zauważam.

– Mamy tam ruch dla młodych ludzi – Hitlerjugend – wyjaśnia Gunther. – Hermann bardzo chciał się do nich przyłączyć. Bardzo się zaangażował. Nie do końca byłem z tego zadowolony. – Jego twarz nic nie zdradza. – Żona się cieszyła, ale ja nie. Posuwają się za daleko – dodaje.

– Więc dlaczego pozwoliłeś mu wstąpić? – pytam.

– Trzeba postępować ostrożnie, nie wychylać się – mówi. – A zanim Hermann wstąpił do Hitlerjugend, był krnąbrnym chłopakiem. Wdał się w złe towarzystwo. Ten ruch dał mu poczucie celu. Moja żona twierdzi, że to dobrze, że bez celu życie nic nie znaczy... Mój syn teraz jest w partii.

Przechodzi mnie zimny dreszcz. Syn mojego kochanka jest nazistą.

– Więc nie mogłeś go powstrzymać? Uważasz, że posuwają się za daleko, ale nie mogłeś go powstrzymać? – pytam.

Potrząsa głową.

– Nie byłoby mądrze to robić – mówi ostrożnie.

Myślę o wszystkim, co słyszeliśmy – o paleniu synagog, kradzieży żydowskich miejsc pracy, porzbijanym szkle, obelgach, biciu na ulicach. Nic nie mówię.

Ale on słyszy moje niewypowiedziane pytanie.

– Musisz to zrozumieć, Vivienne. Nie mogliśmy dalej żyć tak jak dotychczas. Niemcy zostały rzucone na kolana. Wielki kryzys był dla nas straszny. Nasz świat składał się z głodu i ustaw wyjątkowych. Nie mieliśmy niczego. – Wbijają wzrok w ciemności w kątach pokoju, jakby te lata

przewijały się znowu przed jego oczami. – Jak człowiek wtedy nabierze jakiegoś nawyku, ten nawyk zostaje z nim na zawsze. Ilse nadal ma torbę na okruchy – torbę na połamane ciasteczka i skórki chleba, która wisi na drzwiach od szafki: nic nie mogło się zmarnować. Coś musiało się zmienić – tłumaczy mi. – Na początku witaliśmy Hitlera z radością. Przekonani byliśmy, że jego przybycie jest jak promyk nadziei. Przed Hitlerem nie jedliśmy: kiedy Hitler się pojawił, mogliśmy jeść... Ale tak dużo z tego, co robią, wydają mi się złe – kończy.

– Więc gdybyś mógł wybierać, nie walczyłbyś w tej wojnie?

I zaraz żałuję, że tak się wyraziłam. Wkładam mu słowa w usta.

– Kto z nas wybrałby wojnę? Żeby tak na strzępy porozdzierano nam życie? – W jego głosie pobrzmiwa gniew, że w ogóle mogłam zadać takie pytanie. – Ale nie powiedziałbym tego nigdzie indziej niż tu. Trzeba zawsze myśleć o bezpieczeństwie własnej rodziny.

A ja myślę o tym, co mu wcześniej powiedziałam, kiedy opowiadał mi, że był bity, że powinien był walczyć z ojczymem: Jaki miałeś wybór? I myślę: Jaki my mamy wybór, ktokolwiek z nas? Ale nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

Gunther odkłada zdjęcie do kieszeni i wraca do mojego łóżka. Słyszę, jak wiatr wyje wokół domu, jak zwierzę, polujące, drapieżne – jak próbuje się dostać do mojego domu przez najmniejszą szczelinę czy pęknięcie.

Rozdział 40

LUTY. JOHNNIE PRZYCHODZI Z prezentem dla mnie, pozawijanym w szary papier. Kładzie go na kuchennym stole i zaczyna odwijać kolejne warstwy; w środku jest papier woskowany, czerwony i błyszczący od krwi.

– Proszę, ciociu. Prezent dla ciebie.

To cały martwy królik. Gwen obdarła go dla mnie ze skóry, więc widać blade, jasnofioletowe mięso, ale nadal bardzo przypomina królika. Kiedyś, nie tak dawno temu, widok martwego zwierzęcia mnie zasmucał. Teraz myślę tylko o tym, jak go przyrządzę z gałązkami tymianku i rozmarynu, jaki pożywny będzie sos, jak bardzo nam będzie smakować.

– Twoja matka to anioł – mówię. – Ale czy jesteś całkiem pewny, że możecie mi go dać?

– Nie martw się, ciociu. Te króliki rozmnażają się jak – no sama wiesz, jak to się mówi.

Przygotowuję mu filiżankę kawy z pasternaku. Nauczyłam się, jak to robić – trzeba utrzyć pasternak, prażyć go odpowiednio długo, aż nabierze intensywnie brązowego koloru jak wióry drewna, a potem zaparzać. Jest to lepsze niż nic, ale nadal smakuje spalenizną.

– Nie musisz pić, jeśli ci nie smakuje – mówię mu.

Ale on szybko wypija płyn.

Czyste białe światło wczesnej wiosny rozlewa się po całym pokoju – jak światło reflektora, które pokazuje brud tam, gdzie od jakiegoś czasu się nie sprzątało, wszystkie pajęczyny, kłęby kurzu, jakie ominęło się podczas pochmurnych, zamglonych zimowych dni; i oświetla Johnniego, jego entuzjazm, niespokojne dłonie, pełne zapachu orzechowobrzazowe oczy. Przyglądam się, jak pije kawę i myślę, jak bardzo go lubię.

– A więc co porabiacie, Johnnie? Nadal malujecie znaki V? – pytam.

Nie od razu odpowiada. W zapadłej między nami ciszy wyczuwam, jak coś się zmienia, przesuwa.

Johnnie przełyka, jego gardło się porusza.

– Chciałem ci powiedzieć, ciociu. Wzięliśmy się do czegoś innego,

ja i Piers Falla – mówi.

Ale nie brzmi bardzo radośnie i nie patrzy mi w oczy.

– On zamierzał tu przyjść, to znaczy Piers – informuje mnie.

Głos ma niepewny. Nie rozumiem, o co mu chodzi. Nie potrafię sobie wyobrazić, po co Piers miałby chcieć przyjść do Le Colombier.

– Powiedziałem mu, żeby tego nie robił – podejmuje Johnnie.

Alphonse wkrada się do kuchni zwabiony zapachem surowego mięsa. Okrąża stół, głośno miaucząc, potem spręza się, przygotowany do skoku. Łapię go, wystawiam na korytarz i zamykam za nim drzwi. Drapie w nie i zawodzi: ten dźwięk jest denerwujący, na wpół ludzki, jakby lamentował jakiś niesamowity mieszaniec.

– Widzisz, chodzi o to, ciociu...

Johnnie na mnie nie patrzy. Wyciąga dłoń w krótkim bezradnym geście i przewraca kubek z kawą. Z kubka wypływa ciemny mulisty osad, który pozostał na dnie.

Wiem, że powinnam przynieść mokrą szmatę, ale nagle nogi mi się trzęsą, nie ufam im.

– Chodzi o to... – Omija mnie wzrokiem. – Chodzi o to... Są na Guernsey kobiety, które robią to, czego nie powinny. Są trochę zbyt przyjacielskie. Sprawiają zawód swojej stronie. Wiesz, co mam na myśli.

Rumieniec wypływa na całą jego twarz i szyję, jaskrawy jak truskawki.

Serce zaczyna mi się tłuc. Zastanawiam się, czy może dostrzec przez bluzkę, że tak się tłucze.

– Jestem pewna, że są. – Mówię to bez troski, lekko, jakby to nie było dla mnie nic ważnego. – Mężczyźni i kobiety razem – wiesz, jak to jest.

Potem żałuję, że to powiedziałam. Słyszę, jak kot skowyczy i drapie w drzwi od strony korytarza.

– Dostaliśmy kilka cynków, znamy ich nazwiska, wiemy, gdzie mieszkają. Nie pozwolimy, by uszło im to na sucho, ciociu – stwierdza. – Chodzimy i malujemy swastyki na ich domach. Żeby pokazać im, że wiemy. Pokazać, że powinny się wstydzić.

– Johnnie. Co dobrego to przyniesie? Będziecie tylko mieli kłopoty.

– Trzeba robić, co się da – odpowiada.

To samo powiedział mi wcześniej. Ale w jego głosie brak już tej jasnej pewności, jaką wcześniej w nim słyszałam.

– Mówiłeś o tym mamie i tacie? – pytam.

– Niezupełnie – odpowiada.

Zastanawiam się, więc dlaczego mówisz o tym mnie, Johnnie? To niewypowiedziane pytanie zawisło w powietrzu pomiędzy nami. Słowa wydają się takie solidne, jak coś namacalnego – można by wyciągnąć dłoń i dotknąć ich palcem.

Johnnie z natężeniem wpatruje się w stół, jakby był na nim wypisany jakiś sekret, jakby w słojach drewna krył się jakiś kod.

– Piers mówi... on mówi, że chodzą plotki o tobie, ciociu. – Jego głos jest tak cichy, że ledwo go słyszę. – O tobie i jednym Niemcu z Les Vinaires. Piers chciał namalować swastykę tutaj, na ścianie Le Colombier. Powiedziałem, że nie, oczywiście, że nie. Powiedziałem, że oczywiście się myli.

Ale w jego głosie słychać pytanie.

Puls wali mi w gardle jak młotem.

– Johnnie, nie powinieneś słuchać plotek.

– Ciociu. On twierdzi, że widziano cię w samochodzie z jednym z nich – mówi mi.

Zalewa mnie poczucie ulgi, że nie wie nic więcej.

– Ach, to – mówię. – Cóż, to prawda. Ten mężczyzna mnie podwiózł. Padało. A ja złapałam gumę.

Johnnie podnosi na mnie wzrok. Jego spojrzenie jest posępne, beznadziejnie smutne.

– Padało, a ja potrzebowałam wrócić do Millie. – Słyszę błagalną nutę w swoim głosie. – Jej babcia nie najlepiej sobie radzi teraz z opieką nad nią. Trochę wolno teraz myśli... Nie lubię ich na długo zostawiać.

Wciąż patrzy na mnie smutno, jakbym go rozczarowała. Nienawidzę tego: chcę, żeby dobrze o mnie myślał, nie chcę stracić jego szacunku. Nic nie mówi.

– Co by to dało, gdybym szła na piechotę całą drogę do domu w deszczu? – Za dużo protestuję, ale nie mogę się powstrzymać. – Nie wiem, jak to miałyby komukolwiek pomóc...

Johnnie lekko potrząsa głową.

– Nie powinnaś była tego robić, ciociu, naprawdę. To nie było rozsądne. Ludzie mogą wyciągnąć pochopne wnioski – stwierdza.

Robi się trochę bezpieczniej.

– Masz rację, to był zły pomysł – przyznaję. – Ale tak bardzo padało...

Johnnie z lekkim westchnieniem wypuszcza powietrze, jakby postanowił przyjąć do wiadomości to, co powiedziałam.

– Mówiłem mu – stwierdza. – Powiedziałem mu, że nigdy nie przyszłoby ci do głowy zrobić coś, czego nie powinnaś. Powiedziałem mu: Masz świadomość, że mówisz o mojej cioci Viv.

Przez chwilę siedzimy w ciszy. Zapach surowego, zakrwawionego mięsa jest obrzydliwy. Zbiera mi się na mdłości, staram się przełknąć.

– Więc kto opowiadał taką historię? – pyta mnie. – Że było w tym coś więcej?

– Nie wiem, Johnnie.

– Czy ktoś ma ci coś za złe? Ktoś chce się odegrać na tobie za coś, co według niego zrobiłaś? Ktoś, kto żywi do ciebie urazę?

– Nic o tym nie wiem.

Nadal czeka. Czeka na koło ratunkowe, coś, co przyciągnie go do brzegu. Muszę dać mu coś więcej.

– Ale oczywiście może być ktoś taki – mówię. – Może być ktoś, kto ma mi coś za złe. Wiesz sam, jacy są wyspiarze. Chowają urazę do innych.

– Więc pewnie o to chodzi – przekonuje sam siebie – ktoś ma do ciebie o coś pretensje, ciociu.

– Tak, sądzę, że tak.

– Powiedziałem Piersowi, że nie jesteś taka – stwierdza. – Że nigdy byś nie sprawiła nam zawodu. Powiedziałem, to moja ciocia...

Kiedy Johnnie wyszedł, szoruję i szoruję stół kuchenny, ale nie mogę pozbyć się plamy po rozlanej przez niego kawie.

Rozdział 41

TAK TO WYGLĄDA, od dłuższego czasu. Takie jest teraz moje życie. Przyzwyczyłam się do sekretów, do ukrywania się, do życia, jakie dzieję z Guntherem, kiedy zamykamy drzwi, zostawiając za nimi wojnę, cały świat, i leżymy razem w moim łóżku w delikatnym migotliwym świetle świec. Czasami przypomina mi się bajka, którą czytałam Millie tuż przed okupacją. Ta opowieść o tańczących księżniczkach, które nocami otwierały klapę, schodziły po tych wszystkich kręconych schodach i przez zagajnik złotych drzew docierały do tajemniczego, odrębnego świata. To życie zaczyna mi się wydawać czymś prawie normalnym. Teraz on zostaje ze mną przez prawie całą noc i opuszcza moje łóżko bardzo wczesnym rankiem, kiedy świt zaczyna sięgać białymi palcami w głąb mojego pokoju. Czuję taki spokój, zasypiając w jego ramionach. Czasem przyłapuję się na myśli, że tak powinno wyglądać małżeństwo.

Często boję się – że przyjdzie kolejny list albo że któryś z gorliwych kolegów Johnniego namaluje swastykę na ścianie mojego domu. Martwię się, że ten ktoś, kto mnie podejrzewa, szepnie słówko Evelyn lub Blanche, powie im o mnie i o Guntherze. A kiedy o tym myślę, czuję, jak kruche wszystko jest – jak łatwo byłoby rozedrzeć moje życie na strzępy. Czasem gdy słyszę trzaśnięcie skrzynki na listy, zaciskam mocno wargi, by się powstrzymać od krzyku. Ale nie ma już więcej anonimowych listów.

Pewnego dnia, idąc do Angie, przechodzę obok dużego starego dębu, który pochyla się nad ścieżką. W pomarszczonej korze pnia kochankowie wycięli scyzorykiem inicjały: VS, FL, litery się przeplatają. Przez jedną krótką chwilę czuję piekącą zazdrość, że te pary żyją codziennym życiem, że chodzą po ścieżkach, trzymając się za ręce i uzewnętrzniając w takich śladach swoją bliskość, że mogą swojej miłości dawać wyraz w taki prosty, zwyczajny sposób. Nie ukradkiem, nie ukrywając się.

Przez cały ten czas wojna wydaje mi się czymś odległym. Oczywiście brakuje różnych rzeczy, są ograniczenia, godzina policyjna; ale tutaj, w tej ustronnej dolinie, z moją rodziną i moim kochankiem nie za bardzo dochodzi do mnie, jak potężni są Niemcy, jak rządzą naszym życiem. Gwen na farmie

Elm Tree nadal słyszy nocą, jak niemieccy żołnierze maszerują i śpiewają swoje pieśni wojskowe: jak biorą w posiadanie nasza wyspę, jak biorą w posiadanie mrok; ale tu ich nie słychać, na tych pełnych spokoju zacienionych ścieżkach. Skupiam się na sprawach dnia codziennego. Powtarzam sobie, że to naprawdę się liczy – aby opiekować się dziećmi i Evelyn, aby jakoś nas przez to przeprowadzić.

NAJBARDZIEJ MARTWIĘ SIĘ o Evelyn. Chociaż przymilam się, jak mogę, żeby ją, wydaje się tracić na wadze. Jej oczy często robią się zamglone, jakby wszystko było dla niej niejasne, jakby jej życie było lewą stroną gobelinu i widziała nie wzór, ale tylko postrzępione końce i supły.

Któregoś dnia robi na drutach w salonie; podnosi na mnie wzrok, gdy wchodzę.

– Kim jesteś, moja droga? – pyta uprzejmie. – Kim jesteś? Chyba jeszcze się nie spotkałyśmy.

Wiem, że to dlatego, że podupada na umyśle, ale i tak wytrąca mnie to z równowagi.

– Evelyn, jestem Vivienne, przypominasz mnie sobie?

Ale ona mnie nie pamięta.

– Vivienne – mówi w zamyśleniu. – Takie ładne imię.

Jest dla mnie miłsza, kiedy nie wie, kim jestem. Ta myśl mnie przygnębia.

Podchodzę, żeby położyć jej dłoń na rękawie z bliżej niesprecyzowaną nadzieją, że mój dotyk może przypomni jej, że jestem jej synową, i ściągnie ją z powrotem do rzeczywistości. Evelyn wpatruje się w moją dłoń na swojej ręce ze zdziwieniem i lekką dezaprobatą – jakbym zbyt się spoufalala. Szybko zabieram dłoń.

– Musisz pozwolić się poczęstować herbatą, kochanie, po tym jak przeszłaś taką długą drogę – mówi. – To miło z twojej strony, że mnie odwiedzasz. Wydaje mi się, że w spiżarni zostało jeszcze trochę gâche...

– Evelyn. Ja tutaj mieszkam. Jestem żoną Eugene'a – mówię.

Moja teściowa, zaszokowana, wpatruje się we mnie szeroko otwartymi oczami; unosi cienkie, łukowate brwi.

– Nie, nie wydaje mi się, kochanie. – Jej głos jest zimny i czysty – i mocniejszy, jakby pewność dodawała jej sił. – Tutaj się mylisz. Widzisz, Eugene nigdy się nie ożenił. On ma niesłychanie wysokie standardy.

Na to nie mam nic do powiedzenia. Zostawiam ją w fotelu.

Po pięciu minutach woła mnie.

– Vivienne. Upuściłam okulary i jakoś nie mogę ich znaleźć. Czy byłabyś

tak miła i poszukała ich dla mnie?

Jakby ten dziwny króciutki incydent nigdy się nie wydarzył.

EVELYN JEST TERAZ tak krucha, że przestała chodzić do kościoła. Jest już za słaba, aby tam dojść na piechotę, a nabożeństwo za bardzo ją męczy. Umawiam się z proboszczem, żeby przyszedł i dał jej komunię w Le Colombier. Postanawiam zostawać w domu razem z nią. Ale Blanche nadal chodzi na mszę poranną i czasem zabiera też Millie.

– Mamo, dlaczego nie chodzisz już wcale do kościoła? – pyta Blanche.

– Nie lubię zostawiać waszej babci – odpowiadam.

Wpatruje się we mnie oczami niebieskimi jak lato.

– Ale nie tylko dlatego, prawda? – chce wiedzieć.

Waham się. Może ma rację – może Evelyn to tylko wymówka.

– Szczerze mówiąc, nie jestem pewna, jak bardzo jeszcze teraz wierzę – mówię jej. – Kiedy jest wojna i tyle cierpienia.

– Ale i tak mogłabyś przyjść, mamo. Nie musi się wierzyć we wszystko.

– No, nie wiem.

Zastanawiam się, czy po części moja niechęć nie wiąże się z Guntherem, z tym, że jest mi tak drogi, a wszyscy w kościele uważaliby, że ta moja miłość jest naganna – i to pod tak wieloma względami.

– Zresztą ta wojna i cierpienie muszą być po coś – stwierdza Blanche. – Tak powiedział proboszcz. To wszystko musi być częścią boskiego planu. Musi być w tym jakiś cel. – Jakby to było dla niej takie proste i jasne.

– Nie jestem tego pewna, kochanie.

Cieszę się, że ma tę pewność – a nawet jej zazdroszczę, że potrafi znaleźć jakiś porządek w tym wszystkim, co się dzieje na świecie, tej całej straszliwej anarchii. Ale ja tej pewności nie podzielam.

CZYSZCZĘ OBRAZKI I FOTOGRAFIE. Wycieram je wilgotną ściereczką, potem poleruję szkło zmiętą gazetą, która zawsze daje dobry połysk. Czyszczę rycinę z Margaret Tarrant w kuchni, Dzieciątko Jezus otoczone aniołkami z dużymi, miękkimi, grawerowanymi skrzydłami. W salonie biorę do ręki zdjęcie Eugene'a, od jakiegoś czasu go nie czyściłam – szkło jest bladoniebieskie od kurzu. Wpatruję się w to zdjęcie, przesuwam po nim palcem, jakbym dotykając szkła, mogła sprawić, że stanie się on dla mnie kimś realnym. Jego obraz zapisany w mojej pamięci traci ostrość: czasem muszę spojrzeć na zdjęcie, żeby przypomnieć sobie jego twarz. Patrząc na zdjęcie, starając się go poznać od nowa. Odpychając od siebie to, o czym staram się nie myśleć: że zrobił się taki daleki, stał się kimś, z kim wcale nie czuję się związana.

Że gdy myślę o pójściu do łóżka z Eugene'em, czuję się, jakbym zdradzała Gunthera. Że Gunther jest moim prawdziwym mężem, pisany mi, a moje małżeństwo to coś odległego, nierealnego.

– Mój kochany chłopiec – odzywa się Evelyn, która mi się przygląda.

– To urocze zdjęcie – stwierdzam.

Czyszczę je sumiennie, wycieram każdą drobinę kurzu z ramki, jakby to mogło sprawić, że stanie mi się bliższy.

Rozdział 42

DNI ROBIĄ SIĘ CORAZ dłuższe. Świeży wiosenny wiatr przetrząsa mój sad, strąca kwiaty, więc pod drzewami na ziemi tworzą się białe zasy. Zajmuję się moją grządką warzywną. Obsypuję ziemię ziemniaki. Wbijam leszczynowe podpórki dla groszku i fasolki i przykrywam je siatką do ochrony przed gołębiami. Zbieram sałatę i rzodkiewkę i sadzę brukselkę oraz kapustę, które wyhodowałam z nasion. Regularnie okopuję warzywa – wiosną chwasty tak szybko rosną. Zaczynam hodować kurczaki. Kupuję młode kury od Harry’ego Tostevina – karmazyny o kasztanowym upierzeniu i podejrzliwych pomarańczowych oczach. Johnnie pomaga mi zbudować wybieg na tyłach ogrodu, gdzie nasza ziemia zachodzi na tyły Les Vinaires. Ku mojemu własnemu zaskoczeniu stwierdzam, że naprawdę lubię kury: podobają mi się odgłosy ich krzątania, kiedy gdaczą i awanturują się, uwielbiam zbierać jajka, które są brązowawe i tak ciepło wtulają się w dłoń. Millie pomaga mi przy jajkach i nadaje kurkom dziwaczne imiona zaczerpnięte z jej książek – Roszpunka, Kopciuszek. Angie uczy mnie, jak przygotować kurę do gotowania, jak ją oskubać i wypatroszyć. Wiem, że będę potrafiła wyżywić rodzinę, i daje mi to przyjemne poczucie satysfakcji.

W maju dowiadujemy się, że był okropny nalot na Londyn – podobno zginęły ponad trzy tysiące osób. Tak bardzo się boję o Iris i jej rodzinę. Myślę o horrorze, jakim było bombardowanie St. Peter Port, że mogłoby to się dziać co noc, wszędzie dookoła. O ludziach ogarniętych pożarami; albo tych chowających się w metrze, słyszających, jak na górze wszystko się wali, zastanawiających się przy każdej spadającej bombie, czy to mój dom? Oczy Blanche wypełniają się łzami, gdy słyszy te wiadomości.

– Ci biedni, biedni ludzie – mówi.

Idę NA GÓRKĘ zobaczyć się z Angie. Jest wietrzny majowy poranek, mokre pranie trzaska na sznurach we wszystkich ogrodach, które mijam, powietrze przepętnia pudrowy nostalgiczny zapach tam, gdzie stulone stożki bżów rozchylają się i uwalniają swoją woń.

Angie nie patrzy na mnie. Skubie nitkę na rękawie.

– Chcę ci coś powiedzieć – mówi. – Żebyś usłyszała to najpierw ode mnie. Zastanawiam się, o co chodzi.

– O Jacku, moim bracie – podejmuje. – Nikt ci nic jeszcze nie powiedział?

– Nie, Angie. Co mieliby mówić?

Angie odchrząkuje.

– Chodzi o to – on trochę dla nich pracuje. Wiesz, co chcę powiedzieć. – Głos ma zmęczony, skryty. – Pracuje na lotnisku.

– Cóż, wszyscy musimy sobie jakoś radzić – odpowiadam.

– Szczerze, nie jest z tego dumny. Ale musi wyżywić dzieciaki.

Słyszę błaganie w jej głosie. Rozpaczliwie pragnie, żebym jej wybaczyła, żeby mi to nie przeszkadzało.

– Oczywiście, że musi – mówię jej. – Oczywiście, że to jest najważniejsze.

– Ma tę czwórkę dorastających dzieci i prawie żadnej ziemi. Nie myśl o nim źle, Vivienne.

– Oczywiście, że nie będę o nim źle myślała – zapewniam. – Każdy z nas musi znaleźć jakiś sposób, żeby przetrwać. Każdy.

Ale Angie wydaje się mnie nie słyszeć. Może źle odczytała wyraz mojej twarzy, dostrzegła w niej jakieś skrępowanie – chociaż ja myślałam o sobie, nie o Jacku. Ale właśnie tego, co mogłoby ją pocieszyć, nie mogę jej powiedzieć.

– Wiem, że są tacy, co by go potępili. Mają takie paskudne słowa na ludzi, którzy robią to, co Jack – stwierdza. – I mówiąc szczerze, człowiek to rozumie. Kiedy słyszy się wiadomości z Londynu, nie ma nic gorszego niż to uczucie, że ktoś, kogo kochasz, im pomaga.

Przez chwilę nic nie mówię. Odwracam od niej wzrok. Ktoś, kogo kocham, bez wątpienia pomaga.

– Nie potępiłabym go, Angie. Naprawdę.

Ale coś w moim zachowaniu ją martwi; nie czuje się pocieszona.

CZASEM WIDUJĘ TYCH INNYCH Niemców w ogrodzie Les Vinaires, kiedy coś robię na wybiegu dla kur, gdzie żywopłot jest niski i możemy zaglądać sobie do ogrodów. Hans Schmidt, ten z różową twarzą i jasnymi włosami, jest chyba ogrodnikiem – chociaż ogranicza się do koszenia trawy i od czasu do czasu przycina jakąś gałąź. Kiedy tam pracuje, Alphonse prześlizguje się do niego, a Hans się z nim cacka – klęka przy nim, czochra go za uszami – aż kot mruczy i bezgranicznie szczęśliwy wygina się w łuk.

W ciepłe dni Max Richter siada czasem z książką na trawniku. Robi mi się

wtedy nieswojo, mimo całej życzliwości, jaką okazał, kiedy Millie się zraniła. Jest obserwatorem. Wiem, że niczego nie przegapi.

Jeśli widzi Millie w ogrodzie, macha do niej nad żywopłotem. Pewnego dnia kiedy ona skacze przez skakankę, a ja karmię kury, woła do niej.

– Millie, pozwól, że ci coś pokażę.

Millie idzie w jego kierunku. Richter przekłada nad furtką złożone dłonie. Trzyma je luźno złożone i widzę, że między palcami trzepocze się motyl.

– To piękne stworzenie – mówi.

– To motyl – informuje go Millie z lekką wyższością.

– A czy ten motyl jakoś się nazywa? – pyta ją Richter. Rozchyła lekko dłonie, tyle tylko, aby Millie mogła zobaczyć. Moja córka zagląda między jego palce. Słońce połyskuje na jego butach i na sterczącej zza pasa broni.

– To rusalka admirał – informuje go Millie. – Przylatują tu aż z Afryki. Moja mama mi mówiła.

– Ładna nazwa – stwierdza.

– Raz widziałam krasopanią – dodaje moja córka. – Ma na skrzydłach paski jak tygrys.

– Na waszej wyspie są przepiękne motyle – stwierdza Richter.

Millie lekko marszczy brwi, wpatrując się w jego dłonie.

– Musi pan uważać, żeby mu nie zrobić krzywdy – mówi.

– Tak, będę ostrożny.

– Czy tam, skąd pan pochodzi, są motyle?

Richter się uśmiecha.

– Tak, są – odpowiada.

Jeszcze przez chwilę patrzą na motyla, ich ciemne głowy są blisko siebie, on ma krótko przycięte włosy, ona rozpuszczone i w nieładzie opadające jej na twarz, słońce na nich świeci. Obserwuję ich i myślę o tych wszystkich zabitych w Londynie, o tym szarpiącym bólu, o życiu wszystkich niewinnych istot, porozdzieranym na strzępy, i nie potrafię tego połączyć, nie mogę znaleźć w tym sensu.

– Myślę, że powinien pan już wypuścić tego motyla – mówi Millie z nutką nagany. – One nie lubią, jak się je tak trzyma. Dzikie stworzenia nie lubią być w pułapce.

– Tak, masz rację, oczywiście – przyznaje. – Ale bardzo uważałem, żeby nie zrobić mu krzywdy.

Rozchyła dłonie. Motyl leniwie odfruwa. Millie wraca do swojej skakanki.

Później słyszę, jak dziewczynki rozmawiają.

– Widziałam cię – mówi Blanche. – Widziałam, jak rozmawiałaś z tym Niemcem z sąsiedniego domu.

– Miał motyla. Pokazywał mi – mówi Millie.

– Babcia skarci cię, jeśli zobaczy, że rozmawiasz z Niemcami – mówi Blanche.

Millie wzrusza ramionami.

– Babcia nas nie widziała – stwierdza pewnie. – A poza tym to nie Niemiec, to Max.

Rozdział 43

CZERWIEC. KIEDY GUNTHER pewnej nocy staje u moich drzwi, widzę, że coś się zmieniło. Musiał sporo wypić. Ma zbyt błyszczące oczy, niezdarne ruchy; jego skóra wydziela zapach alkoholu. I ma w twarzy coś takiego, jakby był wykończony, pokonany.

Zwykle od razu idziemy na górę. Ale w korytarzu przyciąga mnie do siebie, zapominając, gdzie jesteśmy. Jego pocałunek jest natarczywy, jakby chciał się we mnie ukryć; smakuje alkoholem, skórę ma wilgotną. Rozpaczliwie potrzebuję go zaprowadzić do mojego pokoju. Ciągnę go do schodów, martwię się, że się potknie i że zbudzi Blanche lub Millie.

W moim pokoju zamykam drzwi na klucz i odwracam się do niego, przestraszona.

– O co chodzi? Co się stało?

W pierwszej chwili myślę o Hermannie, jego synu. Czuję strach, który mnie mrozi – że coś stało się Hermannowi.

Gunther nie od razu odpowiada. Zdejmuje marynarkę, rozpina pas. Siada na moim łóżku, ściąga buty, jego gesty są ociężałe, powolne, na czole rysuje mu się głęboka zmarszczka.

– Führer wypowiedział wojnę Rosji – mówi.

Tonem głosu przekazuje mi wagę tych słów, jakby oczekiwał, że od razu obejmę rozumem wszystko to, co z nich wynika. Ale ja nie rozumiem, jakie ta wiadomość ma znaczenie – dla wojny, dla niego czy dla mnie.

Gunther przesuwa ręką po twarzy niepewnie, jakby nie poznawał własnych rysów. Potem podnosi na mnie wzrok, oczy ma nienaturalnie błyszczące.

– Mieliśmy nadzieję, że to się szybko skończy. – Trochę bełkocze. – Ale co się teraz stanie? Nie wiem... Max twierdzi, że teraz przegramy wojnę.

– Max tak mówi? – Jestem zdumiona.

– Max mówi, co mu się żywnie podoba. Max w nikogo nie wierzy. Max nigdy nie wierzył, że ci u władzy wiedzą, co robią – stwierdza.

– Ale dlaczego – dlaczego to znaczy, że Niemcy przegramy wojnę? – pytam.

– Wojna w Europie idzie nam dobrze – mówi Gunther. Jakby nie był świadom dzielącej nas przepaści, gdy to mówi. – Tylko szalenie rozpoczynałby nowy front na wschodzie. A Rosja... – Potrząsa głową, jakby brakowało słów, którymi mógłby wyrazić to, co ma na myśli. – Rosja pokonała wiele armii – kończy.

– Och – mówię.


Mnie to wszystko wydaje się takie dalekie – jak inna planeta. Rosja jest bajkowa, gwałtowna, prawie dzika, daleka: zmasakrowany car i jego rodzina; Tołstoj i Czajkowski; wspaniałe kolorowe kopuły św. Bazylego na placu Czerwonym. Tak często myślę o tym, jak mało wiem o szerokim świecie.

– Powiadają, że nie da się wyobrazić sobie jej ogromu – podejmuje Gunther. Porusza niepewnie dłonią, jakby nie był w stanie tego ogromu oddać słowem. – Pola zbóż, a dalej pola zbóż, dalej i dalej, po horyzont, a potem kolejne pola. I lasy, niekończące się lasy i bagna. A wojska Rosji są nieprzeliczone. I w Rosji mają zimy...

Mówię sobie, że powinnam się cieszyć, bo Max powiedział, że Niemcy przegrają wojnę. To powinno budzić we mnie nadzieję. Ale wiadomości Gunthera przejmują mnie grozą i nie wiem, co to oznacza.

CZĘŚĆ IV

wrzesień 1941 – listopad 1942



CZĘŚĆ IV

wrzesień 1941 - listopad 1942

Rozdział 44

WE WRZEŚNIU MILLIE idzie do szkoły przy placu parafialnym w St. Peter.

Ma na sobie swoją niebieską sukienkę Viyella, z zaszewkami przy staniku, które będę rozpuszczać w miarę, jak będzie rosła, a warkoczyki przewięzałam jej czerwoną wstążką. Pantofelki z klamrą należały do Blanche, ale wypolerowałam je tak, że wyglądają jak nowe.

Na boisku pełno jest dzieci, te, które dzisiaj zaczynają, wtulają się w matki, starsze się kręcą, grają w kulki, w klasy lub w hacele. Niektóre dziewczynki stają na rękach pod ścianą szkoły, ich szerokie spódniczki rozkładają się jak płatki przekwitających kwiatów. Pamiętam, jak Blanche płakała i protestowała, kiedy po raz pierwszy poszła do szkoły, jak przerażało ją boisko, jak nie chciała mnie puścić, więc musiałam odrywać jej palce jak plaster od swoich rąk, ale Millie tylko spogląda króciutko na mnie i dzielnie wkracza w nurt przyszłości w swoich błyszczących bucikach z klamerkami.

W domu jest bez niej jakoś inaczej. Nawet gdy była cicho, zawsze wiedziałam, że jest, jakby powietrze naładowane było jej żywą, pełną determinacji obecnością. Krzątam się; robię wszystko dużo szybciej niż wtedy, gdy była w domu. Szoruję kuchnię, aż błyszczy, zbieram ostatnie strąki fasoli, wekuję śliwki z sadu. Dobrze nadają się do wekowania – to Królowa Wiktoria. Zachowuje intensywnie różowy kolor nawet po ugotowaniu i cały dzień w mojej kuchni unosi się jej winny, bogaty zapach. Cieszę się z tego, co osiągnęłam, ale brakuje mi Millie.

Po lekcjach czekam przed szkołą razem z innymi matkami. Znam kilka z tych kobiet z czasów, kiedy Blanche zaczynała szkołę, choć to było dziesięć lat temu – niektóre z nich mają duże rodziny albo długie przerwy między jednym dzieckiem a drugim, tak jak ja. Widzę Susan Gallienne, wysoką, szczupłą i elegancką: jest wytwornie blada, a włosy ma zręcznie ułożone w fale. Widzę Verę Hill, która zarządza swoim gospodarstwem z wojskową precyzją; unosi się wokół niej orzeźwiający zapach karbolowego mydła. Widzę Gladys Le Tissier, która ma szóstkę dzieci i zawsze nieco

rozkojarzoną minę, jakby wszystko działo się dla niej za szybko. Witamy się, wymieniamy nowinkami, przyrzekamy sobie, że się spotkamy.

Otwierają się drzwi szkoły, wysypują się z nich dzieci. Millie podbiega do mnie zarumieniona, dosyć oszołomiona nowością wszystkiego. Jedna z wstążek jej się rozwiązała i powiewa jak niewielka flaga, kiedy Millie biegnie. Pochylam się, by ją przytulić. Pachnie szkołą – kredkami woskowymi, pyłem kredowym, jabłkami. Ten zapach napełnia mnie tęsknotą – za najlepszymi przyjaciółkami, boiskowymi spiskami, skakanką i szeptem powierzanymi sekretami, i palcami umazanymi atramentem. Za wszystkim, co się wiąże ze szkołą.

– Kochanie. Miałaś miły dzień?

Energicznie potakuje.

– Ja byłam grzeczna – opowiada. – Ale Simon musiał stać w kącie. Pani Delaney mu kazała. Wsadził Annie Gallienne wijącego się robaka za bluzkę.

– Simon Duquemin?

– Tak. Simon Duquemin. – Obraca jego nazwisko w ustach, jakby było wyjątkowo smaczne, jak skradziona krówka. – Simon ma siedem lat. – W jej ustach brzmi to jak jakieś wielkie osiągnięcie, godne szacunku.

Kiedy następnego dnia wracamy ze szkoły, znów mówi o Simonie.

– Simon dostał kapciem – informuje mnie.

Pamiętam, jak Blanche opowiadała o kapciu. Tak naprawdę to nie jest kapeć, tylko tenisówka, którą pani Delaney trzyma w szufladzie biurka. Bije nią dzieci, jeśli się bardzo źle zachowują. Wszystkie dzieci się tego boją.

– Ale, Millie, to dopiero drugi dzień szkoły. Sądziłam, że wszyscy będziecie się jak najlepiej zachowywać.

– Musiał pochylić się nad biurkiem – opowiada Millie. – Powiedział, że go to nie bolało, ale ja myślę, że bolało. Myślę, że starał się nie płakać.

Z wrześniem okolica robi się bardziej stonowana, wszystko nabiera jesiennego złotego połysku. Pierwsze kolorowe liście spadają i szeleszczą na asfalcie. Wydają w ciszy taki odgłos, jak ukradkowe kroki na ścieżce.

– Co takiego zrobił Simon, że zasłużył na kapciu? – pytam.

– Był bardzo niegrzeczny – mówi Millie. – Siedział za Maisie Guerin i wetknął koniec warkocza Maisie do kałamarza. – W jej głosie ponownie słychać ten ton szacunku. – Mamo, chcę się pobawić z Simonem.

To mnie martwi: Simon Duquemin wydaje się trochę rozhlukany. Ale Millie jest nieustępliwa.

Kiedy następnego ranka czekamy na boisku, rozmawiam z Ruthie

Duquemin. Znam ją tylko z widzenia. To blada, dosyć zatroskana kobietą z mgiełką jasnych włosów na głowie i oczami zdumiewająco zielonymi, jak jęczminki w żywopłocie.

– Zastanawiałam się, czy Simon nie miałby ochoty przyjść i pobawić się z Millie po szkole?

Ruthie ma uśmiech szeroki i miły.

– Tak, wiem, że bardzo by chciał – odpowiada. – Wydaje się bardzo zainteresowany Millie.

SIMON PUKA DO NASZYCH drzwi. Ma pocętkowane piegami białe ramiona, bujne włosy po matce i podejrzliwy wyraz twarzy. Zagląda do korytarza.

– Przyszedłem po nią – oznajmia.

Millie przebrała się ze szkolnego stroju w najstarszą sukienkę. Bierze stary tornister Blanche. Włożyłam do niego słoik obwiązany naokoło sznurkiem, gdyby chcieli łowić, i jabłko do zjedzenia. Kiedy się z nimi żegnam, wygląda na to, że stopy Millie nie potrafią ustać w miejscu: przeskakuje z jednej nogi na drugą, jak tancerka. Jej oczy są jak słońce na wodzie.

– Nie odchodźcie za daleko. I wróćcie, zanim się ściemni.

Moje słowa wpadają w ciszę. Już przeszli na drugą stronę dróżki i przez sad do lasu, ich czyste głosy płyną za nimi jak kolorowe serpentyny.

Sprzątam w kuchni. Ustawiam pełne śliwek weki na podłodze w spiżarni. Dobrze jest widzieć to bogactwo, te ciężkie szklane słoje wypełnione różowo-czerwonymi owocami. Myję kuchenną podłogę, choć tak naprawdę tego nie potrzebuje. Kiedy cienie drzew się wydłużają i sięgają jak chwytne dłonie przez ścieżkę, zaczyna mnie ogarniać niepokój i chciałabym, żeby już była bezpieczna przy mnie w domu. Dopiero pierwszy raz bawi się poza domem.

Ale na długo przed kolacją Simon przyprowdza Millie z powrotem pod nasze drzwi i odchodzi ścieżką do swojego domu. Millie wpada do salonu, w którym ja ceruję, a Blanche szczotkuje włosy. Mała jest ubłocona, rozczochrana, zaróżowiona z radości.

– Simon wszedł na czubek drzewa – wykrzykuje.

– Chłopcy tak lubią się popisywać – mówi Blanche, przerywając czesanie. Liczy pociągnięcia szczotką, pochylona do przodu, jej jasne blond włosy zwisają w dół; co wieczór stara się wykonać sto pociągnięć, zanim się położy.

– Mam nadzieję, że nie oczekiwał, że też tam wejdiesz – mówię do Millie.

– Szukał starego gniazda grzywacza – ciągnie moja córeczka. – Miałam go złapać, gdyby spadł. A potem zrobiliśmy norę w lesie. Chowaliśmy się przed bombami. Bomby zabiły wszystkich, ale w nas nie trafiły... A potem byliśmy żołnierzami – opowiada.

Strzela z udawanej broni do Blanche.

– Naprawdę, Millie. Dziewczynki nie strzelają. Powinnaś to wiedzieć – zwraca jej uwagę Blanche.

Prostuje się, przerzuca włosy z powrotem do tyłu. Przygląda się sobie w lustrze nad kominkiem, trochę pozuje. Na snopie jej włosów migocze światło.

– Simon naprawdę mnie lubi – przechwala się Millie. – Simon mówi, że naprawdę wcale nie jestem jak dziewczyna. – Jakby to była największa pochwała.

Potem Simon bawi się już z Millie po szkole przez większość dni.

PEWNEGO WIECZORU MILLIE wraca do domu spięta, zdyszana i zachwycona.

– Zrobiliśmy obóz wojskowy w stodole pana Mahy – mówi.

Stodoła Petera Mahy jest tuż za moim sadem, na trasie przez pola, którą szłam, gdy wybrałam się do Les Brehauts. Nie utrzymuje jej w dobrym stanie, prawie tam teraz nie chodzi – trzyma w środku swoje stare narzędzia rolnicze, bo nie może teraz dostać do nich zapasowych części. Stoi tam rozchwierutana drabina prowadząca na stryszek na siano; dzieci mogłyby się tam wdrapać i podłoga mogłaby ich nie utrzymać.

– Musicie bardzo uważać, jak się tam bawicie. Nie wolno bawić się na traktorze. I nie wolno wchodzić na stryszek na siano – mówię.

– Byliśmy bardzo ostrożni, mamusiu.

– Jesteś strasznie zasapana – zauważam.

– To dlatego, że nas gonił.

– Gonił was, Millie? Kto was gonił?

– Pies pana Mahy – wyjaśnia. – Jego pies jest bardzo paskudny. Przechodziliśmy obok domu, a on nas ścigał po ścieżce.

Znam tego psa – taki duży owczarek niemiecki, dosyć zły. To mnie martwi.

– Co zrobiliście, że was gonił? – pytam.

– Simon rzucił w niego kamieniem.

– No nie, Millie. Bardzo źle postąpił.

– Simon nie jest zły. To był bardzo mały kamyczek.

– Nie powinien był tego robić – mówię.

– Był mały jak listek – upiera się Millie. – Był naprawdę, naprawdę malutki. O taki.

Trzyma palec i kciuk blisko siebie: prześwit między nimi ledwo widać.

– Wszystko jedno, jaki mały był.

Czuję ukłucie niepewności: Simon to trochę taki dzikus, ma w sobie coś, co sprawia, że nie dba o to, co każą mu dorośli. Martwię się, w co może ją wciągnąć.

– Nie wolno wam już nigdy więcej tego robić, żadnemu z was – mówię jej.

– Ja nic nie zrobiłam, słowo, mamusiu – odpowiada.

Rozdział 45

GDY MILLIE JEST W SZKOLE, ja jestem trochę bardziej wolna, choć nie lubię zostawiać Evelyn samej zbyt długo.

Pewnego popołudnia w listopadzie jadę na rowerze do miasta. Kupuję zestawy z chlebem, mięsem i cebulą, i wymieniam książkę w bibliotece. Udaje mi się znaleźć kilka motków wełny dla Evelyn i kupuję trochę sproszkowanej carravity u Carra w pasażu handlowym; robi się ją z wodorostów i można jej używać jako środka żelującego. W gazecie był przepis na dżem z rzepy. Nie wyglądał zbyt zachęcająco, ale pomyślałam, że spróbuję.

Kiedy w drodze do domu podjeżdżam pod górkę, mijam Acacia Villa, w której mieszkał Nathan Isaacs i dokąd czasem chodziłam na wieczorki muzyczne, zanim wsiadł na statek. Pamiętam te wieczorki: trochę wykwintnego bordo do picia, porządny ogień na kominku; granie sonaty *Wiosennej* Beethovena na skrzypce i fortepian. Nathan szczególnie kochał Beethovena. Był świetnym skrzypkiem, dużo lepszym muzykiem niż ja; a skrzypce mają coś w sobie – tę jedwabistość dźwięku, to jak wznosi się i śpiewa – co sprawia, że fortepian może wydawać się instrumentem trochę bez polotu. Zastanawiam się, jak teraz radzi sobie Nathan. Mówił, że dom jego kuzyna w Highgate był już pełny krewnych: mam nadzieję, że nie jest dla niego zbyt hałaśliwy. Mam nadzieję, że Nathan ma pokój, w którym może grać na skrzypcach. Villa zawsze wyglądała elegancko, z błyszczącą mosiężną kołatką w kształcie lwa na pomalowanych na zielono frontowych drzwiach, z eleganckim trawnikiem przed domem, z klombami kwiatów. Ale pod jego nieobecność wszystko zrobiło się zapuszczone, zaniedbane. Rabatki to jedno kłębowisko szczawiu i więdnących ozdobnych traw, a wyschłe zbrązowiałe główki hortensji szeleszczą i seplenią na wietrze. Słone powietrze odgarnia mi z twarzy włosy, a mnie ściska za serce nagły smutek, że świat się tak zmienia, że tak się go rozdziera, nie dba o niego, niszczy.

Gdy mijam frontowe drzwi, ze środka wychodzi dwóch mężczyzn. Widzę, że to nie wyspiarze. Są chudzi, ubrania mają podarte i mówią w języku, który jest mi obcy – nie po niemiecku, ten już teraz rozpoznaję. Wyglądają

na posępnych i zagubionych, ich cienie kładą się na ziemi przed nimi postrzępione i cienkie jak zimowe gałęzie. Widzę, że się trzęsą. Dzisiaj przydaje się dobry wełniany płaszcz, bo od morza wieje ostry wiatr. To denerwujące, słyszeć ten nieznaną język na naszej wyspie. Zastanawiam się, kim są, dlaczego tu są, w miejscu tak dalekim od ich domu.

Światło tak wcześnie teraz gęstnieje: już robi się ciemno. Mewy krzyczą. Zbliży się zima.

TEJ NOCY GUNTHER jest ze mną i kiedy leżymy razem bezpiecznie w moim łóżku, pytam go o tych mężczyzn, których widziałam.

– W St. Peter Port byli jacyś ludzie. W domu o nazwie Acacia Villa, który kiedyś odwiedzałam, zanim... Wiesz, przed tym wszystkim... To obcokrajowcy – nie ludzie z wyspy. Nie Niemcy. Bardzo chudzi i za lekko ubrani.

Gdy to mówię, czuję, że Gunther sztywnieje; widzę, że lekko napinają mu się mięśnie wokół ust.

– Führer chce ufortyfikować te wyspy – mówi mi ostrożnie. – Jest dumny ze swoich podbojów. Te fortyfikacje nie mają z nami nic wspólnego.

– Co to znaczy, że nie mają z wami nic wspólnego?

– To inna organizacja – Organizacja Todta. Sprowadzają robotników, żeby budowali fortyfikacje obronne wokół wysp.

– Sprowadzają ich skąd? – Myślę o języku, którego nie zrozumiałam.

– Z Holandii, Belgii, niektórych z nich. Niektórzy są z Polski i Rosji. To jeńcy wojenni lub ochotnicy. Niektórzy budują obozy, aby w nich zamieszkać... Nie martw się tym – odgarnia mi włosy z twarzy. – Zostawmy wojnę na zewnątrz. Bądźmy tutaj tylko my, ty i ja.

Ale później, w ciemności, coś wyrywa go ze snu. Jego nagły ruch mnie także budzi. Gunther dygocze i to drżenie przenosi się na moje ciało. Musiało prześladować go we śnie coś strasznego, jakiś koszmar. Zdmuchnęłam świecę, ale przez zasłony przedostaje się światło księżyca i pada na jego twarz, na jego oczy. Gunther wpatruje się we mnie, ale mam wrażenie, że patrzy przeze mnie, jakby mnie nie widział. Na jego czole w kredowym świetle księżyca błyszczą pot. Przeraza mnie.

Głaszczę go po ramieniu, starając się, by wrócił do teraźniejszości.

– Gunther. Nie ma się czego bać. Wszystko w porządku. To ja, Vivienne. Kochanie, jesteś ze mną, pamiętasz?

Wpatruje się.

– Gunther...

Jego twarz się zmienia.

– Och – mówi. – Och, Vivienne.

Przeciera dłońmi twarz, znów staje się sobą.

Zastanawiam się, co widział we śnie. Ale on mi nie mówi, a ja nie pytam.

ŚCIEMNIA SIĘ JUŻ, kiedy wracam na piechotę do domu od Angie. Powietrze koloru sepia jest nieruchome, nie ma wiatru – a to się zdarza rzadko na Guernsey; pojedynczy brązowy liść zatacza spirale, spadając. Świat wydaje się pusty, głuchy, a cienie są fioletowe jak damaszki. Razem ze zmierzchem okolicę ogarnia jakiś smutek. Nad bladą ziemią i czarnymi drzewami niebo przybiera ciemnoniebieski kolor popiołów.

Przechodzę przez splecione długie cienie topoli w żywopłocie, obok ziemi należącej do Renoufów. Widzę, że Joseph Renouf ustawił na swoim polu stracha na wróble, który stoi w kałuży śliwkowego cienia. Jest zgrabnie skonstruowany, zrobiony z skrawków drewna i gałązek, i ubrany w postrzępione stare ubrania. W ciszy, jaka panuje na ścieżce, moje kroki są głośne i odbijają się echem. Czuję zimny zapach nadchodzącej nocy.

Idę dalej. Ale coś w tym, co widziałam, nie daje mi spokoju – coś mi się nie zgadza. Szelest liści za plecami sprawia, że nagle się odwracam. Palce lęku muskają mnie po karku: strach na wróble przeniósł się na inne miejsce na polu. Wszystkie króciutkie włoski na skórze stają mi dęba. Teraz widzę twarz stracha – widzę, że to człowiek. Nie wiem, kim jest ani co może tam robić na polu Josepha Renoufa w pustym mroku koloru sepia. Martwię się, że mnie zobaczy: martwię się, że może być niebezpieczny, ale chyba jest całkiem nieświadomy mojej obecności. Bez reszty zajęty jest czymś, co trzyma w ręce, a co wygląda jak stary głąb kapusty. Przyglądam się i widzę, że wpycha go sobie do ust i zaciekle obgryza.

Zastanawiam się, co mogło się stać, co mogło doprowadzić człowieka do tego, że je głąb kapusty, który ktoś wyrzucił. Czy uciekł z jakiegoś zamkniętego zakładu? Czy stracił rozum?

Zanim skręcę za róg, ponownie się odwracam, ale obdarty mężczyzna zniknął, jakby go tam nigdy nie było. Jakbym go wyczarowała z jakiegoś mrocznego miejsca w moim wnętrzu.

NOCE ZAPADAJĄ CORAZ WCZEŚNIEJ i Millie i Simon nie mogą po szkole bawić się na dworze. Czasem ona idzie do niego do domu, a czasem on przychodzi do nas.

Kiedy bawią się razem w domu, przerasta to odporność Evelyn.

– Głowa mnie boli. Taki harmider – skarży się. – Tyle bieganiny.

Proszę ich, by zachowywali się ciszej, ale moje ostrzeżenia spływają po nich jak woda po gęsi.

Evelyn przypadkiem słyszy, jak śpiewają po niemiecku: *Stille Nacht, Heilige Nacht*. Uczyli się w szkole niemieckich kolęd. Stuka drutami w poręcz fotela.

– Natychmiast przestańcie – mówi.

Millie się rumieni.

– Przepraszam, babciu.

Jeśli chodzi o mnie, uważam, że to dobrze, iż uczą się niemieckiego: może nas czekać długa przyszłość pod okupacją, a jeśli będą mówić w tym języku, będą lepiej przygotowani – choć nigdy bym tego Evelyn nie powiedziała.

– Evelyn, nauczyli się tego od pani Delaney. To nic nie znaczy.

– I tu się mylisz – zaprzecza Evelyn. – Oczywiście, że to coś znaczy. Hun mógł przyjechać na Guernsey, ale nie wpuszczamy go do naszego domu.

Odwracam się od niej, twarz mi płonie.

Wysyłam ich, żeby pobawili się na małym tylnym strychu, skąd nie będzie ich można usłyszeć. Evelyn wraca do swojej robótki. Nie widzę dzieciaków, dopóki nie wołam Simona, żeby powiedzieć mu, że czas wracać do domu.

– Dobrze się bawiłaś, kochanie? – pytam Millie, kiedy Simona już nie ma.

Przytakuje energicznie.

– Simon był wiłakiem – mówi. – Miał futro i bardzo duże zęby.

Proszę, by powtórzyła – nie kojarzę tego słowa.

– Wiłak, mamusiu. No wiesz. Wiesz, co to jest wiłak.

– Nie, nie wiem.

Patrzy na mnie z powątpiewaniem, jakby nie mogła uwierzyć w moją ignorancję.

– Wiłak wygląda jak człowiek, tylko nie w świetle księżyca – bo wtedy...

Odchyła głowę i przejmująco wyje jak wilk.

– A. Wilkołak – mówię.

– Tak, oczywiście. Wiłak mnie ugryzł. Zobacz.

Wyciąga rękę, dość dumnie. Widzę blednące białe ślady zębów. Jestem zbulwersowana.

– Millie, nie powinnaś pozwalać, by Simon cię gryzł.

– Nie martw się, mamusiu. Nie ugryzł mnie do krwi.

– No, mam nadzieję, że nie.

– Poza tym to była tylko zabawa. To było na niby. Naprawdę nim nie jest – przekonuje mnie.

– Nie, oczywiście, że nie jest.

– Ale powiedzcie ci sekret, mamusiu?

Kiwam głową.

Millie przyciąga moją twarz blisko do swojej i szepcze mi do ucha.

– Simon wie, gdzie jest prawdziwy wiłak.

– Millie, wilkołaki nie są prawdziwe. Nigdy.

Ignoruje mnie.

– Ten wiłak jest prawdziwy – mówi. – Ten wiłak, o którym mówię. – Jej usta są bardzo blisko mnie: czuję na twarzy jej oddech. Cichutki szept jest dramatyczny, pełen napięcia. – Grasuje na ścieżce prowadzącej z St. Pierre du Bois do Torteval. Ma taczkę pełną pasternaku i popycha ją przed sobą. I lubi jeść niegrzeczne dzieci.

W jej głosie pobrzmiewa strach.

– Ach. A skąd właściwie Simon to wie?

– Jego starszy brat mu powiedział – oznajmia Millie. – To szczerą prawdą, mamusiu.

– Nie, kochanie. To tylko opowieść.

Millie potrząsa stanowczo głową.

– Starszy brat Simona wie mnóstwo rzeczy – mówi mi. – Starszy brat Simona zrobił dwupłatówiec z grubego papieru i kleju. On naprawdę lata. Simon mi pokazał.

Czuję się zła na Simona i na starszego brata Simona za to, że tak wystraszyli Millie.

JOHNNIE PRZYCHODZI DO MNIE w odwiedziny ze słoikiem sosu jabłkowego od Gwen i torbą świeżo zebranego szpinaku. Siedzimy przy kuchennym stole i pijemy miętową herbatę. Nigdy nie powiedział już nic więcej o tym zamyśle ze swastykami, ale teraz czujemy się w swoim towarzystwie zakłopotani. W rozmowie pojawiają się krótkie niezręczne przerwy, widzę jakąś powściągliwość w jego oczach.

By wypełnić jedną z takich przerw, pytam go o ludzi, których widziałam przed domem Nathana.

– To będą robotnicy z Holandii i Belgii, ci, których ciocia widziała – wyjaśnia Johnnie. – Oni sprowadzają wielu robotników z kontynentu. Hitler buduje betonowy pierścień naokoło całej wyspy – informuje mnie.

Pytam go o to, o co nie mogłam zapytać Gunthera.

– Ale dlaczego, Johnnie? To nie ma cienia sensu. Zupełnie jakby naprawdę spodziewali się, że RAF***** zaatakuje; ale nikt nie myśli, że tak się stanie. Nikt nie sądzi, żeby Churchill w ogóle nami się przejmował. Jesteśmy jedynie małą wysepką.

Johnnie wzrusza ramionami.

– Ale to właśnie robią – mówi. – Wydaje się, że taki jest plan Hitlera. Ci robotnicy, których widziała ciocia w St. Peter Port, oni nie są tak źle traktowani, dostają drobne wynagrodzenie.

Myślę o ludziach, których widziałam – jacy byli chudzi, jak drżeli na słonym wietrze.

– Wyglądali, jakby ich raczej źle traktowano – mówię mu. – Wyglądali, jakby nie jedli.

Potrząsa głową. Między brwiami ma drobne zmarszczki, ostre, jakby wycięte nożem.

– Gorzej jest w obozach pracy – dużo gorzej. Wiesz, ciociu, jak ten obóz, który budowali na wzgórzu w pobliżu klifów. Nad Les Tielles.

– Nie wiedziałam – zaprzeczam. – Nigdy tamtędy nie chodzę.

– Ludzie są tam po to, żeby zbudować fortyfikacje na szczycie klifu. Tamten obóz to straszne miejsce. Prawie ich tam nie karmią.

Od razu zaczynam rozumieć.

– Widziałam jakiegoś mężczyznę na polu – mówię. – Był bardzo chudy. Wydaje mi się, że jadł głąb kapusty. Myślałam, że to tylko strach na wróble, dopóki się nie poruszył i nie zobaczyłam jego twarzy.

– Prawdopodobnie był z obozu – stwierdza Johnnie. – To naprawdę nieszczęśnicy. Pochodzą z Polski lub z Rosji, większość. Są jak niewolnicy, ci ludzie, co tam pracują, i traktowani są jak niewolnicy. Gorzej niż niewolnicy. Biją ich. – Po twarzy przebiega mu cień. – Widziałem tam mężczyznę, którego powiesili na drzewie. Ciało wisiało przez kilka dni.

Przebiega mnie dreszcz.

– Są tam też Algierczycy i Cyganie. Powinna ciocia sama się przekonać. Powinna ciocia wiedzieć, co dzieje się tu, na naszej wyspie – mówi.

– Tak. Może powinnam...

Ale mówię tak tylko dlatego, że Johnnie oczekuje, że to powiem. Przeraza mnie myśl, że mogłabym pójść do obozu. Co dobrego mogłoby wyniknąć z tego, że pójde się przekonać? To wszystko mnie przerasta. Nie mogę tego zmienić, nikt z nas nie może, przekracza to nasze możliwości, nie możemy temu zapobiec... Mimo to mój opór mnie zawstydzia. Wiem, że to słabość,

odczuwać coś takiego.

– Żadnego człowieka nie powinno się tak traktować – mówi Johnnie. – Na pewno słyszałaś, ciociu, różne rzeczy, prawda? To, co ludzie mówią – że muszą tam być, bo popełnili jakieś okropne zbrodnie. Tak mówił Florrie Gallienne w kościele. Ale co mógłby człowiek zrobić, żeby zasłużyć sobie na taką karę? Zajmujemy się tym, ja i Piers. Zamierzamy zrobić, co się da.

Wzmianka o Piersie mnie denerwuje.

– Johnnie, co wy możecie zrobić? To wielka machina wojenna – nie zdołacie jej zatrzymać.

Ignoruje mnie.

– Na Jersey już zaczęli. Organizują się tak, żeby pomóc niektórym robotnikom w ucieczce – mówi mi. – Kryjówki i w ogóle.

Wydaje mi się to bardzo dziwne.

– Ale dokąd oni pójdą? – pytam. – Nikt z nas nie może uciec. Nie ma jak wydostać się z tych wysp. Utknęliśmy tu teraz na dobre.

– Podają się za miejscowych – wyjaśnia.

– Do kiedy? Dopóki nie skończy się wojna?

– Dopóki nie wygramy – odpowiada Johnnie.

STYCZEŃ. SZTORMOWA POGODA. Na wzgórzu w Les Reutes szyby zarosły skorupą soli, choć do morza stamtąd cała mila. Trudno mi wystarczająco ogrzać dom: wiatr jest jak nóż, który przecina zamknięte okna i drzwi. Wszyscy mamy odmrożyny.

Czekam z innymi matkami na boisku. Ubrania mamy trochę bardziej zgrzebne, pocerowane. Wiatr grzechocze liśćmi bluszczu na ścianie szkoły za nami.

Tu też toczy się rozmowa o obozach pracy niewolniczej.

– Widziałyście tych wszystkich biednych robotników, których ściągnęli na swoją budowę? – Gladys marszczy brwi. – Muszą ich naprawdę okropnie traktować, oni wyglądają na zagłodzonych – dodaje.

– Musi im być strasznie zimno przy tej pogodzie – stwierdza Ruthie Duquemin, matka Simona. – Sypiają w tych okropnych obozach, a za ubrania mają jedynie szmaty. – Sama dygocze, jakby na własnej skórze czuła, jak jest im zimno.

– Ale to wszystko więźniowie, czyż nie? – pyta Susan. W przeciwieństwie do reszty matek trochę się postarała: przypudrowała się, podmalowała usta i nadal promieniuje niewymuszoną elegancją, nawet w wytartym płaszczu. – Więc to muszą być przestępcy, prawda? Musieli coś zrobić. Musieli popełnić

jakieś przestępstwo.

– Ale to, jak ich traktują, jest całkiem okropne – mówi Gladys. – Nieludzkie.

Susan szczerzej otula się płaszczem.

– Musimy pamiętać, że nie znamy całej historii – stwierdza. – Musieli zrobić coś bardzo złego, że tak ich traktują.

Pamiętam, co powiedział Johnnie: *Ale co mógłby człowiek zrobić, żeby zasłużyć sobie na taką karę?* Mimo to się nie odzywam.

– I mają taki niezdrowy wygląd – podejmuje Vera. – Pewnie są cali zawszeni. – Twarz ma ściągniętą i napiętą, skurczoną pod lodowatym wiatrem.

Słychać pomruk zgody.

Susan energicznie odchrząkuje.

– To oczywiście straszne dla nich, ale prawda jest taka, że mogą być zaraźliwi. Mogą roznosić choroby. Jeśli mam być całkiem szczerą, obeszlibyśmy się bez nich na naszej wyspie. I tak wiele musimy znosić – zauważa.

– Biedaczyska – mówi Ruthie, matka Simona. – To nie ich wina, że się tu znaleźli.

Ma zatroskany wyraz twarzy: w jej zielonych jak paprocie oczach widać dezaprobatę. Wiem, że rozmowa ją denerwuje. Powinnam się przyłączyć i ją poprzeć, ale nie umiem wymyślić, co powiedzieć.

– Człowiek powinien im współczuć – mówi Ruthie.

Zaczynam coś mówić, ale wiatr porywa moje słowa i słychać tylko głos Very.

– Ale co możemy zrobić? Słyszałam o kobiecie na Jersey. Przyjęła jednego takiego niewolnika do domu i Niemcy go tam znaleźli.

– I co się stało? – pyta Gladys.

Przez moment Vera milczy. Odgłos wiatru w liściach bluszczu jest zimny i twardy.

– Słyszałam, że ją zastrzelili.

Cała grupa wzdryga się, jakby poraził ją prąd przerażenia.

– Ludzie, którzy tak postępują, na wszystkich ściągają kłopoty – stwierdza Susan. – Wszystkich nas narażają.

Vera potakuje.

– Nic nie możemy zrobić. Musimy wziąć się do roboty i dalej zajmować się własnym życiem – mówi. – Troszczyć się o ludzi, za których

odpowiadamy. To na pewno przykre dla nich i w ogóle – ale nie ma nic wspólnego z nami. Musimy żyć swoim życiem.

Już mam się odezwać, gdy dzwonek oznajmia koniec lekcji. Kobiety odwracają się w stronę budynku. Millie pędzi do mnie, ja schylam się, a ona zarzuca mi ramiona na szyję.

– Bawiłaś się dziś z Simonem? – pytam.

– Oczywiście. Jest moim przyjacielem.

Wracamy do naszego codziennego życia. Ale czuję palące ukłucie wstydu, że się nie przemogłam i nie odezwałam.

IDĘ POD GÓRĘ do Les Ruettes z dżemem z rzepy usmażonej z carravitą, którą wcześniej kupiłam. W żywopłocie widać przebiśniegi – tych potulnych błagalników o zwieszonych główkach – i można wyczuć słodki waniliowy zapach lepiężników, ale wiosna nadal wydaje się odległym marzeniem. Nade mną gawrony wirują i kłębią się jak podarte czarne szmaty na rwącym białym strumieniu nieba.

W kuchni Angie jest chłodno; ogień ledwo ledwo grzeje. Wiatr stuka czarnym bzem w okno z odgłosem, który wydaje się zbyt znaczący, jakby ktoś tam był, ktoś, kto chce się dostać do środka. Zimne powietrze wpełza pod drzwiami i usypuje maleńkie zasy i spirale z kurzu i suchych liści w narożnikach kuchni, które od tygodni nie widziały szczotki. Zanim zginął Frank, jej kuchnia zawsze błyszczała i była nieskazitelna.

Angie jest wdzięczna za dżem z rzepy.

– Naprawdę nie powinnaś. Jesteś dla mnie za dobra, Vivienne.

Postarzała się, jest wymizerowana, ma siateczkę drobnych zmarszczek wokół ust i oczu. Pytam, jak sobie radzi, a ona potrząsa lekko głową. Zazwyczaj odpowiadała jakoś tak pogodnie: *Nie najgorzej, Vivienne, nie mogę narzekać* – ale teraz wbija we mnie smutne wyraziste spojrzenie.

– To już ponad rok – mówi mi. – Powinnam była z tym się uporać, ale tak nie jest. Tak bardzo mi go brakuje, że mnie to wykańcza.

Kładę dłoń na jej ręce.

– Rok to bardzo krótko – pocieszam. – Kiedy straciło się kogoś.

– Nie wiem, Vivienne. Czuję, że muszę wziąć się w garść. Przecież to nie tak, że jestem jedyna. Tysiące ludzi przeżywa to samo.

Na chwilę zapada między nami milczenie. Myślę o wszystkim, o czym mi zazwyczaj opowiadała – o dziwnych dawnych sprawach, w które nadal na wół wierzy, o historiach z tych wysp: osadach wrózek połączonych podziemnymi drogami; że ciało topielca wyrzucone przez morze domaga się

pochówku; że nigdy nie powinno się przynosić do domu kwiatu głogu. Ale teraz często milczy, jakby słowa nie przychodziły jej tak łatwo, jakby musiała je przywoływać z jakiejś głębi w swoim wnętrzu.

Opowiadam jej o mężczyźnie, którego widziałam na polu Josepha Renoufa.

– Ja też ich widziałam – mówi mi. – Chyba ich czasami wypuszczają, pewnie muszą przymykać oko i pozwalać im wygrzebywać jedzenie na polach. Podejrzewam, że dzięki temu mogą ich mniej karmić.

Wargi ma popękane, krwawią. Przykłada do nich chustkę.

– Są bardzo źle traktowani – mówię.

Jej twarz na moment mrocznieje.

– Na Alderney jest teraz jeszcze gorzej – stwierdza. – Jack mi powiedział. Jack pracuje teraz trochę na Alderney... Tłumaczyłam ci, Vivienne. Musi jakoś wiązać koniec z końcem, ma te wszystkie dzieciaki do wyżywienia...

Zastanawiam się, co u licha Niemcy mają do roboty na Alderney. To taka mała, ponura, smagana wiatrem wysepka, praktycznie pozbawiona dobrej ziemi.

– Co się tam dzieje? – pytam.

– Nie ma tam już wyspiarzy – wyjaśnia Angie. – Wszyscy wyjechali do Anglii. Jack znalazł tam dziczatego psa, trzeba go było, biedaka, zastrzelić.

– Ale po co Niemcom ta wysepka?

– Budują bunkry na Alderney i obozy są tam gorsze – odpowiada Angie. – Jack mi powiedział. Mówił, że są tam cztery obozy i że ludzie głodują. Głosy mężczyzn są wysokie, wydają takie dźwięki jak ptaki... Tak się dzieje z ludźmi, kiedy głodują, Jack mi powiedział. Nie wiedziałam o tym. A ty wiedziałaś, Vivienne?

Kręcę głową. Chłodne powietrze sięga palcami w głąb kuchni. Krzak bzu stuka w okno.

– Ci, którzy tam pracują, są bici, traktowani są jak zwierzęta – podejmuje Angie. – Nawet gorzej niż zwierzęta... Jack mi o tym opowiedział i nie mogę przestać o tym myśleć. – Nachyla się blisko; jej oddech, poufny, przesiąknięty nikotyną, owiewa mi twarz. – Był tam człowiek – ciągnie – który wpadł do betoniarki, a Niemcy nie chcieli zatrzymać urządzenia, ten mężczyzna został pogrzebany żywcem. Jack to widział. Powiedział mi...

TEJ NOCY PYTAM Gunthera o Alderney.

– Ludzie mówią... Ludzie rozmawiają o Alderney – mówię mu. –

Przyjaciółka mi powiedziała... – Odchrząkuję, by oczyścić gardło, bo nagle ochryłam. – Powiedziała mi, że ludzie tam głodują. Chodzą plotki, że bardzo źle się tam postępuje. Czy wiesz, co się tam dzieje?

Twarz Gunthera robi się nieprzenikniona.

– Na Alderney są obozy pracy – stwierdza. – Nie mają z nami nic wspólnego. Tak jak ci mówiłem, Vivienne. To Organizacja Todta. – Głodzi mnie po włosach. – Kochanie, nie martwmy się o nich. Proszę. Nie sprowadzaj ich do tego pokoju.

On nie wie, mówię sobie. To nie ma z nim nic wspólnego.

Rozdział 46

POGODA SIĘ ZMIENIA. Budzimy się przy białym świetle słońca pod bladoniebieskim niebem. Sad aż pieni się od kwiecica, a trawa pod drzewami usiana jest bladymi zawilcami. Wiezorami dłużej jest jasno, więc Millie i Simon bawią się trochę na zewnątrz przed kolacją. W żywopłotach pojawiło się błyszczące jak lakier jaskółcze ziele, a pachnące oranżadą narcyzy tańczą na polach. Blancs Bois aż trzęsie się i drży od śpiewu ptaków.

Angie mówi mi, że można znaleźć grzyby – duże, mięsiste kurki – na polach Harry’ego Tostevina, pod szczytem klifu, więc pewnej niedzieli zostawiam Evelyn i Millie i jadę tam na rowerze. W powietrzu czuć aromat zmieniającej się pory roku, unosi się w nim zielony świeży zapach pyłków i soków, i kokosowa woń kwitnącego kolcolistu, i jest tak ciepło, że nie potrzebuję kardiganu. Trawy kołyszą się na lekkim wietrze, jakby głaskała je czyjaś dłoń. Ze szczytu ścieżki widzę połysk morza, z tego miejsca fale wydają się malutkie, woda niemal nieruchoma. W ciepłym słońcu czuję się giętka, swobodna. Myślę o Guntherze: dreszczem przejmuje mnie myśl, że mimo wszystko jestem szczęśliwa.

Kładę rower przy przerwie w żywopłocie. Ziemia jest tu wilgotna i błotnista. Lepią mi się do niej buty. Znajduję cudowne kurki w ukrytych rowach i zacienionych, wilgotnych zagłębieniach pod żywopłotem. W cieniu rosa jeszcze nie wyschła i moje buty i rękawy bluzki pociemniały od wilgoci. Grzyby wydzielają bogaty, ziemisty zapach; napełniam nimi koszyk. Planuję, jak je przygotuję, z tym kawałeczkiem masła, jaki przyoszczędziłam. Czuję, że cieknie mi ślinka na myśl o tym, jakie będą smaczne.

Niejasno zdaję sobie sprawę, że coś nadchodzi, zakłócając spokój tego dnia. Gdzieś daleko męski głos krzyczy. Kiedy odległość się zmniejsza, słyszę, że krzyczy po niemiecku. Krzyk szybko się zbliża i słyszę odgłos wielu kroków, stąpających ciężko po ścieżce. Jestem niezadowolona, że coś zakłóca spokój mojego poranka. Instynkt podpowiada mi, żeby się schować, ale czekałam za długo, więc tylko stoję bez ruchu. Patrzę, jak ścieżką przechodzi ekipa robotników. Jest ich około dwunastu. Na pewno idą na szczyt klifu budować dla Hitlera ten cementowy krąg, o którym opowiadał

mi Johnnie. Ich wygląd przejmuje mnie grozą. Są ubrani w łachmany, a kości sterczą im spod skóry – obojczyki, kości w nadgarstkach. Szurają po ziemi, nie podnosząc stóp, plecy mają zgarbione, przygięte do dołu, jakby nieśli jakiś okropny ciężar. Są z nimi dwaj strażnicy, którzy mają inne mundury niż żołnierze Wehrmachtu, niż te szare mundury, do których jesteśmy przyzwyczajeni – te są brązowe z opaskami ze swastyką na rękę.

Patrzę, jak mnie mijają. Serce głośno bije mi w piersi.

Jeden z więźniów kuleje. Widzę, jak się potyka, upada. Zostaje z tyłu; stara się podnieść, ale nie może – jest za słaby, może ranny. Jeden ze strażników się odwraca, podchodzi do niego. W pierwszej chwili mam taką głupią, niewinną myśl, że przynajmniej pomoże się temu mężczyźnie podnieść. Ale on coś krzyczy po niemiecku – widać, że przeklina leżącego. Więzień usiłuje się podnieść, ale upada, bezradny. Strażnik stoi nad nim, uderza go kolbą karabinu: i znowu, i znowu, słyszę ten odgłos, broń uderzającą w ciało, trafiającą w kość. Na tej cichej ścieżce odgłos uderzeń jest dużo za głośny. Mężczyzna na ziemi lekko się porusza, zakrywa sobie ramieniem twarz w drobnym beznadziejnym geście samoobrony, ale potem jego ramię opada. Z ust cieknie mu jaskrawa krew. Strażnik opuszcza broń i wyciera kolbę o trawę. Mówię sobie, że teraz odejdzie: może ten człowiek zdoła przeżyć, może jak ekipa robotników się oddali, będę mogła do niego podejść i mu pomóc... Ale strażnik cofa się o krok i kopie leżącego w głowę, dopóki ta nie pęka. Słyszę trzask, kiedy but uderza o czaszkę. Z rany sączy się coś grudkowatego, czerwonego, nie chcę tego widzieć, nie chcę o tym myśleć, ale oczy mnie nie słuchają i nie mogę oderwać wzroku.

Czuję nagłą chęć, żeby podbiec do strażnika i go powstrzymać. Nawet robię kilka kroków w jego kierunku, ale coś mnie powstrzymuje – myśl o moich dzieciach i Evelyn, o ludziach, którzy mnie potrzebują, żebym się nimi zaopiekowała. Przechodzi mnie dreszcz. Stoję tam rozdygotana, rozdarta. Strażnik podnosi wzrok, zauważa mnie, wzrusza ramionami. Nie obchodzi go, że tam jestem, że się przyglądam wszystkiemu, co robi. Czuje się swobodnie, nie ma poczucia winy. Znowu kopie leżącego na ziemi człowieka i nie przestaje go kopać jeszcze długo po tym, kiedy ten zupełnie nieruchomieje, ciężki but rozwała dalej już rozbitą głowę.

Kosy nadal śpiewają, kwiaty unoszą do góry swoje barwne główki. Nie rozumiem, dlaczego krajobraz wygląda tak samo jak zawsze, cały jasny, pozłocony wiosną. Ten blask wydaje mi się zniewagą.

Strażnik odchodzi, pozostawiając leżącego na ziemi martwego

mężczyznę – jakby był niczym, gorzej niż niczym. Wymiotuję do rowu.

Rozdział 47

MILLIE BAWI SIĘ W kuchni. Nie patrzy na mnie; jest skupiona na zabawie.

– Patrz, mamusiu, to ślub. – Jej lalki stoją w orszaku na stole kuchennym. – Będę miała ślub – mówi. – Wyjdę za Simona. Ubiorę się w duże futro z purpurowymi różami.

Smuga żółtego słonecznego światła pada na nią, przecina całą moją kuchnię.

Stawiam na stole koszyk z grzybami.

– Ooo. Grzyby. Uwielbiam grzyby. Kiedy je zjemy? – pyta.

Staram się odpowiedzieć, ale moje usta odmawiają posłuszeństwa.

Wtedy Millie podnosi na mnie wzrok. Marszczy brwi.

– Jakoś dziwnie wyglądasz – mówi.

– Tak?

Nie jestem w stanie powiedzieć „Nie martw się, to nie ma nic wspólnego z tobą”, nie jestem w stanie wyartykułować tych słów.

– Mamusiu, powiedz. – Millie jest zmartwiona. Złazi z krzesła i podchodzi, żeby objąć mnie ramionami. – Powiedz mi, co się stało. Mamusiu, zrobiłaś sobie krzywdę?

– Po prostu potrzebuję przez chwilę побыć sama – udaje mi się powiedzieć. – Mogłabyś mnie zostawić, kochanie?

Millie zabiera rączki. Wpatruje się we mnie. Ma wystraszoną buzię. Nigdy wcześniej jej o to nie prosiłam.

– Może mogłabyś się pobawić w ogrodzie? Tylko przez chwilę? – proszę.

Wychodzi, ale ciągle odwraca się, aby na mnie spojrzeć. Oczy ma szeroko otwarte i zaniepokojone.

Siedzę przy stole. Mroczny, ziemisty zapach grzybów przyprawia mnie o mdłości. To, co widziałam, staje mi ponownie przed oczami: nie mogę tego przerwać ani zatrzymać. Słyszę to, widzę tak wyraźnie: jest bardziej klarowne, bardziej realne niż wszystko, co otacza mnie w mojej kuchni – lalki Millie porzucane na stole, rzędy słoików na półkach. Wszystkie te znajome, solidne rzeczy wydają mi się ulotne, nierealne.

Zalewa mnie poczucie wstydu, gorzkiego, palącego wstydu – że nie wypadłam na ścieżkę i nie próbowałam ubłagać strażnika, nie złapałam

go za ramię i nie zaklinałam, aby darował temu mężczyźnie, że nie zrobiłam nic. Przeżywam to raz za razem. Powtarzam sobie, że oczywiście nie zdołałabym go powstrzymać. Jestem bezradną, bezbronną kobietą i muszę myśleć o swojej rodzinie, o rodzinie, która jest ode mnie uzależniona. Mnie też by uderzył lub zastrzelił, lub kazał wsadzić do więzienia, gdybym to zrobiła. Podjęłam słuszną decyzję... Ale wiedza, że nie mogłam go powstrzymać, nie osłania mnie przed wstydem. Jakbym przez to, że byłam świadkiem tego strasznego wydarzenia, ponosiła część winy za nie, za to, że wrosło we mnie.

Siedzę przy stole przez długi czas. W końcu Millie wchodzi i rozdrażniona ciągnie mnie za rękaw.

– Pora na obiad. Jestem głodna, mamusiu. – Głosik ma cienki, rozżalony. – I chcę się pobawić moimi lalkami.

Wstaję i zajmuję się tym, co trzeba zrobić, ale poruszam się powoli po pokojach mojego domu, jakbym brodziła w głębokiej wodzie.

Ale później, tego samego dnia, wracam na ścieżkę przy polu Harry’ego Tostevina. Nie z żadnego konkretnego powodu: mam tylko takie niejasne poczucie, że jestem coś winna temu człowiekowi, którego nie mogłam ochronić. Ciało zostało zabrane. Wszystko jest tak, jak było wcześniej, jakby nic się tu w ogóle nie wydarzyło.

Powoli pedałuję z powrotem przez kwitnącą okolicę i promienne barwy wiosny. Mam szeroko otwarte oczy, ale widzę tylko mrok.

Rozdział 48

SIEDZĘ NA ŁÓŻKU. Zaplanowałam sobie, co powiem, ale teraz, kiedy jestem z nim, nie mogę sobie przypomnieć słów. W migotliwym świetle świeczek róże stulistne na moich ścianach są zupełnie czarne i drżą, jakby poruszały nimi sekretny, bezgłośny wiatr.

Gunther odwrócił się trochę ode mnie, rozbiera się. Jego twarz wydaje się zbudowana z cieni.

Ściska mnie w gardle, odchrząkuję.

– Widziałam coś – mówię mu.

Może słyszy, jak głos mi się trzęsie. Przestaje rozpinąć koszulę. Czeka.

– Zbierałam grzyby pod szczytem klifu... tam, gdzie jest przerwa w żywopłocie, na ziemi Harry’ego Tostevina. Harry ma tam gospodarstwo... Zobaczyłam tam coś na ścieżce. Stałam na polu i patrzyłam.

Nie wiem, czemu podaję mu te wszystkie zbędne szczegóły. Może to sposób, żeby odsunąć w czasie to, co muszę powiedzieć.

Gunther stoi z koszulą rozpiętą do połowy, patrzy na mnie pytającym wzrokiem.

– Widziałam coś straszego – podejmuję. – Widziałam, jak strażnik zabił jakiegoś człowieka, z ekipy robotników. Tylko dlatego że się przewrócił. Bił go i skopał na śmierć.

Gunther nie spuszcza ze mnie wzroku, stara się wyczytać coś z mojej twarzy.

– Przykro mi, że to widziałaś – mówi ostrożnie.

– Nie chodzi o to, że to widziałam, tylko o to, że to w ogóle się zdarzyło – wyjaśniam.

Przygryza wargę, jakby usilnie starał się znaleźć odpowiednie słowa.

– Podczas wojny dzieją się różne złe rzeczy. Musisz to wiedzieć – stwierdza w końcu.

– Ale on to zrobił jakby mimochodem, jakby to nic nie znaczyło. – Mój głos jest piskliwy. – Jakby to należało do jego codziennych obowiązków.

Gunther odchrząkuje.

– Vivienne – mówi cicho. – Bardzo łatwo jest zabić. Może na początku nie

tak bardzo. Ale po jakimś czasie staje się to bardzo łatwe. Może nie powinno tak być, ale jest.

Nie pytam, skąd to wie.

– Nie myśl o tym – prosi. – Musisz postarać się tego nie rozpamiętywać.

Ale mnie wciąż stoi przed oczami ten mężczyzna, którego pobito na śmierć. Jest tu, między nami. Zawsze będzie.

– Nie mogę ot tak postanowić, żeby o tym nie myśleć – protestuję.

– Wiem, że pewnie nas obwiniasz, ale to nie miało z nami nic wspólnego – zapewnia.

– Jak mogło nie mieć z tobą nic wspólnego? – Słyszę ostry ton w swoim głosie: można by się nim zranić. – Jesteś częścią niemieckiej armii.

Kiedy formułuję to tak zuchwale, nagle uświadamiam sobie, co ja robię – kochając go, dając z siebie tyle, tę całą miłość, jakiej nigdy nie potrafiłam dać Eugene'owi. To chwila, w której widzę z absolutną jasnością, jak oceniliby mnie za to inni. I może mieliby rację, tak osądzając.

Gunther potrząsa głową.

– Nie, Vivienne. To odrębna organizacja. Już ci mówiłem – to OT. Są odpowiedzialni za fortyfikacje i obozy pracy. My nie ponosimy za nich odpowiedzialności. Nie możemy kontrolować tego, co robią.

– Musi być coś, co mógłbyś zrobić – przerywam mu. – Nie możesz pozwolić, żeby to się po prostu działo. To bestialstwo.

– Vivienne, nie możemy tego zatrzymać, nie jesteśmy władni tego powstrzymać. – Siedzi koło mnie, wyciąga ku mnie rękę. Jego dotyk jest gwałtowny: zbyt mocno trzyma mój nadgarstek, wbija mi palce w skórę. – Musimy myśleć o swoich rodzinach, o ludziach, którzy na nas polegają, którzy potrzebują, byśmy dla nich żyli. Jeśli człowiek protestuje, wysyłają go na front rosyjski.

– Może tylko tak mówisz, skąd mam wiedzieć? – pytam strzępką głosu.

Gardło mam obolałe, jakbym zraniła się, wypowiadając te słowa.

Gunther wygląda na zaskoczonego, że mogłabym coś takiego podejrzewać, że mogłabym go oskarżyć o to, że mnie okłamuje. Ten widok jest dla mnie jak okruch pocieszenia.

– To już kiedyś się wydarzyło – mówi.

– Kiedy? Co się stało?

– Któryś z naszych oficerów sprzeciwił się takiemu traktowaniu więźniów. Był w porcie, gdy przyplłynął jeden ze statków z więźniami. Wysłali go tam, do Rosji. – Mówi bardzo cicho; ledwo go słyszę. W jego głosie pobrzmiwa

jakaś nowa nuta – ostra nuta strachu. – Rosja to piekło na ziemi – ciągnie. – To wyrok śmierci.

Żałuję, że nie mamy więcej informacji, że nie rozumiemy lepiej tej wojny. Tak mało wiem.

– Dlaczego? Co się tam dzieje? – chcę się dowiedzieć.

– Podeszliśmy bardzo blisko pod Moskwę – odpowiada. – Ale przyszła zima i wielu z nas zamarzło na śmierć.

– Ach – mówię.

– Na tej wyspie są mężczyźni, którzy woleli się zabić, niż pozwolić, aby ich tam wysłano. Albo próbowali połamać sobie w upadku nogi, żeby nie móc już walczyć.

– Nigdy o tym nie słyszałam – zauważam.

– Coś takiego zdarzyło się zaledwie w zeszłym tygodniu. Miało to miejsce w St. Peter Port. Jakiś człowiek rzucił się z muru i się zabił. Musisz mi uwierzyć. To pułapka, a my w niej siedzimy... Nic nie możemy zrobić – powtarza.

– Musi coś być – upieram się, ale z mniejszą pewnością.

Gunther poznaje po moim głosie, że ustępuję. Klęka przede mną, ujmuje moją dłoń i trzyma między swoimi – ostrożnie, jakbym była bardzo krucha, jakby pod wpływem nagłego ruchu coś mogło się stłuc.

– Nie jestem bohaterem, Vivienne – wyznaje. – Chcę wyjść z tej wojny żywy. Chcę znowu zobaczyć syna.

Pamiętam, co opowiadał mi o swoim ojczymie, że go bił. Myślę o tym, czego nauczyło go życie. Schylaj głowę. Nie protestuj. Jeśli będziesz siedział cicho, to może przyjdą po kogoś innego, nie po ciebie.

– Tak, wiem – mówię. – Rozumiem.

Pozwalam się pocieszyć. Mówię sobie, że on nie ma żadnego wyboru, nie może tego powstrzymać. Właśnie te słowa chcę usłyszeć – że sytuacja nie ma z nim nic wspólnego, że to wszystko jego nie dotyczy...

Widzi we mnie zmianę. Obejmuje dłońmi moją twarz. Czuję, jak przenika mnie jego ciepło.

– Moje kochanie, nie moglibyśmy zostawiać tego wszystkiego za drzwiami? – pyta. – Czy nie możemy zapomnieć na chwilę o wojnie? Tutaj jesteście tylko ty i ja...

Ale to nie jest prawda. Już nie.

Rozdział 49

KILKA DNI PÓZNIJ jestem zajęta robotą w kuchni, gdy słyszę jakieś pbrzękiwanie i postukiwanie, dochodzące z salonu. Idę zobaczyć, co się dzieje.

Evelyn klęczy przed serwantką. Szklane drzwi są otwarte; wyciąga porcelanę, jedną sztukę po drugiej, i ustawia na dywanie – wszystkie filiżanki i talerzyki z mojego kwiatowego serwisu do herbaty, które przetrwały włamanie.

– Evelyn, co robisz? – pytam łagodnie.

Odwraca się do mnie, mierzy mnie surowym spojrzeniem.

– Oczekujemy kogoś, Vivienne. Chcemy być gotowe – odpowiada.

– Kogo oczekujemy, Evelyn?

– Dobrze wiesz. – Wypowiada te słowa konspiracyjnie, jakby to był sekret. – Za nieostrożne gadanie trzeba płacić życiem – dodaje. – Ale chcemy być przygotowane.

– Evelyn, nikt do nas się nie wybiera. Jesteśmy tu tylko we cztery – ty, ja i dziewczynki.

Klękam obok niej. Kładę jej rękę na ramieniu, mam nadzieję, że mój dotyk sprowadzi ją z powrotem do rzeczywistości. Evelyn strąca moją dłoń.

– Musimy być gotowe – powtarza. – Ktoś musi trzymać rękę na pulsie.

Sięga do serwantki, wyciąga kolejną filiżankę. Trzyma ją blisko przy oczach, z zakłopotanym wyrazem twarzy przygląda się kunsztownemu, formalnemu wzorowi z kwiatów i wstążek, i liści. Potem jakby traci zainteresowanie filiżanką – dłoń nagle robi się bezwładna. Filiżanka wysuwa jej się z ręki, upada na podłogę, roztrzaskuje się na kawałeczki. Na ten odgłos przechodzi ją dreszcz.

Spogląda na skorupy, jakby nie miały z nimi nic wspólnego. Podnosi kwiatowy odłamek i wpatruje się weń, jakby usiłowała zrozumieć, co się stało.

– Ktoś stłukł filiżankę, Vivienne – mówi poważnie i z dezaprobatą.

– Zajmę się tym – mówię.

– Ktoś będzie miał kłopoty – dodaje.

– To nic takiego – zapewniam. – Nikt nie będzie miał kłopotów. Powinnaś teraz po prostu sobie usiąść.

Pomagam jej wstać i prowadzę do fotela.

– Ale nie możemy tak siedzieć z założonymi rękami – stwierdza. Trochę się zasapała: ten wysiłek ją wyczerpał. – Musimy powyciągać naczynia do herbaty. Możemy nie zdążyć na czas.

Wiem, że muszę jej ustąpić.

– Będziemy gotowe – obiecuję.

Podnosi robótkę. Jej złotobrzowe spojrzenie prześlizguje się bezmyślnie po pokoju.

– Oczekujemy kogoś – powtarza. – Zapamiętaj moje słowa. Oczekujemy kogoś. – Ale brzmi teraz mniej pewnie.

Idę poszukać zmiotki i szufelki i pozamiatać potłuczone kawałki.

Kiedy wracam, Evelyn prawie już śpi, oddycha powoli i z wysiłkiem, oczy jej się zamykają: widać powieki usiane drobnymi lawendowymi żyłkami. Biorę od niej robótkę i okrywam jej kolana kocem.

Rozdział 50

LPIEC: WAKACJE SZKOLNE. Millie bawi się z Simonem w te leniwe letnie dni, wychodzi codziennie po obiedzie, zabiera stary tornister z jabłkiem w środku, a wraca z wypełnionym skarbami: mlecznobiały kamyk, gałązka, z której można zrobić procę, jedwabiste piórko wrony w kolorze indygo. Jest chuda – obie dziewczynki są zdecydowanie za chude – ale cerę ma rumianą i zdrowy wygląd. Z jej kolan nie schodzą strupy, z sukienek plamy z trawy, a nos obsypały piegi w kolorze kakao.

Przychodzi taki dzień, kiedy nie wraca o wyznaczonej porze. Kolacja stoi gotowa na stole, cień gruszy wyciąga się przez podwórko, obmacując ścianę domu. Podchodzę do furtki, wyglądam zaniepokojona przez sad i do lasu, obawiając się, że Simon mógł ją nakłonić do jakiejś nowej psoty.

Ale w końcu nadbiega, machając ręką Simonowi, który pędzi ścieżką do domu.

– Millie, spóźniłaś się, naprawdę byłam niespokojna. – Jestem zła, ponieważ mnie przestraszyła. – Następnym razem masz wrócić wcześniej. Jeśli to się powtórzy, nie pozwolę ci więcej bawić się na dworze.

Moje napomnienia spływają po niej jak woda po gęsi.

– Było naprawdę fajnie, mamusiu. Ja i Simon bawiliśmy się w stodole.

– Masz na myśli stodołę pana Mahy?

– Tak. Mówiłam, mamusiu.

Myślę o stodole pana Mahy – o rozchwierutanej drabinie prowadzącej na stryszek na siano i tych wszystkich starych maszynach rolniczych.

– Musicie uważać, kiedy się tam bawicie – powtarzam jej. – Nie wolno wam wchodzić po drabinie.

– Nie wchodziliśmy. Byliśmy bardzo ostrożni – zapewnia.

– I mam nadzieję, że trzymaliście się z dala od psa pana Mahy.

– Poszliśmy o tak. – W skomplikowany sposób, na palcach, przechodzi przez pokój. – Pies nawet nas nie zauważył.

Po skończonej kolacji, gdy Evelyn idzie do siebie na górę, a Blanche siedzi na kanapie, czytając jedną ze swoich ulubionych książek Angeli Brazil, Millie podchodzi do krzesła, na którym siedzę ze swoim cerowaniem.

Obejmuje mnie ramionami za szyję.

– Mogę ci powiedzieć sekret, mamusiu? – pyta. – Duży, olbrzymi sekret?

Pachnie otwartą przestrzenią, jasnozielonymi dniami, pyłkami i liśćmi, i ciepłymi paprociami. Czuję dotyk jej czarnych jedwabistych włosów na swojej szyi.

– Możesz, kochanie.

Szepce mi do ucha melodramatycznym, scenicznym szeptem.

– W stodole pana Mahy jest duch. Widzieliśmy ducha.

Przechodzi mnie lekki dreszcz niepokoju. Ma sześć lat: powinna już orientować się, co sobie tylko wyobrazili.

– Millie, posłuchaj. Czasem taki świat na niby to dobra zabawa. Ale duchy naprawdę nie istnieją.

– Istnieją. Można je zobaczyć.

– Nie, kochanie. To tylko opowieści – jak czarownice i różne inne w naszych książkach z bajkami.

Millie patrzy na mnie podejrzliwie.

Czuję się winna. Opowiadałam jej za dużo bajek, zachęcałam, żeby wierzyła w przeróżne twory wyobraźni. I dlatego, gdy Simon mówi o wilkołakach czy duchach – jak wtedy, kiedy powiedział jej o wiłaku, który nawiedza dróżkę do Torteval i pożera niegrzeczne dzieci – ona mu wierzy.

– Czarownice to tylko bajki, ale mój duch jest prawdziwy – upiera się.

– Nie, kochanie. Duchy to też bajki. – Pamiętam, jak to wcześniej wyjaśniałam, gdy czytałam jej książkę z opowieściami z Guernsey. – To historie, które ludzie wymyślają, ponieważ boją się ciemności. Simon znów się z tobą droczył.

– Nie, nie droczył się – obstaje przy swoim. – Widziałam tego ducha na własne oczy.

Pokazuje na swoje oczy z triumfalną miną, jakby stanowiły niezbity dowód.

– Mamo – wtrąca się Blanche – dlaczego to takie ważne? Z niej naprawdę jest jeszcze dzidzius. Małe dzieci we wszystko wierzą. Dzieciątka wierzą we wrózkę zębuszkę – ciągnie z fałszywą czułością. Odkłada książkę, wstaje i teatralnie przytula Millie. – Kto jest moją malusią dzidzią?

– Blanche, zostaw ją w spokoju – proszę. – Nie bądź okropna.

Millie odsuwa się od siostry.

– Wszystkie jesteście okropne. Nikt mi nie wierzy – stwierdza. Jej głos aż kipi od bezsilnej wściekłości.

Mocno zaciska oczy, ale spod powiek płyną łzy.

Rozdział 51

CORAZ BARDZIEJ OGRANICZAJĄ nam swobodę. Wprowadzono nowe prawa i przepisy: czytamy o nich w „Guernsey Press”. Cywilne odbiorniki radiowe zostały zakazane. Niemcy przeprowadzają u ludzi rewizję w domach i jeśli ktoś zatrzymał radio, wysyłają go do więzienia we Francji.

Wszyscy narzekają: to takie frustrujące, że pozbawiono nas dostępu do wiadomości.

Ale Johnniemu dodaje to otuchy.

– To dlatego że nie idzie im teraz za dobrze na wojnie – stwierdza. Jego brązowe, promienne jak jesień oczy błyszczą. Nie mówi mi tego wprost, ale podejrzewam, że na farmie Elm Tree mają gdzieś schowane radio. – Nie chcę, żebyśmy o tym wiedzieli. Tu chodzi o morale, ciociu.

Johnnie mnie zadziwia tym, że we wszystkim potrafi znaleźć źródło nadziei.

Układ naszego dnia trochę się zmienia. Blanche rzadko słucha teraz wieczornych bajek. Po kolacji lubi chodzić do domu Celeste, a tam obydwie kładą się na łóżku i przerzucają swoje egzemplarze „Vogue’a”, snując kalejdoskopowe marzenia o przyszłości – przyszłości olśniewającej od pereł i szminki, i czerwonych jak rubiny zamszowych czółenek.

– Mamo, nigdy nie zgadniesz, co mi powiedziała Celeste – zagaduje mnie pewnego dnia, jej głos jest cichy, tajemniczy. – Mama Celeste ukryła radio. Nie oddała go.

Od razu zaczynam się martwić. A jeśli Niemcy je znajdą? Jeśli Niemcy przyjdą, a Blanche akurat tam będzie, czy oskarżą też Blanche? Przed oczami z potworną wyrazistością przesuwiają mi się koszmarnie sceny – Blanche i Celeste aresztowane i posłane do więzienia.

– Ale, Blanche, to na pewno jest strasznie niebezpieczne.

Blanche uśmiecha się szeroko.

– Nie tam, gdzie je trzymają – mówi. – Ona je chowa w trumnie u pana Ozanne’a. – Pan Ozanne prowadzi dom pogrzebowy. – Przecież tam chyba nie będą szukać, prawda?

Więc teraz to dzięki Blanche jesteśmy na bieżąco z tą wojną.

Dowiadujemy się o walkach na pustyni w północnej Afryce, o tym, że w Rosji Niemcy przekroczyli rzekę Don i idą na Stalingrad. Nie jestem przekonana, czy Johnnie ma rację: nie bardzo mogę znaleźć źródło nadziei w którejś z tych wiadomości.

ROBIĘ CIASTO Z FASOLOWEJ MAKI, używając do tego wyhodowanej w ogrodzie fasoli, z przepisu w gazetce parafialnej. Suszy się strąki fasoli w wolnym piecu, przepuszcza przez maszynkę do mięsa, przesiewa i ponownie miele, aż wszystkie zamieniają się w mąkę. Zdaje się, że na garstkę mąki trzeba mnóstwo fasoli. Potem uciera się mąkę z tłuszczem i miesza z mlekiem i odrobiną miodu i sułtanek, i piecze w blaszce. Wszystkie te czynności wydają się ciągnąć bez końca.

Przed wojną dziewczynki były zachwycone, kiedy wyciągałam dużą żółtą miskę, by upiec babeczki lub biszkopt. Pomagały wyrabiać ciasto i uwielbiały wyskrobywać resztki surowego ciasta z miski i zjadać je jak najwspanialszy przysmak. Potem robiłyśmy lukier, różowy od koszenili, a Millie zawsze z przejęciem słuchała, że ten barwnik robi się z rozgniecionych pajaków. Ale żadna z nich nie wyraża zainteresowania ciastem z mąki fasolowej.

Jemy je do kolacji, po pełnym talerzu warzyw z ogródka: gotowanych ziemniaków, groszku i kapusty. Ciasto jest mdłe i dość ziarniste.

- Smakuje jak trociny – stwierdza Millie.
- Nawet nie wiesz, jak smakują trociny – wtrąca się Blanche.
- Wiem. Właśnie że wiem. Smakują dokładnie tak – odpiera Millie.

Blanche wzrusza ramionami.

– Nie słuchaj jej, mamó. Nie jest takie złe, naprawdę... A w każdym razie nie wtedy, kiedy człowiek jest głodny jak wilk. Są dni, kiedy czuję się taka głodna, że mogłabym zjeść swoje włosy – mówi.

Wiem, o co Millie chodzi. Ciasto przypomina trochę w smaku bibułę: wydaje się wysysać całą wilgoć z ust. Może byłam zbyt niecierpliwa i nie mełłam fasoli wystarczająco długo. Żujesz je i żujesz, ale długo to trwa, zanim da się przełknąć. Przynajmniej jest sycące.

Blanche odsuwa talerz i cichutko wzdycha.

– Czasem śnię o jedzeniu – mówi. – Miałam sen o roladzie z dżemem, tej cudownej, gotowanej na parze, jaką kiedyś robiłaś, tej z dżemem truskawkowym w środku. We śnie czułam smak tego dżemu. I oranżada w proszku... czasem śni mi się oranżada... – Jej głos jest pełen tęsknoty, nostalgii. – I ciasteczka z kajmakiem, i lukrecja, i landrynki, i pałeczki

miętowe...

– A mnie śnił się pudding z melasą – wtrąca Millie, bo nie chce być gorsza. – Z dużą łyżką kremu budyniowego.

– A ty, Evelyn? – uśmiecham się do teściowej. – Czy śni ci się jedzenie?

– Nie wiem, naprawdę, Vivienne – odpowiada. – Choć lubię porządną pieczeń na obiad. Kiedy znowu będziemy miały porządną pieczeń na obiad?

– To trudne – mówię jej. – Ale zobaczę, co da się zrobić.

– A o czym ty śniesz, mamó? – pyta Blanche. – Jakie jest twoje ulubione jedzenie?

Myślę o pierwszej tabliczce czekolady, którą mi przyniósł Gunther, o aksamitnej gładkości na języku, o morzu słodczy.

– Też lubię roladę z dżemem – odpowiadam.

Kiedy skończyłyśmy kolację, zostały cztery kawałki ciasta; chowam je do mojej lodowni. To najchłodniejsze miejsce na tyłach spiżarni; prowadzą do niego drzwi z siatki drucianej, żeby wpuszczać powietrze i nie wpuszczać much. Trzymam tam jedzenie, które trzeba przykrywać, i masło, i mleko. Skończymy ciasto jutro.

NASTĘPNEGO WIECZORU BLANCHE prasuje, a ja przygotowuję gulasz warzywny. Na stole kuchennym rozłożyłam dla niej podkłady do prasowania; słysząc, jak posykuje materiał, kuchnię wypełnia przyjazny zapach gorącego czystego płótna. Blanche prasuje jedną ze swoich bluzek ze szczypankami, potem ją strzepuje i składa bardzo dokładnie. Jest pedantyczna: wiem, że będzie lepszą gospodynią niż ja. Włoży tę bluzkę po kolacji, gdy będzie szła do domu Celeste.

Gulasz pyrka na ogniu, a ja idę do spiżarni po kawałki ciasta z mąki fasolowej.

– Nie.

Talerz jest pusty.

– Co się stało, mamó? – pyta wystraszona Blanche.

Przez chwilę obawiam się, że tracę rozum – że jestem równie zdezorientowana jak Evelyn, że zapominam, co zrobiłam.

– Wydawało mi się, że zostało trochę ciasta. Wiem, że zostało – mówię jej.

W moim głosie pobrzmiwa wściekłość. Nagle zaczynam się nad sobą rozczulać, oczy napełniają mi się piekącymi łzami. Tak bardzo się staram, tak ciężko pracuję. A teraz to. Wiem, że ten taki nagły bezsilny gniew spowodowany jest tym, że ciągle jesteśmy trochę głodne, ciągle zmęczone. Staram się odepchnąć go od siebie.

Blanche patrzy na mnie z rezerwą, jakby bała się, że to ją obwiniam.

– Mamo, wiesz, że to nie byłam ja, prawda? Wiesz, że nigdy bym tego nie zrobiła.

– Nie obwiniam cię.

– Wiem, jakie musimy być ostrożne, kiedy jest wojna i w ogóle – ciągnie. – Wiem, że nie możemy po prostu jeść tego, na co mamy ochotę.

– Naprawdę, Blanche, przecież wiem, że to nie ty. Tylko że to dziwne, i tyle. Nie rozumiem tego – stwierdzam.

Millie, słysząc nasze podniesione głosy, wślizguje się do pokoju.

– Co się stało, mamusiu? – Oczy ma szeroko otwarte i zaintrygowane.

– Chodzi o to ciasto z mąki fasolowej. Zniknęło – wyjaśniam.

– Ale ono nikomu nie smakowało – dziwi się Millie. – Dlaczego tak się zdenerwowałaś?

– Po prostu nie wiem, co się stało.

Przez chwilę zastanawiam się nad Millie. Ale jej naprawdę okropnie nie smakowało to ciasto. Potem przychodzi mi na myśl, że ktoś mógł włamać się do naszego domu. Że ten ktoś, kto włamał się do nas tamtego dnia, dawno temu, kiedy prawie wsiadłyśmy na statek – Bernie Dorey czy ktokolwiek to był – wrócił i splądrował naszą spiżarnię. Jeszcze o tym myślę, ale już wiem, że to zwariowany pomysł. Nikt się nie włamał do domu. Nic innego nie zginęło.

Rozdział 52

IDĘ ŚCIEŻKĄ DO LES REUTES. Jest leniwy sierpniowy dzień; łąki są senne, zamglone od lata, powietrze pełne przeplatających się zapachów, a w każdym mijanym ogrodzie istna feeria kolorów. Przez jedną krótką chwilę nie wierzę w wojnę.

Siedzimy przed drzwiami do kuchni Angie na dwóch składanych krzesłach, które tam wystawiła. Ciepły wietrzyk pieści nam skórę i mierzwi liście na bie, którego gałęzie są ciężkie od owoców, czarnych i kuszących jak lukrecja. Zastanawiam się, czy Angie zbierze je na wino, jak to robiła za życia Franka; ale może nie będzie miała siły, może zostawi, żeby opadły.

Angie ma przy sobie koszyk z robótką.

– Pomożesz mi zwinąć tę włóczkę w kłębek? – pyta.

Wystawiam rękę, a ona zakłada na nie motek wełny i zaczyna zwijać ją w kłębek fachowo, bardzo równo. W rozszepowanych wiązach wokół jej domu niewidoczne grzywacze leniwie powtarzają swoją piosenkę.

Dostrzegam w oczach Angie coś nowego, coś skrytego i odległego.

– Wydajesz się bardzo cicha, Angie – zagaduję ją z wahaniem.

Uśmiecha się bladym, smutnym uśmiechem.

– Spostrzegawcza jesteś, co? Masz rację – coś chodzi mi po głowie. Coś, co powiedział mi Jack – przyznaje.

Przechodzi mnie dreszczyk niepokoju.

– On wciąż pracuje na Alderney? – pytam.

Angie słyszy nerwowość w moim głosie: źle ją interpretuje, sądzi, że nie pochwalam.

– To dobre pieniądze, w tym rzecz, Vivienne. Nie możesz go winić – mówi.

– Oczywiście, rozumiem to – zapewniam. – Nie obwiniam go, Angie.

– Są tacy, co mówią, że nie powinien tego robić. Miał przez to wiele kłopotów – przez tych, co sądzą, że mogą mówić innym, jak mają postępować.

– Cóż, ludzie uwielbiają się czepiać – odpowiadam.

Na chwilę przerywa zwijanie włóczki i tuli kłębek w dłoni, jakby był

czymś bardzo delikatnym, co trzeba chronić. Opuszczam ręce, zaczynają mnie boleć. Kiedy ponownie się odzywa, jej głos jest ochrypły, przyciszony i poufny: muszę się trochę pochylić w jej kierunku. Lekki podmuch wprawia w drżenie liście czarnego bzu.

– Kazali Jackowi nurkować w porcie – mówi. – Mają tam zapórę przeciw łodziom podwodnym, w porcie w Alderney. Jack twierdzi, że wygląda jak duża sieć. Poplątała się cała i potrzebowali, żeby Jack ją rozplątał. On to potrafi się wszystkim zająć. Dobry z niego nurek, z tego naszego Jacka...

Twarz Angie jest bardzo blisko mojej; jej ciepły oddech owiewa mi skórę.

– Powiedział, że w wodzie było pełno kości. Kości i gnijących ciał. Nie może teraz spać, powiedział mi.

Przechodzi mnie zimny dreszcz. Nic nie mówię.

– Zabijają tych nieszczęśników, biją ich, a może oni umierają przy pracy, strasznej pracy, jaką muszą wykonywać, i wrzucają ich do portu. Tam na dole jest tylko śmierć, powiedział mi Jack – śmierć i kości. Same szkielety i ciała, co je kraby i homary zjadają. Od kiedy zobaczył te kości, już oka nie może zmrużyć w nocy.

Resztę włóczki zwijamy w milczeniu.

Rozdział 53

JOHNNIE PRZYCHODZI DO MNIE w odwiedzinie z workiem ziemniaków i miodem z koniczyny od Gwen, a ja oprowadzam go po swoim ogrodzie. Ociąga się przy wybiegu dla kur, spoglądając krytycznie na moje kurczaki.

– Wiesz co, ciociu. Ten jest nie do uratowania. – Wskazuje na jednego z moich kurczaków, który kryje się w kącie jakiś taki markotny, i nie je.

– Tak, zauważyłam.

– Chyba go te inne podziobały – ciągnie Johnnie. – Będzie rzeźnia, ciociu. Kurczaki potrafią być bezwzględne. Musisz zabrać się do roboty. Zajmę się tym, jeśli ci to pomoże.

– Dziękuję, Johnnie. Wiem, że pomógłbyś mi. Ale zamierzam sama to zrobić. Jest tak, jak mi kiedyś powiedziałaś, pamiętasz? Robisz to, co musisz zrobić.

Johnnie uśmiecha się i nos mu się przy tym marszczy.

– No, ciociu, jestem pod wrażeniem. Nie wiedziałem, że będzie cię na to stać.

Kiedy tak mówi, czuję się szczęśliwa: lubię robić wrażenie na Johnnie.

Daję mu dla Gwen słoik zawekowanych śliwek. Odjeżdża, kołysząc się niebezpiecznie, szklany słoik grzechocze w jednej z sakw przewieszonych z tyłu przez rower.

Wybieram moment, kiedy Millie bawi się poza domem – nie chcę, żeby to widziała. Kurczaka trudno jest złapać. Nie lubię ich dotykać rękami, pióra są jednocześnie miękkie i szorstkie. Za każdym razem, gdy wydaje mi się, że już go złapałam, wrywa mi się z rąk, jakby wyczuwał swój rychły koniec. Inne kurczaki gdaczą i hałasują jak szalone. W końcu go dopadam. Trzymam w lewej ręce, a prawą chwytam za głowę. Zamykam oczy, gdy to robię, słyszę czysty trzask kości. Chociaż ma już złamany kark, nadal trzepocze skrzydłami, a mnie zaczyna robić się trochę niedobrze, ale udaje mi się przełknąć. W końcu żegna się z życiem i zwiotczały smutno zwisa mi z ręki.

Później skubię go i patroszę tak, jak pokazywała mi Angie, odczuwając przy tym cichą satysfakcję, że tego wszystkiego się nauczyłam.

Piękę kurczaka z kilkoma z tych ziemniaków, które przywiózł Johnnie.

– Mmm – mówi Blanche, kiedy wraca z pracy do domu. – Tak to powinno pachnieć. Dobrze pachnie.

– Zjemy dziś porządny posiłek – oznajmiam.

Uśmiecha się porozumiewawczo.

– Roszpunka? – pyta. – Wyglądała dość mizernie.

– Obawiam się, że tak.

– Nie bój się, nie powiem Millie – uspokaja mnie. – Wiem, że nie lubi jeść czegoś, co ma imię.

Zagęszczam sos z pieczenia odrobiną fasolowej mąki, która mi jeszcze została, żeby był smakowity i ciemny. Nakrywam do stołu tak, jak się powinno, wykładam serwetki i srebrne kółka do serwetek, i część naszej najlepszej porcelany. Przynoszę ptaka do stołu. Zapach soczystego mięsa unosi się w powietrzu jak błogosławieństwo i sprawia, że cieknie nam ślinka.

– Proszę, Evelyn. Porządna pieczeń na obiad, tak jak chciałaś – zapraszam.

Ale Evelyn tylko we mnie się wpatruje. Usta ma zaciśnięte, pełne dezaprobaty.

– Dlaczego kroisz mięso, Vivienne? To męskie zajęcie – stwierdza.

– To kobiece zajęcie, jeśli nie ma mężczyzny, który mógłby to zrobić – odpowiadam.

Po jej twarzy przesuwają się jakiś cień i znika, ulotny jak smuga dymu.

– Mamo, powinnyśmy odmówić modlitwę – odzywa się Blanche.

Więc proszę Evelyn, by ją dla nas odmówiła, i ona odchrząkuje zadowolona, że ją o to poproszono.

– Za dary, które spożywać mamy... – waha się, jej twarz przybiera zamglony wyraz. Dziewczynki dołączają się, żeby pomóc jej dokończyć modlitwę. *Oby Bóg napełnił nas szczerą wdzięcznością.*

To taki radosny posiłek, pełen śmiechu i rozmów – jak Boże Narodzenie, jak święta. Tak cudownie jest czuć się najedzonym: jest taki rodzaj spokoju, który spływa na człowieka jedynie wtedy, kiedy ma się pełny żołądek.

Evelyn z zadowoleniem odkłada sztucę na talerz. Wargi jej błyszczą od tłuszczu. Z godnością ociera usta serwetką.

– Powinnyśmy częściej jeść kurczaka. Dlaczego nie jadamy częściej kurczaka, Vivienne? – pyta mnie.

– Jest wojna, pamiętasz? – odpowiadam.

– Och – mówi. – Och. Czy tak, Vivienne?

Kiedy Evelyn idzie do swojego pokoju, ja sprzątam ze stołu. Chowam

resztki kurczaka do mojej lodowni. Okrawki mięsa, jakie pozostały, będą wspaniałą wkładką do sycącego gulaszu, a kości ugotuję z szalwią i cebulą na pożywną zupę. Dobrze jest wiedzieć, skąd wezmę kilka naszych kolejnych posiłków.

Siadam w salonie z koszykiem do cerowania. Blanche zostaje dzisiaj wieczorem w domu; ma przy sobie jedno z czasopism Celeste. Przegląda strony z modą, patrząc na lśniące, władcze kobiety na zdjęciach, marząc o ich satynowych wykończonych falbanką rękawiczkach, ich zalotnych kapelusikach z woalką.

– Spójrz na to, mamo. Jakie to śliczne...

Pokazuje mi suknię wieczorową Schiaparelli, ekstrawagancką, bez pleców, przylegająca pieśczośliwie do bioder, a potem rozszerzająca się do samej ziemi. Opowiadam Blanche historię, jaką kiedyś usłyszałam o Schiaparelli – że zrobiła kapelusz przypominający klatkę z kanarkami w środku.

Blanche chichocze.

– Mamo, nabierasz mnie.

– Nie, to prawda. Przysięgam.

Millie klęczy na podłodze, bawi się swoim domkiem dla lalek. Żłociste wieczorne światło wpada do naszego pokoju, napływa do niego zapach lawendy i bogaty, nieśpieszny zapach róż spod okna. W ciepłym świetle słońca rozwija się we mnie jak kwiat nagłe poczucie dumy – dumy z tego, co udało mi się osiągnąć: że moja rodzina jest nakarmiona i bezpieczna, że dziewczynki jeszcze się uśmiechają. Myślę: udaje nam się przeżyć. Jakoś – mimo wszystko – jakoś sobie radzimy.

Millie jest zajęta przestawianiem laleczek w pokojach.

– Znowu widziałam ducha – oznajmia ni stąd, ni zowąd. W panującą w pokoju ciszę jej słowa wpadają jak kamyki wrzucone do stawu, a cisza zaczyna od nich lekko falować. – Duchy są bardzo, bardzo straszne.

Ma spuszczoną w dół głowę. Nie związała włosów, które teraz opadają i zasłaniają jej buzię.

Blanche głośno wypuszcza powietrze.

– Na miłość boską, tylko nie to znowu – mówi.

– Ale bo są – upiera się Millie.

Blanche unosi brwi. Millie orientuje się, że nie traktuje jej się poważnie.

– Naprawdę są – powtarza.

Prostuje jedną z laleczek tak, aby można ją było postawić, ale lalka się przewraca. Millie się złości. Uderza lalką o podłogę.

Klękam przy niej i ujmuję jej główkę w dłonie, chcąc, żeby skupiła na mnie całą swoją uwagę. Jej buzia jest bardzo blisko mojej twarzy. Widzę złote plamki w jej ciemnych oczach.

– Millie, duchów nie ma. Duchy nie istnieją. Nie ma się czego bać.

– Ale ja się nie boję. Ja się niczego nie boję. Mam już sześć lat i nie boję się nawet ciemności. – Wymyka mi się z rąk jak woda. – Duchy są bardzo, bardzo straszne, ale ja się wcale nie boję. Ale ty byś się bała – zwraca się do Blanche.

Blanche wzrusza ramionami. Dalej przegląda swoje czasopismo, nie przestając pożądać jedwabnych przypinanych bukietów i pastelowych mieniących się sukien.

– Duchy są białe i niesamowite, i bardzo, bardzo smutne – podejmuje Millie.

– Dlaczego duchy miałyby być smutne? – pyta Blanche z pewnym znużeniem.

– To oczywiste, że są smutne. Ponieważ nie żyją – wyjaśnia Millie.

– No pewnie. Niemądra jestem – odpowiada Blanche.

– Blanche, nie prowokuj jej – proszę.

– Mają bardzo ciche stopy – ciągnie Millie. – Skradają się bezszelestnie i wcale nie słysząc, jak się zbliżają.

Wstaje, przechodzi na palcach przez pokój, wyciągając przed sobą ramiona i trzepocząc palcami jak duch z pantomimy. Blanche wzdycha wymownie i wraca do swojego czasopisma. Millie podkrada się od tyłu do krzesła Blanche. Zaczyna mówić szepczącym, złowieszczym głosem.

– Podchodzą coraz bliżej i bliżej, a potem robią Uuuuuuu.

Wrzeszczy Blanche prosto do ucha. Blanche podskakuje i upuszcza czasopismo, choć musiała się tego spodziewać.

– Millie. Na miłość boską. – Jest zła na siostrę, że ją przestraszyła. – Mam już po dziurki w nosie tych twoich nieszczęsnych duchów. Dorośnij wreszcie – mówi.

Millie nie zwraca na nią uwagi. Z wielką powagą wraca do swojego domku dla lalek, po prostu wcielenie niewinności.

– Mamo, musisz z nią porozmawiać. Robi się z niej takie dziewczusko – zwraca się do mnie Blanche.

– Mówiłam, że będziesz się bać – stwierdza Millie, dosyć zadowolona z siebie.

KIEDY NASTĘPNEGO POPOŁUDNIA zaglądam do mojej lodowni, część kurczaka

zniknęła.

Ogarnia mnie bezsilna wściekłość. Myślę o tym, ile wysiłku poszło na przygotowanie tego jedzenia: musiałam wyhodować kurczaka, wykarmić go, zmusić się, żeby skrócić mu kark, oskubać go i wypatroszyć – o tym wszystkim, czego się nauczyłam, aby przygotować dobry posiłek. A teraz zabrano całą nóżkę. Łzy napływają mi do oczu, mrugam, próbując je powstrzymać.

Powtarzam sobie, że to kot. Tylko tak to można wyjaśnić – zostawiłam otwarte drzwi do lodowni i Alphonse'owi udało się dostać do wnętrza. Nasz kot zdziczał teraz, żywi się ptakami i gryzoniami, bo ja niewiele mogę mu dać: skwapliwie wykorzystaby okazję łatwego dostępu do mięsa. Ale jeśli to Alphonse wziął jedzenie, dlaczego zabrał tylko nóżkę? I dlaczego nóżka została tak porządnie oderwana? Dlaczego nie znalazłam porozrzucanych kostek?

MILLIE WBIEGA PĘDEM do domu, oczy jej błyszczą. Rzępy poprzczepiały się do jej pulowera, ma trawę we włosach.

– Złapaliśmy ciernika – wykrzykuje. – W strumieniu w Blancs Bois. Był naprawdę duży, mamusiu. O taki duży. – Pokazuje, jaki był duży, rozkładając ręce. – Potem go wypuściliśmy.

Podnosi wzrok, widzi mój wyraz twarzy. Marszczy brwi.

– Co się stało? Nie wierzysz mi? – pyta.

– Z lodowni zniknął kawałek kurczaka – informuję ją. – Czy to ty go wzięłaś, Millie?

Prawie żałuję, że zadałam to pytanie. Na moje słowa radość ulatnia się z Millie, a jej buzia robi się pusta, jakby ktoś zamknął drzwi.

Potrząsa głową.

– Nie zjadłam tego kurczaka – mówi stanowczym upartym tonem.

Kłękam przed nią, ujmuję jej buzię w dłonie. Policzki ma rozgrzane od biegu.

– Spójrz na mnie, Millie.

Patrzy. Jej oddech trzepocze się jak ćma przy mojej twarzy.

– Czy naprawdę mówisz mi prawdę? – pytam. – Czy naprawdę, naprawdę mówisz szczerze?

Wpatruje się prosto w moją twarz. Ale oczy ma bez wyrazu, niczego nie zdradzają.

– Naprawdę – odpowiada.

– Wiesz, jakie trudne jest życie, prawda? Kiedy nie mamy dużo jedzenia?

– Tak – mówi.

Ale czuję, że do niej nie trafiam.

– Musimy się dzielić nim sprawiedliwie. To jest naprawdę ważne, Millie.

– Wiem o tym – odpowiada. – Wiem, że musimy się nim sprawiedliwie dzielić. Słowo, mamusiu. Wcale go nie zjadłam.

Wciąż nie mam pewności. Może nie wzięła kurczaka. Nie mogę tak do końca uwierzyć, że kłamałaby mi tak bezczelnie. Ale może się mylę – może znowu za bardzo jestem ustępliwa. Mam wrażenie, że poniosłam porażkę. Zastanawiam się, czy nie wychowywałam moich córek niemądrze. Słyszę w myślach głos Evelyn, taki świętoszkowaty, raczej wyprany z aprobaty dla mnie. Powtarza coś, co często mówiła: *Dzieci potrzebują dużo dyscypliny. Sama stwarzasz sobie problemy, Vivienne, przez to, że jesteś taka łagodna dla dziewczynek...Uwierz mi, to się dobrze nie skończy.*

Rozdział 54

GUNTHER PRZYNOŚ MI CHLEB ze swojego przydziału.

– Jesteś pewny, że ci wystarczy, że możesz się podzielić? – pytam.

– Z radością to robię – odpowiada.

Jestem taka wdzięczna. Biorę od niego chleb, przesuwam palcami po jego nadgarstkach, przyciągam go do siebie.

– Dziękuję ci. – Zjemy chleb z zupą z kurczaka, którą ugotowałam.

Następnego dnia, gdy Millie bawi się z Simonem, idę do spiżarni, odmawiając króciutką modlitwę, żeby wszystko było tam w porządku. Otwieram drzwi i unoszę pokrywkę od puszek na chleb. Nie. Połowy chleba nie ma. Ktoś kawałek odkroił, nie oderwał, ale odkroił nieumiejętnie, jakby się jeszcze nie nauczył porządnie używać noża do chleba.

Gdy Millie wraca do domu, rozglądam się za tornistrem, który zabiera z sobą, idąc się bawić. Rzuciła w korytarzu. Rozpinam go, a w żołądku ze strachu trzepoczą mi się motylki, jakbym już wiedziała, zanim do niego zajrzę. Wokół tornistra unosi się zapach jabłek. Odwracam go do góry nogami i wszystkie zebrane przez nią skarby wypadają na podłogę: gałązki, mały niebieski kamyczek, piórko gołębia. Okruchy chleba.

Mdli mnie – niespokojne pytania kłębią mi się w głowie. Gdzie popełniłam błąd? Dlaczego moja córka nie mówi prawdy? Czy to ja coś zrobiłam? Czy to przez te wszystkie bajki, jakie czytałyśmy? Niezależnie od tego, jaka jest przyczyna, poniosłam porażkę przy wypełnianiu najważniejszego obowiązku rodzica – pozwoliłam jej żyć w świecie wyobraźni, a ona teraz nie potrafi odróżnić dobra od zła.

Słyszę z salonu szmer jej śmiechu dźwięczny jak cymbałki. Wchodzę do środka. Bawi się wózkami, którego używałam, gdy dziewczynki były malutkie, stara się nakłonić Alphonse’a, żeby leżał w nim pod przykryciem.

– Millie. Ktoś zabrał trochę chleba. Czy to ty wzięłaś ten chleb?

Jej śmiech gwałtownie się urywa.

– Nie, mamusiu? – mówi. Ton zdania podnosi się pytająco. Jakby wypróbowywała odpowiedź, aby przekonać się, jak będzie ona brzmiała.

Kot wyslizguje się z wózka. Millie chwyta go; on się wyrzywa.

– Millie. Odłóż kota. Musisz mnie posłuchać.

Millie pozwala kotu się wymknąć; zostawił na jej nadgarstku zadrapanie przypominające nić czerwonego jedwabiu, ale ona zdaje się tego nie zauważać. Jest trochę przestraszona. Rzadko jestem tak surowa.

– Nie wolno ci kraść jedzenia – mówię jej. – To jest bardzo, bardzo niegrzeczne. To nie jest w porządku wobec innych.

– Nie, to nie jest w porządku. – Jej głos jest bezbarwny.

– Wiesz, jak mało mamy. Jedzeniem trzeba się dzielić po równo. – Mówię to twardo, ostrym i podniesionym głosem. – Zawsze daję ci jabłko, kiedy bawisz się z Simonem na dworze. Tylko tym możemy się podzielić.

Ale z buzi Millie nic się nie da wyczytać. Jakoś do niej nie trafiam.

– Nie zrobiłam tego – mówi mi. – Nie zjadłam tego chleba. – Jej ton jest wyzywający, jakby wymyśliła, co powinna powiedzieć.

– Millie. Znalazłam okruchy w twoim tornistrze.

– Nie, nie znalazłaś, mamusiu – zaprzecza.

Przynoszę tornister i pokazuję jej okruchy chleba.

– Nie zrobiłam tego – upiera się.

Jestem zbulwersowana, że nie przestaje kłamać.

– Millie. Wiesz, że trzeba mówić prawdę. – Czuję, że powinnam być zła, powinnam na nią krzyknąć, dać jej klapsa. Ale widzę całe to cierpienie na jej buzi i jakoś nie mogę się na to zdobyć. – Kłamstwo jest czymś złym – mówię.

– Czemu? – pyta.

Wypróbuję odpowiedź w myślach. Ponieważ uczciwość jest ważna. Ponieważ musimy sobie nawzajem ufać... Ale przecież moje życie – całe moje szczęście – ma za podstawę sekret i kłamstwo.

– Niektóre rzeczy po prostu są złe – mój głos jest głuchy jak we wnętrzu jaskini, całe przekonanie mnie opuściło. – Musisz mi obiecać, że nigdy więcej tego nie zrobisz.

– Ale ja tego nie zrobiłam – powtarza znowu. – Nie zjadłam tego chleba.

Rozdział 55

VIVIENNE. Coś cię martwi?

– Tak.

– Powiesz mi?

Opieram się na łokciu, patrzę w dół na jego twarz na mojej poduszce. Nawet w łagodnym świetle świec w mojej sypialni widzę, jak się postarzał, od kiedy go poznałam – wyblakłe włosy cofają mu się od czoła, na czole ma siateczkę zmarszczek. I kiedy patrzę na to, zastanawiam się, jak ja muszę wyglądać w jego oczach, jak inaczej niż w tamtej chwili, gdy pierwszy raz zobaczył mnie na dróżce, gdy owiewał nas pachnący wiatr, bo wiem, że te miesiące i lata wojny musiały mnie także naznaczyć.

Odchrząkuję.

– Chodzi o Millie. Kradnie jedzenie. Karcę ją, ale zdaje się, że nic z tego, co mówię, do niej nie dociera. Podejrzewam, że nie rozumie, jaka to poważna sprawa, kiedy wszyscy mamy tak mało.

– Młodym jest ciężko, gdy są głodni – stwierdza Gunther.

– I jest jeszcze coś. Wymyśla jakieś bajki. Ciągłe powtarza, że widziała ducha tam, gdzie chodzi się bawić. Że stodoła, w której się bawi, jest nawiedzona. To jakaś skomplikowana zabawa na niby. Ale ona naprawdę wydaje się w to wierzyć.

– Która to stodoła? – pyta Gunther.

– Na ziemi Petera Mahy. Na polu za Blancs Bois. Bawi się tam z Simonem, swoim przyjacielem. Mają taką wymyśloną grę, w którą się tam bawią.

– Oczywiście wiele dzieci tak postępuje, bawią się w różne wymyślone gry – mówi mi kojąco.

– Ale fantazja chyba bierze górę, jest dla niej prawie tak prawdziwa jak świat codzienny. To znaczy, bez wątpienia, że chowają się w nietypowej sytuacji, dorastając w czasach wojny. Ale staram się, aby ich życie było możliwie normalne.

– Tak. – Kiwa głową Gunther. – Wiem, że się starasz.

– Może to moja wina. Może czytałam jej za dużo bajek.

Uśmiecha się – tym uśmiechem, który kocham, od którego oczy wypełniają mu się światłem.

– Nie można dziecku czytać za dużo bajek – zauważa. – To niemożliwe.

– I martwi mnie też to, że kłamie. Wzięła kawałek tego chleba, który przyniosłeś nam, i twierdzi, że go nie zjadła. Ale znalazłam okruchy w jej tornistrze.

– Sądzę, że nie powinnaś się martwić. Millie jest wciąż jeszcze bardzo mała. Wiele dzieci jest do niej podobnych, żyją jednocześnie w tym świecie i w swoim własnym.

– Tak uważasz? Inne dzieci – myślisz, że one wierzą, że świat ich fantazji jest prawdziwy?

Gunther wydmuchuje dym, jego twarz za niebieskawą miękką spiralą staje się niewyraźna.

– Kiedy byłem dzieckiem – mówi – sam miałem wymyślonego przyjaciela.

– Och. – Jestem tym zauroczona.

– Byłem wtedy jeszcze bardzo mały, jak Millie. To było, zanim moja matka ponownie wyszła za mąż – dodaje, jego twarz pochmurnieje.

– Tak. – Myślę o tym, co mi powiedział o swoim okrutnym ojczymie. Wyciągam do niego rękę i przesuwam dłonią po jego głowie, uwielbiam ten bezpośredni, bezbronny dotyk krótko przyciętych włosów na mojej skórze. – Opowiesz mi o twoim wymyślonym przyjaciołku?

Gunther rumieni się lekko. Jest trochę zażenowany.

– Moja matka podczas obiadu musiała ustawiać dla niego talerz przy stole – mówi.

Jestem oczarowana.

– Czy twój przyjaciel miał imię? – pytam.

Lekki autoironiczny uśmiech.

– Miał na imię William.

– William?

– Jak wasz pisarz, William Shakespeare. William to było jedyne imię po angielsku, jakie znałem. Wydawało mi się bardzo eleganckie – mówi.

Jego słowa wywołują u mnie uśmiech, ale jednocześnie mnie poruszają. Uwielbiam myśleć o nim jak o małym chłopcu. Chciałabym sięgnąć przez te wszystkie lata i go przytulić.

Zdmuchuję świecę. Leżę z głową na jego piersi; wokół mnie unosi się zapach jego skóry i słyszę senne bicie jego serca. Śpię mocno.

Budzę się, kiedy wychodzi chłodnym rankiem, kiedy odzywa się pierwszy

gawron i pierwsze szare światło przedświtu sączy się z nieba. Opuszcza mnie, a ja, leżąc tam, czuję mglisty niepokój – leciutkie mroczne trzepotanie ćmy gdzieś w zakamarkach mojego umysłu – i nie wiem, dlaczego to czuję.

Rozdział 56

ZACZYNA SIĘ SEMESTR JESIENNY i Millie ponownie idzie do szkoły. Czuję ulgę. Wartka codzienność lekcji – tabliczka mnożenia, czytanie książek, lista słówek do wykucia – nie pozwoli jej spędzać tyle czasu w jej wspólnym z Simonem świecie fantazji. Podcinam jej włosy i odpuszczam brzeg obu szkolnych sukienek: bardzo urosła przez lato.

W niedzielę Blanche będzie czytać lekcję w kościele.

– Mamo, tak chciałabym, żebyś czasem przychodziła do kościoła. Żebyś przyszła i mnie posłuchała – mówi. Wlepia we mnie niebieskie jak lato spojrzenie, które czegoś ode mnie żąda.

– Bardzo bym chciała, kochanie – mówię. – Ale boję się zostawić babcię samą.

– Nie chodzi tylko o to, prawda? – pyta. – Wiem, że nie za bardzo wierzysz już w Biblię, z tą wojną i w ogóle. Ale chciałabym, żebyś przyszła. Bóg ma dla świata jakiś plan, mamo. To musi być wszystko częścią Jego planu.

– Nie wiem, kochanie. – A potem, przechodząc na łatwiejszy temat: – Ale to prawda, że nie lubię zostawiać babci samej. Chyba że naprawdę powinnam.

– W niedzielę powinnaś – stwierdza. – Babcia poradzi sobie sama przez parę godzin. Proszę, mamo.

Tak więc Millie i ja wkładamy nasze najlepsze ubrania i idziemy z Blanche na nabożeństwo poranne.

Choć nie jestem pewna, co myślę o Bogu, i tak podoba mi się to nabożeństwo, znajduję pocieszenie w znajomych słowach modlitwy. *Racz nas wyzwolić Boże. Panie, pośpiesz nam na pomoc!****** I uwielbiam migoczące świece na ołtarzu i złociste światło słoneczne wpadające przez okno i rozpościerające klejnoty kolorów na wszystkich stopniach chóru. Większość nabożeństwa jest taka jak przed okupacją, chociaż zakazano nam się modlić za nasz kraj; ale nadal możemy się modlić za króla. Wygłaszamy spowiedź powszechną, mamrotanie zgromadzonych opóźnia się w stosunku do proboszcza, niski pomruk odbija się echem po nawie: *Wszechmogący*

*i najmiłościwszy Ojczy, zblądziły i oddalili się od Twych dróg jak zagubione owce, postępowali zbyt często według zamysłów i pragnień naszych własnych serc...****** Gdy powtarzam te słowa, czuję się taka daleka od reszty wiernych, zastanawiam się, jak mogliby osądzić moje postępy, za jak grzeszną uznaliby moją miłość do Gunthera.

Blanche podchodzi do pulpitu, żeby odczytać lekcję. Zaczyna dość nieśmiało, leciutko jękając się, co czasem jej się zdarza, potem głos nabiera mocy, staje się bardziej pewny. Widząc ją tam, nie przy mnie, uświadamiam sobie, jak ona się zmienia – staje kobietą, linie jej ciała się zaokrągla, twarz jest bardziej wyrazista. Wiem, że nadal żałuje, że nie pojechaliśmy do Londynu, wierzy, że nadzieję na szczęście znajdzie gdzieś bardzo daleko – w odległej przyszłości, za kanałem, wszędzie, tylko nie tu. Oczy zachodzą mi łzami, gdy na nią patrzę, gdy wyczuwam w niej tę tęsknotę za wszystkim, czego nie może mieć, ponieważ dorasta podczas wojny. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek znajdzie to, czego szuka.

Wraca, żeby do nas dołączyć w naszej ławce, na policzkach ma jaskrawe plamy, jest zarazem zadowolona i zażenowana. Siadamy, aby wysłuchać kazania, które w całości dotyczy nieba i piekła. To nie są prawdziwe miejsca, mówi proboszcz – przynajmniej nie w takim sensie, w jakim St. Peter Port jest miejscem: niebo i piekło to samopoczucie. W niebie na zawsze jesteśmy w obecności Boga, a gorsza od miriadów męczarni w piekle jest straszliwa nieobecność Boga.

Po nabożeństwie gawędzę z Susan Gallienne, która gratuluje mi tego, jak Blanche czytała. Susan jest elegancka jak zawsze, w sukience z koralowego płótna, choć jest coś w jej uśmiechu, słodkim jak lukier, co działa mi trochę na nerwy. Podczas gdy Susan i ja rozmawiamy, dziewczynki ruszają przodem.

Żegnam się natychmiast, gdy tylko przyzwyczajenie na to pozwala, i doganiam Millie i Blanche. Są pochłonięte rozmową, skłoniły głowy ku sobie w złotym nakrapianym świetle na ścieżce, nad nimi rozpościera się chłodna korona z gałęzi. Rozmawiają o kazaniu: dziwię się, że uważały.

– Wiem o piekle – mówi Millie. – To stamtąd pochodzi mój duch. – Rzeczowo.

– A skąd właściwie to wiesz? – pyta Blanche.

– Ponieważ nam powiedział, głupia. To tam mieszka. Mówi, że mieszka w piekle – wyjaśnia.

Blanche odwraca się do niej twarzą. Sądzę, że będzie besztać siostrę

za nazwanie jej głupią. Ale ona nagle poważnieje – przez to nabożeństwo i swój w nim udział – i wygląda na zmartwioną tym, co powiedziała Millie.

– Millie. Nie powinnaś zmyślać takich historii o piekle.

– Nie zmyślam – odpowiada: zdecydowanie, z przekonaniem.

– Mówię serio, Millie. To nie jest temat do żartów. Ludzie idą do piekła, jeżeli są niegodziwi i nie wierzą w Jezusa.

Blanche jest skupiona i poważna, niepokoi się o duszę swojej siostry.

– Mój duch jest dobrym duchem – odpiera Millie.

– Nie, Millie. Musi być zły, jeśli mieszka w piekle – stwierdza Blanche. – Musiał być zły w swoim ziemskim życiu.

– Nie jest zły – upiera się Millie.

Blanche wydyma wargi. Jej twarz przybiera wyraz poirytowania, który zawsze pojawia się tam, gdy Millie tak mówi.

– Zresztą piekło to nie miejsce, z którego można tak po prostu wchodzić i wychodzić – informuje. – Ludzie nigdy nie wracają z piekła. Jeśli pójdziesz do piekła, to już tam zostajesz. Tak mówi Biblia. Powinnaś to wiedzieć.

– Wracają. Naprawdę wracają. Czasami wracają – mówi Millie, niepewność wkrada się do jej głosu. Widzę, że drżą jej wargi.

Dołączam do nich, chcę wziąć ją za rękę – ale odsuwa się, żebym nie mogła jej dotknąć. Wyłamuje patyk z żywopłotu. Idziemy dróżką, a ona wymachuje patykiem i smaga nim mijane rośliny, odwrócona plecami do mnie i do siostry. Jej oczy błyszczą od łez i nie chce, byśmy to widziały.

Rozdział 57

GUNTHER JEDZIE NA DWA tygodnie na przepustkę.

W noc przed planowanym wyjazdem idzie za mną do mojego pokoju. Zamykam drzwi, odwracam się do niego, ale on nie od razu obejmuje mnie czy dotyka. Siada ciężko na łóżku. Ma poważny wyraz twarzy. Zastanawiam się, co nas czeka.

– Jest coś, co muszę ci powiedzieć – mówi. – O czym dopiero co się dowiedziałem. Są plany, żeby deportować ludzi, którzy nie pochodzą z tej wyspy, ludzi, którzy się tu nie urodzili.

– Ludzi takich jak ja – upewniam się. – Ja się tu nie urodziłam.

– Tak. Ludzi takich jak ty – potwierdza.

Trudno mi to zrozumieć. W mojej głowie jakiś przenikliwy, rozgorączkowany głos stara się to wszystko naprawić, unieważnić. Przecież nie zrobią tego ludziom, którzy nie sprawiają problemów – zwłaszcza matkom z małymi dziećmi. Nie mogliby tego zrobić – to nie miałoby sensu, muszą być rozsądni, dzieci potrzebują matek, każdy to wie... A gdyby już odsyłali dokądś ludzi, z pewnością wyślą ich tylko do Francji: może tylko na miesiąc lub dwa. Wyspiarzy wysyłano tam do więzienia. Mówią, że nie jest takie okropne; przeważnie wracają do domu.

– Deportować dokąd? – pytam go.

– Do obozu dla internowanych w Niemczech – odpowiada. – Dopóki wojna się nie skończy.

Ziemia usuwa mi się spod nóg.

– Nie – mówię. – Nie. – Nie mogę uwierzyć, że on, mówiąc mi to, jest taki spokojny, że wcale się nie przejmuje. Ogarnia mnie przerażenie. – Ale co się stanie z moimi dziećmi?

Prawie szlocham. Widzę, jak wali się na mnie to, czego zawsze najbardziej się bałam – że dzieci zostaną mi wydarte.

– Vivienne.

Kładzie mi dłoń na ramieniu. Jego dotyk jest taki pocieszający. Świat odzyskuje równowagę. A ja zaczynam rozumieć, dlaczego on tym się nie przejmuje.

– Możesz coś zrobić? Możesz nam pomóc? – pytam.

Przytakuje.

– Zrobię, co będę mógł – mówi mi. – Być może niektóre nazwiska nie pojawią się na listach.

– Mógłbyś to zrobić? Naprawdę mógłbyś?

– Tak sądzę. Wydaje mi się, że pójda na pewne ustępstwa. Ale musisz zachować to w całkowitej tajemnicy. Nie rozmawiaj o tym z nikim – zaleca mi.

To dla mnie łatwe. Jestem przyzwyczajona do tajemnic.

Kiedy mnie opuszcza wczesnym rankiem, kiedy odprowadzam go do drzwi, nagle przytłacza mnie przejmujący smutek rozłąki. Nie mogę go puścić; trzymam się go kurczowo.

Odkleja moje palce od swojego ramienia, całuje moje dłonie.

– To tylko dwa tygodnie, a potem będę znowu z tobą – mówi.

– Dwa tygodnie to bardzo długo w czasie wojny. Wszystko może się zdarzyć.

– Vivienne. Wrócę do ciebie. Obiecuję.

Przyglądam się, jak przechodzi przez moje podwórko i roztapia się w szarym bladym świetle brzasku. Niebo jest wysokie i wyniosłe, i lekko połyskuje, jak perła.

Wracam do sypialni, ale moje łóżko wydaje się bez niego takie puste. Już za nim tęsknię – jakby odeszła jakaś częśćka mnie.

Rozdział 58

WIECZOREM PO WYJEŹDZIE GUNTHERA postanawiam pójść nazbierać jeżyn. Celeste ma randkę z Tomaszem, swoim chłopakiem, więc Blanche siedzi w domu. Zostawiam ją, aby miała na wszystko oko, i jadę na rowerze na szczyt klifu, gdzie są duże skupiska krzaków jeżyn.

Zostawiam rower przy bocznej ścieżce i dalej idę na piechotę. Żywopłaty są tutaj niskie: za nimi pola opadają w stronę klifu, gdzie zaczyna się urwisko nad Les Tielles i rozciąga się szeroki widok na morze, które dzisiaj wieczorem jest jedwabiste i wypełnione żółtym jak żonkile światłem. Wysoko nade mną szybuje pustułka, wytworna i czujna, czarna jak sadza na tle oślepiającego nieba. Wiatr ustał, świat wydaje się ogromny i pusty; mam wrażenie, że jestem jedynym żyjącym człowiekiem. Głęboki spokój otula moje ramiona jak szal.

Żywopłaty obrodziły jagodami, wiele z nich już dojrzało, są ciemne i lśniące. Zaczynam je zbierać; intensywny fiolet jeżyn barwi opuszki moich palców. Wysysam cierpki smak ze skóry. Jest tak cicho, że słyszę skrzypienie moich butów, gdy się poruszam, a liście ciemnych krzaków szeleszczą tak głośno o moją dłoń, jakby coś się rozdzierało. Wkrótce mam dojrzałych owoców na parę placków i na chwilę ogarnia mnie triumfalne uniesienie, które pojawia się zawsze wtedy, gdy znajduję jedzenie dla mojej rodziny.

W końcu zaczynam zbierać się do domu, ale nie mam ochoty opuszczać tego pełnego spokoju miejsca, więc zatrzymuję się na chwilę, by jeszcze raz popatrzeć na morze. Słońce zachodzi pośród pasm gęstych, przypominających kłębki waty chmur, które wsysają jego blask jak płamę. Cała żółtość zniknęła już z wody; morze przeciąga się i porusza jak jakiś szary łuskowaty potwór, który niespokojnie śpi. Pustułka nadal unosi się nade mną, potem składa skrzydła i pikuje w dół jak upuszczony kamień.

Wzdrygam się na nagły hałas – niemiecki głos, szorstki, stalowy, wykrzykujący jakiś rozkaz. Zamieram w bezruchu, serce kołacze mi się w piersiach. Wiem, co to oznacza – ekipa więźniów wraca z pracy. Gwałtownie przypomina mi się to, co widziałam wcześniej – to potworne, niedbałe bestialstwo, o którym tak bardzo starałam się zapomnieć. Brak

mi czasu, żeby się schować. Wciskam się w żywopłot.

Zza zakrętu na ścieżce wyłania się grupa więźniów. Musieli budować betonowy pierścień dla Hitlera na szczycie klifu. Pilnuje ich dwóch ludzi z OT, z opaskami ze swastyką na ramieniu.

Wpatruję się w więźniów. Świat kołysze się wokół mnie.

Musieli mieszać cement – są nim obsypani, mają szarawy pył na włosach, na skórze, na rzęsach, więc ich twarze są puste i zbiełałe, całkowicie pozbawione koloru. Ubrania mają w strzępach, więc pookrywali się płóciennymi workami, w których wcześniej był cement, płótno poobwiązywali z grubsza w pasie kawałkami drutu lub sznurka, i nie mają butów, niektórzy poowijali sobie stopy kawałkami worków. Głowy powieszali z wyczerpania, przez skórę sterczą im wyraźnie kości.

W gasnącym świetle są bladzi jak duchy, a ich stopy nie wydają żadnego dźwięku.

Rozdział 59

MILLIE ŚNI SIĘ, że połknęła ość, a kiedy się budzi, boli ją gardło. Mówię jej, że będzie musiała zostać w domu.

– Ale mogę pobawić się z Simonem? – pyta. – Kiedy wróci ze szkoły?

– Nie. Oczywiście, że nie – odpowiadam stanowczo. – Oczywiście, że nie możesz się pobawić, skoro nie byłaś w szkole.

Ma zatkany nos, więc wlewam trochę olejku Vicka do miski z gorącą wodą, nakrywam jej głowę ręcznikiem, każę szczelnie zamknąć oczy i wdychać parę. Potem już łatwiej jej oddychać. Idę po jej puchową kołdrę, przygotowuję poślanie na kanapie i daję na tacy układankę z pałacem Buckingham. Pierwszy raz się zdarza, że się cieszę, że któreś z moich dzieci choruje – to wszystko ułatwia.

Gdzieś na godzinę przed godziną policyjną, kiedy Evelyn poszła do swojej sypialni, a Blanche wciąż jest u Celeste, mówię Millie, że nie będzie mnie przez chwilę. Kos śpiewa na całe gardło na kalenicy Le Colombier, gdy przechodzę przez ścieżkę i przez mój sad na pola. Obchodzę skraj Blancs Bois i idę dalej w chłodnym wieczornym powietrzu do stodoły Petera Mahy. Serce mi wali. Jestem wyczulona na najłżejszy szum i szelest liści, na każdy szmer w otaczającej mnie okolicy, na skrobanie każdego stworzonka ukrytego w syczącej trawie, jakbym tu była kimś obcym.

Dół stodoły omywa cień gęsty jak czarna woda w rzece. Podchodzę bliżej i widzę, że drzwi są otwarte. Podkradam się cicho, zaglądam do środka.

Na początku niczego nie mogę dojrzeć: w środku są same cienie. Być może się pomyliłam. Może wyciągnęłam pochopne wnioski. Zalewa mnie uczucie ulgi. Już mam się odwrócić i wyjść, kiedy zauważam, że ten ciemniejszy mrok w rogu to mężczyzna. Jest zwrócony do mnie bokiem, nie widzi mnie; pewnie jest otepiały, nieświadomy – z wyczerpania, z głodu, bo za dużo widział. Siedzi, pochylając się do przodu, jego skulony, przygarbiony cień pada na podłogę. Podobnie jak mężczyźni, których widziałam na szczycie klifu, ma na sobie płócienny worek z drutem wokół pasa i wyszarpanymi dziurami na ręce. Jego buty też są zrobione z worka. Nie potrafię powiedzieć, jakiego koloru ma włosy czy w jakim jest wieku.

Wszystko to, dzięki czemu był sobą, zostało wymazane przez kurz i brud, i głód.

Świat na około mnie jest pusty, wyciszony. Słyszę jedynie odgłos, z jakim jego zęby rozrywają chleb, i cichy, głuchy łomot własnego serca.

W mojej głowie odzywa się cichutki głosik – łagodny, przekonujący, zaniepokojony. *Nie patrz. Bądź bezpieczna. Odejdź. Wracaj do Le Colombier i udawaj, że to się nigdy nie stało. Udawaj, że go nie widziałaś...* I mam w sobie coś, co rozpaczliwie pragnie posłuchać tego cichego głosiku – i to nie tylko ze względu na niebezpieczeństwo. Jeżeli pozwolę sobie patrzeć, to postawię się na jego miejscu – człowieka głodnego, nieszczęsnego, tak z maltretowanego – a tego nie mogę znieść. Ale moja córka przyszła i patrzyła na niego: Millie, która ma teraz sześć lat i nie boi się ciemności. Millie przyszła i popatrzyła, i się nie odwróciła.

GDY WRACAM, MILLIE WCIĄŻ siedzi na kanapie pod puchową kołdrą i układa puzzle. W pokoju unosi się ożywczy zapach mentolu i eukaliptusa i szczypie mnie w oczy.

Klękam obok niej na podłodze.

– Millie. Widziałam twojego ducha. W stodole pana Mahey.

Millie nieruchomieje, jej buzia przypomina maskę, rączka zastygła nad układanką. Między kciukiem i palcem trzyma kawałek nieba.

– Wiem, że to ty brałaś jedzenie – mówię.

Odkłada puzzle na tacę, delikatnie, z cichutkim wyraźnym trzaskiem, jakby złamała się mała kosteczka.

– Był głodny. – Buntowniczo. – My mieliśmy jedzenie, a on nie. To niesprawiedliwe.

– Tak. To niesprawiedliwe – zgadzam się.

Ma lekką gorączkę; pasemko włosów lepi się do jej czerwonej mokrej twarzy. Odgarnia ten kosmyk, jakby była na niego zła.

– Nie możesz się na mnie gniewać, mamusiu.

– Nie gniewam się, kochanie. Nie gniewam się na ciebie.

– Był głodny, a my go nakarmiliśmy – mówi. Dłonie ma zwinięte w pięści. Tak bardzo się koncentruje, usiłując mi to wytłumaczyć.

– Tak. Wiem, dlaczego to zrobiłaś.

– Przyszedł z piekła. To tam mieszka. Mieszka w piekle. Powiedział nam.

– Millie...

– I nie jest tak, jak mówił pastor. Pastor się mylił, kiedy mówił, że piekło

nie jest miejscem. Mój duch mówi, że piekło to prawdziwe miejsce. Wiem, że mi nie wierzysz...

– Wierzę ci – przerywam jej.

Oczy Millie rozszerzają się z zaskoczenia.

Wyciągam ręce i ją obejmuję. Jest sztywna, trzyma mnie na dystans – nie ma pewności, jak mnie ocenić, wciąż nie ma pewności, co myślę.

– Ale nie chcę, żebyś dalej to robiła, kochanie – podejmuję. – To jest zbyt niebezpieczne dla ciebie.

– Nieprawda, mylisz się – protestuje. – Mówisz tak, tylko dlatego że go nie znasz. Ten duch jest miły. Duch by nas nie skrzywdził – obstaje przy swoim.

– Jestem pewna, że by was nie skrzywdził.

– Mówiłam te wszystkie rzeczy, żeby przestraszyć Blanche – ciągnie Millie. – Kiedy mówiłam, że jest przerażający. Zmyślałam, kiedy to mówiłam. Zrobiłam tak, bo taka z niej zaraza. Chciałam ją przestraszyć.

– Nie o to mi chodzi. Wiem, że by cię nie skrzywdził. Ale gdyby Niemcy się dowiedzieli, bardzo by się gniewali – wyjaśniam.

– Czy wsadziliby nas do więzienia?

– Tak. Do więzienia albo... – Przypominam sobie, co Vera mówiła przy bramie szkoły o tej kobiecie na Jersey, która przyjęła takiego przymusowego robotnika do domu. Że ją zastrzelili. Odsuwam od siebie tę myśl.

– Chodzi o to, że nie mogą się dowiedzieć. Nigdy.

– Ale ktoś musi mu dawać jeść – upiera się Millie. – Jeśli ja i Simon nie będziemy tego robić, to kto? Umrze z głodu.

– To dorośli powinni robić takie rzeczy, Millie. To nie jest bezpieczne dla dzieci. Masz powiedzieć Simonowi, że nie wolno wam już chodzić do stodoły. Zrobisz to?

Marszczy brwi. I milczy.

– Nie umrze z głodu, Millie. Zaufaj mi.

Patrzy na mnie z powątpiewaniem.

– Musisz mi obiecać – nalegam.

– Dobrze – odpowiada. Niechętnie.

– I, kochanie, coś jeszcze. To musi być sekret. Nie powiemy nikomu. Nawet babci czy Blanche.

Moje słowa sprawiają Millie przyjemność. Widzę jej żywy uśmiech.

– Tak, to nasz sekret – zgadza się. – Naprawdę duży sekret, prawda?

A mnie lekko się ściska serce, gdy myślę: Tak, to jest naprawdę duży sekret.

W NOCY COŚ WYRYWA mnie ze snu. Zaskakuje mnie to, że jestem sama: tak się przyzwyczaiłam do spania w objęciach Gunthera. Łóżko bez niego wydaje się za duże i puste. W otaczającym mnie domu panuje cisza, głęboka, absolutna, ale moje serce kołacze, jakby zaniepokoił mnie jakiś nagły odgłos. Nie wiem, co mogło mnie obudzić.

Wstaję, podchodzę do okna, wyglądam na ciemne podwórze, opierając czoło o chłodną szybę. Księżyc świeci niepewnie: porywisty wiatr przesuwa strzępy chmur po jego tarczy. Malwy w ogrodzie w Les Vinaires wyglądają w świetle księżycyca upiornie, nierealnie – takie białe i fosforyzujące jak lód. I nagle w mojej głowie pojawia się myśl – jakbym uświadomiła coś sobie we śnie, jakby to coś właśnie mnie obudziło. *Powiedziałam Guntherowi. Powiedziałam mu o duchu Millie...* Staram się przypomnieć sobie, jak zareagował, gdy mu powiedziałam. Wydaje mi się, że mnie uspokajał; że mówił o swoim dzieciństwie. Ale może tylko starał się mnie ugłaskać. Może się domyślił, kim naprawdę jest duch Millie; może cały czas wiedział. Ta myśl mnie przeraża. Nie zmienia mojego postanowienia, ale napełnia mnie strachem. Co się stanie z nią, nami?

 Nie śpię przez resztę nocy.

Rozdział 60

PRZYGOTOWUJĘ GĘSTĄ ZUPĘ z kilkoma ziemniakami z tych, które Johnnie mi przyniósł w dniu, kiedy zabiłam kurczaka. Dodaję do zupy dużo mleka. Próbuję. Jest kremowa, rozgrzewająca – mam nadzieję, że okaże się lekkostrawna.

Wszystko jest tak, jak być powinno: Blanche poszła do Celeste, a Evelyn zamknęła się bezpiecznie w swoim pokoju. Millie siedzi na kanapie z wyciętymi z papieru laleczkami na tacy; lubi ubierać je w tekturowe ubranka, które przyczepia się, zaginając takie małe języczki. Kiedy mówię jej, że wychodzę, rzuca mi szybki porozumiewawczy uśmiech.

Jest piękny wieczór, na niebie wiszą nisko rozsnute chmury, ziemię zalewa złociste światło. Szybko idę przez pola, moje serce dygocze.

Jest tam, tak samo jak wczoraj, siedzi skulony na podłodze w stodole i lekko się kołysze. Wślizguję się przez otwarte drzwi. Wydaje mi się, że powinien zauważyć mój cień, który padł na ziemię przed nim, ale on nie odwraca się, nie widzi mnie.

Stoję tam przez długą chwilę. Moje serce tak mocno wali, że aż drga materiał bluzki. Mówię sobie, że mogłabym odejść, wciąż jeszcze mogłabym się odwrócić i sobie pójść. Wszystkie ewentualności przemykają mi przed oczami, przewijają się przez mój umysł – żywe, wyraziste, rozżarzone od grożącego nieszczęścia. Niemcy nas zobaczą. Zastrzelą mnie. Moje dzieci zostaną bez matki – najgorsza rzecz, zawsze obiecywałam sobie, że nie dopuszczę, by je to spotkało.

Ściska mnie w gardle tak, że prawie się duszę.

– Przepraszam pana – odzywam się.

Mój głos brzmi dziwnie, jakby to nie był mój głos. Przychodzi mi na myśl, że okropnie głupio się odezwałam. Przecież on mnie nie zrozumie.

Odwraca się powoli. Chyba nie słyszał, jak wchodziłam; może mój głos go przestraszył. Już mam powiedzieć, Proszę się nie bać, ale widzę, że on się nie boi; może pozostawił już wszystkie codzienne obawy za sobą. Oczy ma czarne jak jagody tarniny i otoczone wypłowiałymi rzęsami. Spogląda na moją twarz bez zaciekawienia.

– Jestem matką Millie. Millie, tej małej dziewczynki...

Pokazuję ręką, jaka jest mała. Udaję, że wyciągam rękę, żeby złapać dziecko za rączkę.

Czuję się potwornie niezręcznie, jakby moje ciało zostało niewłaściwie złożone – przy całym tym niebezpieczeństwie i zagrożeniu odczuwam przede wszystkim zakłopotanie towarzyskie, bo nie umiem tego rozegrać – nie wiem, jak rozmawiać z kimś, kto nie mówi tym samym językiem, co ja.

On patrzy na mnie, jego oczy wydają się zbyt ciemne przy kredowej bladości twarzy. Chyba widzę błysk zrozumienia w jego spojrzeniu.

– Mam jedzenie – mówię.

Przygląda mi się. Nie porusza się.

Zakreślam w powietrzu ręką rysunek miski, udaję, że nabieram jedzenia na łyżkę.

– Chodź ze mną – proszę.

Przywołuję go skinieniem.

– Te dzieci to dobre dzieci. Te dzieci to moi przyjaciele – mówi idealną angielszczyzną z lekkim tylko akcentem.

Głośno wciągam powietrze.

– Mówi pan po angielsku?

– Tak. Mówię po angielsku. Dzieci i ja możemy rozmawiać – odpowiada.

Jego głos jest za wysoki jak na mężczyznę. Pamiętam, co Angie opowiadała mi o ludziach, którzy głodują – że ich głosy przypominają głosy ptaków.

– Jak się pan nauczył? – pytam.

– Pewien człowiek w mojej wiosce nauczył mnie angielskiego – wyjaśnia. – I polskiego też. Pracował na farmie w mojej wiosce, ale wcześniej pracował na uniwersytecie. Nauczył mnie wielu rzeczy.

– Aha – kiwam głową.

Nie potrafię wyobrazić sobie, skąd on pochodzi, ani dlaczego w jego kraju taki nauczyciel miałby musieć pracować na farmie. Nic nie wiem. Jestem wstrząśnięta i zaskoczona, że ten mężczyzna – w łachmanach, taki nieszczęsny – ma lepsze wykształcenie niż ja. Nic nie jest takie, jak mi się wydawało.

– Mam na imię Vivienne – przedstawiam się.

– Jestem Kirył – odpowiada.

Wskazuje na swoją klatkę palcem trzecim, nie wskazującym. Zauważam, że brakuje mu części palca wskazującego, że kończy się on paskudnym,

fioletowym kikutem.

– Pójdziemy do mnie, Kiryle – mówię mu.

– Tak. Dziękuję.

Prowadzę go przez pola, trzymając się blisko żywopłotu. Kirył idzie za mną cicho. Powłóczy nogami; ledwie starcza mu sił, żeby odrywać od ziemi stopy. Ma taki zatęchły zapach, nie do końca ludzki, jak coś starego, zaniedbanego. Nie boję się, ale czuję się nierzeczywista, jakbym patrzyła na siebie z dużej wysokości.

Dochodzimy do dróżki. Rozglądam się nieufnie, ale wszędzie jest spokój. Wprowadzam go przez tylną furtkę, tę małą furtkę w żywopłocie, przez którą wchodzi się do ogrodu, i przez tylne drzwi do domu, drzwi, z których rzadko korzystam, ale których nie widać z Les Vinaires. Prowadzę go do kuchni.

Oczy mu się rozszerzają. Widzę, że dla niego to, że się znalazł tu, w tym pomieszczeniu, jest zadziwiające: że dla niego moja prosta kuchnia to zaczarowane miejsce, zamek z bajki, odległy, otoczony cierniami.

Wyciągam krzesło i sadzam go przy stole. Jest rosłym mężczyzną – lub byłby rosły, gdyby tak nie wychudł. Porusza się ostrożnie, jak to duży mężczyzna w małej zamkniętej przestrzeni, jakby się bał, że coś rozbije.

Pomieszczenie wypełnia się zapachem zupy pyrkającej na kuchni. Nalewam trochę do miski, stawiam przed nim.

– To dla pana – mówię.

Bierze łyżkę i pochyla się nisko nad miską. Widzę, że ręce mu lekko drżą. Je, całkowicie na tym skupiony.

Pozwalam mu jeść. Nic nie mówię.

On je, a mnie zaskakuje uczucie, którego się nie spodziewałam. Ogarnia mnie serdeczne uniesienie. Że jego potrzeba jest tak wielka, a ja mogę ją zaspokoić – że mogę go nakarmić. To tak jak wtedy, gdy dziecko jest chore i potrzebuje cię bez reszty, ten idealny, prosty imperatyw – żadnych dylematów, twój cel jest jasny jak słońce.

Millie nas usłyszała. Wślizguje się do kuchni z leciutkim zadowolonym uśmiechem.

On podnosi oczy znad zupy.

– Millie – mówi i twarz mu się odrobinę rozjaśnia.

Millie siada koło niego, składa niezwykle starannie rączki przed sobą. Dla niego zachowuje się jak najgrzeczniej.

Ponownie napełniam miskę. Tę też opróżnia. Odchyła się do tyłu z westchnieniem.

– Dziękuję, dziękuję – mówi.

Znajduję mu czysty ręcznik.

– Może pan umyć sobie twarz, jeśli pan chce – proponuję.

Odkręca kran, pozwala, by woda ochlapała mu dłonie. Kropelki wody migoczą, jakby gromadziły złociste światło wieczoru zalewające całą kuchnię. Przez chwilę przygląda się nabrzmałym promiennym kropelkom, jakby to był cud, który zdarzył się w jego dłoniach, a potem opuszcza głowę i wkłada ją pod kran. Kiedy woda spłukuje brud z jego twarzy, ponownie staje się sobą, wyłania się z kokonu z brudu, więc możemy zobaczyć, kim jest. Okazuje się młody, niewiele starszy od Blanche – tak młody, że mógłby być moim synem. Jego młodość chwyta mnie za serce. Pod warstwą kurzu i brudu włosy, brodę i brwi ma ciemne, a skórę śniadą i ogorzałą. Teraz widać na jego skórze wszystkie blizny i rany, które wcześniej przykrywał cementowy pył.

Umywszy się, ponownie siada przy moim stole. Wyciągam dwa papierosy, zapalam je i podaję mu jeden. Zaciąga się głęboko, z wdzięcznością, rozżarzony czubek odbija się na czerwono w jego oczach. Ten złudny błysk sprawia, że wydaje się bardziej żywy, bardziej obecny.

– Kirył, jak wy dostał się pan z obozu? – pytam.

– Jest dziura w siatce – mówi. – Są strażnicy, którzy zgadzają się nie zwracać uwagi, jeżeli wymykamy się z obozu w nocy. Odwracają wzrok. Jeśli zgłaszamy się na poranny apel, niektórzy z nich przymykają oko. W obozie jest mało jedzenia. Dają nam jedynie wodę z odrobiną rzepy w środku.

– Przecież na tym nie da się żyć – protestuję.

– Myślę, że oni pozwalają nam wyjść, żeby nie musieli nas karmić – stwierdza. – Kradniemy. Nie ma innego wyjścia. Zanim dzieci mnie nakarmiły, musiałem kraść, żeby przeżyć.

– Tak. Oczywiście – przytakuję.

– I wiemy, gdzie są wysypiska śmieci. Żywimy się na wysypiskach.

– To jest okropne – mówię.

– Nie, to jest dobre – zaprzecza. – Mogę powiedzieć, że wysypiska dają nam życie. To obóz jest straszny. Praca jest ciężka, a oni nas biją. Wielu ludzi tam zmarło. Tych, co jeszcze żyją, przy życiu utrzymuje nienawiść.

Jego mądre, ciemne jak tarnina oczy wpatrują się we mnie.

– Przez ten tydzień może pan tu jadać – mówię mu. – Ale będziemy musieli uważać. W sąsiednim domu mieszkają niemieccy żołnierze. Musi pan

zaczekać jutro w stodole, a ja przyjdę tam po pana.

Jest prawie godzina policyjna – wiem, że muszę go odprowadzić.

– Millie, Kirył wychodzi – mówię jej. – Musisz się pożegnać.

Macha do niego radośnie ręką.

Wyprawdzam go przez tylne drzwi.

– Dziękuję, Vivienne. Jest pani taka dobra.

Pod żywopłotem mrok jest ciemny jak mokre orzechy włoskie. Kirył przechodzi do mojego sadu i znika w sepiowym mroku po drugiej stronie ścieżki, cichy jak nocny powiew wiatru.

– SMAKOWAŁA MU ZUPA, prawda? – pyta Millie, kiedy wracam.

– Tak.

Jej buzia promienieje.

– Naprawdę, naprawdę mu smakowała – powtarza. – Czy zawsze może przychodzić do naszego domu?

– Może przychodzić przez kilka dni – informuję ją. – Potem to już nie wiem, kochanie. Będę musiała coś wymyślić.

– Tak. Będziesz musiała, mamusiu.

Zwracam uwagę, że nie mówi już o nim jak o duchu, że nie zdziwiło jej to, że zobaczyła go w codzienności naszej kuchni. Może jest właśnie tak, jak powiedział Gunther – żyje zarówno w tym świecie, jak i w swoim własnym, przechodząc bez problemu między jednym a drugim.

– Millie, musimy zachować zupełną tajemnicę. Nikt nie może się dowiedzieć. Nikt. Poradzisz sobie z tym – żeby zachować tajemnicę?

– Tak, oczywiście – zapewnia mnie.

Myję miskę, z której jadł. Na podłogę pod stołem posypał się cement, a w zlewie osiadł brud po tym, jak Kirył mył sobie twarz i ręce. Bardzo skrupulatnie czyszczę zlew i zmiatom cementowy pył.

– Vivienne.

Podskakuję. Pył z szufelki rozsypuje się jak ziarnista szara mąka na podłogę. Dostaje się wszędzie.

W drzwiach stoi Evelyn.

Dzięki Bogu, myślę sobie. Dzięki Bogu, że nie zeszła wcześniej.

– Potrzebuję mojej Biblii, Vivienne. Chcę poczytać moją Biblię. Nie mogę znaleźć mojej Biblii, Vivienne.

Ręcznik, którego używał Kirył, leży na ociekaczu. Nie udało mu się zmyć całego brudu i na materiale zostały plamy, odtwarzające jego rysy jak zamazany negatyw fotografa. Szybko go składam.

– Twoja Biblia leży na twojej szafce nocnej – mówię.

– Naprawdę, Vivienne?

– Tak. Widziałam ją tam.

Ale Evelyn wciąż ma zakłopotany wyraz twarzy, jakby nadal jej się wydawało, że coś zginęło lub zostało jej zabrane.

Zauważa Millie.

– Powinnaś już być w łóżku, młoda damo. – Przynajmniej tego jest pewna. – Dawno minęła twoja pora spania.

Millie ukradkiem rzuca mi spojrzenie spiskowca. Lekko, ostrzegawczo marszczy brwi. Ku mojej uldze, nie stara się niczego wyjaśnić.

– Już idę do łóżka, babciu – mówi spokojnie.

– Chodź, pójdziemy na górę – zwracam się do Evelyn.

Ale Evelyn stoi bez ruchu.

– Masz brudne ręce, Vivienne.

– Tak. Zamiatalam.

To wyjaśnienie nie zadowala mojej teściowej. Jej konsternację widać w zmarszczkach między oczami, układającymi się w ledwie widoczny trójpłatkowy kwiat lilii.

– Vivienne. Ktoś tu był. Coś pachnie inaczej. Czuję to.

– Nie martw się, Evelyn, to nic takiego.

– Ktoś tu był. Tu był ktoś obcy. Ktoś, kto tu nie należy.

– Nie, Evelyn. Nie obcy.

– W takim razie jeden z twoich znajomych, Vivienne?

– Tak. Po prostu jeden z moich znajomych – potwierdzam. – Nie ma czym się przejmować.

– Ty i twoi znajomi. Tyle bieganiń. – Potrząsa głową z dezaprobatą. – Dlaczego nie możemy mieć trochę spokoju? – pyta.

– Nie żyjemy w spokojnych czasach – odpowiadam ogólnikowo.

Zabieram ją na górę i znajduję jej Biblię. Ale jest teraz zbyt zmęczona, żeby czytać. Kładzie się do łóżka, a ja otulam ją jak dziecko. Jej głowa na poduszce wydaje się taka mała, skóra na głowie taka różowa i bezbronna pod meszkiem białych włosów. Oczy błyszczą jej w świetle nocnej lampki. Wpatruje się w coś nad moim ramieniem, a ja zastanawiam się, co widzi.

Zaczynam się zastanawiać, jak to jest być starym, tak starym jak Evelyn – spoglądać wstecz na swoje życie, zastanawiać się nad wyborami, których się dokonało. Myślę o słowach spowiedzi powszechnej. *Nie uczyniliśmy tego, co powinniśmy byli uczynić, i uczyniliśmy to, czego nie powinniśmy byli*

czynić...*****Zastanawiam się, czego człowiek najbardziej żałuje w ostatnich latach życia: tego, czego nie dopełnił – czy tego, co popełnił, chociaż nie powinien był.

Wyłączam lampę i ją zostawiam.

Rozdział 61

JAK MIŁO CIĘ WIDZIEĆ, Vivienne. – Ruthie Duquemin uśmiecha się do mnie ciepło.

Ale orientuję się, że jest zaniepokojona, zastanawia się, co mnie sprowadziło. Spoczywa na mnie spojrzenie jej oczu, łagodnych, pytających, zielonych jak paproć jęczyznik. Przeczesuje palcami burzę jasnych, nieułożonych włosów.

Wprowadza mnie do kuchni, która jest zagracona, pełna krzątaniny i wesola, z mnóstwem dziecięcych obrazków poprzyczepianych do ścian – szkicami samolotów Hurricane i Spitfire. To musi być całkiem inaczej, mieć chłopców: Millie rysuje jedynie koty i ustrojone we wstążki księżniczki. Myślę sobie przez chwilę, jak czasem mi się zdarza, że chciałabym mieć syna. W pokoju pachnie mydłem do prania; ścierki do naczyń gotują się na kuchni, a śliska piana spływa po boku garnka. Ruthie miesza w nim drewnianą łyżką.

– Nie mogę ci nic zaproponować poza wodą – mówi. – Przepraszam.

– Woda wystarczy – odpowiadam.

Siadam przy jej porządnie wyszorowanym stole. Napełnia pod kranem dwie szklanki. Nie wiem, jak zacząć.

– Przyszłam w sprawie Simona – właściwie, tak naprawdę, to Millie i Simona – zaczynam.

– Tak sobie pomyślałam, że może chodzić o coś takiego. – Uśmiecha się smutno. – Rzecz w tym, że jeśli chodzi o Simona, nigdy nie wiem, co za chwilę zrobi. Wiesz, kocham swoich chłopaków nad życie. Ale z dziewczynkami nie ma tyle kłopotu. Czasem naprawdę zazdroszczę matkom takim jak ty, które mają tylko córki.

– To nic złego – przerywam jej szybko, chcąc ją uspokoić. – Tylko coś, o czym się dowiedziałam... – Potem, widząc jaka jest zaniepokojona, dodaję: – Simon jest takim dobrym przyjacielem Millie. Są tacy uroczy razem.

– Simon uwielbia Millie – mówi Ruthie.

Głos ma niepewny. W miejscu, w którym stoi, w smudze słonecznego

światła wlewającego się przez okno za jej plecami, wygląda jak zaniedbany, udreńczony anioł ze złotą aureolą włosów.

– Czy powiedział ci, co robią? – pytam.

– Nigdy mi nic nie mówi. – Uśmiecha się. – Poza tym, że ożeni się z Millie...

– Nie mówił ci o duchu?

Nieruchomieje. Uśmiech znika z jej twarzy.

– Nie, nie mówił.

– Millie opowiadała o duchu w stodole Petera Mahy – mówię. – Że spotkali tam ducha.

Oczy Ruthie otwierają się szerzej. Wiem, że od razu zrozumiała. Opada na krzesło przy stole.

– A ty poszłaś sprawdzić i to nie był duch? To był jeden z tych biednych, biednych mężczyzn? – pyta.

Przytakuję.

Widzę wszystkie sprzeczne uczucia, które szybko jedno po drugim odmalowują się na jej twarzy – zaciekawienie, strach, może pewien podziw.

– Zaprzyjaźnili się z nim, dawali mu jedzenie – podejmuję.

– O mój Boże! Nie miałam pojęcia... O Boże! Rzeczywiście, musiałam skarcić Simona, bo brakowało trochę chleba. Ale sądziłam, że sam go zjada. – Wygląda na skruszoną. – Nie skarciłabym go, gdybym wiedziała. Czuję się przez to okropnie, on starał się zrobić coś dobrego, a dostał jedynie klapsa...

– Powiedziałam Millie, że nie wolno im tego więcej robić – mówię. – I kazałam jej powtórzyć to Simonowi. Sama teraz karmię tego człowieka. To nie jest bezpieczne dla dzieci.

Po jej twarzy przesuwają się cienie.

– Dla ciebie też nie, jeśli już o tym mowa. – Sięga przez stół, dotyka mojego ramienia jednym ciepłym palcem. – Bądź ostrożna, Vivienne. Ty chyba masz Niemców za sąsiadów? Simon mi powiedział.

– Mam.

– Uważaj na siebie. Na miłość boską...

Przychodzi mi na myśl, że jej ostrzeżenie przypominają te, których ja udzielałam Johnniemu. Kiedy o tym myślę, przechodzi mnie zimny dreszcz.

– Postaram się – odpowiadam lekko.

– Dziękuję, że przyszedłaś mnie odwiedzić – mówi Ruthie. – Porozmawiam z nim o tym. Szczerze mówiąc, strasznie się zmartwiłam, widząc ciebie tutaj.

Sądziłam, że powiesz, że nie chcesz, aby nadal razem się bawili. – Przeciąga ręką z roztargnieniem po jasnej aureoli swoich włosów. – Simon byłby załamany.

– Nie musi się załamywać.

– Nigdy nie wiem, w co się zaraz wpakuje – podejmuje Ruthie. – Kiedyś przyjaźnił się z małą Jenny Le Page. Zawsze była tak ładnie ubrana, udało jej się wpaść w kupę sadzy, kiedy miała na sobie swoją najlepszą niedzielną sukienkę. – Mimo woli szeroko się uśmiecha. – Simon starał się oczyścić jej sukienkę, piorąc ją pod kranem. No cóż, oczywiście nic więcej nie było trzeba. Jej matka nie pozwoliła im więcej razem się bawić.

– Uwielbiam, jak się razem bawią – zapewniam ją.

– Wiesz – mówi z namysłem – taka jestem trochę dumna z nich, a ty? Że tak się starali pomóc. Muszą mieć dobre intencje. Staraliśmy się nauczyć Simona, żeby był życzliwy. To najlepsze, co można zrobić, nie sądzisz? Świat jest taki pełen okropności. Wszystko, co można zrobić, to okazywać życzliwość... Ale uważaj na siebie, Vivienne.

Rozdział 62

CZEKA NA MNIE: wstaje, gdy mnie widzi.

– Vivienne. Przyszła pani.

– Tak. – Kładę mu dłoń na ramieniu. – Oczywiście, że przyszłam – dodaję.

Idziemy w milczeniu przez pola do Le Colombier. Słońce zachodzi teatralnie na tle nieba pomalowanego na szkarłatny i złoty kolor, ale w lesie i w ukrytych miejscach pod żywopłotem zbiera się mrok.

Kirył myje sobie twarz i ręce w zlewie i je przygotowaną przeze mnie zupę, a ja i Millie siedzimy z nim.

Kiedy już prawie skończył dokładkę, odchyła głowę do tyłu, podnosi miskę, i wysącza z niej resztę, żeby nie zmarnować ani kropli. Z głębokim westchnieniem odstawia miskę.

– Dziękuję. Dziękuję, Vivienne.

Zapalam dwa papierosy, daję mu jeden. Zostało jeszcze trochę czasu na rozmowę, zanim będzie musiał wracać.

– Skąd jesteś, Kirył? Gdzie jest twój dom? – pytam.

– Pochodzę z daleka – odpowiada. – Mój kraj nazywa się Białoruś. Graniczy z Rosją. Może pani o nim słyszała?

Nie słyszałam, ale nieuprzejmie byłoby z mojej strony tak powiedzieć. Więc przytakuję.

– Mieszkałem tam w wiosce. Ciągle mi się śni.

Przez chwilę siedzimy w ciszy w blasku zachodzącego słońca. Drobne dźwięki muskają obrzeża tej ciszy – mucha o cieniutkich skrzydełkach przy oknie, natarczywe tykanie zegara.

– Jaki jest twój kraj? Opowiedz nam o nim – proszę.

– Są tam lasy z wieloma brzoziami. – Mówi powoli, szukając słów, tym swoim wysokim głodnym głosem. – Są brzozy i niewielkie rzeki. Jest bardzo cicho. Wszystkie nasze domy są zbudowane z drewna, na dachach bociany mają swoje gniazda. – Jego oczy przybierają nieobecny wyraz, jakby mówiąc to, wszystkie te rzeczy widział. – To tam na zawsze zostało moje serce – kończy.

– Musi tam być ślicznie – mówię.

Kiwa głową.

– Ale mogę powiedzieć, że to nie było idealne życie – dodaje. – Kiedy byłem dzieckiem, często chodziliśmy głodni. – Wypuszcza dym, wspominając. – Luty był trudnym miesiącem. Czasami przez cały tydzień mieliśmy do jedzenia tylko stare ziemniaki. Pierwszą oznaką wiosny był wschodzący szczaw. Moja matka wysyłała mnie i brata, żebyśmy zbierali szczaw na zupeł. Następnym znakiem były młode ziemniaki i dopiero wtedy człowiek zaczynał znowu żyć na dobre...

Przez chwilę milczy.

– Odjazd stamtąd był dla mnie jak mrok.

– Tak – mówię.

– Czasami te obrazy bledną w mojej pamięci. Ale kiedy z wami rozmawiam, widzę to tak wyraźnie – podejmuje.

Nachodzi mnie myśl, że mówi jedynie o swoim dzieciństwie – podobnie jak ja i Gunther, kiedy pierwszy raz przyszedł do mojego łóżka. I niewykluczone, że z tego samego powodu: niezależnie od tego, jak trudna była przeszłość, jest bezpieczniejszym miejscem niż dzień dzisiejszy.

– Opowiedz nam o swojej matce i bracie – proszę. – Opowiedz o swojej rodzinie.

– W mojej rodzinie wszyscy na czymś grają – spełnia moją prośbę Kirył. – Ja w tym moim minionym życiu robiłem skrzypce. Za dnia pracowałem na gospodarstwie, ale wieczorami robiłem skrzypce. Mój ojciec też je robił. To on mnie tego nauczył.

Czuję się zaskoczona. Nie spodziewałam się, że będzie miał takie bogate życie, takie umiejętności. Być może wierzyłam, że jego łachmany i jego głód mówiły o nim coś ważnego – że z jego niedoli mogłam wyczytać, jakim jest człowiekiem. Ale myliłam się: niczego z jego niedoli nie wyczytuję.

– Kiedy byłem dzieckiem, partia popierała wszelkiego rodzaju muzykę – podejmuje. – Muzykę weselną i podczas uroczystości, kostiumy i tańce. To wszystko, co było dobre i zawsze stanowiło część naszego życia... Przez ostatnie kilka lat, za Stalina, już tego nie popierano. Ale ja w moim małym warsztacie, w izbie na tyłach domu, nadal robiłem skrzypce.

Staram się zrozumieć. Co on ma na myśli, mówiąc „partia”? Czy Białoruś jest rządzona przez Stalina, przez Rosję? Czy była częścią republiki bolszewickiej, zanim wkroczyli Niemcy? Często przychodzi mi na myśl, że tak mało wiem o świecie. I ciekawa jestem muzyki, którą grał. Zastanawiam się, czy jest w niej taka dzikość, jak w większości ludowej

muzyki ze wschodniej Europy – trochę jak w melancholijnych mazurkach Chopina, które kocham.

Zerkam na Millie. Słucha uważnie, prawie nie mruga: ma taki wyraz twarzy jak wtedy, gdy czytam jej książki z bajkami.

– Kochałem swoje skrzypce – ciągnie Kirył. Przez chwilę duma dźwięczy w jego głosie. – Może za bardzo je kochałem. Moja żona mawiała, że to z nimi się ożeniłem... Narzekła z tego powodu. Inne kobiety mogły mówić, że ich mężowie piją za dużo wódki. Ale moja żona narzekła, że spędzam zbyt dużo czasu przy pracy...

– Jesteś żonaty? – To mnie zaskakuje. Wydaje się za młody, żeby mieć żonę.

Okruch milczenia. Kirył pochmurnieje.

– Miała na imię Dania – mówi.

Słyszę czas przeszły: przesywa mnie strach. Boję się zapytać o coś więcej na jej temat. Może później. Nie dzisiaj.

– Miałam tu, na Guernsey, przyjaciela, który grał na skrzypcach – zmieniam temat. – Grywaliśmy razem w duecie. Popłynął statkiem do Anglii. Zawsze lubiłam skrzypce...

Kiedy to mówię, twarz mu się rozjaśnia.

– Zrobić skrzypce to piękna rzecz – stwierdza.

– Tak. Na pewno.

– Tyle dbałości trzeba, żeby je zrobić. To taki mały przedmiot, taki delikatny, tak łatwo go zniszczyć. Ale tak czysto śpiewa – dodaje.

Myślę o Nathanie Issacsie i muzyce, którą graliśmy – o sonacie *Wiosennej* Beethovena, jasnych, wysokich dźwiękach, jak ludzki głos, ale czystszych.

– To musi być cudownie – mieć takie umiejętności – mówię.

Cienie pod jego zapadniętymi oczami są ciemne.

– Nawet gdybym wrócił do mojego domu, już nigdy nie będę robił skrzypiec. Dla mnie to życie się skończyło.

Wyciąga swoje okaleczone drżące dłonie. Ponownie widzę, że brak mu części palca wskazującego, widzę kikut na zniszczonej dłoni. Odczuwam dojmujące poczucie straty. Nic nie mówię.

Rozdział 63

PRZYGOTOWUJĘ ZUPĘ Z PORÓW i groszku i gotuję wieprzową kulkę. Gdy zupa już porządnie się ugotuje, dodam trochę mięsa, krojąc je cieniutko, żeby łatwo je było zjeść.

Zupa bulgocze na ogniu, a ja z szafki kuchennej wyciągam stary globus. Kupiłam go Blanche, żeby jej pomóc w lekcjach geografii; zawsze jej nie znosiła. Wpatruję się w globus, w tę płataninę krajów z nazwami nie do wymówienia, które wszystkie teraz wydają się częścią Rosji.

Millie podchodzi ze swoją szmacianą lalką, ciągnąc ją za sobą za włosy.

– Szukasz kraju Kiryła, mamusiu? – pyta.

– Tak. Znalazłam. Zobacz...

Jest znacznie większy, niż się spodziewałam, co najmniej tak duży jak Wyspy Brytyjskie. To mnie zaskakuje. Nie ma wybrzeża i wygląda na pusty, prawie nie ma tam miast ani miasteczek.

Millie przygląda się globusowi.

– Gdzie jest St. Peter Port? – pyta mnie.

Pokazuję jej.

– Anglia jest tutaj, a Guernsey tutaj, ale jest o wiele za mała, żeby ją zobaczyć wyraźnie...

Nakrywam to miejsce palcem.

Millie marszczy brwi.

– Nie masz racji, mamusiu. To niemożliwe. Guernsey jest naprawdę duża – oświadcza mi bardzo zdecydowanie.

Pamiętam te chwile z dzieciństwa – te momenty, gdy zaczynają do Ciebie docierać rozmiary świata, zaczynasz przelotnie pojmować jego ogrom. Jak ten ogrom zapiera dech w piersiach.

– Jeśli naprawdę dobrze się przyjrzyysz, uda ci się ją zobaczyć – mówię jej. – To ta malutka różowa plamka.

Millie upuszcza lalkę na podłogę. Dotyka Guernsey, jej paluszek zakrywa też połowę Francji. Rozczapierza dłoń, odległość od nas do Białorusi mieści się między jej rozpostartymi palcami.

– Tak naprawdę kraj Kiryła nie jest bardzo daleko – stwierdza.

– Jednak jest, Millie. To bardzo daleko. Dom musi mu się teraz wydawać tak odległy jak księżyc i gwiazdy.

– Czy kiedyś tam wróci?

– Tego nie wiem, kochanie.

Obejmuje globus dłońmi, potem wprawia go w ruch. Wirujące kolory mieszają się z sobą, cały świat to zawrotny taniec kolorów, żywy, oszałamiający kalejdoskop zieleni i brązów, i różów. Kręci się tak szybko, że wydaje się, iż lądy mogłyby się od niego oderwać – ulecieć wysoko w powietrze, a potem znowu opaść, gdy zwolni, i przemieszane wylądować każdy w innym miejscu. Niewłaściwym miejscu.

Drzwi gwałtownie się otwierają: Blanche wraca do domu od pani Sebire. Wchodzi energicznie do środka. Ściąga szyfonową chustkę, przeczesuje dłonią swoje ciemnoblonde włosy.

– Mmm.

Pociąga nosem z rozkoszą i idzie zajrzeć do garnka na kuchence.

– Jak smacznie pachnie ta zupa – mówi. – Już się na nią cieszę.

Ślinka jej cieknie, widzę, jak przełyka. Czuję ukłucie winy.

– Blanche, przykro mi, ale trzymam tę zupę dla kogoś innego – informuję ją.

– Ale ja jestem naprawdę głodna, mamó. – Głos jej się zaostrza w proteście.

– Wiem, że musisz być. Przykro mi, kochanie. Na kolację jest makaron.

– Wiesz, że nie lubię makaronu... Kim jest ten specjalny ktoś, który dostaje najsmaczniejszą zupę?

– Gość – odpowiadam.

– I dlaczego ten ktoś jest ważniejszy niż Millie i ja? – dopytuje się rozgoryczona.

– To nie jest nikt ważniejszy od ciebie, to po prostu ktoś, kto potrzebuje tego bardziej niż ty... Słuchaj, jeśli trochę zostanie, będziesz mogła zjeść, jak wrócisz od Celeste.

– Ale po co ta cała tajemnica? – zastanawia się.

– To po prostu ktoś, kto tu wpadnie. Nie znasz tej osoby – wyjaśniam.

Przez chwilę bacznie przygląda się mojej twarzy, starając się z niej coś wyczytać.

Zapada między nami chwila niezręcznej ciszy. Jej niebieskie oczy się zwężają, spojrzenie twardnieje. Czuję, że mi zasycha w ustach. Zastanawiam się, czy nie przyszło jej na myśl, że ten ktoś to mój kochanek: zastanawiam

się, czy nie podejrzewa Gunthera i mnie, czy ta zatrzymana dla kogoś wyjątkowego zupa nie potwierdza jej podejrzeń. Zawsze starałam się ją chronić, żeby nie dowiedziała się, jak źle było między mną a jej ojcem, żeby nie dowiedziała się o długim romansie ojca, o Monice Charles. Myślę, że musi mnie nienawidzić, jeśli mnie podejrzewa. Jednak bezpieczniej, żeby myślała, że ta zupa jest dla mojego kochanka, niż znała prawdę – że żywię Kiryła.

Odwraca się ode mnie, lekko wzruszając ramionami. Oddycham z ulgą. Mamy tę chwilę za sobą, a ja zastanawiam się, czy nie zrozumiałam jej źle.

– Naprawdę, mamo, zaczynasz brzmieć jak Millie – stwierdza. – Zawsze zamykacie się w sobie, i jedna, i druga.

Stawia torebkę na stole; jej wzrok pada na globus.

– I po kiego to wyciągnęłyście? Millie nie musi jeszcze sobie tym zawracać głowy. – W jej głosie słychać nutkę oburzenia. – Chyba pani Delaney nie zaczęła już uczyć jej geografii. Nie może być taka okrutna.

– Szukałyśmy pewnego kraju – wyjaśnia Millie głosem uroczystym i pełnym powagi.

– To okropne być dzieckiem – stwierdza Blanche. – Jednego dnia dobrze się bawisz, łapiąc cierniki, a następnego musisz uczyć się o tornadach i takich tam.

– To sekret – mówi Millie. – To nie ma nic wspólnego ze szkołą. – Zaciska mocno usta.

– Ty i te twoje sekrety – parska Blanche.

Odwraca się do mnie i unosi brwi, jakby chciała powiedzieć: Znowu zaczyna.

Millie chowa globus do szafki. Zamykane drzwiczki wydają cichy znaczący trzask, podobny do odgłosu, jaki wydaje lód, gdy pęka.

Rozdział 64

KIRYŁ SIEDZI PRZY MOIM STOLE i dopija ostatnie krople z miski.

– Dziękuję, Vivienne. Dziękuję.

Zapalam papierosy. Kirył z westchnieniem odchyła się do tyłu na krześle.

Mam pytanie, którego trochę boję się zadać, ale coś mi mówi, że on chciałby opowiedzieć swoją historię.

– Jak tu trafiłeś? Opowiedz, co się stało – proszę.

Przez chwilę milczy. Potoczysty śpiew ptaków napływa przez otwarte okno razem z leniwą wonią moich róż, które pachną tak słodko, że ma się ochotę wachać je bez końca.

Odchrząkuje.

– Mieszkałem w wiosce w lesie, jak wam mówiłem – zaczyna powoli swoim wysokim wygłodzonym głosem.

– Tak.

Millie przysuwa swoje krzesło do mojego i przytula się do mnie, tak jak zwykle, kiedy jej czytam: jego słowa brzmią jak początek opowieści z naszej książki z bajkami.

Kirył patrzy na nas, ale nie jestem pewna, czy naprawdę nas widzi. Jego oczy płoną, jakby miał gorączkę.

– Pewnej nocy nad ranem po ciemku Niemcy wyłamali drzwi. Była czwarta. Zaczęli szarpać moją żonę Danię i mnie, żeby nas obudzić. Wywlekli nas na zewnątrz na drogę prowadzącą do następnej wioski. Potem powiązali nas razem, o tak.

Wyciąga rękę i przyciska ją grzbietem do mojej ręki. Skórę ma tak zimną, że się wzdrygam na jego dotyk.

– Ręka w rękę? – pytam.

Przytakuje.

– Mieliśmy powiązane ręce, a oni kazali nam się rozciągnąć szeregiem na szerokość drogi. Powiedzieli nam, że mamy ruszyć przed siebie, bardzo małymi krokami... Moja żona, która szła obok mnie, znalazła się na końcu szeregu.

Słyszę nieskrywany ból w jego głosie. Wstrząsa mną strach. Wiem,

że to jakoś ważne, że jego żona szła na końcu szeregu.

Zerkam na Millie. Nie spuszcza oczu z jego twarzy. Zastanawiam się, czy nie powinnam jej powiedzieć, żeby nas zostawiła, czy nie powinnam ochronić jej przed tym, co może usłyszeć. Ale coś mnie powstrzymuje, może poczucie, jak mocna jest ich przyjaźń – poczucie, że Millie ma prawo wysłuchać tego, co on mówi.

– Szliśmy, a Niemcy podążali w pewnej odległości za nami – opowiada.

Potrafię to sobie wyobrazić, ale nie rozumiem, nie wiem, co wywołuje ten wyraz grozy, który widzę na jego twarzy.

– Partyzanci Armii Czerwonej walczyli z Niemcami – ciągnie. – Kryli się po lasach wokół nas. Partyzanci zakładali miny.

Millie marszczy brwi.

– Nie wiem, co to mina – szepce do mnie.

Odpowiada jej Kirył:

– Mina to tajna broń, ukryta pod ziemią. Jeśli na niej staniesz... – Wyrzuca ręce do góry, imitując wybuch. – Jeśli na niej staniesz, to koniec z tobą.

Oczy Millie rozwierają się szerzej.

– Niemcy używali nas do szukania min – opowiada Kirył. – Cokolwiek byśmy zrobili, czekała nas śmierć. Gdybyśmy nadepnęli na minę, tobyśmy zginęli. A gdybyśmy nad nią przeszli i jakiś Niemiec za nami wyleciałby w powietrze, toby nas zastrzelili, ponieważ nie trafiliśmy na tę minę. Więc szliśmy bez nadziei, bo tak czy owak mieliśmy umrzeć.

– Robiliśmy, co w naszej mocy, chociaż było tego niewiele. Stąpaliśmy po śladach koni. Staraliśmy się omijać te miejsca, gdzie ziemia była poruszona, bo śmierć od wybuchu wydawała nam się gorsza niż rozstrzelanie. Ze strachu w ustach mi zaschło. Płakałem, wszyscy płakaliśmy. Napływające łzy na wpół nas oślepiały. Tak to było...

Przez chwilę milczy. Serce mi wali. Millie siedzi całkiem nieruchomo, bardzo blada, oczy ma rozszerzone, nie spuszcza wzroku z jego twarzy.

– Pamiętam nagły wstrząs, hałas. Nigdy nie słyszałem takiego dźwięku. Rzuciło nas na ziemię – podejmuje. – A potem ta cisza. Na trochę uszy nam się zatkały; nic nie słyszeliśmy. Cali byliśmy pokryci krwią i ziemią. Jeszcze zanim się odwróciłem, wiedziałem, że Dania nie żyje. Leżała bez ruchu, ciało miała rozerwane. Niemcy odcięli sznur na jej ręce, ten, którym była przywiązana. Zostawili ją tam. Tym z nas, którzy jeszcze żyli, kazali dalej iść drogą...

Jego głos zamiera.

Patrzę na niego, ale już nie widzę jego twarzy. Kiedy opowiadał, do kuchni napłynął zmierzch i Kirył jest tylko czarną sylwetką na tle okna. Za jego plecami niebo zrobiło się granatowe, a w Blancs Bois słowik śpiewa swoją pełną uniesienia pieśń. Nie rozumiem, jak to wszystko może razem pomieścić się w tym samym wszechświecie: słowik, łagodny niebieski mrok – i ból, którym przesiąknięty jest jego głos.

– Tak mi przykro – mówię, ale moje słowa brzmią nie tak jak trzeba, są zbyt głośne w tym małym cichym pomieszczeniu. – Tak mi przykro z powodu Dani.

Kirył lekko kiwa głową.

– Tamtej nocy – ciągnie – zamknęli nas w składziku w wiosce. Opłakiwałem żonę. Myślałem, że to ja powinienem być tam na końcu szeregu, że to ja powinienem być zginąć, nie Dania. Że to moja wina. Że gdybym pozwoliłbym jej pierwszej dołączyć do szeregu, to ona by nie zginęła. Nadal tak myślę...

Otwieram usta. Już mam powiedzieć, że to nie jego wina, nie mógł niczemu zapobiec... Ale wiem, że to by go nie pocieszyło. Nie ma dla niego pocieszenia.

– Wieczorem przed jej śmiercią pokłóciliśmy się. Mówiła, że ciągle za dużo pracuję i nie mam dla niej czasu. – Głos ma zdławiony, muszę się pochylić, żeby słyszeć jego słowa. – Nie zawsze byłem dla niej dobrym mężem. Nie byłem dobrym człowiekiem. Moje ostatnie słowa do niej wypowiedziane były w gniewie.

Z cierpienia w jego głosie mogę wyczytać, że to go dręczy ponad wszystko, ten rozdźwięk, to niedokończone pożegnanie.

– Oddałbym życie, żeby ją uratować – mówi. – Ale nie miałem wyboru.

Słyszałam, że ludzie się obwiniają, jeśli inni wokół nich umierają, a oni pozostają przy życiu. O tym, że można czuć się winnym, bo się przeżyło. Widzę, że on ma to wypisane na twarzy.

– Nic nie mogłeś zrobić – mówię. – Nic.

Moje słowa są puste.

Siedzi tam przez dłuższą chwilę, z papierosem w ustach, nic nie mówi.

Millie przyciąga do siebie moją głowę i szepce mi do ucha.

– Chcę wiedzieć, co było dalej.

Jakby po tym, co usłyszała, nagle zaczęła się go bać, bała się odezwać bezpośrednio do niego.

Kirył słyszy ją i wraca do rzeczywistości.

– Opowiem wam teraz resztę – podejmuje. – Następnego dnia zabrano nas ciężarówką do Mińska. To nasza stolica. Z Mińska zostaliśmy wysłani do Niemiec. Jest takie duże centrum w Wuppertalu, gdzie było dużo więźniów. Starych i słabych wyprowadzono na zewnątrz i nigdy więcej ich nie zobaczyliśmy.

Millie podnosi na mnie wzrok. W oczach ma znaki zapytania.

– Co z nimi się stało? Z tymi wszystkimi starymi ludźmi? Co się stało?

– Cśś. – Obejmuję ją ramieniem. – Cśś.

– Potem zabrali nas do jakiegoś miejsca nad morzem. Wsadzili nas na statek i przywieźli tutaj. Nigdy wcześniej nie widziałem morza.

Zdumiona Millie szepcze do mnie.

– Ale morze jest wszędzie.

Przytulam ją mocno do siebie.

– Statek nie płynął bardzo długo – ciągnie Kirył. – Nie mieliśmy jedzenia i wielu zmarło. Niemcy wlewali wodę do ładowni dla więźniów. Musieliśmy robić o tak, by złapać kilka kropel...

Pokazuje nam – trzyma usta otwarte, odchyła głowę do tyłu, składa ręce, jakby łapał wodę.

– Potem przyплыliśmy tutaj. Stąd się tu wzięłem.

Gasi papierosa w popielniczce. Pochyla się do przodu i kładzie głowę na rękach spoczywających na stole. Jest wykończony: żeby opowiedzieć tę historię, wyczerpał do końca resztki swoich sił.

Przez długi czas siedzimy w ciszy. Zegar tyka, cienie wyciągają się w naszym kierunku. Brakuje mi słów.

– Powinieneś już iść – odzywam się w końcu.

– Tak – odpowiada.

Wyprowadzam go przez tylne drzwi i przez ogród na ścieżkę.

– Przyjdź jutro do stodoły – mówię.

– Tak, Vivienne. Dziękuję.

Znika w niebieskim zmierzchu.

Gdy wracam do domu, Millie nadal siedzi w półmroku w kuchni.

– Musisz iść już do łóżka, kochanie – mówię jej.

Nic nie odpowiada.

Włączam światło.

Podnosi na mnie wzrok, mruga w nagłej jasności. Płakała; jej blada buzia błyszczący od śladów łez.

Obejmuję ją. Przytulam tak mocno, że czuję trzepotanie jej serca.

Spodziewam się, że zacznie zasypywać mnie pytaniami. Dlaczego to mu się przytrafiło? Dlaczego byli dla niego tacy okrutni? Dlaczego jego żona musiała umrzeć? Tyle pytań, na które nie ma żadnej odpowiedzi.

Ale ona wtula się we mnie i nic nie mówi.

Rozdział 65

JEST DZIEŃ PRZED PLANOWYM powrotem Gunthera z przepustki. Znosi się na burzę: niebo jest ciemne jak siniak. Kiedy idę przez pola, gwałtowny podmuch wiatru wpycha mi włosy do ust i skręca niewielkie wiry z kurzu i suchych liści na ścieżce.

Dzisiaj Kirył ma coś dla mnie – bukiet kwiatów, które zerwał z żywopłotów, bodziszek i lnicia związane razem drutem.

Podaje mi kwiaty z lekkim uprzejmym ukłonem.

– Dla pani – mówi. – W żaden inny sposób nie mogę pani podziękować.

– Są śliczne.

Przyciskam kwiaty do twarzy. Mają zielony pyłkowy zapach. Jestem taka wzruszona – że przy całym swoim ubóstwie znalazł sposób, by dać mi prezent. I wiem, że to dla niego ważne – że jest dumnym mężczyzną. Że cała ta jego bieda jest mu nienawistna.

Prowadzę go z powrotem do domu i Millie dołącza do nas w kuchni. Karmię go zupą. Gdy je, stawiam kwiaty w szklance na parapecie. Są takie ładne, ale już wędną, róż i fiolet brązowieją po brzegach. Polne kwiaty żyją krótko, kiedy się je zerwie.

Kirył kończy jeść i siedzimy razem przy stole. Millie przysunęła krzesło blisko mnie; obejmuję ją ramieniem.

Tego wieczoru opowiada o miejscu swoich narodzin – o lesie brzozowym, łagodnych strumieniach; o pracowni, w której robił skrzypce. Wyobrażam go sobie – młodszego, z twarzą nienaznaczoną jeszcze cierpieniem, z głową pochyloną nad pracą, skupionego. Myślę o zawilościach, o delikatności jego pracy. Kiedy to sobie wyobrażam, dłonie ma znowu całe i zdrowe.

– Przyjdzie dzień, że tam wrócę – stwierdza.

– Tak – odpowiadam. – Wrócisz, oczywiście, że wrócisz.

A potem siedzimy w ciszy – nieskrępowani, jakbyśmy się znali od bardzo dawna.

Gdy wychodzimy, rzuca okiem na obrazek wiszący na kuchennej ścianie, na tę religijną rycinę Margaret Tarrant – Dzieciątka Jezus w żłobku, otoczone aniołami, których skrzydła są ogromne i kunsztowne, i pokolorowane

na delikatny matowy błękit leśnych dzwonek.

– Wierzy pani w to? – pyta, wskazując na rycinę.

– Do pewnego stopnia – odpowiadam. – Częściowo.

– Moja matka nadal wierzy, trzyma rodzinne ikony potajemnie schowane na strychu – mówi Kirył. – Ale ja już nie wierzę. – Głos ma zmęczony. – Nikt z nas w obozie nie wierzy. Żaden z nas. Nikt, kto widział to, co my widzieliśmy. Nie można cierpieć tak, jak my cierpimy, i zachować wiarę – stwierdza.

Nic nie mogę na to odpowiedzieć.

– Nie wierzę w Boga, ale mimo to jestem na niego zły – przyznaje. Lekko się uśmiecha. – To nie ma sensu, prawda, Vivienne?

Przeprowadzam go przez ogród. Spada kilka zbrązowiałych liści, a odgłos wiatru w drzewach jest jak morze, jak fala na kamkach: Angie mówiła mi, że ten odgłos zwiastuje deszcz.

W cieniu żywopłotu kładę mu na ramieniu dłoń.

– Kirył, jest coś, co muszę ci powiedzieć. Nie chciałam tego mówić przy Millie. Ale po dzisiejszym dniu nie będziesz już mógł bezpiecznie do mnie przychodzić. – Boli mnie, że mu to mówię, wiedząc, jakie to musi być dla niego ważne, że może przyjść i posiedzieć w naszym domu. – Jeden z Niemców z sąsiadującego z nami domu wraca z przepustki. Czasami do nas zachodzi.

Zastanawiam się, czy Kirył poczuje się zbulwersowany tym, że Niemiec odwiedza mój dom. Czy będzie mnie wypytywał? Czy we mnie zwątpi? Ale on tylko kiwa głową.

– Tak bardzo mi przykro – mówię mu. – Ale będę ci przynosić jedzenie do stodoły, tak jak robili to Millie i Simon. Jeśli cię nie będzie, zostawię je pod traktorem.

– Dziękuję, Vivienne – odpowiada.

– Uważaj na siebie – mówię mu.

– Pani też, Vivienne. – Lekko się kłania. – Jestem taki wdzięczny – dodaje.

Odwraca się ode mnie, zagłębia w moim ciemniejącym sadzie. Sine chmury napierają na ziemię. Za chwilę zaczną padać.

Rozdział 66

SOBOTA. BUDZĘ SIĘ OGARNIĘTA poczuciem szczęścia, zalewa mnie promienna świąteczna radość, zanim uświadamiam sobie, dlaczego jestem szczęśliwa. A potem sobie przypominam, czemu tak się czuję: dziś Gunther wraca z przepustki. I razem z tą świadomości pojawia się lekka obawa, mącą jasność mojego nastroju, tak jak oddech przesłania mgiełką powierzchnię lustra. Co by zrobił, gdyby się dowiedział, że żywię Kiryła? Czy by nas zdradził – Kiryła, Millie i mnie? Co by zrobił? Mówię sobie, że oczywiście by nas nie zdradził. Jest dobrym człowiekiem. Wiem, że jest życzliwym człowiekiem... Ale słyszę głos Blanche: *Czy można kiedykolwiek naprawdę kogoś poznać? Jak można kiedykolwiek być pewnym?*

Kiedy jestem na podwórku, zerkam na duże okno wykuszowe w Les Vinaires w nadziei, że go chociaż przelotnie zobaczę. A od czasu do czasu idę do swojej sypialni i wyglądam na ich ogród przed domem. Świat jest jasny i migotliwy, oczyszczony przez wczorajszą burzę, wszystko jest promienne, napawa nadzieją. Ale go nie widzę.

Dobrze przed godziną policyjną zanoszę trochę jedzenia do stodoły Petera Mały – chleb i szynkę, i jabłka, zawinięte w ściereczkę w koszyku. Kirył czeka. Bierze ode mnie jedzenie.

– Dziękuję, Vivienne. Z całego serca dziękuję.

Nie dotrzymuję mu towarzysztwa przy jedzeniu: pozostawianie tu z nim niesie zbyt duże ryzyko. A jeśli ktoś mnie widział, zastanawiał się, dokąd idę – a nawet poszedł za mną? Ale czuję lekki smutek, że go tam zostawiam.

Wysłuchuję modlitwy Millie i okrywam ją kołdrą. Wyciąga rączki i natarczywie przyciąga moją głowę do swojej. Przyciska mi usta do ucha; jej delikatny oddech leciutko mnie łaskocze.

– Kirył dziś nie przyszedł – mówi.

– Nie, kochanie. Ale dałam mu jeść. Zniosłam mu jedzenie do stodoły. Od teraz będę musiała tak robić.

Millie leży w świetle lampy pogodnym jak aksamitki. Gdy się pochylam ku niej, mój cień zasłania jej twarz.

– Nie może już przychodzić?

– Nie, nie sędę, żeby mógł. Teraz nie jest tu bezpiecznie. I nie chcę, żebyś ty szła ze mną, kiedy idę do stodoły, żeby nas przypadkiem ktoś nie zobaczył. – Mówię szybko, bo boję się tego, o co może zapytać.

– Ale ja naprawdę chcę iść z tobą. – Jest oburzona. – On jest też moim przyjacielem. On był najpierw moim przyjacielem, mamusiu.

– Wiem. Ale musimy być ostrożne – wiesz o tym. Mogłybyśmy ściągnąć na siebie niebezpieczeństwo, Millie. Musisz mnie posłuchać.

Marszczy brwi. Zastanawia się, czy warto protestować – zastanawia się, czy ustąpię.

– Zresztą przeziębienie ci już przechodzi – mówię. – Będiesz znowu mogła się po szkole bawić z Simonem.

Wątpliwości pływają w jej ciemnych oczach jak małe rybki. Krew zaczyna krążyć mi szybciej w żyłach. Czekam, aż zapyta: Ale dlaczego, mamusiu? Dlaczego Kirył nie może tu przychodzić?

– Chciałabym, żeby mógł dalej przychodzić do naszej kuchni – stwierdza.

– Wiem, kochanie. Ja też bym chciała. Ale rzecz w tym, że nie chcemy go narażać.

Przyjmuje moje słowa do wiadomości. Ziewa szeroko jak kot, przeciąga się rozkosznie, układa z powrotem na poduszce. Naciąga kołdrę aż po szyję.

– To pilnuj, mamusiu, żeby dobrze o niego dbać – prosi.

O DZIESIĄTEJ SŁYSZĘ ciche pukanie do drzwi. Serce mi wali.

Otwieram drzwi. Gunther jest ciemną sylwetką na tle księżycowego światła.

Ma dla nas butelkę brandy. Wchodzę do kuchni po kieliszki. Idzie za mną. Nagle czuję się przy nim niezręcznie. Jakbyśmy zapomnieli, jak być z sobą, jakby istniał rytm, który kiedyś znaliśmy, a którego teraz musimy się ponownie nauczyć.

– No i jak tam było w Berlinie? – pytam.

Takie pytanie zadaje się, gdy ktoś wraca z podróży. Ale to pytanie jest pełne napięcia, skomplikowane. Własne ciało wydaje się niezdarne, za duże do tego pomieszczenia.

– Berlin był właściwie taki jak zawsze. Ale Kolonię i Lubekę straszliwie zbombardowano. Tyle zniszczeń. Nie mogę o tym rozmawiać – mówi.

Nie wiem, co myśleć. Czy nie tego właśnie powinnam chcieć? Żeby niemieckie miasta zostały zniszczone? Ale widzę cierpienie na jego twarzy i nie odczuwam triumfu – tylko niejasny smutek. Nic nie mówię.

– Straszny jest ten świat, na którym żyjemy, Vivienne – dodaje.

– Tak.

Z tym przynajmniej mogę się zgodzić.

Pytam o jego żonę, o Ilse.

– Nie zmieniła się – odpowiada. – Zawsze utrzymuje dom w porządku. Choć życie codzienne jest trudne, oczywiście.

Przychodzi mi na myśl, jakie to dziwne, że zadaję takie pytania. Zanim wyjechał na przepustkę, nasza miłość wydawała się czymś tak naturalnym – oczywistym jak powietrze, jakby była żywołem, w jakim żyłam. Teraz coś się zmieniło, urwało.

– Widziałeś Hermanna? – pytam go.

Jego twarz łagodnieje, gdy słyszy imię syna. Ale potrząsa głową.

– Nie – odpowiada. – Jest w Afryce z Rommlem.

Niteczka strachu oplata jego głos. Odwraca się ode mnie, żeby ukryć ten strach, i jego wzrok pada na kwiaty, które zebrał dla mnie Kirył. Kwiaty prawie zupełnie już zwiędły, ich pomarszczone płatki przypominają strzępki szarego papieru; ale były takim cennym darem, że nie mogę się zdobyć na to, aby je wyrzucić.

– Ktoś dał ci kwiaty? – pyta.

Jego głos robi się odrobinę ostrzejszy. Uświadamiam sobie, że mógł pomyśleć, że mam innego adoratora.

– Ach, to tylko Millie – rzucam ze śmiechem, od niechcienia.

Jednak źle mi to wychodzi: mój śmiech wydaje się wymuszony. Przechodzi mnie dreszcz, robi mi się zimno. Przez krótką chwilę panikuję, boję się, że wyczyta z mojej twarzy to, co chcę przed nim ukryć.

Ale potem przywiera ustami do moich warg, obejmuje mnie ciasno ramionami, a ja czuję, że otwieram się przed nim tak jak zawsze. Tak bardzo go pragnęłam.

Prowadzę go na górę do swojej sypialni. Ma dla mnie torbę z prezentami. Pokazuje mi, co przywiózł: jedwabne pończochy, francuskie papierosy i L'Heure Bleue Guerlaina w kryształowym flakoniku, który lśni i migocze w świetle. Otwieram perfumy i głęboko wciągam powietrze: mają cudowny wyrafinowany zapach, pachną migdałami i melancholią. Delikatnie dotykam pończoch, czuję ich pajęczynową delikatność, boję się, że od dotyku moich szorstkich rąk pójdą w nich oczka. Będę musiała wkładać rękawiczki, zanim je założę. Zastanawiam się, czy te prezenty nie są dla mnie za eleganckie – czy nie jestem teraz zbyt zniszczona, zbyt wymęczona na taki luksus.

W jego ramionach myślę tylko o nim. Czuję, jakie to słuszne, jakie

rozkoszne, że jest w moim łóżku, tam, gdzie powinien być. Ale potem pytania wracają, są jak nieustępliwe skrzydła bijące w pociemniałe szyby mojego umysłu.

On to widzi, oczywiście.

– Wydajesz się czymś pochłonięta, kochanie – mówi. – Czy coś się stało?

– Nie martw się, to nic takiego – odpowiadam.

Obrysowuje skraj mojej twarzy ciepłym palcem.

– Ale wiem, że jednak coś jest – stwierdza.

– Tylko to, co zwykle. Wiesz, pilnowanie, żeby wszystko jakoś szło. Przy tych wszechobecnych brakach. Do tego Evelyn trochę mniej sprawna umysłowo...

W pamięci tkwi mi opowieść Kiryła – ci mieszkańcy wioski powiązani razem w lesie. Chcę go zapytać, jak coś takiego mogło się zdarzyć, jak można traktować ludzi tak, jakby wcale się nie liczyli – wykorzystać, pozbyć się, wyrzucić. Dowiedzieć się, czy Gunther słyszał kiedykolwiek o takim okrucieństwie. Ale nie mogę zapytać, bo gdybym to zrobiła, od razu zastanawiałby się, gdzie o tym usłyszałam.

– A co z małą Millie? Nadal się o nią martwisz? – pyta.

Wolałabym, żeby akurat tego nie mówił. Za bardzo zbliża się do spraw, które mi ciążyą. Odwracam się trochę od niego, żeby nie widział wyraźnie mojej twarzy.

– Nie, chyba z nią wszystko w porządku. Uspokoila się – mówię mu.

– Żadnych więcej duchów? – pyta.

– Nie, nie wspomina już o tym.

– To był tylko etap. Wszystkie dzieci przechodzą przez różne etapy – stwierdza.

– Tak, pewnie tak.

Głęboko oddycha, przeciąga się, ponownie oplata mnie ramionami. Kładę mu głowę na piersi. Czuję, jak bije jego serce.

– Tak dobrze jest być w domu – mówi mi.

Nie mogę uwierzyć, że to właśnie chciał powiedzieć – kiedy nazwał moją sypialnię „domem”. Mówię sobie, że to tylko przejęzyczenie. Ale i tak czuję się szczęśliwa, że to powiedział.

Rozdział 67

CO WIECZÓR W TYM TYGODNIU zanoszę trochę jedzenia do stodoły. Kirył jest tam, czeka na mnie. Krótko rozmawiamy, ale nie wydaje się bezpieczne rozmawiać tak, jak to robiliśmy w mojej kuchni przy stole. Zasmuca mnie to: czuję, że zaczynamy się oddalać od siebie, i jestem wdzięczna, że dane nam było spędzić razem trochę czasu bezpiecznie w moim domu. Już się nie boję, gdy to robię, choć zawsze jestem ostrożna. Staje się to dla mnie codziennym zajęciem, czymś, do czego się przyzwyczajam. Zanieść jedzenie do stodoły, porozmawiać z Kiryłem; potem wrócić do domu i czekać na Gunthera. Przechodząc z jednego świata do drugiego.

W piątek wieczorem idę jak zwykle do stodoły, ale Kiryła tam nie ma. Siedzę w drzwiach, wsłuchując się w ciche, głuchoe uderzenia własnego serca. W końcu wydaje mi się, że słyszę ciche kroki i zalewa mnie uczucie ulgi. Szybko się odwracam. Ale za mną nic nie ma – tylko szeleszczące trawy i liście, i cienie liści. Czekam długo. Nie podoba mi się to, że zostawiłam Evelyn i Millie, ale nie mogę odejść, dopóki go nie zobaczę. Słońce zaczyna zachodzić w blasku różu, bursztynu i złota. Siedzę tak nieruchomo, że króliki podchodzą tuż do mnie, przemykając zupełnie bezgłośnie przez bladą zwichrzoną trawę. Na ciemniejącym niebie rysuje się kredowy sierp księżycy, jak obrzynek paznokcia. Kiedy jest już prawie godzina policyjna, wracam do domu.

Mówię sobie, że wszystko mogło się zdarzyć. Może więźniów zmuszono, żeby naprawili dziurę w płocie. Może zmianę mieć inny strażnik, który nie przemyka oka na więźniów. Mówię sobie, że przyjdzie jutro. Ale dręczy mnie nieprzyjemne, mdlące uczucie.

– Masz trochę zmarszczone brwi – mówi Gunther. Przesuwa palcem w dół między moimi brwiami, jakby chciał zetrzeć tę zmarszczkę. – Chodzi o Millie?

– Nie, nie o Millie. To nic takiego. Naprawdę – zapewniam.

Widzę, że mi nie wierzy, ale nic więcej nie mówi i martwi mnie, że już nie wypytuje. Jakby wiedział, że mogę nie powiedzieć mu prawdy. Zastanawiam się, czy coś podejrzewa.

Kiedy następnego dnia przychodzę do stodoły, to, co zostawiłam, wciąż leży pod traktorem, koszyk z jednej, ściereczka z drugiej strony, jedzenie rozwłócone i pogryzione. Wygląda na to, że dobrały się do niego szczury.

Przenika mnie chłód. Myślę o tej straszliwej scenie, którą widziałam w pobliżu ziemi Harry'ego Tostevina, a od której minęło już teraz tyle miesięcy – o tym mężczyźnie, którego pobito i skopano na śmierć. Nie mogę znieść myśli o tym, co mogło się stać w piekle, w którym przebywa Kirył.

Z nadzieją wracam co wieczór, ale Kiryła nadal nie ma, a jedzenie albo jest nienaruszone, albo rozwłócone przez zwierzęta. Wiem, że będę musiała przestać to robić. Nie mam tyle jedzenia, żeby się dzielić, jeżeli nikt go nie je. Więc chodzę tylko co drugi dzień, a potem zupełnie przestaję.

Nie wiem, co powiedzieć Millie. Postanawiam nic nie mówić. Millie zamieszkuje czas teraźniejszy dzieciństwa; ciągle jest na dworze z Simonem, grają w kasztany, wędrują po Blancs Bois, łapią cierniki w strumieniach. Może już prawie wcale nie myśli o Kiryle.

Któregoś dnia przygotowuję smakołyk na kolację – szarlotkę z jabłkami z sadu, które są dobre do pieczenia. Dosładzam je miodem od Gwen i robię chrupiącą kruszonkę z cennych skórek czerstwego chleba. Millie się przygląda. Uwielbia patrzeć, jak przygotowuję jabłka, jak obieram każde z nich, tworząc nieprzerwaną, lśniącą, skręconą wstęgę skórki.

Wraca do kuchni, gdy wyciągam ciasto z pieca. W powietrzu unoszą się smakowite zapachy – karmelu, jabłek, przypieczonego chleba.

– Mmm. To naprawdę ładnie pachnie. Kiryłowi będzie smakować – mówi.

Nic nie odpowiadam. Jestem odwrócona plecami. Czuję na sobie jej pytające spojrzenie.

– Co się stało, mamusiu? Czy z Kirylem wszystko dobrze? – pyta.

Wiem, że muszę jej powiedzieć, postąpić uczciwie. Jestem jej to winna. Jej przyjacielem był najpierw, tak jak mówiła.

– Nie wiem, kochanie. Martwię się o niego. Nie było go w stodole. Od jakiegoś czasu go nie widziałam.

Jej mała twarzą mrocznieje. Przez chwilę nic nie mówi. Komarnica ślizga się po szybie, patykowata, szara jak deszcz. Na zewnątrz wieje porywisty wiatr, szura w zaspach kolorowych liści, kolejne liście przelatują przed naszym oknem – pora roku się kończy, wszystko się rozpada.

– Co się z nim stało? – pyta Millie.

– Może nie mógł wieczorem opuścić obozu pracy. A może przenieśli go gdzie indziej. Może nawet być w innym kraju – odpowiadam.

Ale nie wiem, czy tak może się stać, czy robotników przymusowych przenosi się z jednego kraju do drugiego, czy może kiedy znajdą się tu, na Guernsey, to już na dobre.

– Czy on umarł? – chce się dowiedzieć Millie.

Szokuje mnie, że to ona wypowiada te słowa.

Czuję gwałtowną potrzebę, żeby ją pocieszyć, jak dziecko, któremu przyśnił się koszmarny sen – uspokoić ją, powiedzieć, że ze światem wszystko jest w porządku. Ale to wydaje się niewłaściwe.

– Nie wiem, Millie... Kochanie, będziesz zawsze pamiętała, że to musi być sekret, prawda? To, że Kirił był naszym przyjacielem. Że dawałyśmy mu jeść. – Ujmuję jej buzię w dłonie, zaglądam jej w oczy, widzę złote rozbłyski w ich ciemnej głębi. – Nie wolno nam nikomu powiedzieć, nigdy. Nawet jeśli go nigdy więcej nie zobaczymy.

Patrzy prosto na mnie. Spojrzenie ma ciemnobrązowe i świetliste.

– Wiem o tym, mamusiu. Mówiłaś mi. – Jest trochę zła, zniecierpliwiona, ponieważ ciągle to powtarzam. – Obiecałam. To nasz sekret, prawda?

Tak, myślę, a serce mi zamiera.

CZEŚĆ V

grudzień 1942 – listopad 1943

CZĘŚĆ V

grudzień 1942 - listopad 1943

Rozdział 68

PRZYCHODZI ZIMA, TRZECIA ZIMA okupacji: wszystko jest pozamykane, wszystko się wycofuje, w moim ogrodzie sterczy pełno nagich białych łądyg przypominających małe kości. Jest zimno. Na Guernsey rzadko miewamy przymrozki, ale duje porywisty wiatr, który przejmuje wszystko chłodem. Ze ścieżki za polami Harry’ego Tostevina widać morze, blade i rozwścieczone, które bije i tłucze w łąd, rozbryzgując pióropusze białej piany. Bardzo ostrożnie gospodaruję drewnem. Jeżeli w salonie rozpalony jest ogień, surowo karzę dziewczynki, gdy zapomną zamknąć drzwi i pozwolą, żeby uciekło trochę ciepła. Jeśli wojna potrwa jeszcze przez rok, nie wiem, skąd będziemy brać opał. Może będę musiała ściąć drzewa w sadzie – choć za każdym razem, gdy o tym myślę, smutek szarpie mnie za rękaw.

Gwen mówi mi, że setki ludzi deportowano do Niemiec. Wysłano ich do obozów dla internowanych, tak jak powiedział mi Gunther. Jest wściekła.

– Mówi się, że rząd na Guernsey w ogóle nie protestował. Wiem, że mają związane ręce. Ale nie musieli siedzieć cicho, być tacy usłużni – stwierdza.

Nie pyta, dlaczego moje nazwisko nie pojawiło się na liście.

Jestem taka wdzięczna Guntherowi, że nikt po mnie nie przyszedł i nadal jestem tu ze swoimi dziećmi.

Któregoś dnia Blanche zjawia się w mojej sypialni. Na jej policzkach płoną jaskrawe rumieńce zażenowania. Czuję ukłucie niepokoju.

– Mamo. – Głos ma przyciszony i zawstydzony. – Chciałam cię o coś zapytać... Chodzi o... okres. Nie dostałam.

– Blanche. Nie. – Jestem przerażona. Nasz głód, te braki i teraz to: jeszcze jedna osoba do wykarmienia.

Blanche się wzdryga.

– Nie bądź zła, mamo. Proszę.

– Dlaczego nie miałabym być? O ile miesięcy się spóźnił?

– Jeden. Mamo, nie rozumiesz. Ja nie... – Nie przechodzi jej to przez

usta. – To znaczy, uczciwie mówię, to nie to. Wiesz to, mammo, wiesz przecież, że nawet nie mam chłopaka. Nawet by mi do głowy nie przyszło, żeby chodzić z jakimś chłopakiem z wyspy. Wszyscy są tacy nudni... A nawet gdybym – to na pewno bym nie – no wiesz... Mammo, ja postępuję tak, jak każe Biblia. Dlaczego mi nie ufasz?

Patrzę w jej niebieskie jak lato oczy. Nie odwraca wzroku.

– Mówisz prawdę?

– Tak, przysięgam.

Mój gniew się ulatnia.

– Kochanie, przepraszam. Martwiłam się...

Blanche nie reaguje. Wiem, że nieprędko wybaczy mi, że w nią zwątpiłam.

– Sądzę, że może się tak dziać, ponieważ jesteś głodna – wyjaśniam. – Jeśli za bardzo schudniesz, twój układ przestaje działać. Czytałam o tym gdzieś.

– O! Jesteś zupełnie pewna?

– Tak. To nie znaczy, że coś jest nie w porządku – mówię.

Myślę o tym, że moje cykle też zrobiły się nieregularne. Mam wyrzuty sumienia, że byłam na nią taka zła.

– I będę mogła zostać matką, jak wyjdę za mąż? – pyta.

– Tak, oczywiście – zapewniam ją. – Wszystko wróci do normy, kiedy będziemy mieć trochę więcej jedzenia.

Obejmuję ją. Jej ciało jest sztywne, oporne. Wciąż jest zła, że nie miałam do niej zaufania.

NASZE UBRANIA SĄ ZNOSZONE, poprzecierane. Nie jest tak źle w wypadku Millie: może nosić stare ubrania Blanche, więc wciąż ma co na siebie włożyć – spódnicę w szkocką kratę, wzorzysty pulower Fair Isle, sukienkę z białej organdy z szarfą z wiśniowej wstążki. Zresztą ma dopiero sześć lat – nie obchodzi jej, co ma na sobie. Ale Blanche jest w desperacji. Ogląda zdjęcia w czasopismach i tęskni za wytwornymi strojami.

Któregoś dnia siadam do mojej maszyny do szycia; kilka z naszych prześcieradeł się poprzecierało, więc je przesywam. Blanche przygląda mi się w zamyśleniu.

– Mammo. Czy mogłabym coś uszyć? Mogłabym zrobić sobie coś nowego? Wyglądam jak ostatnie bezguście.

– Absolutnie tak nie wyglądasz, kochanie, zawsze wyglądasz ślicznie.

– Mówisz tak tylko dlatego, że jesteś moją matką – odpowiada. – A ja na serio bym chciała. Naprawdę.

– Mogę się rozejrzeć w St. Peter Port. Ale sklepach nie ma teraz żadnych materiałów. Tylko końcówki beli, których nikt nie chce.

– Celeste zrobiła sobie spódnicę ze starych zasłon – mówi Blanche. – Wygląda w niej bardzo stylowo. Tak jak się powinno wyglądać... Musi gdzieś w domu znaleźć się kawałek materiału, który mogłabym wykorzystać.

Idę na tylny strych z mocnym postanowieniem, że coś znajdę.

Strych robi takie wrażenie, jakby był całkiem wydzielony, odizolowany, słychać tylko szuranie i gruchanie gołębi na dachu; te odgłosy wydają się tutaj tak głośne, jakby samo powietrze oddychało. Przez mansardowe okna widać wysokie zimowe niebo, szare jak blacha i błyszczące.

Otwieram duży stary kufer na pościel, kamforowy zapach łaskocze mnie w nos. Znajduję poszewki na poduszki i obrusy, które przywiozłam po ślubie – płótna zbyt porządne, by ich używać na co dzień, i dlatego w ogóle nieużywane. Zupełnie o nich zapomniałam. Na dnie kufra znajduję zieloną aksamitną zasłonę, która kiedyś wisiała w drzwiach wejściowych, by chronić przed przeciągiem. Strzepuję ją, unoszę. Ma intensywny nefrytowy kolor, jak głęboka morska toń w gorący letni dzień, jak morze w Petit Bot chlupoczące u stóp klifu. Ten odcień będzie idealnie nadawał się dla Blanche. Jestem pewna, że będzie potrafiła coś z tego zrobić. Ja sama jestem beznadziejną szwaczką: dowolny kawałek materiału w moich rękach staje się krnąbrny, jakby żył własnym życiem. Ale Blanche to urodzona krawcowa.

Zanoszę zasłonę na dół i przykładam jej do twarzy.

– Pięknie ci w tym kolorze – mówię.

– Mogę tego użyć? Naprawdę, naprawdę?

– Tak, oczywiście. Wywieszę ją, żeby wywietrzyła się z naftaliny.

– Ale co powinnam uszyć? – pyta mnie.

Zaglądamy do szafki z szyciem w kredensie. Grzebiemy w splątanej obfitości kolorów, motków nici i resztek wełny w żywych barwach, i znajdujemy wykrój Simplicity, który kiedyś kupiłam i jakoś nigdy go nie wykorzystałam, na elegancki, dopasowany żakiet. Kobieta na rysunku na opakowaniu wygląda olśniewająco, tak jak bogate młode kobiety wyglądały przed wojną. Ma kapelusik ze śliwkowego aksamitu, naciągnięty kokieteryjnie na oko, a pantofelki wąziutkie i delikatne. Można ją sobie wyobrazić w palmiarni jakiegoś wykwiutnego hotelu, przycupniętą prowokacyjnie na stołku barowym, z papierosem w długiej cygarnicze i koktajlem w dłoni.

Blanche zagląda mi przez ramię.

– Właśnie tak chcę wyglądać – mówi.

BLANCHE SZYJE WYTRWALE co wieczór. Po pięciu dniach żakiet jest gotów. Blanche wkłada go, żeby pójść do domu Celeste. Kolor podkreśla jej karmelowe, jasne włosy, żakiet pasuje idealnie. Nagle wygląda na o wiele starszą – już nie na dziewczynkę. Jej uroda mnie olśniewa.

– To wygląda przepięknie – mówię.

– Tak – zgadza się z pochwałą.

Akurat wychodzi, kiedy z podwórka dobiega dźwięk dzwonka rowerowego. Idę otworzyć drzwi: to Johnnie z prezentem od Gwen, workiem kapusty i jarmużem. Śpieszy się, jak zawsze. Prawie wpada na Blanche, gdy ta wymyka się przez drzwi.

– Och – mówi.

Widzę, jak na nią patrzy – oczy mu się rozszerzają, jakby go przestraszyła, jakby nigdy jej naprawdę wcześniej wyraźnie nie widział. Blanche jest tego świadoma. W towarzystwie tego chłopca, z którym się kiedyś bawiła, czuje się onieśmielona, trochę zażenowana. Całą jej twarz i szyję oblewa jaskrawy rumieniec. Żadne z nich słowem się nie odzywa; żadne z nich się nie uśmiecha.

Potem, gdy wraca do domu tuż przed godziną policyjną, przypomina mi się ten drobny incydent.

– Jaka szkoda, że teraz wcale już z Johnniem się nie widujecie – mówię bez zastanowienia. – Pamiętasz, gdy byliście dziećmi, jak się razem bawiliście? Znikaliście w lesie na długie godziny. I nigdy nie zapomnę tego popołudnia, kiedy próbowaliście robić wyścigi ślimaków na tarasie... Byliście jak Millie i Simon...

Rzuca mi dosyć surowe spojrzenie, nie uśmiecha się. Rozumiem, że trąciłam niewłaściwą strunę.

– To było bardzo dawno temu, mamó – odpowiada mi chłodno.

Wciąż ma na sobie żakiet. Idzie przejrzeć się w lustrze w salonie. Unosi dłońmi do góry włosy, żeby sprawdzić, jak wyglądałyby, gdyby podczesała je wysoko, odsłaniając zgrabny jasny kark z kilkoma zwisającymi blond kosmykami. Przypomina żółty kwiat na smukłej łodyżce odwracający się twarzą ku słońcu. Uśmiecha się do swojego odbicia, pozuje. Gładzi kłapę żakietu.

– Tydzień temu to była zwykła stara zasłona – mówi.

Podziwiam ją – to, jak stworzyła coś tak ślicznego z czegoś od tak dawna

zapomnianego.

WŁOSY GUNTERA CAŁKIEM już posiwiały. Gdy to zauważam – a zawsze tak się zdarza, gdy dochodzi do mnie, jak naznaczyły go lata – zastanawiam się, co on widzi, kiedy na mnie patrzy. Ja włosy mam nadal ciemne, wolne od siwizny, ale gdy dostrzegam swoje odbicie w lustrze, przypadkowe, nieuśmiechnięte, widzę jakąś nową surowość w swojej twarzy – wargi mam zaciśnięte, czoło zmarszczone – jakbym musiała bronić się przed tym, co mnie otacza. Więc staram się nie patrzeć w lustro. Nasza miłość stała się teraz spokojniejsza, łagodniejsza. Czasem po prostu zasypiamy w swoich objęciach jak stare małżeństwo. Czuję do niego głęboką wdzięczność – za jego obecność w moim życiu, w moim łóżku. Sprawia, że wszystko daje się znieść.

Nadal dostajemy wiadomości o wojnie, z tego radia, które mama Celeste ukryła w jednej z trumien pana Ozanne'a. Blanche opowiada nam o oblężeniu Stalingradu. Niemcy są w mieście: niemiecka armia jest odcięta, otoczona, ale nie chcą się poddać.

Pytam o to Gunthera.

Widzę, jak twarz mu tężeje, jak twardnieją mięśnie wokół ust.

– To piekło na ziemi – mówi. Słyszę tę ostrą drzazgę strachu, która zawsze pojawia się w jego głosie, gdy mówi o Rosji. – Psy i szczury uciekają z miasta, tylko ludzie pozostają. Ponoć nawet rzeka płonie. Nie ma tam nic poza ogniem i śmiercią... – zacina się, jakby ani w jego, ani w moim języku nie było słów, które mogłyby oddać ten horror. – Nazywają to miasto masowym grobem Wehrmachtu – dodaje.

Z radością witamy nadejście wiosny – drżące leszczynowe kotki, kwiaty w żywopłotach, nadzieję, jaka budzi się, kiedy powietrze łagodnieje, a dzień się wydłuża. W żółte jak żonkile poranki, gdy wietrzyk ma zapach kwiatów, a krople nocnego deszczu nie wyschły jeszcze na trawie, można przez chwilę wierzyć, że wszystko nie tak musi się układać, nie musi być takie trudne. Że może kiedyś się skończyć: że moglibyśmy żyć innym życiem.

Wiosna ustępuje latu. Przylatują jaskółki: uwielbiam patrzeć, jak śmigają nad polami, na osnowę i wątek ich ruchów, jakby w niebieskim powietrznym przestworzu tkwały jakąś cienką jak pajęczyna tkaninę. Róże w moim ogrodzie kwitną, las Blancs Bois, tajemniczy pod wspnianiałym baldachimem liści, pełen jest śpiewających ptaków. Świat budzi całe swoje piękno, niepomny na nas – na to, co dzieje się z nami, jak cierpimy, jakich wyborów dokonujemy.

Rozdział 69

TO WYDARZA SIĘ W pełni lata.

Któregoś wieczoru, gdy dziewczynki już się położyły, na godzinę przed przyjściem Gunthera siedzę sama w salonie ze stosem rzeczy do cerowania. Słyszę ciche, głuchoe stuknięcie w tylne drzwi. Zrywam się. W pierwszej chwili myślę, że to jakieś duże zwierzę w nie uderzyło – może koń lub krowa wdarły się do ogrodu. Idę do drzwi, serce mi dygocze, otwieram je ostrożnie.

Mogę je tylko lekko uchylić: coś dociska skrzydło. Wyglądam przez szparę. Przez krótką chwilę otumanienia nie mogę zrozumieć, co widzę, mam wrażenie, że ktoś rzucił na mój próg kupę obrzydliwie brudnych, szarych łachmanów. Wpatruję się w nie. *O Boże*. Ta kupa łachmanów to mężczyzna. Leży na brzuchu, twarz ma ukrytą. Patrzę, a on unosi głowę.

– Dobry Boże, Kirył.

Powieki mu drżą, otwiera oczy.

Proszę, Boże, myślę. Daj, żeby nikt go nie zauważył...

– Vivienne. Wróciłem – chrypi szeptem.

Przeraża mnie zmiana, jaka w nim zaszła. Już wcześniej był żałosny, obdarty, zagłodzony, ale teraz zrobił się taki kruchy, że jest prawie przezroczysty. Twarz ma zapadniętą, szkielet mu sterczy spod skóry – widać, jak będzie wyglądał po śmierci. Wokół ust i oczu ma cienie podobne do sińców. Kaszle, a ten kaszel to drapieżne zwierzę, które szarpie go, prawie go niszczy.

Przesuwa się tylko tyle, żebym mogła otworzyć drzwi. Wymykam się na zewnątrz.

– Możesz wstać? – pytam go.

Podaję mu rękę. Chwyta ją, z trudem się podnosi. Wprowadzam go do domu.

Daję mu to, co mam do jedzenia, zimne ziemniaki i zupę. Je powoli; musi się wysilać, żeby przełykać, ta czynność wymaga od niego całej siły woli. Pamiętam, z jaką ochotą, jak łapczywie jadł moje jedzenie. Cieszę się, że Millie śpi, że nie musi go oglądać w takim stanie.

– Przestałeś przychodzić do stodoły – mówię.

– Byli inni strażnicy – odpowiada.

Ale być może to nie jest prawdziwy powód. Być może chodzi o to, że powiedziałam, iż Niemiec odwiedza mój dom.

Zapalam papierosy i podaję mu jednego. Siedzi przy moim stole, opierając głowę na rękach. Spoglądam na niego, na przypominające niebieski popiół cienie na jego twarzy. Przypomina moją matkę, kiedy leżała chora i miała w sobie tę nieuchronność śmierci. Wiem, że pozostało mu zaledwie kilka dni życia. A przecież przyszedł tu, aby mnie odnaleźć. Coś w nim wciąż czepia się życia, coś nie chce odejść – jeszcze nie. Przyszedł tu.

W tym momencie, myśląc to, już wiem, co muszę zrobić. Widzę to z precyzyjną jasnością, tę bezwzględną konieczność działania, ciężar tej chwili spada na mnie jak nagły ulewny deszcz. Ale się wzdragam. Wszystko dzieje się tak szybko: nie jestem przygotowana, gotowa. Nie zwykłam tak postępować – tak natychmiast, tak impulsywnie. Chciałabym to przemyśleć; chciałabym wszystko rozważyć. Ale brak na to czasu.

Przełykam z wysiłkiem. Ze strachu ściska mnie w gardle. To moment, od którego nie będzie odwrotu.

– Kirył. – Mój głos brzmi prawie normalnie, tyle że odrobinę piskliwie. – Gdyby można było się wydostać – gdyby udało mi się znaleźć kogoś, kto pomógłby ci uciec – chciałbyś to zrobić?

W jego oczach pojawia się błysk.

– Tak – odpowiada. – Tak, Vivienne.

Teraz, kiedy to już powiedziałam, wpadam w panikę – boję się o niego i o siebie.

– Zastanów się nad tym – mówię. – Musisz to starannie przemyśleć. Jeśli spróbujesz uciec, a oni cię złapią, zastrzelą cię w mgnieniu oka. Wiesz o tym.

Zaczyna odpowiadać, ale kaszel tłumi jego słowa. Bierze nad nim górę, wbija w niego szpony. Kirył stara się coś powiedzieć, jakby musiało to zostać powiedziane, jakby czas mu się kończył, ale brak mu tchu.

W końcu kaszel ustaje.

– Vivienne, jeśli zostanę w obozie, nie przeżyję – mówi mi.

– Nie mogę cię teraz u siebie zatrzymać – tłumaczę. – Będę musiała wykombinować, jak to załatwić. Jest ktoś, z kim muszę porozmawiać.

Kiwa głową.

– Przyjdź jutro do stodoły. Spotkam się tam z tobą. Zobaczę, co będę mogła zrobić.

Przeprowadzam go przez ścieżkę. Jedzenie – lub obietnica, jaką

mu złożyłam – dodały mu trochę siły: może teraz iść. Dygocze, ale od jego ciała bije lekkie ciepło. Jego dłoń na moim ramieniu jest lekka jak spadające piórko.

Rozdział 70

DRZWI DO KUCHNI GWEN są otwarte: stoi przy zlewie, obiera ziemniaki. Odwraca się, rzuca okiem na moją twarz. Jej twarz się zachmurza. Odkłada obieraczkę i unosi fartuch, żeby wytrzeć ręce.

– Viv, co jest? Co się stało?

– Gwen, muszę się zobaczyć z Johnniem – mówię.

Czoło Gwen się marszczy.

– Próbuje naprawić traktor. Za tą łąką, z której zbieramy siano. Viv, mogę coś dla ciebie zrobić?

– Muszę tylko zamienić z nim słowo – odpowiadam.

Wyciąga rękę w moją stronę, z desperacją kładzie mi wilgotną dłoń na ramieniu.

– Nie wciągaj go w nic, Vivienne. – Tak dobrze mnie zna: może potrafi wyczytać z mojej twarzy, po co tu przyszedłam. W jej głosie słyszę wysoką, błagalną nutę.

– Jest coś, o co muszę go zapytać – mówię jej.

Nie próbuje mnie zatrzymać. Opiera się o zlew i przygląda się, jak odchodzę, rękami mocno obejmując swoje ciało.

Idę na tyły domu, mijam szklarnie, z których dochodzi ciepły zapach pomidorów; mijam pole trawy hodowanej na siano, która stroszy się i dzieli na wietrze, jakby głaskała ją czyjaś dłoń.

Widzę traktor na dróżce przy żywopłocie. Johnnie stoi pochylony, z głową w silniku. Unosi wzrok, zaskoczony, że mnie widzi.

– Ciocia Viv?

Prostuje się. Palce ma czarne od plam z oleju; wyciera dłonie w szmatę, rozkojarzony, z pytającym wyrazem twarzy.

– Jest coś, o co chciałabym zapytać... – Mój głos jest cienki, niepewny. – Mam problem, Johnnie.

Mówię bardzo cicho, choć nie ma tu nikogo, kto mógłby coś usłyszeć. Wiatr szepcze na nierównym skraju pola. Johnnie robi krok do przodu, nie pogania mnie.

– Jest taki człowiek z obozu pracy. Kirył – ma na imię Kirył. – Myślę

o tym, że nie znam jego nazwiska, nigdy nie przyszło mi na myśl, aby go o nie zapytać. – Pochodzi z Białorusi. Jesteśmy przyjaciółmi. W zeszłym roku przez trochę przychodził do mojego domu, a ja dawałam mu jedzenie.

Johnnie otwiera szerzej oczy. Nic nie mówi.

– Potem przez długi czas go nie widziałam – ciągnę. – Martwiłam się, co mogło się z nim stać. Wiesz przecież, jakie są te obozy... – Głos mam splekany z przerażenia: wyrzucam z siebie słowa, jedno goni drugie. – Wrócił wczoraj wieczorem. Jest chory, strasznie chory. Tak się o niego boję. Jeśli zostanie w obozie, to umrze. Wiem to. To po prostu widać... Johnnie, ja nie mogę pozwolić mu umrzeć...

Uświadamiam sobie, że mam mokrą twarz.

Johnnie patrzy na mnie skrzępowany.

– Nie płacz, ciociu – mówi bezradnie.

Wyciąga chustkę z kieszeni i mi podaje. Ocieram twarz, ale łzy nadal płyną.

– Johnnie. Możesz nam pomóc?

Przez chwilę nic nie mówi. Pograżamy się w całkowitej ciszy, w milczeniu pogrąża się świat wokół nas, wszystko jest ciche i puste, pola, ścieżki, lasy: nakładają się na siebie kolejne warstwy ciszy. Słyszę, jak wiatr z odgłosem ćśś przelatuje przez pole wysokich traw.

Twarz Johnniego drga.

– Może coś mi się uda zrobić. – Wygląda nieufnie.

Liczyłam na coś konkretnego, coś praktycznego i jasnego.

– Mówiłeś, że mieliście plany, żeby pomagać więźniom w ucieczce. – W moim piskliwym głosie pobrzmiwa oskarżycielska nuta. – Mówiłeś, że może będziecie wiedzieli, gdzie można się bezpiecznie schronić.

– Pracujemy nad tym. Ale jeszcze nie zdążyliśmy się porządnie zorganizować. Oni na Jersey mają całą sieć...

– Więc mógłbyś nam pomóc? – dopytuję się. Wciąż chcę uzyskać inną odpowiedź.

– Może.

– Rzecz w tym, że Kirył mówi bardzo dobrze po angielsku. Nauczył go jakiś człowiek w jego wiosce. Ktoś, kto wcześniej pracował na uniwersytecie...

Kiedy to mówię, wyraz twarzy Johnniego zmienia się, jakby teraz sytuacja była całkiem inna.

– Wystarczająco dobrze, żeby uchodzić za mieszkańca wyspy? – pyta.

– Tak.

– To wielka różnica – stwierdza, jego twarz się rozpogadza. – Gdyby mógł mieszkać tu jako jeden z nas...

– Mógłby. Jestem pewna, że by mógł. To znaczy, mieszkańcy wyspy by wiedzieli, to oczywiste. Słyszeliby, że mówi z akcentem – ma lekki akcent. Ale nie sądzę, żeby Niemcy się zorientowali.

– Tak robią na Jersey – wyjaśnia Johnnie. – Jest tam garstka uciekinierów. Nie starają się ich ukrywać, żyją na widoku, jako robotnicy rolni... To jedyny sposób.

Noskiem buta kreśli to tu, to tam półksiężyc w błocie: planując, zastanawiając się, rozpracowując.

– Najlepiej byłoby go przez jakiś czas ukrywać – oznajmia. – Będzie oczywiście potrzebował dowodu tożsamości, a zrobienie takiego dokumentu wymaga czasu. Jest w mieście człowiek, który je produkuje. I mamy kogoś w St. Sampson, kto pewnie by go przyjął. Naprawdę będzie lepiej, żebyś nie znała dokładnych szczegółów...

– On wraca do mnie dziś wieczorem. Mógłbyś przyjechać i go zabrać – mówię.

Ale Johnnie potrząsa głową. Widząc to, czuję, że ziemia usuwa mi się spod nóg.

– Nie, ciociu, nie dziś wieczorem. Będziemy musieli go przenieść za dnia – wyjaśnia.

– Dlaczego? Dlaczego za dnia? – Moje serce galopuje jak szalone.

– Po pierwsze, nie możemy ryzykować po godzinie policyjnej. A to trochę potrwa, zanim dostarczymy go tam, gdzie powinien być.

– Rozumiem.

– Zresztą, jak już mówiłem, najlepiej robić to jawnie. W samym środku dnia pracy. Dużo większe prawdopodobieństwo, że szwaby zatrzymają kogoś wieczorem. Będą podejrzewać, że coś się kombinuje.

Składam dłonie, mocno je zaciskając, aby Johnnie nie zauważył, że przechodzą mnie dreszcze.

– Ciociu. Czy mogłabyś zatrzymać go u siebie tylko przez jedną noc? – pyta.

O Boże.

– W domu obok są Niemcy – mówię. Ale z trudem udaje mi się zagłuszyć głuchy łomot własnego serca.

– To nie powinno stanowić problemu – stwierdza. – Przecież nie

przychodzą chyba do ciebie do domu...

Nic nie odpowiadam.

– To zabawne, ale właściwie nawet lepiej, że tam są – mówi. – Działa to na naszą korzyść. Nikt nie pomyśli, że poszłaby ciocia na takie ryzyko. Nikt nie będzie podejrzewał, że kogoś ciocia ukrywa – nie wtedy, gdy Niemcy są tak blisko.

Nie mogę mu powiedzieć, jak blisko naprawdę są; nie mogę powiedzieć mu o Guntherze i o tym, czym ta sytuacja grozi. Wiem, że to nie w porządku wobec Johnniego – jeśli ma mi pomóc, powinien w pełni znać zagrożenie. Ale nie mogę tego zrobić.

– Ma ciocia jakieś miejsce, w którym można by go ukryć? – pyta. – Jakiś taki zakamarek w domu?

Myślę o strychu, na którym czasem bawią się Millie i Simon.

– Mamy taki nieduży stryszek na tyłach domu, prowadzą na niego osobne schody. Nie jest to w ścisłym znaczeniu kryjówka, ale nie jest też na widoku. – Staram się sobie przypomnieć, czy bawił się tam kiedyś z Blanche, ale te czasy to jakaś odległa kraina, obraz przelotnie widziany przez pryzmat – maleńki, tęczyowy, odległy. – Nie wiem, czy kiedykolwiek tam byłeś...

– A ma ciocia ubrania, które mógłby założyć?

Teraz oczy mu błyszczą i są pełne zapału. Podnieca go ta sytuacja – dopasowywanie fragmentów układanki, łączenie ich ze sobą. Mam złe przeczucia i czuję się wstrząśnięta, bo widzę, że dla niego to nadal zabawa.

– Mogłabym mu dać stare ubrania Eugene'a. Będą na niego za luźne, ale na wzrost będą pasowały – mówię.

Johnnie kiwa głową.

– Nikt nie może się o tym dowiedzieć. Ani Blanche. Ani Millie. Nikt. Tak będzie dla wszystkich najbezpieczniej.

– Tak. Oczywiście.

Wpatruje się we mnie z przejęciem.

– Więc możesz to zrobić, ciociu?

Myślę o wszystkim, czym to grozi – mojej rodzinie, Johnniemu – że zagrożenie rozchodzi się jak kręgi na wodzie, kiedy wrzuci się kamień do stawu, ukradkiem, sekretnie. Ale potem myślę o Kiryle: że przyszedł mnie odnaleźć.

– Tak, mogę to zrobić.

– Zatrzymaj go na tę noc, a ja będę u ciebie z samego rana. Będę musiał

wziąć konia i wóz – traktor jest na ostatnich nogach. Znajdę coś, pod czym będzie można go ukryć. Przyjadę najszybciej, jak się da. Obiecuję.

Nagle to staje się realne. Cały czas odpychałam od siebie panikę, a teraz przygniata mi ona pierś tak, że nie mogę oddychać.

– Od razu pójdę zobaczyć się ze swoim kontaktem. – Na twarzy Johnniego rozkwita niespodziewanie szeroki uśmiech. – Trochę taki czarny koń z ciebie, prawda, ciociu? Nigdy bym się tego po tobie nie spodziewał. Brawo – stwierdza.

Wracając do domu, ciągle czuję potrzebę oglądania się za siebie. Tak jak w te letnie dni przed okupacją, kiedy szłam z dziewczynkami groblą z wyspy Lihou: zawsze czując na plecach ten strach, że woda może nas wyprzedzić.

Rozdział 71

Z SZAFY W SYPIALNI WYCIĄGAM rzeczy Eugene'a – jakieś spodnie, parę lnianych koszul, mocne skórzane buty. Z naręczem ubrań idę do schodów przy pokoju Blanche, prowadzących na strych na tyłach domu.

Za moimi plecami otwierają się drzwi. Evelyn wychodzi ze swojego pokoju. Ręce niemalże mi opadają. Nie chcę musieć jej tego wyjaśniać.

Patrzy na ubrania w moich rękach, na buty.

– Co robisz, Vivienne?

– Nic takiego, nie martw się – uspokajam ją.

– Vivienne, dlaczego wyjmujesz jego rzeczy? Czy on wraca?

– Nie, nie dzisiaj. Chcę tylko trochę posprzątać w szafie. Zrobić trochę miejsca.

Chyba mnie nie słyszy.

– On wraca do domu, prawda, Vivienne?

Twarz jej nagle ożywia się w rozpaczliwej nadziei. Chwyta mnie za serce smutek, że ona ciągle na nowo odkrywa, jaki brutalny jest świat i że nieobecność jej syna jest straszliwym faktem.

– Nie, Eugene jeszcze nie wraca. Eugene nadal jest daleko stąd, Evelyn.

– Mówisz mi prawdę? – pyta.

– Oczywiście, że tak. – Gdy to mówię, mam poczucie winy z powodu tak wielu spraw. – Tak mi przykro, Evelyn.

CZEKAM PRZY STODOLE, czuję szaleńcze pulsowanie krwi w skroniach. Kirył się spóźnia i zastanawiam się, czy już nie zmarł – a jakaś maleńka haniebna cząstka mnie, przycupnięta jak mysz w tajemnym zakątku mojego umysłu, niemal czuje ulgę na tę myśl. Bo gdyby nie przyszedł, nie musiałabym tego robić.

Słyszę za sobą szuranie. Odwracam się: to Kirył. Jest tak słaby, że ledwo chodzi, biorę go pod ramię, aby mu pomóc. Jest uroczy letni wieczór i słońce wciąż jeszcze trochę grzeje, ale on się trzęsie. Idziemy przez pola, przekraczamy ścieżkę, przechodzimy od cienia do cienia. Kirył porusza się tak wolno, że wydaje się to trwać całe wieki. Pozwalam sobie odetchnąć, dopiero gdy przeprowadzam go przez drzwi na tyłach domu.

Sadzą go przy kuchennym stole. Jego oczy mają otępiały, nieobecny wyraz. Zastanawiam się, jak bardzo to otoczenie jest dla niego realne – ta kuchnia, to, co zaplanowaliśmy. Czy wszystko oddala się od niego, czy świat staje się czymś niematerialnym – blaknącym miejscem mgieł i wspomnień. Czy to wszystko wydaje mu się snem.

– Kirył. Czy nie zmieniłeś zdania – czy wciąż chcesz uciec? Podejmiesz to ryzyko? Muszę mieć pewność – odzywam się do niego.

Stara się coś powiedzieć, ale wstrząsa nim kaszel, szarpie go.

– Tak – odpowiada bezgłośnie, samymi wargami, przez kaszel, wyduszając z siebie te słowa, jakby musiał wykorzystać ten akurat moment, nie dać mu przemiąć. – Tak.

Kaszel ustaje, Kirył opiera głowę na złożonych ramionach na stole, jakby była dla niego zbyt ciężka i nie mógł jej utrzymać w górze.

– Więc zrobimy tak. Możesz tu zostać na tę noc. Możesz spać u mnie na strychu – mówię.

– Dziękuję, Vivienne.

– Rano przyjdzie ktoś i zabierze cię do bezpiecznej kryjówki. Dopóki nie wyrobisz papierów. Potem będziesz tu mieszkał jako wyspiarz. Znajdziemy ci miejsce, w którym będziesz mógł żyć – mówię.

Wyciąga rękę, ściska moją dłoń.

– Dziękuję – mówi. – Dziękuję.

Myje się, kończy jeść, a wtedy zabieram go na strych. Serce podchodzi mi do gardła, ale w całym domu jest cicho, dziewczynki są w swoich pokojach, a Evelyn spokojnie śpi.

Strych już dla niego przygotowałam. Wstawiłam tam stare łóżko polowe i narzuciłam na nie cały stos ciepłych koców, są też ubrania Eugene'a, świeczka i woda do picia w nocy.

Kirył cicho wzdycha, widząc to, jakby nareszcie mógł swobodnie odetchnąć.

– Dziękuję za całą pani dobroć – mówi.

Zamykam za sobą drzwi na strych. Wzbiera we mnie poczucie triumfu – że udało nam się tak daleko zajść. Że mogę dziś się tu o niego zatroszczyć, że nie musi wracać do obozowego piekła. Słusznie postąpiłam, że przyjąłam go tutaj, w moim domu, aż jarzę się wewnątrz od tego przekonania; rozchodzi się ono po całym moim ciele ciepłe jak gorączka.

Schodzę do swojej sypialni przygotować się na przyjęcie Gunthera – wyszczotkować włosy, użyć kropelki perfum, które od niego dostałam.

Naokoło słyszę znajome szelesty i poskrzypywanie domu, który stygnie i układa się do snu. I nagle opuszcza mnie to całe kruche poczucie triumfu. Z chwili na chwilę dłonie mi wilgotnieją od potu, szczotka wyślizguje się z palców. Tu, na dole, w mojej sypialni, słyszczać, jak Kirył kaszle.

JEST DZIESIĄTA I GUNTHER puka do drzwi.

– Vivienne. – Wypowiada moje imię w taki sposób, jakby było odpowiedzią na jakieś pytanie.

Zabieram go do siebie na górę.

Całuje mnie, potem się odsuwa, lekko marszczy brwi i zagląda mi w twarz.

– Co się dzieje? – pyta.

– Nic takiego.

Nie zadowalała go taka odpowiedź.

– Wydajesz się podenerwowana, kochanie. Powiedz mi, o co chodzi.

– Nic takiego. Naprawdę – zapewniam. – Po prostu to, co zwykle. – Chwytam się pierwszego wyjaśnienia, jakie przychodzi mi do głowy. – Wiesz, tak trudno wszystkich wyżywić. Naprawdę niedużo teraz mamy...

– Zobaczą, co da się zrobić. – Ponownie zaczyna mnie całować.

Staram się w nim zatracić, ale to niemożliwe. Czuję się tak, jakbym starała się utrzymać równowagę w jakimś trudnym, zdradliwym miejscu – na jakimś wysokim, wąskim występie, a wiatr groźnie świstał wokół mnie.

– Było ci tak dobrze jak zawsze? – pyta mnie po wszystkim, zaniepokojony.

– Tak, było cudownie. Zawsze jest.

Leżę z głową na jego ramieniu i słyszę, jak Kirył zaczyna kaszleć. Usiłuję powstrzymać go siłą woli, ale kaszel ciągnie się i ciągnie w nieskończoność. Trudno mi się nie wzdrygać, kiedy go słyszę: muszę się powstrzymywać ze wszystkich sił.

Gunther marszczy brwi, nasłuchuje.

– Paskudnie kaszle twoja teściowa – stwierdza.

– Tak, bardzo brzydko.

Nienawidzę go okłamywać.

– Widzę, jak cię to martwi – mówi. – Cała robisz się spięta, kiedy ona kaszle.

– Jest teraz taka krucha...

– Czy chciałabyś, żeby Max przyszedł i ją zbadał? – pyta.

– Lepiej nie – mówię mu.

Ten zimny wiatr świszcząc wokół mnie: staram się nie spuszczać oczu.

– Max na pewno chętnie by przyszedł – mówi Gunther.

– Wiem, że tak. Był taki miły dla Millie, kiedy się skaleczyła... Tyle że – nie wydaje mi się, żeby ona miała przyjąć od niego pomoc. Evelyn jest bardzo poprawna. Uznałaby takie postępowanie za fraternizację i by tego nie pochwalą.

– Cóż, jeśli jesteś pewna. Ale oferta będzie aktualna. Wiem, że z przyjemnością by jej pomógł.

Przez chwilę oboje słuchamy kaszlu. Gunther lekko cmoka z dezaprobatą.

– To brzmi bardzo poważnie – mówi. – Nie powinnaś się zgodzić, żeby to tak zostawiać. Musisz załatwić jej jakąś pomoc.

– Załatwię.

Po raz pierwszy, od kiedy zostaliśmy kochankami, rozpaczliwie pragnę, żeby już sobie poszedł.

Wciąż jeszcze jest ciemno, kiedy się porusza i budzi. Sprowadzam go na dół i stoję na progu, przyglądając się, jak odchodzi. Podwórko zalane jest srebrzystym światłem księżyca, ale pod żywopłotem mrok jest głęboki i całkowity. Na tle żwiru ciało Gunthera wydaje się czarne, więc on i jego cień tworzą jedną, nierozłączną całość. Przyglądam się, jak przechodzi przez srebro i czerń na moim podwórku, przez mrok i światło, i oddala się ode mnie. Przypomina mi się opowieść, którą czytałam Millie z książki z opowieściami ludowymi od Angie – o najeździe ludu wrózek, który pochodził z bardzo odległego kraju, o najeźdźcach, którzy żenili się z miejscowymi kobietami: o tym, że chociaż się żenili, związani byli kontraktem spisany krwią, więc kobiety nigdy nie wiedziały, kiedy mężczyźni, których kochały, je opuszczą i odpłyną ku tej cienkiej niebieskiej linii na końcu świata w swoich łodziach, które mogły kurczyć się do rozmiarów kamyka lub delikatnej ptasiej kości.

GUNTHERA JUŻ NIE MA, więc idę na górę, na strych.

Kirył teraz śpi. Przez niezasłonięte okno pada na niego białe światło księżyca, od którego jego skóra robi się przezroczysta, przejrzysta. Dłonie Kiryła nawet we śnie zaciskają się na kocu, jakby był jakimś drogocennym przedmiotem, który mógłby zostać mu zabrany. Słyszę wysoką, niebezpieczną nutę w jego oddechu. Ale jego twarz podczas snu jest odprężona, a nawet maluje się na niej spokój. Zastanawiam się, czy śni o swojej ojczyźnie, o miejscu, w którym zostawił swoje serce – o lesie brzozowym, o cichych rzekach.

Stoję tam długo, przyglądając się, jak śpi. Odczuwam nagłą, kruchą

radość. Wiem, że zatrzymując go tu, postępuję słusznie.

Śpię głęboko, a moje sny są przyjemne i beztroskie. Śni mi się lot – lecę w kierunku poranka nad morzem, nade mną jest ciemne niebo, pode mną ciemne morze, a przede mną całe złote piękno i płonący przepych światła.

Rozdział 72

MAMO, DLACZEGO MAMY OWSIANKĘ? – pyta Blanche.

– Zostało mi trochę płatków owsianych. Pomyślałam, że równie dobrze możemy je zjeść – odpowiadam ogólnikowo.

– Mmm. Lubię owsiankę. Pamiętasz, jak przed okupacją jadłyśmy owsiankę codziennie? – pyta.

Ale coraz trudniej jest pamiętać tamte czasy sprzed okupacji.

Kiedy Blanche wychodzi do pracy, Millie bawi się w ogrodzie, a Evelyn robi na drutach w salonie, biorę tacę i ustawiam na niej jedzenie dla Kiryła. Do zalania owsianki jest w dzbanku kremowe mleko i dam mu trochę przyoszczędzonego syropu z melasy. Chowałam go dla Millie, gdyby miała kiedyś zażywać gorzkie lekarstwo; została tylko resztką na dnie puszki. Wygrzebuję syrop łyżką i patrzę jak spada do miski, cudownie lepki i złocisty. I przez cały czas nasłuchuję, czy nie nadjeżdża koń i wóz Johnniego.

Słychać pukanie do drzwi – potem ktoś wchodzi prosto do środka, nie czekając na zaproszenie. Oddycham z ulgą. To musi być Johnnie. Dziwi mnie, że nie usłyszałam wozu; pewnie uznał, że bezpieczniej będzie go zostawić kawałek dalej na dróżce.

Odstawiam tacę na kuchenny stół. Wychodzę z kuchni na korytarz.

Widzę Gunthera. Trzyma w ręce bochenek chleba. Patrząc na mnie, wyczuwa coś i natychmiast zaczyna się niepokoić.

– Nie czekałem, aż podejdziesz do drzwi – mówi przyciszonym głosem. Przygląda się bacznie mojej twarzy, obawia się, że zrobił coś złego i zdenerwował mnie. – Na dróżce była jakaś kobieta, wyprowadzała psa.

Prawdopodobnie Clemmie Renouf, myślę. Dawno, dawno temu, w innym życiu pewnie bym się wystraszyła.

– Wiem, że wolałabyś, żeby nie widziała mnie przy twoich drzwiach – stwierdza.

– Tak. Dziękuję.

– Vivienne. Wiem, że nie lubisz, jak tu przychodzę w ciągu dnia. Ale martwiłem się o was...

Wolałabym, żeby tak nie przepraszał.

– Nie musisz się o nas martwić. Ale to bardzo ładnie z twojej strony – odpowiadam.

Mój głos brzmi jakoś obco, jakby należał do kogoś innego.

Gunther wchodzi do kuchni, kładzie chleb na stole.

– Mówiłaś, że brakuje wam jedzenia, i pomyślałem, że to może pomóc – wyjaśnia.

W jego głosie słychać nutkę powątpiewania. Widzę, że zauważa jedzenie na tacy.

– To bardzo miło z twojej strony – powtarzam.

Mówię to całkowicie niewłaściwym tonem – oficjalnym, sztucznym. Jakbym go wcale nie znała. Jakby nasza miłość tylko mi się przyśniła.

– Jesteś pewna, że wszystko w porządku, Vivienne? – dopytuje się.

– Tak, nic mi nie jest – odpowiadam.

Ręce mi drżą, wsuwam je do kieszeni fartucha, ukrywam.

– Jak teściowa? – pyta.

– Bez większych zmian. Dziękuję, że pytasz.

Ciągle wpatruje się z lekkim zdziwieniem w tacę. Wiem, że muszę udzielić wyjaśnienia.

– Właśnie miałam zanieść jej śniadanie do sypialni.

– Mam nadzieję, że niedługo poczuje się lepiej. Naprawdę uważam, że powinnaś wezwać lekarza, żeby ją zbadał.

– Dobrze. Wezwę.

– Kochanie. – Mówi teraz bardzo cicho. – Jest coś jeszcze. Obawiam się, że nie będę mógł dziś wieczorem wpaść, mam spotkanie do późna.

Kiwam głową. Mam nadzieję, że nie widzi wyrazu ulgi na mojej twarzy.

– Bardzo ci dziękuję za chleb.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiada.

Odprawiam go do drzwi. Szybko wychodzi. Zamykam za nim drzwi.

Odwracam się, w całym ciele słyszę werble zapowiadające katastrofę. Stoję w korytarzu jak sparaliżowana. Usiłuję sobie przypomnieć, w którym miejscu stał, gdy tylko wszedł przez drzwi – tak rozpaczliwie próbuję sobie to przypomnieć. Czy mógł zajrzeć w głąb korytarza? Czy mógł coś zobaczyć w salonie? Czy widział tam Evelyn, która energicznie robi na drutach i wygląda na całkiem zdrową?

Rozdział 73

KIRYŁ BUDZI SIĘ, gdy wchodzę. Rozgląda się naokoło. W pierwszej chwili wygląda na zupełnie zdezorientowanego.

– Kirył. To ja, Vivienne – mówię łagodnie. – Teraz mieszkasz u mnie, pamiętasz? Już nie jesteś w obozie.

Siadam na kufrze na pościel i czekam, aby się porządnie rozbudził. W jasnym świetle poranka widzę norkę, jaką Millie i Simon zrobili sobie ze zjedzonej przez mole zasłony, którą dla nich znalazłam, narzuconej na stojak do suszenia ubrań; jest tam też stara zepsuta lalka, którą ktoś ułożył do snu w pudełku – to mi wygląda na robotę Millie. Zastanawiam się, czy Millie nie przychodzi czasem sama się tu bawić. Będę musiała z nią pogadać.

Kirył siada niepewnie. Podpieram go od tyłu poduszkami.

– Jest pani taka dobra, Vivienne.

Widzę liliowe plamy choroby wokół jego ust i oczu.

– Przyniosłam ci coś na śniadanie – mówię mu.

Nakładam syrop łyżką na owsiankę, nalewam mleko.

Przygląda się wirowaniu mleka na owsiance, złocistej gęstości syropu.

– Czy już przyjechał, Vivienne?

– Nie. Jeszcze nie. Ale przyjedzie – zapewniam go. – Ufam mu. Znam go od lat.

– Wydawało mi się, że ktoś przyszedł – mówi. – Kiedy jeszcze spałem. Myślałem, że to twój przyjaciel wtedy przyszedł.

– To był ktoś inny – prostuję. – Ale nie martw się. Będziesz tu bezpieczny.

– Nie chcę narażać was na niebezpieczeństwo – dodaje. – Kiedy byliście dla mnie takie dobre.

– Po prostu odpoczywaj i zdrowiej. Nie martw się o nas – mówię.

MILLIE JEST W OGRODZIE, podskakuje i podśpiewuje bezdzwięcznie.

Wyszła kura na podwórze,

spodobało się tam kurze.

Na podwórzu dużo kurzu,

piórko, trawka i sadzawka...

Trzeba skosić trawnik; długa trawa połyskuje od rosy, podobnie jak

wszystkie kwitnące na trawniku chwasty – krwawnik, mlecz, koniczyna biała. Wszystko się skrzy.

– Millie.

Zaskoczyłam ją, wytrąciłam z koncentracji. Potyka się o skakankę.

– Mamusiu. Przez ciebie się potknęłam. – Oskarżycielsko. Buzię ma zarumienioną, jest trochę zasapana. W jasnym świetle jej brązowe włosy lśnią jak futro foki.

– Przepraszam, kochanie. Ale muszę powiedzieć ci coś ważnego.

Czeka, skakanka zwisa jej z dłoni, minę ma nadal urażoną, że wybiłam ją z rytmu. Na nóżkach ma letnie sandały, paski pociemniały od wilgoci. Naokoło niej widzę krzyżkowy wzór ze śladów jej stóp, tam gdzie podskakując, połamala błyszczącą trawę.

Nachylam się do niej i mówię bardzo cicho.

– Millie. Nie chcę, żebyś dziś bawiła się na tylnym strychu.

Jest zdziwiona.

– I tak nie miałam zamiaru, mamusiu – stwierdza.

– W porządku. Ale mimo to mi obiecaj.

– Obiecuję – zgadza się.

Za jej plecami pnące nasturcje migoczą na ścianie mojego domu, pomarańczowe jak języki płomieni, jakby porozpalano tam niewielkie ogniska.

– I to musi być tajemnica – ciągnę. – Po prostu mnie posłuchaj. Nie mów Blanche ani Evelyn, nikomu.

Wargi Millie wyginają się w lekkim uśmiechu.

– Jeden z tych sekretów, mamusiu? Tylko ty i ja? – pyta.

– Tak.

Ale zastanawiam się, czy źle tego nie rozegrałam. Wiem, że podejrzewa, iż ma to coś wspólnego z Kiryłem. Może powinnam była milczeć i być dobrej myśli; albo może powinnam była być szczerą i powiedzieć jej wszystko. Nie wiem, która ścieżka jest właściwa. Już nie umiem jej chronić.

Rozdział 74

CAŁY RANEK NASŁUCHUJĘ, czy nie nadjeżdża koń i wóz, słuch mam wyczulony, niczego nie przepuszczę, ale Johnnie się nie pojawia. Ranek ciągnie się niemilosiernie. Serce mi wali, wali. Nie mogę się do niczego zabrać. Krzątam się przy przygotowaniach do obiadu, ale zapach gotujących się warzyw przyprawia mnie o mdłości.

Koło południa słyszę szybko zbliżające się do moich drzwi kroki, chrzęszczące na żwirze. Zalewa mnie poczucie ulgi. Jestem pewna, taka pewna, że to Johnnie. Pędzę otworzyć drzwi.

– Och – mówię.

To Piers Falla. Gapię się na niego – na jego pokręconą sylwetkę, jego oczy, którymi zagląda człowiekowi w głąb duszy. Widzę, że się spieszył – czarne włosy lepią mu się do czoła, twarz błyszczy od potu.

– Piers. Co ty tu robisz?

Ale przecież już wiem. Widzę to po jego twarzy, która jest jednocześnie twarda i nieszczęśliwa.

– To Johnnie. Te dranie go dorwały. Został aresztowany – informuje mnie. Serce mi podchodzi do gardła.

– Dobry Boże.

W pierwszej chwili przychodzi mi na myśl, że to moja sprawa, bo poprosiłam go o pomoc. Że ta katastrofa to moja wina.

– Przyszli wczoraj wieczorem – głos Piersa jest pełen goryczy. Odwraca się trochę bokiem, chcąc ukryć swoje uczucia. Widzę jego twarz z profilu, ostry zarys nosa i czoła, przywodzący na myśl ptaka drapieżnego. – Znaleźli tę strzelbę Briana.

Gapię się na niego. Jest inaczej, niż myślałam. Przez chwilę nie rozumiem.

– Była ta śrutówka, która należała do jego brata – wyjaśnia Piers. – Przeprowadzają ściślejszą kontrolę radioodbiorników. Jakiś dwulicowy szczur musiał dać im cynk. Ktoś musiał im powiedzieć, że na farmie Elm Tree jest radio. Więc te dranie przyszły do jego domu i przeszukały jego pokój.

– Myślałam, że zakopał tę broń – mówię. – Gwen o tym mówiła. Powiedziała, że dopilnuje, by ją zakopał.

Piers z rozpaczą potrząsa głową.

– Schował ją pod swoim łóżkiem. Zatrzymał wszystkie rzeczy Briana przy sobie. Johnnie potrafi być czasem takim cholernym idiotą.

Głos ma chropowaty od bólu. Słyszę, jak bardzo kocha Johnniego.

– Jak to się odbyło? – pytam. – Zrobili mu krzywdę? – Nie to mam dokładnie na myśli, mam na myśli coś więcej. Serce mi wali w piersi tak, że to aż boli.

– Jest w więzieniu w St. Peter Port – mówi Piers.

Od razu czuję ulgę, że przynajmniej żyje.

– Ale co z nim zrobią? – Gardło mi się zaciska. Z trudem wypowiadam słowa. – Piers, czy oni go zastrzelą?

– Zależy – mówi Piers krótko.

– Od czego zależy?

Wykonuje drobny gest, który byłby wzruszeniem ramion, gdyby nie cały towarzyszący mu ból.

– A Gwen? Czy z nią wszystko w porządku? – pytam.

Rzuca mi przelotne zimne spojrzenie. Widzę, że mną gardzi za to, że zadaję tyle głupich pytań.

– A jak pani myśli? – odpowiada pytaniem.

Rozpaczliwie pragnę się z nią zobaczyć, ale nie mogę, nie mogę opuścić domu.

Zaczyna wyciągać rękę przez dzielącą nas przestrzeń, tak jak mógłby wyciągać ją tonący, w gorączkowym, desperackim geście.

– Piers – ściszam głos do szeptu. – Mam tu Kiryła. Kiryła z obozu pracy. Jest na moim strychu.

– Po to przyszedłem. Będzie musiał u pani zostać – stwierdza.

W jego głosie pojawia się stalowy ton. Słyszę, jak na owocach gruszy za jego plecami hałasują owady, bzyczą i trzeszczą jak przegrzewający się na patelni cukier. Wszystkie odgłosy wydają mi się groźne.

– Johnnie powiedział – tylko na jedną noc – słyszę drżenie w swoim głosie. – Powiedział, że trzeba go przenieść do waszej kryjówki w St. Sampson.

Piers krótko potrząsa głową.

– Nie ma mowy, żebyśmy go teraz przenieśli – mówi. – Nie, kiedy mają nas na oku.

Zapada między nami iskrzące się milczenie. W ciszy słyszę Millie z ogrodu na tyłach domu:

Kamyk, kwiatek i dżdżownica,
jaka piękna okolica...

Jej głos płynie w powietrzu jak kolorowy balonik.

Chociaż słońce zalewa nas swoim ciepłem, przechodzi mnie dreszcz.

– Piers, mam dzieci – mówię.

– Chciała pani pomóc Kiryłowi. – Usta ma zaciśnięte w wąską linię, nieubłagane.

– Oczywiście, że tak. Oczywiście, że chcę.

– W takim razie.

Oprócz tego chłopaka nie mam nikogo, jest jedyną osobą, która może mi pomóc: ten szorstki chłopak z twarzą pustułki, który prawie mnie nie zna, ale domyśla się prawdy o mnie. Ten chłopak, który chciał namalować swastykę na ścianie mojego domu.

– Ale ja nie zajmuję się takimi sprawami. Nie jestem bohaterem – mówię.

Mam wrażenie, że mój głos odbija się echem w pustych przestrzeniach mojej pamięci. Myślę o tym, że Gunther wypowiedział kiedyś te same słowa.

– Cóż, może będzie pani musiała bohaterem zostać – odpowiada Piers oschle. – Proszę go u siebie zatrzymać. Ktoś się zgłosi.

– Kiedy? Kiedy ktoś się zgłosi?

– To może potrwać z tydzień – mówi mi.

– Boję się – przyznaję. I od razu żałuję, że to powiedziałam. Nie wiem, jaki jest ten chłopak, ale na pewno nie jest słaby. Nie sądzę, żeby rozumiał słabość.

– Niech pani się z tym pogodzi, pani de la Mare. – Jego głos jest szorstki jak papier ścierny, szoruje mi po skórze. – Na całym świecie ludzie teraz krwawią i umierają. Jakoś będzie pani musiała ścierpieć to, że się pani troszkę boi.

Nic nie odpowiadam.

– Wie pani, co robić – dodaje.

A potem, jakby zawstydzził się swojego wybuchu, wyciąga rękę i kładzie mi ją na ramieniu. Przez cieniutki rękaw bluzki czuję, jaki jest rozpalony.

– Jest pani silniejsza, niż się pani wydaje – stwierdza. – Po prostu niech go pani tu zatrzyma. Ktoś się zgłosi.

Odwraca się i zostawia mnie.

KIRYŁ LEŻY W ŁÓŻKU na wpół uśpiony, koc mocno przyciska do twarzy.

Klękam na podłodze koło niego.

– Kirył.

Otwiera oczy, widzi mnie.

– Jest coś, co musisz wiedzieć. Nastąpiła zmiana planów – mówię mu. – Ten chłopak, który miał się zgłosić – ten, którego znałam – dziś nie przyjdzie.

Zauważam, że użyłam czasu przeszłego – ten, którego znałam.

– Coś poszło nie tak, Vivienne? – pyta.

– Nie ma czym się martwić – uspokajam go. – Po prostu będą musieli wysłać kogoś innego.

– Kiedy, Vivienne? Kiedy to nastąpi?

– Nie wiemy dokładnie – mówię. – Może to potrwać kilka dni. Będziesz tu bezpieczny.

Widzę w jego twarzy coś zaskakującego – nie strach, którego się spodziewałam, ale rozluźnienie, przytłaczającą ulgę. Jednak od razu rozumiem, dlaczego tak się czuje – wiedząc, że nie będzie musiał się ruszyć z łóżka, że może po prostu tu zostać, drzemiąc w ukośnych promieniach słońca. Że czuje spokój pierwszy raz, od kiedy Niemcy włamali się do jego domu – dawno, dawno temu, w innym świecie, wczesnym ciemnym rankiem na Białorusi. Że nie musi walczyć w każdej chwili o samo przeżycie: że może leżeć tu i słuchać gruchania gołębi na dachu, i śnić o swoich lasach, swoich rzekach i drewnianych domach, na których się gnieźdzą bociany.

– Dziękuję pani, Vivienne.

Wzdycha, opiera się o poduszki. Sen przychodzi do niego szybko, jakby ktoś zamknął drzwi.

Rozdział 75

NIEDZIELA. PRZYGOTOWUJĘ ŚNIADANIE dla Evelyn i dziewczynek; zanoszę trochę jedzenia Kiryłowi.

Po śniadaniu Blanche idzie na nabożeństwo poranne do St. Peter, elegancka w aksamitnym żakiecie, który sobie uszyła. Evelyn czyta Biblię, Millie ma swoje powycinane lalki z zestawem ubranek. Otwieram kuchenne okno. Jest idealny letni poranek, wysoko unosi się lekka srebrna mgiełka, jakby niebieskie niebo pokryte było gazą. Przez otwarte okno napływa z powietrzem pyłkowa zieleń i piosenka kosa z mojej gruszy. Słucham przez chwilę.

Dobiega kolejny dźwięk – silnik. To musi być ten ktoś, kogo miał przysłać Piers, wcześniej, niż powiedział. Johnnie wcześniej zapowiadał, że przyjadą konnym wozem, ale wygląda na to, że mają traktor. *Dzięki Bogu, myślę. Dzięki Bogu za to.*

Dźwięk silnika jest coraz bliższy. Porusza się za szybko na traktor. Zatrzymuje się z piskiem hamulców na dróżce przy furtce na moje podwórko. Słyszę kroki skrzypiące na żwirze, zbliżające się do mojego domu. Wiele kroków.

Rozlega się hałaśliwe łomotanie do drzwi, które odbija się echem w cichym domu. Brakuje mi tchu. Idę otworzyć drzwi.

Mężczyzna, który tam stoi, ma na sobie brązowy mundur OT. Jest niski, otyły, poważny. Za nim widać jeszcze trzech mężczyzn. Wszyscy mają czerwone opaski ze swastyką na ramieniu.

– Pani de la Mare?

– Tak.

Czuję się nierealna, jakbym unosiła się wysoko nad swoim ciałem. Jakby w mojej piersi tłukło się serce innego człowieka.

– Zamierzam przeprowadzić przeszukanie pani domu – informuje mnie. Mówi z silnym akcentem. Ale świetnie go rozumiem. – Musi pani wyjść z domu. Pani i wszyscy, którzy tu mieszkają.

Wpadam do salonu.

– Millie, wyjdź na podwórze.

Słyszając mój głos, od razu wykonuje moje polecenie. Nadal trzyma w ręczce jedną z papierowych lalek.

Evelyn się nie rusza.

– Musimy przez trochę posiedzieć przed domem – mówię do niej.

Spogląda na mnie zdezorientowana.

– Nie widzę powodu, Vivienne. Tu jest mi bardzo wygodnie.

– Kazano nam. Musimy. Teraz – mówię.

Marszczy brwi.

– Niezależnie, kto nam kazał, powinien chwilę poczekać. Powinni wiedzieć, że nie lubię, jak się mnie popędza. Powinni okazać nam jakieś względy – stwierdza.

Gwałtownym ruchem stawiam ją na nogi. Idzie ze mną, ale niechętnie; zwisa mi ciężko na ramieniu. Siedzam ją przy stole w cieniu gruszy. Wpatruje się w żołnierzy.

– Co ci mężczyźni robią, Vivienne?

– Przyszli tylko się rozejrzeć – odpowiadam jej. – Nie ma czego się bać – okłamuję ją.

Siedzi ma brzegu krzesła, plecy ma proste i cienkie jak łodyga kwiatu. Jej bluzka rozpięła się na przedzie, gdy wyciągałam ją z fotela: widać koronkowy skraj halki, czuję się tym skrępowana. Ale muszę to tak zostawić, wiem, że wprawiłabym ją w zażenowanie, gdybym podeszła pozapinać jej bluzkę.

Staję za nią, wyciągam rękę do Millie. Już się nie boję. Nic nie czuję. Jestem zimna i spokojna, i opanowana, ale bardzo mocno ściskam rączkę Millie.

Millie syczy na mnie.

– Moja laleczka. Pogmiotłaś ją. – Wrywa rączkę, stara się wygładzić lalkę, którą trzymała. – Jest zniszczona. I uszczypnęłaś mnie, mamusiu – dodaje.

Kapitan stoi, obserwując nas. Wyciągnął broń z kabury – nie celuje prosto w nas, trzyma ją gotową w dłoni. Pozostali żołnierze weszli do domu.

Cały czas huczy mi w głowie jakiś głos, lodowaty, rozsądny, przerażający: i wyjaśnia wszystko logicznie, racjonalnie. *Gunther usłyszał, jak ktoś kaszle. Zobaczył mnie z tacą jedzenia, którą miałam komuś zanieść, wiedział, że to nie dla Evelyn, widział ją w fotelu. Gunther wiedział, że mam jakiś sekret...*

Słyszę, jak miotają się po moim domu, z trzaskiem otwierają szuflady, łomoczą drzwiami. Nadal czuję się nierealna, jakbym patrzyła na wszystko

z wysokości; ale moje ciało jest bardzo kruche, jak wycięta z papieru lalka Millie – mógłby mnie porwać najlżejszy podmuch wiatru. Zaczynają przeszukiwanie od pokoi na dole. Słyszę ich w kuchni, potem przechodzą do korytarza, słyszę jak hałas zmienia się, kiedy dochodzi z różnych pokoi, jak ich obute stopy tupią i stukoczą, gdy wchodzą po drewnianych schodach. Teraz to już jedynie kwestia czasu.

Kapitan nadal nas obserwuje. Odwrócony jest plecami do domu. Widzę ponad jego ramieniem, co dzieje się za nim; widzę ścianę mojego domu, furtkę do ogrodu, zacienioną przez liście ścieżkę. A dalej widzę cienisty kształt, który wykrada się z za narożnika domu, potem przekrada się przez furtkę i na ścieżkę. Kirył. Serce mi zamiera. Dopada mnie nagle cały tłumiony wcześniej strach. Musiał wymknąć się ze strychu na dół po schodach i przez okno w pokoju Blanche na dach szopy. Wchodzi cicho na ścieżkę, przemyka pod żywopłot po drugiej stronie i w cień sadu, jeszcze jeden cień wśród wielu cieni.

Czuję nagłą szaloną nadzieję, palącą i elektryzującą jak gorączka. Może wszyscy unikniemy katastrofy. Może Kirył ucieknie.

Odrywam od niego spojrzenie, nie chcę, żeby kapitan wyczytał coś z mojej twarzy. Ale on musiał coś usłyszeć – może stąpanie, może najcichszy świszczący oddech.

Odwraca się. Przeklina po niemiecku, wybiega na ścieżkę.

Gwałtownym ruchem przyciskam Millie do siebie, zakrywam jej dłonią oczy.

– Przestań, to boli – prosi.

Stara się uwolnić, ale moja dłoń nadal szczelnie przywiera do jej buzi.

Kirył przesuwa się pod jabłoniemi – idzie do przodu, nie ogląda się.

Kapitan unosi broń. Jeden strzał. Wzdrygam się cała. Kirył pada: nie dygocze, nie walczy – upada jak owoc z drzewa. Szybkość, z jaką to się dzieje, ten brak walki są dla mnie jakiegoś plugawe. Widzę jego ciało, tam gdzie leży w moim sadzie, takie nieruchome w długiej rozwichrzonej trawie, jak rzucone na stos ubrania.

Kapitan opuszcza broń, podchodzi z powrotem do nas. Ma nonszalancką minę, jakby to nie robiło na nim wrażenia. Myślę o czymś, co kiedyś powiedział Gunther: *Po jakimś czasie bardzo łatwo jest zabijać*. Nagle słyszę, że na gruszy śpiewa kos: musiał cały czas śpiewać. A mnie się zdaje, że to wszystko odbyło się w absolutnej ciszy.

Evelyn szlocha, łzy leją się po jej twarzy.

– O Boże o Boże o Boże...

Próbuje wstać. Kładę dłonie na jej ramionach.

– Evelyn, musisz tu zostać.

– Ale to Eugene. Zastrzelili Eugene’a. – Wyciąga ręce, szarpie palcami moją dłoń. – Musisz pozwolić mi pójść do niego iść, musisz...

Próbuję ją pchnąć powrotem na krzesło.

– To nie ma nic wspólnego z Eugene’em – mówię. – Eugene’a tu nie ma.

– Mój chłopiec. Mój kochany chłopiec. – Łzy płyną, zostawiają błyszczące ślady na jej twarzy. Bije mnie na oślep słabymi rękami. – Powinnaś była pozwolić mi iść do niego, Vivienne.

– To nie Eugene.

– Oczywiście, że to Eugene. Wszędzie poznałabym tę jego ładną koszulę.

Obejmuję ją. Modlę się, żeby kapitan nie usłyszał.

Kapitan wsuwa broń z powrotem do kabury. Zdejmuje okulary i przeciera twarz rękawem: jest otyłym mężczyzną i cała ta aktywność sprawiła, że pot się z niego leje. Bez okularów jego oczy wydają się zbyt małe, przypominają jasne niewielkie kamyki.

Słyszę, jak w mojej kuchni bije zegar. Czas na nabożeństwo. W St. Peter spóźnialscy wsuwają się zapewne na swoje miejsca. Blanche na pewno już siedzi gotowa z książeczką do nabożeństwa otwartą na spowiedzi powszechnej: *Wszchemogący i najmiłościwszy Ojczy, zbłądziliśmy i oddaliliśmy się od Twych dróg jak zagubione owce...* Wkrótce chór i proboszcz przejdą nawą. Myślę o tych sprawach, czepiam się ich.

Mężczyzna ponownie zakłada okulary. Wyciąga papierosa, zapala go, nie spuszcza bladych oczu z mojej twarzy. Ma dziwny sposób palenia, tuli papierosa w zagłębieniu dłoni. Mocno się zaciąga, w zamyśleniu. Nie śpieszy się.

– Kiedy ten męt przebiegł przez ścieżkę za nami – zaczyna – myślę, że wyszedł przez tylne drzwi pani domu, pani de la Mare.

– Niemożliwe – mówię. – Niemożliwe. Dlaczego miałyby to zrobić?

– Może pani mi powie – stwierdza.

– To nie ma nic wspólnego ze mną – mówię. – Nigdy go wcześniej nie widziałam.

Kapitan podchodzi do drzwi mojego domu, wykrzykuje jakieś imię. Jeden z mężczyzn wychodzi. Kapitan mówi coś do niego krótko po niemiecku. Mężczyzna przechodzi przez ścieżkę do mojego sadu. Przyciskam wciąż Millie do siebie, staram się, aby nic nie widziała. Ale ona nie daje się

przytrzymać: wali we mnie piąstkami, odpycha mnie. Żołnierz chwytą Kiryła za stopy i wlecze go przez długą trawę, tak lekko, tak łatwo, jakby jego ciało nic nie ważyło. Ledwo mogę na to patrzeć, ale zmuszam się do patrzenia. Czuję, że jestem mu to winna – żeby nie odwrócić wzroku. Myślę o tym, jak mokre będzie jego ciało przez tę całą rosę na trawie i ta myśl nie daje mi spokoju – jakby wilgoć mogła mu zaszkodzić. Ciskają jego ciało na tył ciężarówki. Zastanawiam się, czy pojedą na szczyt klifu i wrzucą go do morza, jak tych wszystkich biedaków, których ciała gniją w porcie na Alderney.

Przytłacza mnie znaczenie tego, co on zrobił, przelewa się przeze mnie. Gdy o tym myślę, gardło mam ściśnięte od łez. Zrobił to, co zrobił, aby nas ratować. Wiedział, że umrze – że z każdym krokiem zbliża się do śmierci, że go zobaczą, że nic nie zdoła go uratować. Dopóki pozostawał w moim domu, miał nadzieję: mogli go nie znaleźć albo gdyby go znaleźli, mogli zabrać go z powrotem do obozu. Wciąż jeszcze istniał maleńki okruszek nadziei – są nieprzewidywalni, mogli zrobić wszystko. Ale wiedział, co stałoby się ze mną, z moimi córkami, gdyby znaleźli go w naszym domu. I nie zamierzał na to pozwolić. Nie mógł umrzeć, żeby uratować swoją żonę, ale moje dzieci i mnie mógł ocalić. Oddał za nas życie.

Myślę o nim, jak schodzi po schodach, przechodzi przez ścieżkę. Wiedząc. Dokonując wyboru.

Z domu wychodzi inny z żołnierzy OT. Mówi coś do kapitana; kiedy on mówi, kapitan ciągle na mnie zerka. Rozmawiają cicho po niemiecku, ale potrafię wyobrazić sobie ich słowa.

– Pani de la Mare. – Kapitan potrząsa głową z żalem, jakby zasmucony ludzką słabością. – Znaleźliśmy tajny pokój na tyłach pani domu, na górze.

– Tak – odpowiadam.

– Są w tym pokoju pewne przedmioty – łóżko, resztki posiłku, który ktoś niedawno jadł. Można by pomyśleć, że kogoś pani tam ukrywała.

Mówi to niemal z żalem.

– Mam małą córkę – odpowiadam. Biorę Millie za rękę. – Lubi bawić się w dom w tamtym pokoju.

Zastanawiam się, czy zauważy, jak po bluzką tłucze się moje serce – aż materiał drga.

– A ta stara kobieta robiła takie wrażenie, jakby tego męta znała – dodaje.

– Teściowa tęskni za synem. Jej syn jest daleko, z wojskiem. Czasem jej się wydaje, że go widzi tam, gdzie go nie ma – wyjaśniam.

Zastanawia się nad tym.

– Ten męt miał nowe ubranie – mówi mi.

– Może je ukradł – zastanawiam się. – Skąd mam wiedzieć, jak je zdobył?

Przez chwilę milczy, chowając papierosa w dłoni.

– Zauważyłem też, że wydaje się pani bardzo zdenerwowana. – Nie spuszcza ze mnie oczu, ocenia.

Staram się uspokoić. Myślę o Blanche na nabożeństwie – zmuszam się do myślenia o modlitwach, powtarzam je po cichu. *Racz nas wyzwolić Boże. Panie, pośpiesz nam na pomoc...* Chwytam się tych słów: są jak kawałki dryfującego drewna na wzburzonym morzu, nie dają mi zatonać.

– Bardzo się pani przejęła, kiedy zastrzeliliśmy tego męta – zauważa ponownie. – Muszę zadać sobie pytanie dlaczego.

– To był szok – oznajmiam.

– To jest wojna, pani de la Mare – odpowiada ze znużeniem. – Takie rzeczy się zdarzają.

– Był bezbronny. – Mój głos jest jak cichutki pisk, porwany przez wiatr. – Nie mógł się bronić. Nie powinien był go pan zastrzelić.

Mężczyzna wzrusza ramionami.

– Ten męt to był zbiegły więzień – wyjaśnia. – Nikomu by się do niczego nie przydał. Wszyscy ci osobnicy to podludzie. Nie są tacy jak pani czy ja. Nie musi pani nimi się przejmować.

Za bardzo przypomina mi to słowa, które kiedyś wypowiedział Gunther. *Nie myśl o tym. Musisz postarać się tego nie rozpamiętywać.*

Pali papierosa, mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów: zastanawia się, co robić dalej. Czuję, że gardło zaciska mi się jak pięść, gdy widzę, gdzie pada jego wzrok.

Rozdział 76

A WIĘC, DZIEWCZYINKO – jak się nazywasz?

– Millie de la Mare – odpowiada.

– Podejdz tu, Millie de la Mare.

Wymawia jej imię starannie, każdą sylabę z wielką dokładnością.

Przywołuje ją skinieniem, aby podeszła do przodu, skąd nie będzie mogła tak łatwo zobaczyć mojej twarzy. Millie nie rusza się z miejsca, tylko rzuca mi pytające spojrzenie. Kiwam głową. Robi krok w jego kierunku.

Kapitan dobrze sobie radzi z dziećmi, widzę to. Przed rozmową z nią przykuca, tak że jego twarz znajduje się na tym samym poziomie co jej buzia, żeby nie mówić do niej z góry. Przychodzi mi na myśl, że musi mieć własne dzieci, że kołysał te dzieci czule w swoich ramionach – ten mężczyzna, który właśnie zastrzelił mojego przyjaciela Kiryła jak zwierzę.

– Lubisz czekoladę, Millie?

Millie nie wie, jaka będzie właściwa odpowiedź. Odwraca się trochę w moim kierunku, a ja lekko kiwam głową.

– Nie powinnaś odwracać się do matki, gdy odpowiadasz na moje pytania – mówi kapitan. – Bo nie będę wiedział, która z was na nie odpowiada. – Jego ton jest absolutnie rozsądny, ale słyszę w nim groźbę. – No więc, pytam ponownie – lubisz czekoladę?

– Tak, lubię czekoladę – odpowiada.

Kapitan przytrzymuje papierosa w ustach. Wyciąga z kieszeni kawałek czekolady i odwija. W ciszy szelest sreberka brzmi irytująco głośno. Odłamuje kawałek, podaje jej. Widzę, jak czekolada od razu mięknie w ciepłej dłoni Millie.

– Mogę ją zjeść? – pyta.

Tak bardzo stara się być grzeczna, ale nie wie, jakie tu obowiązują zasady.

– Ależ oczywiście. – Kapitan się uśmiecha. – To dla ciebie, Millie de la Mare.

Millie je i zlizuje z dłoni plamę roztopionej czekolady, więc buzię ma umazaną. To głupie, ale chciałabym powiedzieć jej, żeby wytarła sobie twarz.

Kapitan nadal kuca, twarz ma na jej poziomie.

– Widzę, że jesteś grzeczną dziewczynką – mówi. – Że nie kłamiesz. Że zawsze mówisz prawdę. Tak jest, zgadza się?

– Tak – odpowiada Millie.

– Jestem pewien, że mama mówiła ci, że zawsze powinno się mówić prawdę.

Millie przytakuje.

– Macie duży dom. Na pewno w waszym domu są jakieś sekretne miejsca i kryjówki – ciągnie.

Millie milczy. Nawet stojąc za nią, widzę, jaka jest spięta, jak nieufnie mu się przygląda.

Strach trzyma mnie za gardło. Strasznie się o nią boję – bo pozostanie beze mnie, kiedy mnie zabiorą. Blanche jest już prawie kobietą, Blanche będzie potrafiła się o siebie zatroszczyć. Ale Millie jest nadal mała – zbyt mała, żeby stracić matkę.

– Jest taki pokój na górze, na tyłach waszego domu – podejmuje kapitan. – Takie tajne pomieszczenie, do którego idzie się po wąskich schodach.

– Tak – odpowiada Millie niepewnie, zastanawiając się, co będzie dalej. – Mamusia nazywa to tylnym strychem.

Nie widzę jej buzi, ale wyczuwam jej zakłopotanie – wie, że to jest ważne, ale nie wie, co powinna powiedzieć.

– Tylny strych. – Kapitan powtarza te słowa, jakby były mu nieznane. – Sądzę, że tylny strych to musi być dobre miejsce do zabawy – zastanawia się.

Wreszcie coś, na co Millie może zareagować.

– Tak, bardzo dobre – przyznaje. Jej głos jest pełen zapachu, pomocny.

Kapitan nie spuszcza oczu z jej twarzy, mocno zaciąga się papierosem.

– Kiedy ostatni raz się tam bawiłaś, Millie? – pyta.

Millie usiłuje myśleć, tak bardzo się stara: wiem, jak będzie wyglądała jej twarz, cała ściągnięta od wysiłku, od myślenia, z małą zmarszczką nakreśloną fioletowym kopiowym ołówkiem na czole.

– Lubię bawić się na strychu – mówi ostrożnie.

– Czy bawiłaś się na strychu dzisiaj lub wczoraj? – pyta kapitan.

Wstrzymuję oddech. Wiem, jak odpowie. Dokładnie pamiętam, co jej powiedziałam. *Mamusia powiedziała, że nie powinnam tam chodzić. Wczoraj mamusia powiedziała, że nie wolno mi się tam już bawić. Powiedziała, że to jest nasz sekret...* Jestem taka pewna, że to powie, jakbym już słyszała te słowa, spadające w ciszę jak krople wody, niewinne i błyszczące,

i brzemienne katastrofą.

Kapitan obserwuje mnie. Mówiąc do niej, nie przestaje podnosić wzroku na mnie, bacznie mi się przygląda. Z wściekłością mocno zaciskam razem dłonie. Wiem, że widzi, jak cała dygoczę.

Millie jeszcze się waha.

– Bawiłaś się? – pyta kapitan. – Czy bawiłaś się tam dzisiaj lub wczoraj? – Jego głos jest surowy i nieustępliwy.

– Bawię się tam codziennie – informuje go moja córeczka.

– Ale myślę, że nie jesteś sama, kiedy bawisz się na strychu – mówi. – Z kim bawisz się na strychu?

– Bawię się ze swoim przyjacielem – odpowiada.

W oczach mężczyzny pojawia się twardy błysk.

– A kim jest twój przyjaciel? – dopytuje się.

Millie zastanawia się przez chwilę. Wyczuwam mgiełkę emanującego z niej niepokoju, jakby powietrze nabrało od niej siarkowego posmaku. Potem Millie składa razem dłonie i elegancko ustawia stopy jedną obok drugiej. Widzę, że podjęła decyzję. Wiem, po prostu wiem z zimną, mdlącą pewnością, że zamierza powiedzieć mu, że był tam Kirył.

– Mój przyjaciel nazywa się Simon. Ma prawie dziewięć lat – mówi Millie. Jej głos jest wyważony, precyzyjny i odrobinę za wysoki.

Przez cały ten czas mężczyzna mnie obserwuje. Twarz mam kompletnie bez wyrazu, ale wydycham to całe powietrze, które nieświadomie zatrzymywałam w płucach. Modlę się, żeby tego nie usłyszał.

Kapitan wpatruje się jeszcze przez chwilę w Millie, potem wzrusza lekko ramionami i się prostuje. Upuszcza w połowie wypalonego papierosa i miażdży go obcasem, jakby nie był już nim zainteresowany.

Podchodzi do drzwi mojego domu, wykrzykuje jakiś rozkaz. Pozostali mężczyźni wychodzą na zewnątrz, szybko idą do ciężarówki. Jeden wsiada do szoferki, inni wdrapują się na pakę. Któryś z nich w coś kopie i wiem, że to ciało Kiryła: że kopnięciem przesuwają je na bok, aby mieć więcej miejsca na stopy.

– Będę panią obserwował, pani de la Mare – wykrzykuje do mnie kapitan, oddalając się.

Wsiada do szoferki na miejsce pasażera. Silnik wybucha warkotem; odjeżdżają.

Od szoku wywołanego ich nagłym odjazdem robi mi się słabo. Świat wiruje wokół mnie: opieram się o stół i czekam, aż się zatrzyma.

Evelyn nadal płacze.

– Zabili go, prawda? – dopytuje się.

Klękam koło niej na żwirze.

– To nie Eugene’a zastrzelili.

– To taka smutna śmierć, Vivienne. Umarł całkiem sam, nie było nikogo przy nim, aby go pocieszyć. Mój biedny kochany chłopiec. Taka smutna, taka bardzo smutna śmierć – powtarza.

Zabieram ją do domu. Płacze bezgłośnie, zrozpaczona, uwieszona na moim ramieniu. Prowadzę ją na górę i pomagam się położyć do łóżka.

Millie czeka na mnie na dole. Jej oczy to dwie pełne bólu dziury w białej twarzy.

– Czy dobrze odpowiedziałam na pytania? – pyta mnie.

– Dobrze, kochanie. Byłaś bardzo dzielna.

Obejmuję ją. Jej ciało jest sztywne.

– Czy Simon będzie miał kłopoty? – zastanawia się.

– Nie, nie będzie miał kłopotów. Powiedziałaś to, co należało powiedzieć.

– A jeżeli Niemcy zamkną Simona w więzieniu? – dopytuje się.

– Nie zamkną go, obiecuję. Simon nic złego nie zrobił.

– Ale Kirył nie zrobił nic złego, a mimo to go zastrzelili.

Gardło ściska mi się od łez i przez chwilę trudno mi cokolwiek powiedzieć.

– Zaufaj mi, kochanie – mówię po chwili. – Simonowi nic nie będzie. Niemców nie interesuje Simon.

Ciągnie mnie, żebym się do niej pochyliła, przytrzymuje moją twarz blisko swojej. Jej oddech ma mdląco słodki zapach od czekolady, którą jej dał ten człowiek. Mówi mi prosto do ucha, wypowiedane szeptem słowa muskają mi skórę.

– Wiem, że Kirył był na tylnym strychu – szepcze. – Słyszałam, jak kaszle. To był nasz sekret, prawda? Ten, o którym mi mówiłaś? Kiedy powiedziałaś mi, żebym się tam nie bawiła?

– Tak.

– Nie powiedziałaś tego sekretu. Czy to dobrze? – pyta.

– Tak, to dobrze – odpowiadam jej.

– Nie wiedziałam, co powiedzieć. Wiedziałam, że będą na nas źli, jeśli dowiedzą się, że Kirył tu był, ale nie chciałam, żeby Simon miał kłopoty. To było trudne – mówi.

– Tak, wiem – zgadzam się z nią.

– Mamusiu, Kirył nie żyje? Zabili go, prawda?

Myślę o kojących słowach, jakimi pocieszamy dzieci. *Wszystko w porządku, nie ma czego się bać. Te straszne rzeczy, jakie widziałaś, nie wydarzyły się naprawdę – to tylko koszmar, tylko sen. Nie ma potworów, nic się nie ukrywa w mroku. Zaśnij już...* Nic nie mogę jej powiedzieć.

PÓŹNIEJ IDZIEMY ZBIERAĆ kwiaty.

Niewiele ich teraz kwitnie w moim ogrodzie z powodu tych wszystkich warzyw, więc zbieramy dzikie kwiaty spod żywopłotu – przetacznik i czerwony kozłek – i związujemy ich łodyżki sznurkiem. Myślę o bukieciku, który Kirył kiedyś mi dał. Przechodzimy przez ścieżkę do sadu. Wokół nas letni poranek jest taki sam jak wcześniej – z zamglonym srebrzystym światłem słońca i rozśpiewanymi ptakami. Nie potrafię już być tą osobą, którą byłam.

Tam, gdzie padło ciało Kiryła, trawa jest pognieciona, a na ziemi widać ciemną plamę w miejscu, gdzie jego krew szybko wsiąkała w ziemię; pień drzewa, pod którym kiedyś stałam z Guntherem, spryskały ciemniejące krople. Millie jest opanowana i spokojna, ale buzię ma zupełnie białą. Myślę o tym, że on już nigdy ich nie zobaczy, tych wszystkich miejsc, o których nam opowiadał, tego wszystkiego, za czym tęsknił – lasu brzozowego, cichych strumieni. Już nigdy nie wróci do warsztatu, gdzie robił skrzypce – które wytwarza się z taką troskliwością, które są takie małe, delikatne, które tak bardzo łatwo zniszczyć, a przecież tak czysto śpiewają.

– Czy odmówimy modlitwę? – pyta Millie.

Ale ja chyba nie będę potrafiła się modlić.

– Zmówimy ją w naszych głowach – mówię jej.

Kładziemy kwiaty przetacznika tam, na poplamionej ziemi.

Rozdział 77

PÓŻNYM WIECZOREM, GDY DZIEWCZYNKI leżą już w łóżkach, siedzę przy kuchennym stole. W kółko obracam w myślach to, co się stało, a pytania przeszywają mnie jak noże. Czy to Gunther nas zdradził? Czy mógł zrobić coś takiego, mimo wszystkiego, co między nami zaszło – całej tej miłości, czułości, wszystkiego, co nas łączy? Czy jest zdolny do takiego zakłamania?

Myśląc to, łapię powietrze, jakbym się topiła.

O dziesiątej słyszę znajome ciche pukanie.

Gunther wchodzi, a ja zamykam za nim drzwi. Stoimy, patrząc na siebie. Zazwyczaj całujemy się, a potem zabieram go na górę. Ale on się nie rusza. Może od razu wyczytuje coś z mojej twarzy, coś, co go niepokoi. Nie pochyla się, żeby mnie dotknąć czy pocałować, po prostu tam stoi. Wygląda jakoś inaczej, w sposób, który nie do końca potrafię sprecyzować czy ująć w słowa.

– Wydajesz się zmęczony – zauważam.

– Tak. Jestem zmęczony.

Pociera twarz dłońią. Jego dłoń porusza się zrywami, jakby ciało zaczęło się zacinać.

Odchrząkuje, jakby chciał coś powiedzieć.

–Vivienne...

Przełyka, jakby za trudno było mu to coś powiedzieć.

Wiem, że to ja muszę to powiedzieć.

– Coś wydarzyło się dzisiaj tutaj, w moim sadzie – mówię mu.

– Tak – potwierdza.

Ale jego ton wydaje mi się lekceważący. Kiedy go słyszę, czuję lodowate ukłucie zwątpienia.

– Zabito człowieka – podejmuję. – Zastrzelono go. Jednego z więźniów.

– Wiem, słyszałem – odpowiada. Nic więcej.

Jego skrępowanie, jego powściągliwość mówią mi wszystko, czego potrzebuję się dowiedzieć. Że wiedział o Kiryle, że się zorientował. Jak mógłby nie wiedzieć – słysząc ten kaszel, widząc mnie z tacą ze śniadaniem, wiedząc, że nie mówię prawdy, kiedy twierdziłam, że Evelyn jest chora?

Że zorientował się i po prostu zrobił to, co do niego należało. Że to był trudny wybór, ale powinność miał wobec własnego kraju. Podczas wojny dzieją się różne złe rzeczy. Musisz być ostrożny, nie chcesz się wychylić. Zabijanie jest łatwe – na początku może nie takie łatwe. Ale po jakimś czasie bardzo łatwo jest zabijać...

I w tym momencie podejmuję decyzję.

– Gunther – mówię strzępką normalnego głosu. – Muszę ci coś powiedzieć.

Przytakuje, ten ruch jest krótki, oschły. Twarz ma poważną, zrezygnowaną, trochę jakby się poddał. Jakby coś w nim umarło. Prawie jakby tego się spodziewał – wszystko zostało zadecydowane z góry, on to wie i tego się spodziewa, jeszcze tylko musi przez to przejść.

– Chyba nie mogę już tego dłużej ciągnąć. Przykro mi.

Nic nie odpowiada. Jego milczenie jest okropne.

– To zbyt trudne. Zbyt zagmatwane – kontynuuję. Czuję w gardle ból, jakby wypowiedzenie tych słów mnie zraniło.

Chcę siłą woli skłonić go, żeby odczytał moje myśli, żeby cofnął wszystko, sprawił, że będzie tak jak dawniej. Chcę, żeby wiedział, dlaczego to mówię. Chcę, żeby wyjaśnił, że ten strzał nie miał z nim nic wspólnego, że to, co się stało z Kiryłem, to nie jego wina – że nie on nas zdradził. Ale nie mogę zapytać wprost, ponieważ gdybym zapytała, czy wiedział i powiedział, ujawniłabym tym samym zbyt wiele – ujawniłabym, że ukrywałam tu Kiryła. Ujawniłabym coś, co mogłoby narazić mnie i moje dzieci na niebezpieczeństwo – a za czego ukrycie Kiryła oddał swoje życie.

– Przykro mi – powtarzam bezradnie.

Kiedy Gunther stoi tak blisko, ścierają się we mnie dwa sprzeczne uczucia, wiem, że powinnam go od siebie odepchnąć, ale jednocześnie tęsknię za jego dotykiem, tak znajomym, tak słodkim. Był dla mnie schronieniem przed całym strachem i grozą tych czasów – miejscem, w którym mogłam się ukryć, miejscem, do którego wojna nie docierała. Ale teraz wojna stoi między nami: okropna śmierć Kiryła stoi między nami.

– Jeśli tego chcesz... – mówi.

Jego głos jest wyraźny, ale brzmi tak, jakby dochodził z daleka, jak głos słyszany nad wodą. Lekko wzrusza ramionami. Oczy ma puste, jakby ode mnie już się odsunął. Nie mogę znieść tego chłodu, tej rezerwy na jego twarzy.

Mało brakuje, bym powiedziała: *Nie, nie tego chcę. To się musi stać, ale*

oczywiście tego nie chcę. Jednak nic nie mówię.

Wyciągam rękę, muszę koniecznie dotknąć jego ramienia, żeby złagodzić surowość tej sytuacji: a on robi krok w tył, jakby nie mógł znieść mojej bliskości.

Chcę, żeby zaprotestował. Chcę podniesionych głosów – żeby nasze rozstanie było nieprzyjemne, pełne nieskrywanego bólu: oskarżeń, takich odgłosów, jakby coś się rozdzierało. A nie tylko wycofania i powściągliwości. Takie zakończenie jest zupełnie niewłaściwe, to nie powinno się kończyć tą ciszą, tą nieobecnością.

Gunther składa mi krótki ukłon z typową dla siebie staroświecką uprzejmością i odwraca się ode mnie.

Ale wychodząc, potyka się i uderza stopą w próg. Zaczyna kląć pod nosem – szybki, przyciszony, wściekły strumień przekleństw w jego języku. Ręce ma zaciśnięte w pięści; widzę, że na grzbietach dłoni żyły sterczą jak splątane sznury. Potem podchodzi do drzwi i zamyka je za sobą całkiem cicho.

Jeszcze słyszę szczęknięcie drzwi, a już ogarnia mnie gwałtowne poczucie straty.

Siedzę przy kuchennym stole. Mówię sobie, że ten ból się zmniejszy, że zniknie. Że to najgorsza chwila ze wszystkich. Że przyjdzie dzień, kiedy nie będzie tak bolało. Ale nie wyobrażam sobie, jak kiedykolwiek mogłoby do tego dojść.

Rozdział 78

W PONIEDZIAŁEK WIECZOREM BLANCHE wraca do domu z brzoskwiniami, smakołykiem od pani Sebire. Pamiętam, jak pierwszy raz to zrobiła na samym początku okupacji, gdy dopiero zaczynała pracę w sklepie. Byłam wtedy inną osobą.

Kładzie owoce na stole kuchennym.

– Dlaczego w sadzie leżą kwiaty? – pyta dość oskarżycielskim tonem.

Odwracam się do niej. W końcu kiedyś musiała je zauważyć – a ja głupio nie przygotowałam żadnego wyjaśnienia.

– Mamo, nie widziałaś ich? Ktoś położył kwiaty pod drzewem. Właśnie to zauważyłam.

Jej niebieskie jak lato oczy wpatrują się we mnie z lekkim zdziwieniem.

– I na całym pniu drzewa są takie czarne ślady – dodaje. – Od kiedy to wszystko tam jest?

Znowu odczuwam palący ból i szok związany ze śmiercią Kiryła.

– Ja położyłam tam te kwiaty – odpowiadam.

Czeka na więcej.

– Dlaczego? – pyta, gdy nic nie mówię.

– Coś smutnego się wydarzyło – wyjaśniam. – Wczoraj, gdy byłaś w kościele. Jeden z więźniów został tam zastrzelony.

– Co takiego? Ależ to okropne. Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałaś?

– Sądziłam, że im mniej będziesz wiedziała, tym lepiej.

Oczy Blanche błyszczą. Jest zaciekawiona. Dociera do niej zarówno smutek, jak i dramatyzm tego wydarzenia.

– Mamo, to miało coś wspólnego z duchem Millie, prawda? – pyta. – Tym duchem, o którym mówiła zeszłego lata?

– Blanche, nie chcę ci nic więcej mówić. Zaufaj mi. Tak będzie bezpieczniej.

– To oznacza, że tak – stwierdza Blanche. – Dobrze, mamo, nie martw się. Ale zaczynałam się zastanawiać, czy ten duch Millie nie był jednym z mężczyzn z tych okropnych obozów.

– Blanche, musimy to zachować dla siebie.

Rzuca mi lekki, porozumiewawczy uśmiech.

– Zapomnę, że w ogóle mi o tym wspomniałaś – obiecuje. – Nikomu nie powiem ani słowa.

Odwraca się ode mnie, rozpina kardigan, rzuca go na krzesło. Jest zbyt nonszalancka, za mało się przejmuję.

– To jest ważne, Blanche.

– W porządku, mamó. Rozumiem.

Nadal się martwię, że nie do końca to do niej trafia, że nie rozumie, jak bardzo musimy być dyskretne, jak musimy uważać. Może gdy powiem jej, co się stało z Johnniem, to zrozumie.

– Jest coś jeszcze, co powinnaś wiedzieć – odzywam się znowu. – Aresztowali Johnniego.

Blanche gwałtownie odwraca się twarzą do mnie.

– Johnniego? – Głos ma zachrypnięty. Twarz ściągniętą. Jej reakcja przestrasza mnie: nie spodziewałam się, że ta wiadomość tak ją wytrąci z równowagi. Byłam nieostrożna, żałuję, że nie pomyślałam, jak przekazać jej to w bardziej delikatny sposób.

Obejmuję ją. Czuję jej wzburzenie, wszystko w jej wnętrzu wiruje jak bąk.

– Jest w więzieniu w St. Peter Port – mówię jej. – Ludzie sądzą, że nic mu się nie stanie, pewnie po prostu wyślą go do więzienia we Francji.

– Czy to przez któryś z tych jego głupawych planów? – pyta.

– Znaleźli w jego pokoju broń Briana – wyjaśniam.

– Johnnie jest takim idiotą. – W jej głosie płonie gniew. – Jak mógł być taki głupi? Dlaczego nie zdaje sobie sprawy, że jest dla różnych ludzi ważny? Zaskoczyła mnie.

– Blanche, nie wiedziałam, że się z nim spotykasz...

– Wcale się nie spotykam. Nie tak naprawdę... No, może czasami.

– Co to znaczy – czasami?

– On mnie lubi, mamó. Wiesz... Naprawdę mu się podobam.

Ma nieszczęśliwą minę.

– Nie wiedziałam, kochanie – odpowiadam.

– Dlaczego pozwolił im ją znaleźć? Dlaczego tego nie przewidział?

Później słyszę, jak płacze w swoim pokoju. Blanche nieczęsto płacze. Pukam i od razu wchodzę. Leży rozciągnięta na łóżku, jakby zrzuciono ją tam z dużej wysokości. Twarz ma wykrzywioną od płaczu, przemoczoną chusteczkę zwiniętą w kłębek w zaciśniętej pięści. Siadam koło niej, kładę

dłoń na jej ramieniu.

– Blanche, nic mu nie będzie. Naprawdę tak uważam. To przytrafiało się już innym ludziom z Guernsey. Bezpiecznie wracali do domu... I wiesz, jakim optymistą jest Johnnie, że nic go nie jest w stanie przygnębić...

Blanche siada. Obejmuję ją ramionami, a ona na chwilę przytula się do mnie. Twarz ma mokrą, rzęsy pozlepiane. Potem się odsuwa i wyciera sobie twarz chustką.

– Przepraszam, że tak się mażę – mówi.

– Kochanie, nie musisz przeproszać za to, że ci smutno – mówię jej.

Wydmuchuje nos.

– A niech to. Założę się, że zrobiłam się cała czerwona – stwierdza.

Odgarniam do tyłu kosmyk włosów, który spadł jej na twarz. Jest mokry od łez, jak włosy topielca.

– Chodzi o to, mamó – odzywa się za chwilę. – Chodzi o to, że czasem ktoś odchodzi. A ty zdajesz sobie sprawę, jak bardzo będzie ci tego kogoś brakowało. Że nie będziesz do końca wiedziała, jak sobie dalej radzić, gdy go nie będzie... Mamó, co się stało? – Wpatruje się we mnie, oczy ma szeroko otwarte, przerażone. – Nie rób tego, mamó. Proszę. – Jej głos robi się piskliwy. – Jesteś moją mamą. Nie możesz płakać. Nienawidzę, kiedy to robisz.

Rozdział 79

DNI SĄ CORAZ KRÓTSZE. Ziemia dojrzewa i wydaje plon, żywopłoty uginają się pod owocami głogu, jeżyn, czarnego bzu. Bernikle obrożne przylatują z Syberii i żerują na polach w pobliżu wybrzeża: można nocą usłyszeć ich dziwne skrzypliwe gęganie. Jabłka w moim sadzie pęcznieją. Na drzewku figowym na tarasie są figi, a na morwie jagody w kolorze soczystej czerwieni tak ciemnej, że prawie czarnej. Jagody morwy łatwo rozgnieść, więc jemy je prosto z krzaka, a Millie ma wargi na stałe poplamione sokiem w kolorze ciemnego wina. Na wyspie królują dojrzałość i pełnia.

Nadal widuję go, kiedy lato przesypuje się w jesień. Dostrzegam go przelotnie z okna sypialni, kiedy idzie ścieżką między rabatami w Les Vinaires; albo kiedy zajmuję się kurczakami, widzę, jak rozmawia z Maxem lub Hansem w ogrodzie. Kilka razy mijamy się na ścieżce. Serce tłucze mi się w piersi. Nie wiem, co się stanie. Ale to jest łatwe – zbyt łatwe. On uprzejmie skłania głowę, a potem unika mojego spojrzenia – jakbyśmy byli sobie prawie obcy, jakbyśmy byli ludźmi, którzy znają się jedynie z widzenia, ludźmi, którzy przypadkiem mieszkają w sąsiednich domach. Jakbyśmy nigdy się nie kochali. Raz, gdy zapada zmrok, widzę go przez okno, siedzi przy stole, pisze list przy świetle świecy – bo teraz wieczorem nie mamy elektryczności. Jest głęboko zamyślony, rękawy ma podwinięte. Zastanawiam się, co myśli: wyczuwam, że zamknął się w sobie, że nie jest do końca obecny. Zastanawiam się, czy w myślach przeniósł się do Bawarii, do tego pełnego ciszy górzystego krajobrazu, który kocha, gdzie przez cały dzień mógłby malować i miałby spokój: gdzie mógłby uformować swój obraz właśnie tak, jakby chciał, bo wszystko płynie jak woda, a sceneria kształtuje się pod jego dłonią.

NIGDY JESZCZE NIE MARTWIŁAM SIĘ tak o Evelyn. Przesypia teraz niemal całe dni albo zapada w stan między jawą a snem i czasem zastanawiam się, co w tym śnie widzi – czy przeszłość jest bardziej realna, bardziej żywa dla niej niż teraźniejszość; czy widzi, jak tłumnie napływają do domu wszyscy ludzie i wydarzenia z jej przeszłości. Potem nocami nie może spać i napotykam ją, jak w nocnej bieliźnie wędruje po domu lub ogrodzie, i biorę ją za rękę,

i prowadzę do łóżka.

Któregoś dnia, gdy sprzątam w salonie, ona nagle podnosi na mnie wzrok. Twarz ma zamyśloną i przytomną, jakby widziała mnie wyraźnie.

– A więc, Vivienne, moja droga – odzywa się. Jakby coś właśnie przyszło jej na myśl. Prawie jakby kontynuowała jakąś prowadzoną przez nas rozmowę. – Mówisz, że Eugene pojechał na wojnę?

– Tak.

– Więc przez ten cały czas byłaś sama?

W jej głosie słychać czułość. Spojrzenie ma łagodne, oczy niebieskie jak u dziecka.

Przytakuję.

Nagle przypominam sobie, jaka była, gdy była młodsza, zanim starość zaczęła przytępiać i podkopywać jej umysł, zanim tak wiele jej odebrała. Że była energiczna, czasem zgryźliwa, ale jej bezpośredniość zawsze łagodziła praktyczną, rzeczową życzliwość.

Klękam koło jej fotela.

– Musisz się czuć samotna – mówi. – Bardzo samotna bez niego. Jak bardzo musisz się borykać, żeby wychowywać Blanche i małą Millie, i opiekować się mną... I to w czasie wojny... A wiem, moja droga, że nie zawsze jestem najłatwiejszą osobą na świecie.

Staram się coś powiedzieć, ale zbiera mi się na płacz.

– Przykro mi, moja droga, że byłaś taka samotna... I może nawet jeszcze wtedy, kiedy Eugene tu był... Niekiedy widziałam to, Vivienne. Że nie zawsze był dla ciebie taki dobry, jak powinien być – stwierdza.

Jestem zdumiona. Nagle zastanawiam się, czy wiedziała o Monice Charles.

Kładzie rękę na mojej dłoni, jej dotyk jest delikatny, jak u matki.

– Może nie zawsze rozumiałam. Przepraszam, Vivienne... Tak bardzo przepraszam za wszystko.

A potem jej oczy przesłania znowu mgiełka, zasnuwa wyrazistość spojrzenia tak jak niebo zasnuwa się pod koniec lata, i Evelyn odpływa do jakiegoś innego świata.

Otulam ją kocem, staram się połykać łzy, żeby na nią nie kapały.

ZGODNIE Z PRZEWIDYWANIAMI Piersa Johnniego wysłano na rok do więzienia we Francji.

Często odwiedzam Gwen. Jej kuchnia jest czystsza niż kiedykolwiek, wszystko wypolerowane, wyszorowane, wyczyszczone. Zawsze jest taka zajęta, nie pozwala sobie ani na chwilę wytchnienia, jakby przez swoje

starania mogła sprawić, że wszystko się dobrze skończy.

– Miał szczęście, wiem, że miał szczęście – mówi.

Przeciąga dłonią po twarzy. W jej włosach pojawiło się nowe, spektakularnie białe pasmo.

– Tak, w pewnym sensie – odpowiadam jej.

Na stole między nami stoi wazon z chryzantemami; zawsze mają taki przykurzony kolor, przez który wyglądają odrobinę żałośnie. Gwen przesuwa dłońmi po blacie, kreśląc na oślep ścieżki między płatkami, które tam pospadały. Przypomina mi Johnniego, tak samo jak on nie potrafi usiedzieć bez ruchu. Jakby przejęła od syna jego nerwowość.

– Naprawdę tak myślę, Viv. Wszyscy mieliśmy szczęście – stwierdza. – Wiem, że ludzie ginęli od strzałów za mniejsze rzeczy. Ale, mój Boże, tęsknię za nim. To jakbym straciła część siebie. Najlepszą część...

Kładę dłoń na jej ręce.

– To już niecały rok – pocieszam. – Wiem, że to wydaje się długo jak wieczność, ale tak naprawdę nie jest.

Gwen kiwa głową.

– Właśnie to sobie ciągle powtarzam. Rzecz w tym, że z Johnniem mogę rozmawiać jak z nikim innym – mówi. – Ernie jest moją opoką. To taki dobry człowiek. Pracowity. Ale wiesz, jacy potrafią być mężczyźni – nie rozmawia ze mną tak naprawdę. Ale Johnnie rozmawiał, rozmawialiśmy godzinami... Chcę, żeby wrócił – kończy.

WIECZORAMI JEST TERAZ CIEMNO i Millie i Simon nie mogą już się bawić na dworze. Po szkole bawią się w sypialni Millie. Millie stanowczo nie zgadza się bawić na strychu. Wbiła sobie do głowy, że Simon będzie miał kłopoty z Niemcami, jeśli tam pójdą, i nic, co powiem, nie może jej przekonać.

Zrywamy jabłka w sadzie. Dziewczynki pomagają mi, trochę niepewnie, wypatrując os. Skrupulatnie sortujemy jabłka, odkładając na bok wszystkie ze skazą, które się nie utrzymają: upiekę je w piecu z odrobiną miodu koniczynowego od Gwen. Rozkładam resztę jabłek na kartonowych tacach w szopie, gdzie jest chłodno i będą się dobrze trzymać. Każde jest cenne.

Kiedy wszystkie owoce zostały zebrane, pojawia się Harry Tostevin ze swoją piłą, żeby pościnać jabłonie. Będziemy potrzebować tego drewna na opał, aby przetrwać zimowe miesiące. Wszędzie ludzie robią to samo, ścinają drzewa, które sprawiały, że nasza wyspa była taka piękna. Patrzę, jak Harry ścina pierwsze drzewo: słysząc taki odgłos, jakby coś się rozrywało, gdy drzewo przechyliło się i zaczepia gałęziami o inne drzewa, potem niski,

głuchy łomot, gdy uderza o ziemię; liczne miękkie brązowe liście dygoczą jeszcze długo po jego upadku. Potem nie mogę już patrzeć, gdy ścina drzewo, pod którym po raz pierwszy rozmawiałam z Guntherem – drzewo, pod którym zginął Kirył, które było spryskane kroplami jego krwi. Ale nie mogę uciec od tego dźwięku. Myślę o tych wszystkich opowieściach o duchach z Guernsey, które czytałam Millie: zastanawiam się, jakie duchy będą nawiedzać naszą wyspę w następnych pokoleniach. Czy Kirył będzie straszył w moim sadzie, niespokojny i wzburzony w tym odległym miejscu, wiecznie starając się znaleźć drogę powrotną do ojczyzny, którą kochał?

Później ziemia, na której rósł mój sad, wygląda okropnie – zeszecona pniakami, a kiedyś było tam tyle kwiecica i owoców. Harry rąbie drewno na polana i składujemy je w szopie w ogrodzie. Przynajmniej mamy teraz opał na zimę.

Człowiek robi to, co robić musi.

NIE SŁYSZĘ STUKANIA drutów Evelyn. Zaglądam do niej, ale nie śpi. Pruje swoją robótkę. Wysuwa druty z oczek i ciągnie za nitkę. Robi to równie starannie, równie wytrwale jak wtedy, gdy coś tworzy.

Podchodzę do niej. Kładę delikatnie swoją dłoń na jej ręce. Odsuwa rękę. Dalej ciągnie za nitkę, prując to, co zrobiła. To takie niesamowicie łatwe: włóczka wciąż jest pokarbowana tam, gdzie były oczka, ale szybko traci kształt, jakby się roztopiała.

– Nie trzeba tak robić, Evelyn. Przecież włożyłaś w to tyle pracy – mówię.

– Ale muszę, widzisz, moja droga. Muszę.

Nie mogę znieść tego widoku. Chciałabym wziąć od niej tę robótkę, ocalić to, co zrobiła. Ale nie mogę siłą jej tego odbierać.

Ciągnie i ciągnie za nici. W końcu na kolanach ma tylko bezładną kupkę pokarbowanej włóczki.

Cicho wzdycha, jakby ukończyła jakąś pracę.

– Proszę – mówi. – Wszystko skończone.

Jej głos jest spokojny, ruchy wyważone, nie widzę u niej tego wzburzenia, które tak często jej towarzyszy.

Nie wiem, co teraz zrobić, czy wziąć od niej tę włóczkę. Ale ona sama mi ją podaje. Na jej twarzy maluje się zaskakujący, nietypowy dla niej spokój.

– Proszę, Vivienne – mówi.

ZA DNIA ZNAJDUJĘ SOBIE zajęcie, staram się nie myśleć. Przygotowuję kielbaski z fasoli i ciasto z tartej marchewki. Zajmuję się kurami i grządkami

warzywnymi: wyrywam cebule i pory, zbieram pierwszą w tym roku brukselkę. Sprzątam w domu, ceruję ubrania i podwijam u dołu niektóre stare sukienki Blanche dla Millie – pilnuję, żeby wszystko działało. I cały czas za nim tęsknię – tą tęsknotą, którą nosi się w ciele jak chorobę.

Dużo śpię, nawet w ciągu dnia. Mam taką potrzebę snu. Gdy Millie jest w szkole, a Evelyn siedzi spokojnie i przez chwilę nikt mnie nie potrzebuje, zakradam się do swojej sypialni. Zrzucam buty i kładę się pod kołdrę. Ledwo moja głowa dotknie poduszki, od razu zasypiam, ta senność jest we mnie jak narkotyk. Słyszałam, że smutek może tak na człowieka działać.

Robię lampę oliwną ze starej puszki po paście Brasso. Co wieczór przy świetle tej lampy czytam Millie bajkę z książki Angie z opowieściami z Guernsey. Czytam o uzdrawiających studniach i upiornych orszakach pogrzebowych. Czytam o wrózkach, opiekunkach ogniska domowego i obowiązku przekazywania wiadomości rodzinnym pszczołom. Czytam o tym, że pajęczyny potrafią zatamować krwawienie i że na mewę patrzy się z mieszaniną szacunku i podejrzliwości, bo latając szeroko i daleko, dostrzega wiele tajemnic, które są ukryte przed ludźmi, i o tym, że chmura ochotków nad wodą oznacza deszcz.

I czytam tę historię, którą po raz pierwszy czytałam, gdy zakochiwałam się w Guntherze. Historię o mężczyźnie, który popłynął łódką na Sark i postrzelił kaczkę, a ona naprawdę była dziewczyną. Jak bardzo ją zranił.

Rozdział 80

W PIĄTEK RANO, gdy wróciłam, odprowadziwszy Millie do szkoły, zanoszę Evelyn grzankę i filiżankę herbaty do pokoju. Otwieram drzwi i od razu widzę, że coś jest nie tak. Zazwyczaj, gdy wchodzę, siedzi w swojej jedwabnej lizesce w kolorze herbacianej róży, ale dzisiaj chyba nadal śpi. Leży rozciągnięta w poprzek łóżka, jakby starała się wstać i upadła do tyłu. Oddycha głośno, usta ma szeroko otwarte; kości pod napiętą na twarzy skórą rysują się zbyt wyraźnie.

– Evelyn – mówię do niej. Potem głośniej, przestraszona: – Evelyn.

Nie porusza się.

Kładę rękę na jej dłoni. Lekko nią potrząsam. Nie mogę jej obudzić. Jest coś niepokojącego w tym, jak wyglądają jej szeroko otwarte usta.

Może minąć kilka godzin, zanim uda mi się sprowadzić doktora. Musiałabym pojechać rowerem do jego domu przy głównej ulicy albo zadzwonić do niego z najbliższej budki telefonicznej, ale to zajęłoby prawie tyle samo czasu. Pamiętam, co Gunther mi powiedział, gdy myślał, że to Evelyn kaszle – że Max przyjdzie i ją zbada, jeśli kiedykolwiek będzie chora. Pamiętam, jak życzliwie Max potraktował Millie.

Wychodzę w chłodne światło poranka. Biegnę do Les Vinaires, pędzę ścieżką między kwiatowymi rabatami. Rosną tam astry, zapuszczone i wybijają jak chwasty; czepiają się moich nóg, gdy je mijam.

Drzwi otwiera Hans Schmidt. Musiał jeść śniadanie: usta ma błyszczące od tłuszczu. Odzywa się, zanim zdążę otworzyć usta.

– Chce się pani widzieć z kapitanem Lehmannem? – pyta.

Uświadamiam sobie, że musieli wszyscy wiedzieć o naszym romansie. Cóż, oczywiście, że musieli. To nieważne.

– Nie, z kapitanem Richterem – odpowiadam.

Hans idzie po niego. Zdaję sobie sprawę, że nasłuchuję głosu Gunthera. Z tyłu domu dobiega wybuch donośnego męskiego śmiechu: sądzę, że jeden z tych głosów może należeć do Gunthera, ale nie mam pewności – nigdy nie śmiał się tak głośno, tak rehotliwie, kiedy był ze mną.

Max wchodzi na korytarz. Jest bez marynarki.

– Pani de la Mare. – Po mojej twarzy poznaje, że sytuacja musi być poważna: jest zatroskany, zaniepokojony.

Tak się cieszę, że go widzę. Pamiętam, jak pierwszy raz stanął u moich drzwi, jak nie zgodziłam się podać mu ręki. Że wydawało się to kwestią zasad, wydawało się słuszne – dobre. Było to tak dawno temu.

– Przepraszam, że przeszkadzam – mówię. – Chodzi o moją teściową. Myślę, że... – Słyszę, że głos mi się łamie. – Myślę, że ona umiera. Zastanawiałam się, czy...

– Już idę – przerywa mi Max. Nie wraca nawet po marynarkę, tylko idzie tak jak stoi, w samej koszuli.

W POKOJU EVELYN porusza się bardzo cicho, odzywa się stłumionym głosem. Widzę, z jaką łatwością z powrotem wchodzi w rolę lekarza, jak ta rola do niego pasuje. Mierzy jej puls, sprawdza odruchy, odciąga powiekę i zagląda w oko.

– Myślę, że ma pani rację – informuje mnie niemal szeptem. – Sądzę, że to nie potrwa długo. Miała wylew. Tego się nie da wyleczyć. Bardzo mi przykro.

Kiwam głową.

– Obawiałam się, że to coś takiego. Cóż, dziękuję bardzo, że pan przyszedł.

– Czy mogę coś jeszcze dla pani zrobić? – pyta mnie.

– Miło, że pan proponuje, ale chyba sobie poradzę – odpowiadam.

– Proszę mnie nie odprowadzać – mówi. – Proszę przyjść po mnie, jeśli tylko będzie mnie pani potrzebować.

– Tak, przyjdę. Dziękuję.

Siedzę z Evelyn i trzymam ją za rękę. Jej skóra w porównaniu z moją jest sucha i zimna; ciało porusza się lekko w rytm głośnego, chrapliwego oddechu. Siedzę tak przez długi czas. Słucham tykania zegara, delikatnego poskrzypywania osiadającego domu. Za oknem przepływają powolne brązowe liście, a na parapecie tulą się do siebie grzywacze, oczka mają różowe i puste – nasza obecność nie mąci ich spokoju, jakby nikogo tu w ogóle nie było. Poranek bardzo się ciągnie. Twarz Evelyn jest bez wyrazu, biała jak poduszka, na której leży jej głowa.

Koło południa budzi się i otwiera oczy. Patrzy prosto na mnie, jakby wyraźnie mnie widziała i przynajmniej za to jestem wdzięczna – że przez tę jedną chwilę jest sobą, a wiek jej nie zaćmiewa i nie umniejsza.

Stara się coś powiedzieć. Pochylam się nad nią, rozpaczliwie pragnąc

usłyszeć jej słowa. Mamrocze, ale usta nie chcą jej słuchać. Wydaje mi się, że mówi „Eugene”, ale nie mam pewności. Dreszcz przechodzi przez nią, wnika w moją dłoń – i koniec.

Zamykam jej powieki i składam ręce na piersi. Myślę o tym, że nie mogę skontaktować się z Eugene’em, aby powiedzieć mu, że jego matka odeszła – że pewnego dnia wróci do domu z wojny, a matka będzie już pochowana. Jaki będzie smutny, że nie było go tu, aby ją opłakiwać, gdy umarła.

Płaczę za nią, chociaż jestem wdzięczna, że dane jej było tak łagodnie zgasnąć. To przynajmniej była spokojna śmierć, jej czas się dopełnił.

PO POŁUDNIU TEGO SAMEGO DNIA Max podchodzi znowu do moich drzwi. Może zauważył innych ludzi, którzy zachodzili do mnie w ciągu dnia – miejscowy lekarz potwierdził jej zgon i pan Ozanne przyjechał swoim konnym wozem, żeby zabrać ciało.

– Pani de la Mare? – Ma pytający wyraz twarzy.

Kiwam lekko głową.

– Moja teściowa nie żyje – informuję go.

Jego twarz jest poważna.

– W takim razie proszę przyjąć moje kondolencje – mówi.

– Dziękuję, że przyszedł pan ją zbadać.

Wzrusza lekko ramionami, nie spuszczać ze mnie oczu, jakby chciał powiedzieć, że to nic takiego. Przez chwilę się waha, patrzy na mnie, jakby chciał mnie rozszyfrować, jakbym była jakimś dzikim, płochliwym stworzeniem, którego nie chce wystraszyć.

– Jest coś, co muszę pani powiedzieć – odzywa się dosyć spokojnie. – Opuuszczamy pani wyspę – Gunther i ja.

Serce mi skacze do gardła. Jakoś nigdy tego się nie spodziewałam: jakbym wierzyła, że Gunther zawsze tu będzie. Może sądziłam, gdzieś w głębi duszy, że zawsze będę mogła zmienić decyzję. Że czasu starczy. Że zawsze będzie na to czas.

– Opuuszczacie? – pytam głupio.

– Tak.

– Dokąd was wysyłają?

Max uśmiecha się lekko, ze smutkiem.

– Na wschodni front, niestety. To nie jest dla nas dobra wiadomość. Poza tym zbliża się zima.

Pamiętam, co Gunther mówił – o rzezi, o ogromie Rosji i jej armii; o Stalingradzie, który nazwano masowym grobem Wehrmachtu; o zimnie,

które wszystko zamienia w lód – smary w czołgach i broni, krew w ludziach.
Przełykam z trudem.

– Ach. Kiedy wyjeżdżacie?

Oboje jesteśmy bardzo ostrożni, bardzo oficjalni.

– Wyjeżdżamy w poniedziałek – mówi.

– Tak szybko?

– Tak, tak szybko. Ale obojętne, kiedy by to było, dla nas zawsze byłoby za szybko.

– Dziękuję, że mi pan powiedział.

Oczekuję, że teraz odejdzie, ale tego nie robi. Widzę ruch jego grdyki, kiedy przełyka.

– Jest coś jeszcze, co moim zdaniem powinienem pani powiedzieć. – Bardzo starannie dobiera słowa. Wiem, że głęboko zastanawiał się, czy w ogóle mi o tym mówić. – Gunther dowiedział się, że jego syn zginął. Jego syn Hermann.

Ziemia się pode mną kołysze. Słowa zawisają w powietrzu jak zaostrome noże. Jeśli wyciągnę dłoń, skaleczą mnie.

Kapitan mi się przygląda. Lekko kiwa głową.

– Tak sądziłem – mówi. – Sądziłem, że pani nie powiedziała. Gunther jest skryty. Wiele rzeczy zachowuje dla siebie...

Przez chwilę żadne z nas się nie odzywa. W zapadłej między nami ciszy słyszę odległy szum wody, która gwałtownie przybiera, kiedy zaczyna się przypływ. Jeszcze trochę, i mnie zaleje.

– Kiedy? – mój głos jest przytłumiony, jakby dochodził z daleka. – Kiedy się o tym dowiedział?

Ale jeszcze nie kończę mówić, a już wiem, co Max odpowie.

– To było sześć tygodni temu. Mniej więcej w tym samym czasie co ten nieszczęśliwy incydent w pani sadzie – kiedy zastrzelili zbiegłego więźnia. Uważałem, że powinna pani wiedzieć.

– Tak. Dziękuję – odpowiadam.

Rozdział 81

W PONIEDZIAŁEK RANO odprowadzam Millie do szkoły, a potem zabieram się do sprzątanía domu przed herbatą po pogrzebie.

To dziwne uczucie być samej w domu. Od dawna tak się nie zdarzało – od czasu gdy Evelyn przestała wychodzić. W domu, który jest pusty, cisza ma inną jakość – wyczuwa się w niej rozluźnienie, taki bezbarwny wyciszony spokój, prawie jakby sam dom wypuścił wstrzymywane powietrze. Słyszeć jedynie odgłos, jak Alphonse przesuwając szorstkim języczkiem po futrze, siedząc na parapecie w plamie bladego, złotawego słonecznego światła. W weekend miałyśmy dużo roboty, do tego Blanche i Millie były zrozpaczone śmiercią babci, a trzeba zorganizować pogrzeb. Ale teraz, w tym milczącym domu, odzyskałam jasność umysłu, jakby ktoś nagle wyłączył odgłos, który ciągle słyszałam w głowie, taki jak brzęczenie owadów, jak zakłócenia w radiu.

W tej obcej ciszy kołaczę mi się po głowie tylko jedna myśl. *Jest poniedziałek i Gunther wyjeżdża.* A gdy o tym myślę, przypomina mi się straszna wiadomość, którą przekazał mi Max – że syn Gunthera zginął. Zdawało mi się, że lśniąca wstążkę przeszłości zawiązałam tak porządnie, a ona na moich oczach rozplątuje się i rozwija. W głowie kłębią mi się pytania. Czy wszystko źle zrozumiałam? Czy to dlatego wydawał się taki odległy, taki wycofany, gdy zobaczyłam go w wieczór po śmierci Kiryła? A jeżeli to nie Gunther nas zdradził? A jeżeli nie miał nic wspólnego ze śmiercią Kiryła? A jeżeli odepchnęłam go od siebie bez powodu?

Nie ma odpowiedzi na te pytania.

Jest natomiast szary nalot kurzu na książkach w biblioteczce, gdzie rzadko sprzątam. Wyciągam kilka książek, aby je odkurzyć i coś spływa na podłogę, jakaś kartka grubego, złożonego papieru. Podnoszę ją, rozkładam, wyglądam zagniecenia. To mój portret, który Gunther narysował tamtego pierwszego wieczoru, jaki spędziliśmy razem: wsunęłam go między książki, żeby go nikt nie zobaczył.

Wpatruję się w rysunek – jest taki dokładny, właściwie niezbyt pochlebny, ale ujawnia coś, pokazuje mnie taką, jaką jestem. Przypominam sobie, jak

razem patrzyliśmy na ten rysunek – jak przyglądając mu się, przesunął palcem po krzywiźnie mojego policzka. Nagle ogarnia mnie słabość. Osuwam się na kanapę. Dłoń mi wiotczeje i papier spada na podłogę. Wszystko wydaje się jasno oświetlone i takie proste, takie oślepiająco klarowne. Muszę z nim się pożegnać; muszę go jeszcze raz objąć. Dlaczego tego nie rozumiałam? Dlaczego tak długo trwało, zanim to pojęłam? Nagle jest to jedyna na świecie rzecz, która ma dla mnie znaczenie.

Ściągam fartuch, wypadam za drzwi i pędzę do Les Vinaires. Widzę, że nie ma czarnego bentleya, którym jeździ Gunther. Pukam. Oddychanie boli.

Drzwi otwiera jakiś przysadzisty mężczyzna z opadającymi powiekami. Nie poznaję go.

– Szukam kapitana Lehmana – mówię.

Potrząsa głową.

– Już wyjechali – odpowiada.

– Do St. Peter Port?

Jakby ciężki głaz uciskał moją pierś. Nie dotrę do miasta na czas na rowerze – to trwa całe wieki.

Potrząsa głową.

– Nie do portu. Na lotnisko.

Ogarnia mnie radość. Ta wiadomość od niego jest dla mnie jak dar: na lotnisko łatwo się dostać, to tylko kawałeczek pod górę i wzdłuż głównej drogi.

– Dziękuję panu – mówię. – Tak bardzo panu dziękuję.

Biegnę po rower. Rozpiera mnie gorączkowa energia. Mam wrażenie, że bez wysiłku wjeżdżam pod górę – choć muszę się mocno trzymać, bo dłonie mam wilgotne i ślizgają mi się po kierownicy, jakby naprawdę do mnie nie należały.

Na lotnisku jest pełno zamieszania i krzyku, i celowej krzątaniny, wszędzie są niemieccy żołnierze i ciężarówki, motory, jeepy – cała ta tętniąca, potężna, skomplikowana machina wojenna, o której tak mało wiem. Kiedy się zbliżam, jakiś samolot akurat startuje, jego ryk wypełnia cały świat, dudni mi od niego w uszach. Odbywa się jakieś przemieszczanie wojsk na wielką skalę. Coś we mnie usycha. Tak mi zależało, żeby się tu dostać, że nie przemyślałam, co będę robić – miałam tylko tę nadzieję, tę pewność, że jakoś go znajdę, że to było nam pisane.

Kiedy podjeżdżam bliżej, zauważam czarnego bentleya zaparkowanego

razem z innymi cywilnymi samochodami przy krawężniku. Kamień spada mi z serca. Ale w środku nie ma nikogo.

Zeskakuję z roweru, zostawiam go przy drodze. Ni stąd, ni zowąd nachodzą mnie mdłości. Aż cała się skręcam; wymiotuję odrobiną czystej żółci. To pewnie przez ten cały dzisiejszy stres, przez wysiłek związany z jazdą na lotnisko. Wycieram twarz. Czuję się zażenowana, mam nadzieję, że nikt tego nie widział. Ale jest mi teraz lepiej, jaśniej myślę.

W pobliżu mnie stoi trzech żołnierzy, palą papierosy; są rozluźnieni, rozmawiają, śmieją się. Milkną, gdy podchodzę.

– Przepraszam. Szukam kogoś, czy może mogliby panowie mi pomóc – zwracam się do nich.

Potrząsają głowami, wykonują drobne bezradne gesty, wzruszają ramionami – to ten uniwersalny język, w którym przekazuje się, że się nie rozumie.

– Szukam kapitana Lehmana. To ważne – mówię.

Może przynajmniej rozpoznają jego nazwisko. Ale oni spoglądają na siebie krótko, a potem ponownie potrząsają głowami. Gdy się odwracam, jeden z nich przygląda mi się i mruczy coś po niemiecku: pozostali wybuchają głośnym śmiechem. Czuję, że twarz mnie pali.

Podchodzę odważnie do bramki kontrolującej wstęp na lotnisko. Zatrzymuje mnie stojący tam żołnierz.

– Nie powinno pani tu być – mówi mi. – Nie może pani przejść.

Przynajmniej ten mężczyzna mówi po angielsku. Jestem za to taka wdzięczna, tak serdecznie, głęboko wdzięczna.

– Może mógłby mi pan pomóc – zwracam się do niego. – Szukam kapitana Lehmana.

– Może pani powtórzyć nazwisko?

Powtarzam.

Na jego twarzy pojawia się cień zrozumienia.

– Kapitan Gunther Lehmann?

– Tak.

– Znam kapitana Lehmana – mówi.

Robi mi się gorąco z wdzięczności. Wszystko toczy się tak, jak powinno, dzieje się tak, jak miało się dziać. Mogłabym tego człowieka uściskać.

– Bardzo się cieszę – stwierdzam. – Czy może mi pan powiedzieć, gdzie go znajdę? Będę bardzo wdzięczna.

– Kapitana nie ma. Nie może się pani z nim zobaczyć – odpowiada.

Potrząsam głową. Prawie mnie rozśmieszyło to, że aż tak bardzo się myli.

– Nie mówi pan poważnie, prawda? Nabiera mnie pan – uśmiecham się, przyłączając się do jego żartu, podtrzymywana przez absolutną pewność, że spotkanie jest nam pisane.

Moje słowa brzmią dla niego bezsensownie. Marszczy brwi.

– Nie rozumiem pani – mówi.

– Pan żartuje, prawda? Nie mówi pan serio. – Jestem taka przekonana, taka pewna. Choć mój głos trochę za bardzo się wyostrzył. – Nie chce pan chyba powiedzieć, że odleciał. On nie mógł odlecieć...

Żołnierz nic nie mówi, pokazuje palcem w górę.

Patrzę tam, gdzie wskazuje palcem. Widzę czarną plamkę wznoszącego się samolotu, która na moich oczach niknie w pustym blasku nieba.

Rozdział 82

PAŹDZIERNIK JEST ZIMNY, wiatr huczy w resztkach mojego sadu, gałęzie przy drózkach są nagie i poczerńnięte od wilgoci, nad nami wisi białe, skłębione niebo. Codzienne dni wymagają tyle namysłu i planowania, i troski: teraz jedzenia w sklepach jest jeszcze mniej. Czuję się ciągle wyczerpana, ciało mam ociężałe i powolne. Ale w pewnym sensie wdzięczna jestem za te wszystkie rygory życia, które pozostawiają mi mało czasu na myślenie. Staram się zachować pogodę ducha dla Blanche i Millie. Pozwalam sobie na płacz jedynie wieczorami, kiedy one są na górze w swoich pokojach, albo nocą, kiedy się budzę w pustym łóżku i wtulam twarz w poduszkę.

Pewnego późnego popołudnia w listopadzie przygotowuję właśnie w kuchni kolację, kiedy rozlega się pukanie do drzwi. Stanowcze męskie pukanie. Przez krótką na wpół szaloną chwilę myślę, że moje rozpaczliwe modlitwy zostały wysłuchane – że on został mi zwrócony. Otwieram drzwi. Czuję rozczarowanie przechodzące w niechęć. To Piers Falla.

– Dobry wieczór, Piers.

– Pani de la Mare. Chcę pani coś pokazać – mówi.

Jest jak zawsze szorstki. Wydaje się przenikać mnie wzrokiem, spojrzeniem, które każe mi myśleć o ptaku drapieżnym, każe myśleć, że czegoś po mnie oczekuje.

– Co chcesz mi pokazać? – pytam.

– Zobaczy pani. Będzie musiała pójść pani ze mną. – A gdy się waham, dodaje: – Będzie warto, obiecuję.

Chwytam płaszcz: w powietrzu czuje się już zimowy chłód. Uprzedzam Millie, że wychodzę. Idę za Piersem ścieżką przez zmierzch, który miękko osiada wokół nas. Piers skręca na ścieżkę prowadzącą w górę po zalesionym zboczu, ścieżkę, którą nigdy wcześniej nie szłam. Idę za nim przez przytłumione, uspięne lasy. W półmroku kolory są stonowane – rdzawy, cynamonowy, szarobrązowy, jak skóry zwierząt. W gałęziach szumi lekki wiatr, a nasze kroki szeleszczą na ścieżce, która jest na grubo zasypiana liśćmi.

Milczymy, a to staje się krępujące. Piers nie jest łatwym towarzyszem.

– Musisz tęsknić za Johnniem – mówię, żeby przerwać ciszę.

– Tak – odpowiada. – Tak, tęsknię za nim... Te wszystkie rzeczy, które razem robiliśmy – nigdy nie sądziłem, że to się tak skończy. Tylko z powodu głupiego błędu.

– Ale to nie taki długi wyrok – protestuję. – Powinien wrócić w lipcu.

– Pod warunkiem że nie zgubi się w systemie – odpowiada Piers. – I nie odeślą go do jakiegoś znacznie straszniejszego miejsca.

– Och – jestem zaskoczona. – Ale przecież coś takiego nie może się zdarzyć? Z pewnością jest lepiej pod względem organizacyjnym?

– Chodzą plotki, że z innymi tak się działo – stwierdza.

– Ach. – Przechodzi mnie dreszcz lęku o Johnniego.

Idziemy rozszepaną ścieżką. Przed nami zrywa się z gałęzi sójka: błysk jaskrawego jak szafiry błękitu wydaje się szokujący na tle sepiowego półmroku lasu. Wokół nas słychać szmer niezliczonych strumyków.

Piers odchrząkuje; w ciszy ten odgłos jest zbyt głośny.

– Trochę z tego, cośmy robili, Johnnie i ja – zaczyna ni stąd, ni zowąd, i przerywa. Potem próbuje jeszcze raz. – Są rzeczy, które kiedyś uważałem za ważne, a teraz już nie są takie ważne. Nie tak naprawdę ważne...

Wiem, że mnie przeprasza.

Rzucam na niego okiem. Twarz mu drga: stara się znaleźć odpowiednie słowa.

– To, w jaki sposób robiliśmy różne rzeczy, kiedy zaczynała się okupacja. Byliśmy jeszcze dziećmi. Szczerze mówią, po prostu się bawiliśmy – mówi mi.

– Chcieliście robić wszystko, co mogliście – odpowiadam. – Potrafię to zrozumieć.

Wydaje się mnie nie słyszeć.

– Teraz już wiem – ciągnie – chodzi o to, co ktoś robi, kiedy przychodzi jego czas. Kiedy się czegoś od niego żąda. Co robi z czasem, jaki jest mu dany. To jest ważne... Te inne rzeczy nie mają znaczenia – w kim się ktoś zakocha, takie tam.

Czuję się nieswojo: nie wiem, jak zareagować. Ale jednocześnie jestem wdzięczna, że to powiedział.

Wspinamy się po stromej krętej ścieżce między drzewami i ich splątanymi cieniami i wychodzimy na szczyt na wietrzną jasność i niebo, i cały szeroki przestwór za lasem, gdzie są pola zbóż i blask morza. Ten moment jest jak narodziny – jak wyjście na światło z łona naszej głębokiej, zalesionej doliny.

Widzę z ukłuciem trwogi, że podeszliśmy do obozu pracy na szczycie klifu – tego obozu, który opisywał Johnnie, a którego nigdy nie chciałam zobaczyć. Obozu, z którego przychodził Kirył. Widzę wysoki płot z drutem kolczastym, baraki, w których śpią więźniowie, drewniane wieże strażnicze. Myślę o tym, co ludzie mówią, że tu widzieli. O więźniach pobitych, zakrwawionych, porzuconych. O mężczyźnie powieszonym na drzewie, którego ciało wisiało tam przez kilka dni.

Podchodzimy trochę bliżej. Widzę, że trawa przed budynkami została wydeptana i pozostała tylko goła ziemia i błoto. Rozpalono tam ognisko. Wokół ognia siedzi wielu mężczyzn; są wychudzeni, obdarci i beznadziejnie smutni. Strażnik przygląda im się bezmyślnie – znudzony, niezbyt czujny, z roztargnieniem palący papierosa. Mężczyźni siedzą cicho, prawie się nie poruszają, nawet nie rozmawiają. Z wyczerpania mają twarze takie jak kiedyś Kirył, tamtego dnia dawno temu, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam go w stodole Petera Mahy, bez wyrazu.

Przyglądamy się i nagle wśród mężczyzn widać jakieś poruszenie, jakby letni wiatr powiał nad polem pszenicy – zamieszanie, okrzyki, powolne klaskanie. Zastanawiam się, co się będzie działo. Dwóch mężczyzn podnosi się z ziemi. Mają ciemne włosy, spaloną na brąz od słońca skórę: mogliby być tymi Cyganami, którzy, jak mówił Johnnie, znajdowali się tutaj wśród więźniów. Stoją twarzami do siebie, jakby się chcieli sprawdzić w walce, więc przez chwilę zastanawiam się, czy będą się z sobą bili. Ale oni unoszą ręce nad głowę i pstrykają palcami do taktu; kołyszą się lekko i zaczynają tańczyć, przytupując stopami na gołej ziemi, ich łachmany rozwiewają się dziko w rytm kołysania się ich ciał. Inni mężczyźni wiwatują, potem zapada cisza. Przyglądam się gestom tancerzy, które przywołują, wyczarowują, pieszczą. Ich ruchy są tak bardzo wymowne: mówią o pragnieniu, pocieszeniu, o krótkim i złamanym triumfie. Kiedy przechodzą przed ogniskiem, wydają się trzymać całe to czerwone światło i ciepło w swoich dłoniach.

Myślę o Kiryle – o jego ojczyźnie, o historiach, jakie opowiadał, o wszystkich tych rzeczach, o jakich marzył. Myślę, że wszyscy nosimy w sobie takie bogactwo – życie, które przeżyliśmy, ludzi, jakich kochaliśmy, wszystko to, za czym tęskniliśmy. Niezależnie od tego, dokąd pójdziemy, co się stanie, niesiemy to bogactwo w swoim wnętrzu. Niezależnie od tego, co nas spotka, co się nam odbierze.

A potem taniec się kończy równie nagle, jak się zaczął. Ich stopy przestają

przytupywać, puste dłonie opadają po bokach, tancerze osuwają się na ziemię przy ogniu, przygarbione cienie kulą się przed nimi. Mężczyźni, którzy im się przyglądali, klaszczą, a potem siedzą w milczeniu. Zapada cisza jak makiem zasiał. Wszystko jest tak jak przedtem. Lub prawie tak jak przedtem.

My też przez chwilę stoimy bez ruchu.

Odwracam się do Piersa. W przygasającym świetle jego drapieżna ptasia twarz wygląda mniej surowo, niż mi się wydawało.

– Czy to chciałeś mi pokazać? – pytam.

– Nie.

– Ale cieszę się, że to widziałam – dodaję.

Przytakuje lekko, przyjmując moje słowa do wiadomości.

– To chciałem pani pokazać – mówi. – Jest takie miejsce w siatce – tam przy rowie...

Patrzę w tę stronę, gdzie pokazuje, na miejsce, w którym gąszcz leszczyn zacienia rów i prawie sięga do płotu. Jest gdzie się schować. Można by podejść bardzo blisko i nikt by nie zauważył.

– Widzę.

– W siatce jest dziura. Więźniowie pilnują, żeby była otwarta. Można tam zostawiać jedzenie. Pod tymi drzewami, tuż za płotem. Jeśli mogłaby pani się podzielić jakimś jedzeniem, może pani je tu przynieść i zostawić. Najlepsza pora to tuż przed godziną policyjną.

– A jeżeli strażnik mnie zobaczy? – pytam.

– Zależy, kto będzie miał zmianę – wyjaśnia Piers. – Czasem przymykają na to oko. Niektórym jest wszystko jedno, jak temu tutaj dzisiaj. Robili to już inni. Przy odrobinie szczęścia będzie pani bezpieczna... Zawsze jest ryzyko, oczywiście. Ale pani to wie.

– Wiem.

Cienie są teraz długie, ale na niebie pozostało kilka strzępów światła. Ich blask odbija się w bystrym spojrzeniu Piersa.

– Przykro mi, że straciliśmy Kiryła – mówi. – Ale są inni, których możemy pomóc utrzymać przy życiu.

– Dopóki wojna się nie skończy?

– Dopóki nie wygramy – odpowiada mi. Brzmi tak samo jak Johnnie.

Czy wygramy? Zastanawiam się. Jak możemy wygrać? Czy to możliwe? Wydaje się to niewyobrażalne.

– No to jak, pani de la Mare? Zrobi pani to, co pani może zrobić?

Ale już zna moją odpowiedź.

EPILOG

kwiecień 1946

A decorative floral illustration in the upper right quadrant of the page, featuring a large, light-colored flower with several petals and a stem with leaves. The illustration is rendered in a soft, watercolor-like style.

EPILOG

kwiecień 1946

Rozdział 83

KILKA MIESIĘCY PO WOJNIE przychodzi do mnie pocztówka.

JADĘ NA ROWERZE do St. Peter Port. Jest słoneczne kwietniowe popołudnie. W mieście panują spokój i porządek: wszystkie sklepy są czynne, ludzie kręcą się po ulicach. Matki besztają dzieci, ludzie na przystankach autobusowych narzekają – na pogodę, rząd, na to, ile wszystko kosztuje. Myślę o tym, z jaką gotowością wracamy do przewidywalnego życia w czasie pokoju – ci z nas, którzy przeżyli, którzy mają szczęście: strzepujemy z siebie kurz przeszłości, zamiatamy fragmenty, idziemy dalej.

Zostawiam rower u stóp schodów prowadzących do herbaciarni. Herbaciarnia pani du Barry już nie działa, ale otworzyło się tu nowe miejsce. Gdy jest ciepło, można usiąść na tarasie, i uznałam, że to będzie dobry wybór.

Wchodzę po schodach na taras. Patrzę nad stromymi dachami z czerwoną dachówką, ale nie widać stąd wody, człowiek nie wiedziałby, że jest na wyspie, gdyby nie pewna właściwość światła, które jest jednocześnie łagodne i lśniące, i ma srebrzystą przejrzystość zalanego słońcem powietrza nad morzem.

W lokalu jest duży ruch: kobiety spotykają się z przyjaciółmi i plotkują przy herbacie i gâche, mężczyźni robią interesy, jest jakaś niania z hałaśliwymi dziećmi. Na chwilę dezorientują mnie te wszystkie kolory, ten cały ruch i rozmowy, i go nie widzę. Potem dostrzegam przy stoliku w rogu tarasu. Ma na sobie stonowany garnitur i krawat. Wygląda zupełnie inaczej w cywilnym stroju – mniej pewnie, mniej stanowczo. Zauważa mnie i wstaje, gdy podchodzę. Ujmuje moją dłoń i lekko się kłania.

– Dzień dobry, kapitanie Richter – mówię. Choć nie jestem pewna, jak się do niego zwracać. Niemcy nie mają już armii: prawdopodobnie nie ma już stopnia.

– Pani de la Mare. Bardzo dziękuję, że pani przyszła.

Siadamy. Kelnerka podchodzi do naszego stolika. Kapitan zamawia dla

nas obojga herbatę.

– Miałaby pani ochotę coś zjeść? Jakieś ciasto?

Ale ja z trudem przełykam; wiem, że nie dałabym rady nic zjeść.

– Nie, dziękuję.

Gdy kelnerka odchodzi, on pochyla się nad stołem w moją stronę. Jego ciemne oczy patrzą na mnie. Ma w twarzy tyle powagi.

– Pani de la Mare...

Przerywa, odchrząkuje, jakby zbyt trudno było mu wypowiedzieć słowa, z którymi tu przyjechał. Nawet temu opanowanemu, cynicznemu mężczyźnie, który musiał tyle widzieć.

Ale ja wszystko mogę wyczytać z jego oczu.

– On nie żyje, prawda? – pytam. – To przyjechał mi pan powiedzieć.

Jego twarz na chwilę mrocznieje.

– Tak, niestety, Gunther nie żyje – mówi. – Przykro mi.

– Wiedziałam, że musi nie żyć, kiedy dostałam pana kartkę.

– Gdy umierał, prosił, bym panią odszukał. Dotrzymuję danego mu słowa.

– Rozumiem. Dziękuję.

Przez chwilę milczymy. Panujący w kawiarni gwar wydaje się oddalać, dochodzić z jakiejś wielkiej odległości.

Max wyciąga dwa papierosy, zapala je, podaje mi jednego. Gdy go biorę, widzę, że dłoń mi drży.

On opiera się na łokciach, patrzy mi w twarz.

– Chciał, żebym pani powiedział o kilku sprawach – podejmuje. – Powiedział mi, że jego zdaniem obwinia go pani za zastrzelenie tego Polaka.

– Nie był Polakiem – przerywam mu.

– Teraz nie ma to znaczenia – odpowiada.

– Ależ ma znaczenie. – Sama jestem zaskoczona tym nagłym przyplływem gniewu – że Max mówi o nim jak o jakimś bezimiennym więźniu. – Pochodził z Białorusi. Miał na imię Kirył. Jego wioska leżała w lesie brzozowym. Był rzemieślnikiem, bardzo zdolnym. Robił skrzypce.

Mój głos jest zbyt donośny, zbyt napięty.

Max odchyła się do tyłu i wykonuje drobny, kojący gest dłońmi, jakby chciał mnie uspokoić.

– Tak czy owak. Ten człowiek, który został zastrzelony – mówi.

Ale ja nadal jestem rozgniewana.

– Wiem, że dla pana był to tylko incydent, takie drobne zdarzenie, niefortunny przypadek. Dla mnie to było coś innego. Dla mnie to była cała

brutalność wojny.

– Tak, oczywiście – stara się mnie udobruchać.

Kelnerka przynosi herbatę. Próbuje jej nalać, ale dłonie za bardzo mi drżą.

– Proszę pozwolić, że ja to zrobię – mówi Max.

– Dobrze, dziękuję.

Nalewa. Podaje mi filiżankę.

Nie piję. Czekam.

Max znowu nachyla się w moją stronę.

– Gunther chciał, abym powiedział pani, że nie miało to z nim nic wspólnego. Wiedział, że ukrywa pani tego mężczyznę w domu.

– Kiedy to panu powiedział? – pytam.

– Powiedział mi to, kiedy byliśmy jeszcze na pani wyspie – odpowiada. – Że gdy przyszedł do pani pewnego ranka, zorientował się, co się dzieje. Nigdy nie pisnąłby słowa na ten temat ludziom z OT. Nie naraziłby pani. Nigdy by pani nie skrzywdził. To nie Gunther panią zdradził.

– Skąd pan wie? – dopytuję się. – Jak może mieć pan pewność?

– Mogę być pewny, ponieważ wiem, od kogo pochodziła ta informacja. Od Hansa Schmidta – wyjaśnia. – Schmidt zobaczył coś w pani ogrodzie. Poszedł do ludzi z OT.

Pamiętam tego blond chłopca, który czasem kosił trawę w Les Vinaires, miłośnika kotów.

– Dlaczego Gunther mi nie powiedział? – pytam.

– Był dumnym mężczyzną, pani de la Mare. I sądzę, że pani o tym wie. Kiedy zdecydowała pani, że wasz romans się skończył, nigdy by nie prosił ani nie błagał, by przyjęła go pani z powrotem.

Nic nie odpowiadam. Wiem, że ma rację.

Przez chwilę palimy w ciszy. Potem Max odkłada papierosa na popielniczkę.

– Pani de la Mare. Muszę to pani powiedzieć – kontynuuje z wahaniem. – Nie wiedzieliśmy, co robi się w naszym imieniu. Wielu z nas, którzyśmy służyli w wojsku, wierzyło w nasz kraj – wierzyło, że musimy odzyskać dumę, wrócić na ziemię, które straciliśmy. A gdy zrozumieliśmy, co zrobiono, płakaliśmy... Nie wszyscy. Ale niektórzy z nas.

– Jak mogliście nie wiedzieć? – To jest trudne. Brakuje wystarczająco ważkich słów. – To znaczy – nawet tu, na Guernsey, mogliście zobaczyć tę całą brutalność.

– Człowiek wykonuje swoją pracę – odpowiada Max. – Robi, co musi

zrobić. Nie zawsze rozgląda się naokoło siebie. Nie zawsze o wszystkim myśli. – A kiedy nic nie mówię, dodaje: – Może pani uważać, że to źle, i będzie pani miała rację. Ale w ten sposób zachowują się ludzie. Większość z nas, przez większość czasu. Ludzie zachowują się tak, jak się im każe, jak zachowuje się ich otoczenie. Na ogół tak się dzieje. To przygnębiające, ale prawdziwe. Tacy właśnie jesteśmy...

– Musieliście wiedzieć – powtarzam.

Max otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale nic nie mówi.

Przez dłuższy czas milczymy. Papieros pali się w popielniczce, tam gdzie go zostawił. Max siedzi zupełnie nieruchomo, wpatruje się w swoje dłonie.

W końcu jakby się ocknął. Pociera rękami twarz i ponownie się rozgląda – patrzy na światło słoneczne, kryte czerwoną dachówką dachy, jasne niebo, po którym pędzą chmury.

– Pani de la Mare. Proszę opowiedzieć mi, jak ułożyło się pani życie od czasów wojny. Tutaj, na pani pięknej wyspie.

Waham się. Co mu powinnam powiedzieć? Ale zbliżyliśmy się do siebie przez to, co zrobił dla mnie, tu przyjeżdżając. Jestem mu wdzięczna: mam wobec niego dług. Postanawiam, że powiem mu wszystko – cóż, prawie wszystko. Jestem mu to winna.

– Mój mąż wrócił z wojny – mówię. – Miał szczęście, przeżył. Ale zgodziliśmy się, że będziemy żyli w separacji.

– Przykro mi to słyszeć – mówi Max.

– On mieszka tu, w mieście – kupił mieszkanie za część pieniędzy matki – a ja nadal mieszkam w Le Colombier z dziećmi – opowiadam. – Daję lekcje gry na fortepianie – jakoś sobie radzimy. Nie moglibyśmy dalej żyć razem po tym wszystkim, co się stało...

Max lekko kiwa głową.

– Rozumiem, że to byłoby trudne – mówi ostrożnie.

– A Blanche – pamięta pan Blanche, moją starszą córkę? – pytam.

– Tak, oczywiście, że ją pamiętam.

– Blanche wyszła za mąż. Poślubiła Johnniego – syna jednej z moich przyjaciółek. Przesiedział jakiś czas w więzieniu we Francji. Znaleźli w jego pokoju strzelbę.

Max potrząsa głową ze zmęczeniem i rezygnacją, jak nad jakąś właśnie ujawnioną głupotą. Może nad głupotą Johnniego, że zatrzymał tę strzelbę, a może nad małostkowością przepisów, które tak długo rządziły naszym życiem.

– Kiedy wrócił do domu, zaczęli się spotykać – ciągnę. – Pobrali się zeszłego lata.

Pamiętam ten ślub, mam go przed oczami. Blanche w zgrabnym różowym kostiumie, który sobie uszyła, i małym filcowym kapelusiku z woalką. Jej blond włosy spływają na ramiona jak woda, twarz promienieje radością; i to zdumienie, z jakim Johnnie na nią patrzył, jakby nie mógł uwierzyć w swoje szczęście; i wszyscy śpiewali, słońce jasno świeciło, i kościół wyglądał tak odświętnie cały w kwiatkach.

– To był szczęśliwy dzień – mówię mu.

Uśmiecha się.

– A Millie tak dobrze radzi sobie w szkole – kontynuuję. – Twierdzi, że chce zostać lekarzem. Oczywiście to bardzo trudna droga kariery dla dziewczyny. Ale tak bym się cieszyła, gdyby jej się udało.

Twarz Maxa łagodnieje.

– Millie to cudowne dziecko – mówi.

I potem znowu milczymy. I wiem, że teraz to ja muszę przerwać ciszę, ale przez bardzo długi czas nie mogę tego zrobić.

W końcu zmuszam się do zadania tego pytania.

– Jak zginął Gunther?

Ledwo słyszę swój głos.

Max kładzie mi dłoń na rękawie.

– To był sierpień czterdziestego czwartego w Kiszyniowie, w Rumunii. Byłem przy nim. Nie umierał sam.

– Cieszę się – mówię. – Bardzo się cieszę, że był pan z nim. Bardzo się cieszę. – Nie mogę przestać tego powtarzać.

Zauważam, że nie powiedział mi dokładnie, jak Gunther zginął. Nie powiedział, że to była szybka śmierć, że nie cierpiał.

– Mam coś, co powinienem pani oddać – mówi Max. – Gunther z tym się nie rozstawał...

Wyciąga coś z kieszeni. To tomik poezji, który niegdyś dałam Guntherowi. Nie wiedziałam, że go zatrzymał. Max mi go podaje. Tomik jest wytarty, podniszczony, a na okładce ma plamę, która może być z krwi.

Przerzucam kartki. Wstążka nadal zaznacza stronę z moim ulubionym wierszem. Otwieram tam książkę.

Pragnieniem moim udać się

Gdzie wiosny nie zawodzą...

Słowa się zamazują. Nie mogę czytać.

Przechodzę na początek książki, tam kiedyś napisałam swoje imię i nazwisko. Widzę, że Gunther napisał swoje pod moim, żeby nasze imiona były razem – tak jak kochankowie wycinają inicjały w korze drzewa.

I wtedy do oczu napływają mi łzy.

Płaczę przez długi czas. Pograżam się w żalu, szloch wstrząsa moim ciałem.

Max siedzi w milczeniu i czeka. Jestem wdzięczna, że nic nie mówi.

Kiedy w końcu płacz ustaje, uświadamiam sobie, że ludzie zerkają na mnie, zakłopotani takim wybuchem emocji w miejscu publicznym. Ale nie zaskoczeni, bo tyłu z nas opłakiwało kogoś.

Mam szczęście, powtarzam sobie. Mam wspaniałe dzieci. Mam szczęście. Ale wciąż przenika mnie ból. Nie wyobrażam sobie, jak zdołam się nauczyć go znosić.

Wycieram twarz chustką.

– Muszę już iść – mówię mu. – Dziękuję panu. Dziękuję, że pan przyjechał, odbył tę podróż. Nie wiem, jak panu dziękować...

Max lekko wzrusza ramionami.

– Z radością to zrobiłem – zapewniam. – Gunther był moim przyjacielem.

Wstajemy. Max serdecznie potrząsa moją dłoń.

Schodzę po schodach na ulicę. Otwieram kłódkę przy rowerze i ruszam w długą podróż powrotną; słońce z wieczorem nabiera soczystych barw, a cienie wpełzają na drogę. Wracam do Millie; i tego małego chłopca, który rzuci mi się w ramiona, kiedy dojadę do domu; którego szare oczy będą błyszczeć, kiedy na mnie popatrzy, który będzie się uśmiechał uśmiechem Gunthera.

Wyspa Guernsey

WYSPA GUERNSEY, CZĘŚĆ BALIWATU GUERNSEY, który obejmuje kilka mniejszych wysp i dwie inne oddzielne jurysdykcje na wyspach Alderney i Sark, jest drugą co do wielkości wśród Wysp Normandzkich, które leżą tuż przy wybrzeżu Normandii w północno-zachodniej Francji (Jersey, część baliwatu Jersey, jest największa). Mająca zaledwie 25 mil kwadratowych powierzchni Guernsey leży około 30 mil od brzegu Francji i 75 mil od południowo-zachodniej Anglii.

Guernsey jako wyspa powstała osiem do dziesięciu tysięcy lat temu, gdy zmiany w poziomie oceanów oddzieliły ją od tej części kontynentu europejskiego, który teraz jest Francją. Takie położenie geograficzne na kanale La Manche spowodowało, że miejsce to ma urozmaiconą, bogatą i burzliwą historię. Przez większość czasu Guernsey służyła głównie jako centrum handlu między północą a południem, Anglią a Francją.

Pierwsze związki Guernsey z Anglią datuje się na 1066 rok, wówczas Wilhelm I z Normandii (Zdobywca) pokonał króla Harolda i połączył ją z księstwem Normandii. Jednak w 1204 roku, kiedy król Jan bez Ziemi utracił Normandię na rzecz francuskiego Filipa II Augusta, mieszkańcy Guernsey zwrócili się do Korony Angielskiej z apelem o ochronę. To w tamtym czasie rozpoczęła się budowa jednego z najbardziej trwałych zabytków na Guernsey, zamku Cornet, mającego chronić przed inwazją francuską. Dlatego też, mimo bliskości Francji, Guernsey jest własnością Korony Angielskiej.

Geografia stała też za najważniejszymi i najbardziej dramatycznymi wydarzeniami na Guernsey w dwudziestym wieku: okupacją wyspy przez Niemcy podczas drugiej wojny światowej. Hitler przekonany był, że teren ten ma wielkie znaczenie strategiczne, i dużą część pieniędzy przeznaczonych na wał atlantycki wpompował w inwazję i ufortyfikowanie tych wysp. Anglia, a konkretniej dowództwo angielskich wojsk miało inne zdanie na temat strategicznej wartości tego terenu i postanowiło go nie bronić. Kiedy już ogłoszono to w lokalnej gazecie 19 czerwca 1940 roku, rodzice musieli zdecydować, czy chcą ewakuować dzieci, podczas gdy sami pozostaną na wyspach. Następnego dnia, ostatniego przed rozpoczęciem nalotów

bombowych na wyspę, ponad tysiąc dzieci, kobiet i nauczycieli weszło na statek do Anglii. Niektórzy nigdy nie wrócili do swoich domów czy rodzin. W sumie ewakuowano ponad siedemnaście z czterdziestu tysięcy mieszkańców. Ci, którzy zostali, nie mieli wielkiego wyboru i musieli podporządkowywać się zarządzeniom i żądaniom sił niemieckich przez następne pięć lat, choć są dowody na konsekwentną działalność podziemną mającą na celu pokrzyżowanie planów Niemców. Ta sytuacja utrzymywała się do 9 maja 1945 roku, kiedy nazajutrz po Dniu Zwycięstwa w Europie brytyjskie oddziały przybyły do St. Peter Port.

Włożono ogromny wysiłek w udokumentowanie tego trudnego okresu w historii Guernsey. Spisuje się przekazy ustne, robi filmy dokumentalne i na kilku stronach internetowych zbiera się opowieści wielu wysiedleńców z czasów wojennych. A na samej wyspie jest szeroki dostęp do Muzeum Okupacji Niemieckiej, poniemieckiego podziemnego szpitala wojskowego, poniemieckich tuneli wojennych St. Saviour (wykopanych przez Niemców na magazyny broni) i wielu betonowych fortyfikacji oraz więz. Dzień Wyzwolenia obchodzony jest co roku 9 maja, a co pięć lat odbywają się bardziej wystawne obchody w St. Peter Port.

Po wojnie, kiedy wracało wielu przesiedleńców, Guernsey ponownie zaczęła prosperować i to jako podmiot niezależny. I znowu, chociaż jest formalnie własnością Korony Angielskiej, Guernsey nie stanowi części Zjednoczonego Królestwa (mimo że istnieją pewne złożone i kontrowersyjne kwestie dotyczące jej niepodległości i powiązana jest z baliwatem Jersey w jeden stan). Dlatego emituje własne pieniądze, ma własny ustrój polityczny, przy czym władza należy do parlamentu, czyli Stanów Guernsey (czterdziestu pięciu członków wybieranych co cztery lata) i własny system prawny (oparty ściśle na angielskim prawie powszechnym). A poza tym krowa rasy Guernsey, o której prawdopodobnie słyszeliście, będąca połączeniem dwóch francuskich ras i znana z mleka o bogatym smaku, także pochodzi z tej wyspy.

Notes

* 2 Moj. 20, 5, Biblia, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa 1976 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

** zwycięstwo – ang. victory

*** Chalet School – seria około sześciu książek o nastolatkach napisanych przez Elinor Brent-Dyer, wydawanych od 1925 roku

**** Gerard Manley Hopkins, *Heaven-Haven*

***** RAF – Królewskie Siły Powietrzne

***** Racz nas wyzwolić, o Boże. Panie, pośpiesz nam na pomoc! – modlitwa odmawiana w Kościele anglikańskim, na podstawie psalmu 70; Biblia, Ps, 70,2.

***** Wszechmogący i najmiłociwszy Ojcze, zbłądziliśmy i oddaliliśmy się od Twych dróg jak zagubione owce, postępowaliśmy zbyt często według zamysłów i pragnień naszych własnych serc; za: Modlitewnik powszechny, wyd. 1979, http://dstp.rel.pl/?page_id=6704.

***** Modlitewnik powszechny

Bibliografia

- Bihet Molly, *A Child's War*, wydane nakładem własnym, St. Peter Port 1985.
Bihet Molly, *A Time for Memories*, wydane nakładem własnym, St. Peter Port 2005.
Bunting Madeleine, *The Model Occupation*, HarperCollins, London 1996.
Daly Sue, *Wildlife of the Channel Islands*, Seaflower Books, Wiltshire 2004.
Garis Marie de, *Folklore of Guernsey*, wydane nakładem własnym, Guernsey 1975.
Jee Nigel, *Guernsey Country Diary*, Seaflower Books, Wiltshire 1997.
Maugham R.C.F., *Jersey under the Jackboot*, W. H. Allen and Company, London 1946.
McCormack John, *The Guernsey House*, Phillimore, Stroud 1987.
McLoughlin Roy, *Living with the Enemy*, Channel Island Publishing, Jersey 2007.
Rees Laurence, *Their Darkest Hour*, Ebury Press, London 2008.
Shirer William L., *The Rise and Fall of the Third Reich*, Pan, London 1960.
Stocks Christopher, *Forgotten Fruits*, Windmill Books, London 2008.

Wyspa Guernsey

Wyspa Guernsey

Spis treści

[Redakcyjna](#)

[O książce](#)

[Podziękowania](#)

[CZEŚĆ I](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[CZEŚĆ II](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[CZĘŚĆ III](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[CZĘŚĆ IV](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51](#)

[Rozdział 52](#)

[Rozdział 53](#)

[Rozdział 54](#)

[Rozdział 55](#)

[Rozdział 56](#)

[Rozdział 57](#)

[Rozdział 58](#)

[Rozdział 59](#)

[Rozdział 60](#)

[Rozdział 61](#)

[Rozdział 62](#)

[Rozdział 63](#)

[Rozdział 64](#)

[Rozdział 65](#)

[Rozdział 66](#)

[Rozdział 67](#)

[CZEŚĆ V](#)

[Rozdział 68](#)

[Rozdział 69](#)

[Rozdział 70](#)

[Rozdział 71](#)

[Rozdział 72](#)

[Rozdział 73](#)

[Rozdział 74](#)

[Rozdział 75](#)

[Rozdział 76](#)

[Rozdział 77](#)

[Rozdział 78](#)

[Rozdział 79](#)

[Rozdział 80](#)

[Rozdział 81](#)

[Rozdział 82](#)

[EPILOG](#)

[Rozdział 83](#)

[Wyspa Guernsey](#)

[Notes](#)

[Bibliografia](#)